

JACEK ŁOPUSZAŃSKI- WSPOMNIENIA Z KOŁYMY.

Lwów jest miastem lwów. To moje miasto. Pozwól, że opowiem Ci o moim ukochanym Lwowie.

Stolicą Rusi Czerwonej czyli Małopolski jest Lwów. W XIV wieku król Kazimierz Wielki włączył go do Królestwa Polskiego. Na przełomie XIV i XV wieku Lwów stał się centrum kulturalnym i handlowym, najważniejszym i najliczniej zamieszkanym miastem Polski. Stał się nawet na krótko stolicą państwa podczas najazdu Szwedów, kiedy to Karol Gustaw Waza upomniął się o polską koronę po śmierci króla Władysława IV Wazy. Wtedy to Jan Kazimierz przysiągł, że wstąpi do zakonu i przyjmie śluby, jeśli uda mu się zwyciężyć Szwedów.

Kiedy Szwedów wygnano z Polski, król Jan Kazimierz powrócił do Lwowa z wygnania na Śląsku. W lwowskiej katedrze katolickiej koronował Dziewicę Maryję na Królową Polski, którą jest do dziś w sercach Polaków. I dotrzymał obietnicy. Warto być może wspomnieć, że mój krewny, który walczył przeciwko Szwedom, wziął jako okup szwedzką dziewczynę. Była to jedna z moich pra-pra prababć.

Poprzez wieki Lwów prawdziwie zasłużył sobie na lwa w swoim herbie oraz motto: "Leopolis semper fidelis": Lwów zawsze wierny.

Miasto zajmowało kluczową pozycję na głównej trasie handlowej między Wschodem i Zachodem. Jego mieszkańcy szybko się bogacili, a nowi osadnicy przybywali z całej Europy i szybko stawali się tak polscy jak rodziny, które mieszkały tam od pokoleń. Dobrobyt Lwowa odzwierciedlał się we wspaniałości architektury. Stało się ono jedynym miastem na świecie, w którym były cztery katedry, a każda z nich była metropolitalną siedzibą innego wyznania - rzymsko-katolickiego, ormiańsko-katolickiego, grecko-katolickiego i grecko-prawosławnego (którego katedrę zwano WOŁOSKA). Była tam również piękna synagoga. Służyła społeczności żydowskiej, która przybyła do Lwowa w XIV wieku, kiedy król Kazimierz Wielki zagwarantował Żydom schronienie przed prześladowającą ich hiszpańską inkwizycją.

① str 18-21

② str 27-28

③ str 32-33

④ str 38-39

⑤ str 39-40

⑥ str 41-42+43

⑦ str 46-48

⑧ str 49-51

⑨ str 54

⑩ str 56

⑪ str 63-64

⑫ str 73-80

Mimo swej kosmopolitycznej natury Lwów nie utracił odwagi i nieugiętości. Z powodzeniem bronił się przed Turkami, Tatarami i Kozakami. Ludność wykształciła w sobie silne poczucie patriotyzmu i własny dialekt, znany i kochany w całej Polsce. We Lwowie toczyło się fascynujące życie kulturalne i społeczne, a sam Lwów zwano w Europie przed I Wojną Światową "Małym Wiedniem".

W tym miejscu chciałbym raz na zawsze zaprzeczyć jakimkolwiek pogłoskom, że Lwów jest częścią zachodniej Ukrainy. To mit wymyślany w różnych momentach przez Austriaków i Rosjan. Jeśli spojrzeć dziś na mapę Europy Wschodniej, widać że Lwów znajduje się w obrębie zachodniej części kraju zwanego Ukrainą. Ale Ukraina nigdy nie była odrębnym państwem; stała się nim dopiero pod sowiecką dominacją. Była i jest jedynie regionem, tak jak regionem jest Ruś Czerwona, której Lwów jest stolicą. Ukraina rozciąga się od swej stolicy Kijowa na północy do Morza Czarnego na południu - ale kto twierdzi, że sięga na zachodzie aż do Lwowa, to tak jakby utrzymywał, że Manchester to część hrabstwa Yorkshire lub że Los Angeles należy do amerykańskiego środkowego zachodu. Ukraina znaczy po polsku 'Ziemia u granic', 'Ziemia u krańca Królestwa Polskiego' lub 'Koniec ziemi'. Innymi słowy, obejmuje ona wschodnie terytoria Polski.

Polska ekspansja na wschód sięga XI wieku. Kijów został po raz pierwszy zdobyty w 1018 roku przez Bolesława Chrobrego, który uderzył swoim mieczem w złote bramy miasta. Miecz ten stał się Mieczem Koronacyjnym królów polskich i jest po dziś dzień przechowywany na Wawelu w Krakowie. (Siostra Bolesława Chrobrego, Świętosława, wyszła za mąż za króla Danii i przybrała imię Sygryda. Ostatecznie wyjechała do Anglii z osobistą gwardią polskich rycerzy, która stała się pierwszą Królewską Gwardią Konną w Anglii. Sygryda była matką króla Kanuta).

Wkład Austrii do kontrowersji na temat Ukrainy sięga ubiegłego wieku. Grupa nacjonalistów z Rusi Czerwonej poszukująca niezależności po pierwszym rozbiórce Polski, przybrała nazwę "Ukraina" i zyskała międzynarodowe uznanie. Kiedy już Polska zdobyła niepodległość w 1918 r., odchodzący Austriacy specjalnie pozostawili za sobą we Lwowie ukraińską administrację i wojsko (rodem z Rusi Czerwonej). Lwów jednak stał twardo przy swoim prawdziwym pochodzeniu, a ludność polska, z moim ojcem włącznie, wygnała najeźdźców w walce zwanej później wojną ukraińską.

Jednak niedługo potem pojawiło się na wschodzie nowe zagrożenie dla Lwowa. Bolszewicka Rosja zaatakowała Polskę w 1920 roku, dążąc do narzucenia Polakom komunistycznej ideologii i władzy. Czerwona kawaleria pod dowództwem marszałka Budionnego (Stalin był jego komisarzem politycznym) wkroczyła do Lwowa. Najlepsi synowie miasta polegli w bitwie o ZADWORZE, ale armia konna Budionnego została zatrzymana. Rosjan zepchnięto daleko na Ukrainę. Była to jedyna wojna, którą przegrała Rosja Sowiecka. Mój ojciec brał w niej udział w Pułku Jazdy Lwowskiej Abrahama. Sukces Polaków ofiarował Europie 20 lat pokoju i opóźnił o 20 lat pojenie rosyjskich koni w Renie i Sekwanie.

Byłem jednym z Polaków obdarzonych szczęściem wychowywania się w okresie pokoju. Miałem zaledwie trzy lata, kiedy zakończyła się bolszewicka wojna, ale zostało mi jedno wyraźne wspomnienie z tego okresu. Kiedy mój ojciec powrócił do domu z walk na Ukrainie, przyjechał na pięknym, pełnokrwistym kasztanie, ogierze, który zwał się SOKÓŁ. Ojciec uniósł mnie do góry jak szczenię, zarzucił przed siebie na siodło i pogalopowaliśmy w nieznane. Moje szczęście było pełne.

Widzę dziś wyraźnie, z jaką starannością mój ojciec wychowywał swoje dzieci. A nie było mu łatwo. Matka moja umarła, kiedy miałem 5 lat, a ojciec został ze mną, moim starszym bratem Mariuszem i moją młodszą siostrą Ewą. Mieszkaliśmy niedaleko Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie ojciec był wykładowcą. Nie wiem, ile zarabiał, na pewno nie było to dużo, gdyż do roku 1929 nie mógł sobie pozwolić na nowy garnitur i ciągle nosił swój stary mundur.

Był rozmiłowanym w nauce, pracowitym człowiekiem, wychowanym w duchu klasycznego wykształcenia z XIX wieku. Płynnie władał łaciną i greką. Mocno wierzył w zachowanie tężyzny fizycznej. Jestem pewien, że przetrwanie zawdzięczam trosce, z jaką zajmował się moim rozwojem cielesnym.

Zachęcał całą naszą trójkę do uprawiania różnych dyscyplin sportu. Zimą jeździliśmy na nartach w Karpatach; latem pływaliśmy i graliśmy w tenisa. To ojciec nauczył nas strzelać i jeździć konno. To on zaszczepił we mnie dozgonną miłość do koni.

Kiedy miałem 10 lat, ojciec zabrał mnie na zajęcia szermierki i zostałem oddany w ręce jednego z najlepszych polskich mistrzów fechtunku. W 1936 roku byłem na tyle dobry, że wybrano mnie na kandydata do polskiej kadry olimpijskiej w szermierce.

Moje życie do 1939 roku nie mogłoby ułożyć się lepiej. Ukończyłem cztery lata nauki w jednej z najlepszych i najstarszych polskich akademii rolniczych w DUBLANACH i zostałem powołany do odbycia obowiązkowej służby wojskowej w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. Bardzo się z tego cieszyłem: była to miła odmiana po wielu miesiącach spędzonych w gospodarstwach rolnych rozsianych po całej Polsce, gdzie miałem praktyki rolnicze, uczyłem się rozmnażania koni i bydła, uprawy roli i administracji. Po odbyciu służby wojskowej miałem się zająć jakimś zaniedbanym gospodarstwem rolnym. Miałem nadzieję, że dostanę pełną dzierżawę ziemi, a moim najgorętszym pragnieniem było hodować konie dla kawalerii, z połączenia rasowych Arabów i koni angielskich.

Stało się jednak inaczej. Hitler i Stalin podjęli już decyzję co do mojego życia, podobnie jak co do istnienia milionów ludzi na całym świecie.

Wczesnym rankiem w piątek 1 września 1939 roku niemieckie siły powietrzne uderzyły z pełną siłą w najważniejsze polskie miasta, wsie i linie kolejowe. Polska wieś została sterroryzowana, a celem niemieckich bomb i karabinów maszynowych byli cywile, a często nawet chłopcy pasący bydło.

Tego poranka na Lwów spadł grad bomb. Zmotoryzowana armia niemiecka szybko przesuwała się z południa w kierunku miasta, ale miasto Lwów było gotowe ją przyjąć. Mój ojciec znów przywdział mundur. Choć Niemcy zostali powstrzymani, ataki bomb i ostrzały artyleryjskie nie ustawały.

18 września Rosja Sowiecka zaatakowała Polskę na liczącym tysiąc mil froncie wschodnim. Do obrony tego terytorium wystawiono jedynie niewielki garnizon wojskowy. Żołnierze walczyli dzielnie, Sowieci jednak wdarli się do Polski.

W radiu wysłuchaliśmy oświadczenia Mołotowa, sowieckiego ministra spraw zagranicznych. Powiedział on, że zgodnie z paktem, który podpisał ze swym niemieckim współnikiem, Ribentropem, Związek Sowiecki ma 'uwolnić' Białoruś, Wołyń i zachodnią Ukrainę (Małopolskę) z 'opresji wysysających krew polskich kapitalistów, właścicieli ziemskich i spekulantów'. Mołotow mówił dalej, że 'bękart wersalski - akt z 1919 roku został anulowany, a Polska przestała istnieć raz na zawsze'. Następnie Rosja sowiecka zadeklarowała swą przyjaźń i współpracę z hitlerowskimi nacjonalistyczno-socjalistycznymi Niemcami. Owe dwie dyktatury podzieliły Polskę między sobą, jak sepy ścierwo.

W owym czasie nikt nawet nie śnił, że alianci na konferencji w Jałcie w 1945 roku ulegną presji Stalina i w końcu przystaną na pakt oddający Rosji Sowieckiej ponad połowę polskiego terytorium i pozbawiający domów dziesięć milionów Polaków.

Na marginesie: Mussolini, trzeci faszystowski dyktator nie pozwolił, żeby ten fakt przeszedł niezauważony. Nie chcąc zostać w tyle za Hitlerem i Stalinem wygłosił mowę z Palazzo di Venezia w Rzymie, w której wykrzyknął z wysoko podniesioną ręką: "La Polonia e liquidata" - "Polska przestała istnieć". Nie mógł wiedzieć, że cztery lata później polscy żołnierze z Drugiego Korpusu

177

wylądują w Neapolu, by rozpocząć kampanię we Włoszech. Ci sami "nieistniejący" Polacy zdobyli MONTE CASSINO, otwierając tym samym armii alianckiej drogę do Rzymu.

Pod koniec września rosyjskie czołgi dotarły do przedmieść Lwowa, który nadal dzielnie się bronił przed ciężkimi ciosami Niemców. Miasto było w tym momencie całkowicie otoczone przez dwie atakujące armie. Polski dowódca wojskowy zdecydował o poddaniu się Rosjanom, jako że Polska nie była oficjalnie w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, a owe dwa państwa miały ważny pakt o nieagresji.

Rosjanie weszli do miasta. Polskim żołnierzom kazano złożyć broń i iść do domu. Oficerom kazano zebrać się na Placu Bernardyńskim w celu 'zwykłej rejestracji'. Ufni i naiwni posłuchali. Większość zginęła w Rosji sowieckiej.

Mój ojciec nie miał żadnych złudzeń co do Rosjan. Był ostatnim oficerem, który opuścił swą jednostkę. Powiedział swoim ludziom, że mają się uważać za czasowo zwolnionych do momentu, w którym Polska będzie ich znowu potrzebować. Dokonał potem wzmianki na ten temat w swoim dzienniku oficerskim i udał się do domu. Nie poszedł na Plac Bernardyński i nie zarejestrował się.

Przez noc ogromne głościki pojawiły się na wszystkich rogach ulicznych. Na pięknych placach i bulwarach stały szkaradne gipsowe posągi Lenina, Stalina i żołnierzy sowieckich oraz chłopów trzymających sierpy i młoty. Wszędzie powiewały czerwone flagi. Przez megafony nadawano bez przerwy ogłoszenia w bardzo złej polszczyźnie i po ukraińsku:

“Bratnia Armia Czerwona oswobodziła Zachodnią Ukrainę spod ucisku polskich kapitalistów, właścicieli ziemskich i spekulantów. Jesteście nareszcie wolni i możecie cieszyć się życiem. Dziękujemy mieszkańcom Zachodniej Ukrainy za gorące przyjęcie i flagi”.

Mieszkańcy Lwowa przysłuchiwali się temu wszystkiemu z niedowierzaniem. Zostali wprowadzeni w świat kłamstw, charakterystyczny dla Związku Radzieckiego od 1917 roku. Miasto Lwów stało się Miastem Kłamstwa.

Moja wojna trwała 24 dni.

Jechałem pociągiem wiozącym żołnierzy z różnych jednostek, które zostały zdziesiątkowane przez Niemców podczas pierwszych walk. Dowódcą transportu był ROTMISTRZ kawalerii (kapitan). Udało nam się przeżyć zasadzkę niemieckiej piątej kolumny i dotarliśmy do BRZEŻAN. Czekwały na nas rosyjskie czołgi i artyleria polowa, wszystkie wycelowane w pociąg. Nasz kapitan kazał nam się poddać.

Rosjanie wydawali się bardzo zdenerwowani. Po chwili jeden z wysoko postawionych oficerów wygłosił mowę: "Żołnierze, złóżcie broń. Wasza wojna dobiegła końca. Przychodzimy, aby wam pomóc. Wracajcie do swoich rodzin".

Podobnie jak wszyscy, rzuciłem na ziemię mój karabin i granaty ręczne. Nasz kapitan stał obok rosyjskiego dowódcy. Był bardzo blady i drżącymi ustami mówił do każdego rozbieranego żołnierza: "Niech Cię Bóg prowadzi". Rosyjski kordon stał lękliwie dookoła nas, z karabinami w pogotowiu. Mówili do nas po rosyjsku: "Idźcie do domu. Wasza wojna już skończona".

Wrzesień 1939 roku był niezwykle suchy i słoneczny. To był długi miesiąc: codziennie miliony polskich oczu wypatrywały na bezchmurnym niebie samolotów naszych silnych sojuszników - Francji i Wielkiej Brytanii.

Z radością przyjęliśmy wiadomość, że te dwa kraje wypowiedziały wojnę Niemcom, ale nadal walczyliśmy w osamotnieniu – z ich strony nie nadchodziła żadna pomoc. Atak Armii Czerwonej przesądził nasz los: wzmocnienie naszych pozycji przeciw Niemcom stało się niemożliwe. Polska była pokonana. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego Francja – ze swoją liczną, dobrze wyposażoną armią – stoi beczynnie za linią Maginota. Nie wiedzieliśmy, że Francja nie ma zamiaru walczyć. Anglia natomiast nie była do wojny przygotowana.

Przybyłem do Lwowa w październiku i wszędzie napotykałem żołnierzy rosyjskich. Wszystkie publiczne budynki były okupowane i otoczone zwojami drutów kolczastych, które nazywaliśmy konncertinum. Strzegli ich żołnierze sowieccy, uzbrojeni w karabiny najeżone bagnetami.

Lwów był przeludniony – stał się schronieniem dla tysięcy ludzi, którzy uciekli przed Niemcami z zachodniej Polski. Po źle dobranych ubraniach cywilnych i przydziałowych butach żołnierskich łatwo rozpoznawaliśmy wśród uchodźców byłych żołnierzy.

Wszyscy słuchali jedyne go prawdziwego źródła informacji: wiadomości BBC z Londynu. Muszę wyjaśnić, że Polacy byli zawsze zapalonymi anglofilami. Wszystko, co brytyjskie, było dobre. Mój ojciec studiował zawsze z wielką uwagą raporty z debat w Parlamencie brytyjskim. W każdym większym mieście regularnie wystawiano w teatrach sztuki Szekspira. Nie miałem jeszcze 14 lat, kiedy obejrzałem “Kupca Weneckiego” i “Sen nocy letniej”. W szkołach książki Karola Dickensa i Sir Waltera Scotta należały do kanonu lektur obowiązkowych.

Dowiedzieliśmy się z BBC, że we Francji tworzy się armia polska pod wodzą generała WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO, który przed wojną był dyrektorem Francuskiej Akademii Wojskowej. Wzywał wszystkich zdrowych mężczyzn do przyłączenia się do armii.

Po tej audycji rozmawialiśmy z ojcem całą noc. Ojciec miał 54 lata i uważał, że powinien zostać w Polsce. Obaj też wiedzieliśmy, że ja powinienem jak najszybciej dostać się do Francji.

Jack Topuszowski

Moja siostra, Ewa, która właśnie zdała maturę po ośmiu latach w Sacre Coeur we Lwowie, zgłosiła się do służby jako pielęgniarka. Pracowała w specjalnym szpitalu dla rannych założonym na Politechnice Lwowskiej. To ona spakowała mi plecak na drogę do granicy z Węgrami, pierwszego dużego kroku w kierunku Francji.

Miałem na sobie gruby sweter polo i spodnie jeździeckie oraz najlepsze, bardzo mocne brązowe oficerki. Założyłem kurtkę jeździecką, krótki szary tweedowy płaszcz, czapkę i ciepłe rękawice. W plecaku niosłem koszulę, zmianę bielizny, przybory do golenia, mydło, szczoteczkę i pastę do zębów oraz pastę do butów. Były również dwa przedmioty, których nie chciałem zostawić. Jednym była przepiękna brytyjska fajka firmy Dunhill, którą podarował mi ojciec na moje ostatnie urodziny. Drugim - sygnet z herbem, pozostawiony mi przez dziadka. Ewa zrobiła poduszeczkę do igieł o średnicy około 6 cm i schowała pierścionek do środka. Żeby wyglądała bardziej autentycznie, powkluwała w nią igły i szpilki i obwiązała nimi.

Czuliśmy zbliżającą się zimę. Niebo stało się szare i pokryło się ciężkimi, nisko wiszącymi chmurami. W dniu mojego odejścia wstaliśmy bardzo wcześnie, Ewa włożyła mi do plecaka trochę jedzenia. W ostatnich wspólnych chwilach umówiliśmy się co do prostego kodu, który mieliśmy używać w listach, gdyby kiedykolwiek udało nam się ze sobą korespondować.

Byłem gotów. Ukląknęłam i prosiłem ojca o błogosławieństwo. Uczynił znak krzyża nad moją głową, a ja pocałowałem go w rękę. Podniósł mnie z kolan i objął. Staliśmy w milczeniu. Nadeszła pora odejścia. Objąłem i ucałowałem Ewę i poprosiłem ich oboje, żeby zostali w pokoju, gdy będę wychodził. Pamiętam ich oczy - były niezmiernie jasne. Nie było w nich łez.

Kiedy dotarłem do lwowskiego Dworca Głównego było jeszcze ciemno, ale wytworny hall był już pełen ludzi. Pociągi jeździły bardzo nieregularnie, ale mój pociąg, na szczęście, miał odjechać już za pół godziny. Poprosiłem panią w okienku biletowym o bilet do TURKI, małego miasteczka górskiego niedaleko granicy polsko-węgierskiej. Powiedziała mi ona, że wolno jej sprzedać bilet jedynie do odległego o 50 km miasta SAMBOR, gdyż tam rozpoczyna się strefa graniczna. Kupiłem więc bilet do Samboru wiedząc, że będę musiał znaleźć jakiś inny sposób do pokonania pozostałych do granicy 100 km.

Nie martwiłem się, kilkakrotnie bowiem jechałem konno ze Lwowa do okolic przygranicznych i wszędzie po drodze miałem przyjaciół. Jeszcze zanim zacząłem się uczyć w Akademii Rolniczej w DUBLANACH, spędziłem czas jakiś w gospodarstwie w TURZE. Należało ono do ojca mojego przyjaciela. Było mi tam bardzo dobrze. Jeszcze bliżej granicy znajdowało się inne duże gospodarstwo zwane KOMARNIKI. Byłem tam na pierwszych szkolnych praktykach rolniczych. Komarniki należały do starego Ukraińca, pana Nestora Salamona, greko-katolika, który ożenił się z Łopuszańską. Jego dwaj synowie byli moimi kolegami z akademii w Dublanach. Posiadłość rozciągała się aż po grzbiet Karpat. Najwyższe pastwiska rozciągały się nieco poniżej najwyższego szczytu PIKUJ, wzdłuż którego przebiegała granica.

Pociąg był pełen i musiałem stać w korytarzu. Niektóre przedziały zarezerwowano dla komandirów Armii Czerwonej. (W owym czasie nie nazywali siebie oficerami; tytuł ten przywrócił dopiero Stalin w 1943 roku, kiedy to dołączono złote szlify do mundurów, tworząc dokładną kopię starych mundurów oficerskich z czasów carskich). Dowódcy, bez wyjątku, byli starannie ubrani, z krótkimi szyjami i okrągłymi twarzami. Mieli krótko obcięte włosy i byli dokładnie ogoleni. Na głowach nosili płaskie, okrągłe furażerki z rogami wykonanymi z ciemnej tektury. Obuci byli w prymitywne oficerki zrobione z gumy. Każdy z nich miał nagan - pistolet sześciopalcowy, podobny do kowbojskiego kolta 45, ale o wiele większy.

Palili w niezwykle dziwny sposób. Najpierw dowódca oddzierał podłużny kawałek z gazety, który następnie napełniał tytoniem zwanym KARASZKI albo MACHORKĄ i zaklejał ogromną ilością śliny, tworząc coś, co z grubsza przypominało papieros lub papierową fajkę. Te skrety strasznie dymiły.

Na jednej ze stacji udało mi się znaleźć miejsce siedzące. W przedziale siedziało dwóch młodych, nieogolonych mężczyzn, ubranych w stare, podniszczone płaszcze, czapki narciarskie i dobre buty narciarskie. Nie włączali się do żadnej rozmowy i podejrzliwie przyglądali się mojej beztrוסce. Od razu zgadłem, że byli przebrani. Pozostałymi pasażerami były trzy wesole kobiety w średnim wieku, które były właścicielkami straganów w Samborze. Zamierzały wykupić tyle masła i sera, ile tylko się da i przywieźć towar do Lwowa, na sprzedaż. Podróżowały w ten sposób co tydzień.

Patrząc na mnie i pozostałych dwóch mężczyzn, jedna z przekupek ostrzegła, że w ubiegłym tygodniu w Samborze Rosjanie zabrali z pociągu kilku podróżujących mężczyzn. Odparłem, że się nie boję, gdyż mieszkam niedaleko Samboru i wracam do domu. Kobiety były bardzo przyjazne, poczęstowały mnie nawet czymś do jedzenia.

Kiedy dojechaliśmy do Samboru^o, okazało się, że kordon rosyjskich żołnierzy z opuszczonymi karabinami czeka już po obu stronach peronu. Przy wyjściu, obok kontrolującego bilety, stała następna grupa żołnierzy wraz z dowódcą. Pomogłem wysiąść trzem kobietom obciążonym dużymi tobołami i gadając wesoło przeszliśmy dziesięć kroków dzielących nas od barierki. Oczy dowódcy prześlizgnęły się po mnie i poszedłem za kobietami. Z sercem podchodzącym do gardła odszedłem nie oglądając się za siebie. Potem doszło za nami do zamieszania i jedna z kobiet powiedziała: "Złapali ich". Chodziło o naszych dwóch towarzyszy podróży.

W drodze na targ zobaczyłem, że dwa budynki szkolne zostały przejęte przez Rosjan i przekształcone w baraki. Na zewnątrz były znajome wartownie i zwoje drutów kolczastych. Żołnierze, po dwóch lub trzech, wychylali się z okien i obserwowali ludzi na ulicach. Żołnierze, zawsze w grupkach, przechadzali się po mieście. Kupowali produkty w ogromnych ilościach. Najwięcej ich stało przed sklepami ze skórą na buty i przed rzeźnikiem, gdzie można było dostać wędzoną wieprzowinę i kielbasę. Zobaczyłem jednego z dowódców (miał trzy emaliowane kwadraciki po obu stronach kołnierza), który niósł duży wypieczony bochenek chleba pod pachą, a wokół ramienia miał zawinięte dwa długie pęta kielbasy.

Polacy wkrótce się nauczyli, że jakkolwiek rozmowa z żołnierzem Armii Czerwonej niewątpliwie doprowadzi do pytania: "Czy masz zegarek na sprzedaż?"

Zobaczyłem również kilka maszerujących oddziałów liczących do 150 mężczyzn. Dowódca szedł zawsze w połowie kolumny, obok żołnierza zwanego "ZAPIEWAJŁĄ". Prowadzącego śpiew wybierano do tej funkcji dzięki szczególnie wysokiemu i przesywającemu głosowi. Po jednym wersecie odśpiewanym przez zapiewajkę, reszta mężczyzn włączała się do chóru. Ich śpiew ~~wywierał~~ miał dzikie i przygnębiające brzmienie. Żołnierze byli nędznie wyposażeni. Niektórzy nawet nosili karabiny na sznurku, zamiast na porządnym rzemieniu.

Na targu huczało życie. Wielu drobnych rolników z pobliskich wsi przywoziło swoje produkty na sprzedaż. Po raz pierwszy byłem świadkiem handlu wymiennego; pszenica za ziemniaki, masło za domowej roboty len. Przechadzałem się, szukając wozu na którym napisane byłoby nazwisko i adres właściciela. Znalazłem w końcu wóz zaprzęgnięty w dwa dobrze odżywione konie. Wyglądał jakby należał do rzeźnika. Szczupły mężczyzna z siwym wąsem ładował nań dwa duże wory zboża. Pomogłem mu z drugim worem i spytałem, czy zna braci SROCZYŃSKICH, którzy mieszkają w wiosce niedaleko jego gospodarstwa. Znał ich, powiedział, że nie wrócili z wojny, a ich dom zajęli Rosjanie. Opowiedział mi następnie o nowych porządkach wprowadzonych we wsi przez Armię Czerwoną.

Od momentu przyjazdu żołnierze kopali okopy, godzina po godzinie, dzień po dniu. Miejscowej ludności powiedziano, że bez przepustki nie można jechać nawet na zwykły targ. Gdyby ktokolwiek zauważył coś podejrzanego, miał powiadomić o tym milicję. Jeśli nie – narażał się na konfiskatę mienia i przymusowe przesiedlenie. Poprosiłem: "Ale ja muszę się dostać do Turze. Zapłacę ci". Odparł: "Nie chcę twoich pieniędzy, ale możesz ze mną jechać. Nie mogę cię jednak wziąć do domu - zostawię cię na drodze niedaleko mojej wioski. Będzie ciemno, więc będziesz miał szansę dotrzeć przed świtem do Turze. A teraz wsiadaj na wóz i pilnuj koni. Muszę kupić naftę". Kiedy wrócił z parafiną, przesunąłem się z miejsca dla woźnicy, ale on powiedział: "Ty poprowadzisz - ja będę twoim pasażerem". Położyliśmy gruby pled na nogach, zapalił fajkę. Trzymając bat w prawej ręce, uczyniłem jego końcówką znak krzyża na piersi. Taki był zwyczaj wszystkich polskich woźniców przed wyruszeniem w drogę. Konie były zadowolone, że wracają do domu, a ja skierowałem je w stronę mostu przez DNIESTR. Inne wozy jechały w tym samym kierunku.

Kiedy zbliżyliśmy się do końca mostu, gdzie dwóch milicjantów sprawdzało każdy wóz, mój towarzysz wyjął kartkę papieru z kieszeni. Byli to młodzi Żydzi, ubrani w cywilne stroje z opaskami i czerwonymi gwiazdami na przedramieniu. Spojrzeli na nasze przepustki i spytali, co znajduje się w workach. Stary mężczyzna odpowiedział im po polsku, że pokarm dla koni. Wyższy z milicjantów wrzasnął łamanym ukraińskim: "Czas najwyższy, żebyście używali ukraińskiego. Polska jest skończona. Koniec waszej władzy. Jesteście w sowieckiej Zachodniej Ukrainie". Stary człowiek odrzekł doskonałym ukraińskim: "Dobrze już, dobrze. Będę do was mówił po ukraińsku. Widzicie, to nie ma dla mnie znaczenia - moja żona jest Ukrainką jak i połowa moich krewnych". Puścili nas. Pognałem konie w klus i pojechałem w prawe odgałęzienie drogi. Mój towarzysz odwrócił się do mnie i uśmiechając się zza fajki i swoich ogromnych wąsów powiedział: "Miałem nadzieję, że się uda. Widzisz, moja przepustka jest ważna jedynie na mnie i na wóz. Mogę się założyć, że te mety nie czytają nawet po ukraińsku. Byli tak zajęci opowiadaniem mi o Sowieckiej Ukrainie, że zapomnieli spytać o ciebie. Oni są gorsi od śmieci. Służą Rosji i są pijani władzą. Tu w okolicy jest немало Żydów i Ukraińców, których Rosjanie wykorzystują jako szpiegów. To ludzie z osobistymi urazami. Są w milicji od dnia, kiedy pojawiła się Armia Czerwona. Wielu kryminalistów dołączyło się do nich w nadziei na łatwy łup".

Droga stawał się coraz bardziej wyboista i a okolica – im bliżej gór – rzadziej zaludniona. Na szczycie wzgórza minęliśmy okopy i napotkaliśmy rosyjskie jednostki maszerujące po pracy do Sambora.

Wkrótce po zapadnięciu zmroku minęliśmy bez zatrzymania wioskę, gdzie mieszkała rodzina SROCZYŃSKICH. W całej okolicy musiało znajdować się bardzo wiele oddziałów wojskowych, gdyż ciągle widzieliśmy na niebie kolorowe rakiety. Byliśmy pewni, że w ten sposób porozumiewają się między sobą.

Zbliżyliśmy się do wsi, mój towarzysz przejął lejce. Ponownie ofiarowałem mu pieniądze, ale ponownie odmówił. Podziękowałem i uściśnąłem mu rękę. Powiedział: "Gdziekolwiek pójdziesz, niech Bóg będzie z tobą i zaprowadzi cię niedługo z powrotem do domu. Widzisz, mam dwóch synów, którzy jeszcze nie wrócili z wojny".

Pożegnałem go, jakbym go znał całe życie.

Żeby na pewno dotrzeć do Turze^a przed świtem, ruszyłem od razu. W Turze Rosjanie powołali już komitet wiejski (Sowiet), który składał się z najgorszych mieszkających tam elementów. Wiedziałem, że jeśli ktokolwiek mnie zobaczy, zostanie rozpoznany i wydany w ręce milicji. Moim planem było dostać się do ekonoma w Turze, człowieka o nazwisku PYŁYP. Miałem nadzieję, że mogę mu ufać. Do jego chaty mogłem dotrzeć bez przechodzenia przez wioskę.

Górska droga była wyludniona, dobrze się szło w zimnym nocnym powietrzu. Księżyc wspiął się wysoko, aby oświetlić mi drogę. Rosjanie co jakiś czas dwadzieścia minut wysyłali w powietrze rakiety, niesamowite było widzieć je tak wyraźnie nie słysząc jednak - ze względu na dużą odległość - wybuchu. Szedłem ocienioną stroną drogi, przystając co rusz, żeby posłuchać, czy przypadkiem ktoś się nie zbliża. Nie zapaliłem fajki, ponieważ jej żar byłby widoczny z daleka. Około drugiej w nocy doszedłem do górskiego źródła, gdzie kiedyś poilem konie. Leżałem na brzuchu i piłem krystalicznie czystą wodę. Odświeżony, rozpocząłem zejście do wsi Turze⁸, idąc przełęczą górską, którą choć dobrze znałem, rzadko chodziłem. Była ona akurat wystarczająco szeroka dla pieszego lub konnego jeźdźcy. W znajomej okolicy czułem się bezpiecznie. Co jednak czekało mnie w Turze? Nie miałem pewności, że Pyłyp jeszcze tam mieszka, ani że pomoże mi dostać się do Komarnik.

Na końcu jego ogrodu znajdował się przełaz. Wspiąłem się i zacząłem przechodzić przez grządkę warzyw. Pies na podwórzu zaszczekał, lecz rozpoznawszy mnie, serdecznie przywitał. Usiadłem na ganku chaty. Dojenie krów rozpoczyna się w Polsce bardzo wcześnie rano i robią to zawsze kobiety. Po chwili ujrzałem światło w jednym z okien. OLENE, żonę Pykypa, w znajomym mi szalu na głowie, która rozpałała ogień w wielkim piecu kuchennym. Pykyp był jeszcze zapewne w domu. Oczekałem, aż Olena przejdzie przez podwórze do obory, żeby rozpocząć dojenie. Wtedy wszedłem do domu. Pykyp był oszołomiony i usiadł na łóżku. Powiedziałem: "Pykyp, to ja. Szedłem całą noc i potrzebuję snu. Nie możesz nikomu powiedzieć, że tu jestem." |τ

Był to mały, pogodny człowiek, który nigdy nie powiedział nikomu złego słowa; był jednak zdominowany przez Olenę i widziałem, że się boi. Obiecałem mu, iż odejdę nocą, jak tylko się prześpię. Spytałem o letnią altanę, którą zwaliśmy KASTEL (zamek), znajdującą się w sadzie. Była zarośnięta, ale chłodna i spałem tam niejednokrotnie w upalne letnie noce. W środku było łóżko z siennikiem, miska i dzban. Leżało tam także trochę uprząży, pledy dla koni i parę siodła. Klucz do niej trzymano na ganku.

Niepokój Pyłypa zmalął, gdy przekonał się, że nie chcę zostać w jego chacie i że niebawem odejdę. Powiedziałem mu, że nie jestem głodny, a jedynie zmęczony. Tak czy owak poszedł do Oleny, a ona przyniosła mi przepyszny kubek mleka od krowy, jeszcze ciepłego, i grubą kromkę żytniego chleba. Kiedy jadłem, Pyłyp opowiedział mi o niektórych poczynaniach Rosjan w Turze. Żołnierze zabrali prawie wszystko z posiadłości, a wiejski Sowiet rozgrabił to, co zostało. Duży dom był pusty i miał być przekształcony w spichlerz na następne żniwa. Pyłyp został jako dozorca i służący dla Sowietu. Czasem wysyłali go do STRZYŁEK, żeby przywiózł zapasy używając ostatniej pary koni roboczych. W dziewięciu na dziesięć przypadków przywoził butelki wódki, które dostawał w zamian za zboże przeznaczone do wiosennych siewów.

Klucz do altany znajdował się na starym miejscu, ale wiejski Sowiet zabrał wszystkie siodła i całą uprząż. Pozostało jedynie łóżko i miska. Pyłyp przyniósł mi wiadro wody i gruby koc, a ja zamknąłem drzwi na klucz i zasnąłem.

Zdawało się, że minęło zaledwie parę chwil, kiedy usłyszałem miarowe pukanie do drzwi i szept: "To ja, Pyłyp". Otworzyłem drzwi. Było już ciemno. Przespałem cały dzień.

Pyłyp przyniósł kamienną misę, w której znajdowały się ciepłe ziemniaki i kapusta. Kiedy usiadłem do jedzenia, powiedział: "Masz wielkie szczęście. Za godzinę mam jechać do STRZYŁEK. Mogę cię wziąć ze sobą. Oszczędzi ci to drogi".

Chciał się mnie jak najszybciej pozbyć i wcale nie miałem mu tego za złe. Kazał mi poczekać za żywopłotem koło drogi, aż ukaże się z wozem. Powiedział: "Stanę, żeby dopasować uprząż. Musisz wskoczyć na tył wozu i przykryć się kocami, ale upewnij się, że nikogo nie ma na drodze".

Plan zadziałał bez fiaska i przez godzinę jechaliśmy w milczeniu, aż dotarliśmy w pobliże STRZYŁEK. Podziękowałem Pyłypowi i ofiarowałem mu pieniądze, które niechętnie przyjął.

Traf chciał, że znałem zawiadowcę stacji w STRZYŁKACH. Zapewnił mnie, że dalsza podróż pociągiem do wsi Jabłonka będzie całkiem bezpieczna. W ten sposób powinienem ominąć rosyjskie rogatki. Czekałem w przytulnej kwaterze zawiadowcy stacji na pociąg do Jabłonki. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że jest prawie pusty. Tak czy owak stałem w korytarzu w pobliżu drzwi, przygotowany na wypadek szybkiego wyjścia.

Pociąg przejeżdżał przez wioski znane w Polsce jako siedziby Szarej Szlachty. Najprościej porównać Szarą Szlachtę do szefów szkockich klanów. Byli to ludzie wysocy i przystojni, o regularnych rysach, odporni jak tylko górale być mogą. Tradycyjnie byli najlepszymi żołnierzami królów polskich i zawdzięczali swoją pozycję patentom szlacheckim i herbom ofiarowanym im przez Kazimierza Wielkiego. Nazwiska przybierali według nazw wsi, w których przyszło im żyć. Choć mówili po ukraińsku, czuli się zagorzałymi Polakami, a ich potomkowie należeli do najwspanialszych polskich rodzin.

Jedna z wiosek Szarej Szlachty nazywa się ŁOPUSZANKA – łatwo rozpoznać podobieństwo do mego nazwiska. Nasza rodzina była kiedyś związana z tą wsią. Kiedy pociąg jechał przez ŁOPUSZANKA, poczułem się więc na chwilę wśród swoich.

W Jabłonce wysiadłem z pociągu i szybkim krokiem poszedłem w kierunku posiadłości w Komarnikach. Robiło się już bardzo późno, a droga była całkiem wyludniona. Wydawało się, że czeka mnie jeszcze jeden długi marsz, ale szczęście znowu mi dopisało. Na drodze pojawił się wóz, który czym prędzej zatrzymałem. Powożący powiedział, że jedzie do wsi WYSOCKO, kawałek za Komarnikami i zaofiarował się mnie podwieźć. Nazywał się Wysoczański. Dałam mu trochę tytoniu do fajki, a on spojrzał na mnie w świetle zapalki i powiedział: "Znam cię. Jesteś młodym paniczem, który przejeżdżał czasem z Komarnik na pięknym ogierze. Widywałem cię bardzo często". Wskazał na konia po prawej, jednego z dwóch ciągnących wóz: "Ta klacz dała mi pięknego żrebaka od twojego ogiera, ale jest on na razie za młody do pracy. I póki co, nie wiem, czy kiedykolwiek będzie dla mnie pracował". Dodał. "Widzisz, Rosjanie zabrali tego araba wraz z najlepszymi klaczami dla Armii Czerwonej. Jedna z klaczy odmawiała ciągnięcia, więc połamali jej łomem przednie nogi. Ogiera przywłaszczył sobie komendant, który przejechał na nim do Skole jakieś 80 km. Siodło tak bardzo paliło konia w plecy, że zrzucił komendanta na ziemię. Rosjanin zastrzelił biednego konia na miejscu. Stajenni, których zaaresztowano w tym samym czasie, opowiedzieli nam o wszystkim".

Spytałem Wysoczańskiego o właściciela Komarnik, pana Nestora Salamona. Odpowiedział:

"Nie ma go tam. Chowa się z żoną gdzieś w górach. Pozostał tylko zarządca, Józef Matkowski, który dogląda domu i nielicznych już zwierząt. Całe nagradzane bydło Simentaler pana Salamona, łącznie z bykiem importowanym ze Szwajcarii, zostało zabrane na rzeź na mięso dla Armii Czerwonej".

Byłem oburzony tymi doniesieniami.

W Komarnikach rozstałem się z Wysoczańskim przy brodzie. Dwór był po drugiej stronie rzeki i musiałem przejść w bród. Poziom wody był bardzo niski po długim, suchym lecie i sięgał mi zaledwie do łydek. Moje oficerki nie przepuściły ani kropli wody. Po paru minutach powitały mnie przyjazne twarze Józefa Matkowskiego i jego żony Marii. Dzieci już spały. Byłem u siebie.

Maria przyrządziła dla mnie kolację z sześciu sadzonych jajek, chleba z masłem i herbatę z sokiem z górskich jagód. Jadłem, a Józef opowiadał mi nowiny. Maria, jak zwykle zapracowana, poszła do pokoju na górze, żeby przygotować mi łóżko. Budynek był prawie pusty, gdyż Rosjanie zabrali praktycznie wszystkie meble. Opowiedziałem Józefowi o moim planie przedostanie się do Węgier i o ^{wałem} wyborze Wzgórz Pikuj jako najdogodniejszego punktu do przekroczenia granicy. Był to najwyższy szczyt w tej części Karpat wysoki na około 1400 metrów nad poziom morza. Józef też uważał, że to dobry pomysł, jako że już kilkakrotnie w przeszłości wchodziłem na Pikuj, a dwa razy przeszedłem się na terytorium Węgier. W tym celu należało w sprytny sposób zejść drugą stroną góry. Była tam przepaść nad uskokiem o wysokości 600 m n.p.m., ale po lewej stronie zbocza znajdowała się stroma ścieżka w dół. To ona właśnie miała być moją drogą do wolności.

Poniżej najwyższego szczytu Pikuj po polskiej stronie jakiś kilometr na prawo, znajdowało się doskonale wyposażone schronisko narciarskie. Józef powiedział mi, że przejęły je rosyjskie straże graniczne należące do sekcji NKWD zwanej "POHRANICHNAJA ZASTAWA". Mieli oni psy i konie. Ich główna jednostka była usytuowana w dolinie Pikuja, w miejscu zwanym HUSNE.

1

1

Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie wyruszyć rankiem następnego dnia. Józef ostrzegł mnie, że pogoda może się w każdej chwili pogorszyć. Postanowił, że podwiezie mnie wozem jak najbliżej do Pikuja. W podróży w tym kierunku nie było nic podejrzanego, gdyż dwa razy w tygodniu musiał i tak zawozić siano do wyżej położonych pastwisk, żeby nakarmić owce.

Wyruszyliśmy przed brzaskiem. Księżyc sprawiał, że było dość jasno. Józef chciał dotrzeć do HUSNEGO przed świtem, żebym miał cały dzień na wspanięcie się na szczyt. Za wyjątkiem dwóch miejsc, zbocza góry po polskiej stronie były grubo pokryte jodłami, świerkami i sosnami. Wyjątki stanowiły kamieniste krawędzie na samym szczycie i nieco niżej pas nieżywych buków, zniszczonych niesłychanie ostrymi mrozami zimą 1927 roku. Ciarki przechodziły mi po plecach, ilekroć musiałem przechodzić obok tych przerażających nagich pni.

Nasza wędrowka przez Wysocko do Husne przebiegała bez zdarzeń. Było za wcześnie nawet na dojenie krów. O świcie dojechaliśmy do miejsca, z którego musiałem wyruszać, jakieś 18 metrów od przydrożnej karczmy. Zeskoczyłem z wozu. Józef powiedział: "Pospiesz się, na Boga. Gospodarz nam się przypatruje. Ja wracam".

*Eventualnie doprowadzić do gospodarza
Józefa Matkowskiego.*

Czym prędzej zbiegłem z drogi, przeskoczyłem przez górski potok i wszedłem do lasu, który miał ukryć moje wejście na Pikuj. Zacząłem się wspinać i usłyszałem jak wraz z rosnącą między nami odległością słabnie turkotanie wozu Józefa. Miał zapewne powody, żeby nie ufać karczmarzowi. Człowiek ten był ortodoksyjnym Żydem, było więc bardzo prawdopodobne, że Rosjanie zagrozili odebraniem mu karczmy, jeśli nie zgłosi każdego człowieka przechodzącego obok gospody w drodze do granicy.

Po godzinie udanej wspinaczki usłyszałem w oddali szczekanie psów. Byłem pewien, że podniósł się alarm wśród straży granicznej w Husnem. Niemożliwe jednak, żeby znaleźli mnie w tym lesie. Miałem tu tysiące potencjalnych kryjówek i mogłem się schować nawet przed całą armią. Gdyby mieli mnie rzeczywiście złapać, musiałyby to być na nagiej krawędzi szczytu Pikuj. Tak więc, dla bezpieczeństwa, musiałem przekroczyć grań nocą.

Musiałem odczekać w najwyższych partiach lasu, aż zapadnie noc. Wspinałem się stopniowo, oszczędzając energię. W południe zrobiło się nagle bardzo ciemno i znacznie cieplej. Zaczął padać śnieg, dużymi płatami, najpierw powoli, później coraz szybciej i gęściej. Kiedy doszedłem do cmentarza buków bez pni i gałęzi, padało tak mocno, że ledwo było widać czubki drzew. Śniegu napadało tyle, że trudno było iść. Myślałem tylko o jednym: żeby wejść na górę do bezpiecznego i wygodnego ostatniego pasma lasu.

Dotarłem tam wycieńczony i znalazłem schronienie pod świerkiem, który pod ciężarem pokrywającego gałęzie śniegu wyglądał jak indiański wigwam. Usiadłem na zwałonym iglaku i oparłem się o pień. Byłem tak zmęczony, że zasnąłem.

Kiedy się obudziłem było całkiem ciemno. Zesztywniałem i byłem głodny. Przestało padać. Było cicho, jedyny odgłos wydawały łamane pod ciężarem śniegu gałęzie. Zrobiło się zimno i było jasne, że noc zapowiada się mroźna. Otworzyłem plecak i zjadłem do ostatniego okruszka jedzenie spakowane mi przez Marię. Potem usiadłem i zacząłem czekać na światło księżyca. Przeraziłem się w pewnej chwili – usłyszałem ruch wśród drzew - ale był to zapewne jedynie jeleni schodzący ze swym harem w poszukiwaniu pożywienia.

1

Zaczęło się przejaśniać. Wspiąłem się do krawędzi lasu i wyrząłem na otwartą przestrzeń. Była przykryta co najmniej 40 cm śniegu. Potem wydarzyło się coś strasznego: pojawiła się marznąca mgła i choć świetlista dzięki padającym na nią promieniom księżyca, była tak gęsta, że nie byłem w stanie dojrzeć nawet rękawicy na mojej wyciągniętej dłoni.

Brnąc przez śnieg, próbowałem wspinać się w górę po prostej linii i tak dotarłem do trójkątnego znaku, sygnalizującego wierzchołek Pikuj. Przesunąłem się potem ostrożnie w lewo, szukając ścieżki, którą miałem zejść na terytorium Węgier, przechodząc obok urwiska o wysokości 600 m. Poszedłem prawym odgałęzieniem drogi i doszedłem do pasa świerków, których nie powinno tam być. Posuwałem się wzdłuż krawędzi lasu i natrafiłem na moje własne ślady. Zrobiłem pełne koło. Jeszcze trzykrotnie próbowałem dotrzeć do ścieżki przez granicę i trzy razy znalazłem się w punkcie wyjścia. Wycieńczony, postanowiłem poczekać na światło dzienne zanim będę próbował po raz kolejny.

Wydawało się, że minęły wieki, lecz świt w końcu nastał. Mgła stawała się coraz gęstsza. Raz jeszcze zacząłem się wspinać, lecz tym razem usłyszałem głosy i szczekanie psów. Zdawały się być bardzo daleko, ale z powodu mgły trudno było dokładnie określić ich kierunek. Zdawały się być wszędzie dokoła mnie. Byłem jakieś 90 m od szczytu, kiedy po raz drugi pogoda w sposób okrutny zażartowała sobie ze mnie. Lekki powiew wiatru zaczął rozpraszać mgłę.

Zobaczyłem rosyjskiego żołnierza z długim karabinem zakończonym bagnetem. On też mnie zobaczył i krzyknął: "Stoj, stoj" (stój, stój). Wystrzelił, a ja rzuciłem się w śnieg. Było ich razem trzech i wszyscy strzelali nad moją głową. Chcieli mnie żywego. Wielki owczarek alzacki rzucił mi się na plecy i przez podniesiony kołnierz schwycił moją szyję w szczęki. Strach kompletnie mnie sparaliżował. Potem otoczyli mnie żołnierze szturchając bagnetami i wrzeszcząc "PADNIMAJŠJA" (podnieś się), "RUKI WWIERH" (ręce do góry). Zjawił się konno kolejny żołnierz. Wzięli mój plecak. Jeden spytał "URUZJE JESC?" (czy masz broń?). Przeszukali mnie od stóp do głów, a potem próbowali znaleźć pistolet w śniegu. Byłem pojmany.

1

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w schronisku narciarskim, posadzili mnie na ławce pod ścianą i wyłożyli zawartość moich kieszeni i plecaka na duży stół na środku. Po krótkim czasie pojawił się niski mężczyzna. Po obu stronach kołnierza miał trzy emaliowane kwadraciki, wskazujące na jego stopień: komandira-kapitana. Podobnie jak trzech mężczyzn, którzy mnie złapali, on również miał na sobie czapkę, która odróżniała członków ZASTAWY (straży granicznej) od żołnierzy w innych jednostkach NKWD. Miała ona mały czubek, a po bokach dwie klapki, które nadają noszącemu ją charakterystyczny spanielopodobny wygląd. Kapitan ubrany był w luźny mundur i śmiesznie szerokie, ciemnoniebieskie bryczesy. Usiadł na stole i bez słowa zaczął spisywać należące do mnie przedmioty. Raz po raz podniósł głowę, żeby spojrzeć na mnie, a twarz jego była całkiem pozbawiona wyrazu. W końcu spytał: "KAK TWAJA FAMILJA?".

Dowiedziałem się później, że znaczy to "Jak masz na nazwisko?" W owym czasie nic nie rozumiałem po rosyjsku, więc sądziłem, że pyta, czy mam rodzinę. Odpowiedziałem po polsku: "Nie mam rodziny. Jestem kawalerem".

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i powiedział: "Rozumiesz po HAHOLSKU?" (To obraźliwy sposób mówienia o języku ukraińskim).

Odpowiedziałem, że tak i wówczas zaczęło się przesłuchanie:

"Nazwisko?"

"Łopuszański".

"Imię?"

"Jacek".

"Imię ojca?"

"Mieczysław".

"Rok urodzenia?"

"1917".

"Miejsce urodzenia?"

"Lwów".

"Obywatelstwo?"

"Polskie". W tym miejscu podniósł wzrok i powiedział: "Nie jesteś Polakiem, jesteś Ukraińcem".

"Jestem Polakiem. Urodziłem się w Polsce".

"Nie jesteś Polakiem, lecz Ukraińcem. Urodziłeś się we Lwowie, a Lwów jest w Zachodniej Ukrainie".

"Jeżeli napiszecie, że jestem Ukraińcem, będzie to kłamstwo. Jestem Polakiem".

Przez jakiś czas upierał się przy swoim, ale w końcu odparł: "Dobrze. Napiszę: obywatel dawnej Polski". Następnie kontynuował przesłuchanie:

"Kto cię tu przysłał?"

"Nikt. Przyszedłem z własnej woli. Chcę się dostać do Francji, aby dołączyć do wojsk polskich".

"Chcesz dołączyć do wojsk polskich aby walczyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu?"

"Chcę do nich dołączyć we Francji, żeby walczyć przeciw Niemcom i Włochom. Nie jesteśmy w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim".

"Głupi jesteś. Polska jest skończona. I ani Francja, ani ta prostytutka Anglia nie wygra tej wojny. Nie pomogą też tobie. Jak się tu dostałeś?"

"Na piechotę i pociągiem ze Lwowa".

"Jesteś kłamcą. Nawet ptak nie zdołałby zbliżyć się tak bardzo do granicy. Przyszedłeś z Węgier. Powiedz, kto cię przysłał, kogo masz spotkać i gdzie. Jeśli mi powiesz, może będziemy dla ciebie łaskawi. Jesteś szpiegiem".

"Nie jestem szpiegiem. Jestem polskim żołnierzem; tylko żołnierzem, tak jak ty".

Gapił się na mnie chwilę, a potem spytał: "Czy wiesz, w czyich jesteś rękach?"

"Tak. Jestem w rękach Armii Czerwonej".

Przez zaciśnięte zęby zasyczał: "O nie, nie jesteś w rękach Armii Czerwonej. Jesteś w rękach NKWD".

"Nie wiem, co to takiego NKWD".

"Nie wiesz? W porządku, oświecę cię. Czy wiesz, co to GPU, albo Cze-Ka?"

"O tak. Słyszałem o GPU i o Cze-Ka. To coś jak niemieckie Gestapo".

Twarz jego poczerwieniała jak u indora. Zeskoczył z krzesła i prawie obiegł stół. Był wściekły. Krzyknął: "Ty głupi Polaku! Gestapo to dzieci w porównaniu z nami. Oni zaczynają się dopiero uczyć tego, co my doskonalimy już od Rewolucji".

Przesłuchanie się zakończyło. Wszystko, łącznie z listą moich rzeczy, włożono do plecaka, który oddano STARSZYNIE (podoficerowi). Dwóch żołnierzy związało mi nagie nadgarstki końcem 3 metrowej liny. Odebrano mi moje dobre rękawice i tyle je widziałem.

Kazano mi przemaszerować na zewnątrz, do niskich drewnianych sań, zarekwirowanych zapewne, wraz z ich właścicielem, Rusinem karpackim, lokalnie nazywanym 'bojko'. Był wyraźnie przerażony, i trzymając lejce dwóch małych górskich kucy, patrzył tępo przed siebie. Starszyna usiadł koło bojka, plecami do koni z naganem w rękach. Żołnierze przywiązali drugi koniec liny do sań i posadzili mnie twarzą w kierunku jazdy. Usiedli po moich obu stronach i rozpoczęła się nasza podróż. Posuwaliśmy się wzdłuż perci od Pikuja w stronę stacji granicznej w SIANKACH. Kiedy sanie zjeżdżały z góry, siedzieliśmy, a podczas podjeżdżania pod górę, musieliśmy, wraz z eskortą, zsiadać z sań. Bez rękawic było mi bardzo zimno w dłonie. Rosjanie nie mogli się powstrzymać przed dotykaniem moich oficerek i komentarzami na temat doskonałej jakości skóry.

Byłem w rękach nieprzyjaciół mojego kraju i wiedziałem, że będą się starali mnie zniszczyć. Tak czy owak, w głębi serca mocno wierzyłem w dobro sprawy mojego kraju i sens walki przeciwko siłom niemieckiego hitleryzmu i rosyjskiego bolszewizmu, które się tak chętnie i z pełnym oddaniem zespoliły. Znalazłem wielkie ukojenie w cichej modlitwie, oddając się w opiekę naszej Pani, Królowej Polski, Matce Bożej.

W SIANKACH zabrano mnie do niegdysiejszej poczekalni dworcowej. W środku było kilku NKWD-zistów w różnych stopniach i kilku cywilów postawionych wzdłuż ściany. Rozwiązali mi ręce i ustawili pod ścianą, kładąc przede mną mój plecak. Potem dostałem rozkaz: "Rozbierz się. Zdejmij wszystko".

Zdjąłem wszystko oprócz bielizny, ale jeden z ludzi NKWD zawołał: "WSIO, WSIO", to znaczy 'wszystko'. Zdjąłem więc i bieliznę i stałem tak nagi, za wyjątkiem srebrnego medalika na łańcuszku na szyi. Dostałem go od przyjaciela w Dublinach, w podziękowaniu za przysługę, którą kiedyś mu wyświadczyłem. Miał on pięknie wygrawerowanego białego orła, który z kolei miał na piersiach maleńki wizerunek Naszej Pani.

"Weź wszystkie swoje rzeczy i połóż je na stole".

Tak też zrobiłem.

"Odsuń się do tyłu".

Dwóch z nich obszukało mnie.

"Otwórz usta. Schyl się. Podnieś rękę. Podnieś nogę. Kucnij".

Potem jeden spytał: "Co tam masz na szyi?"

"To święty wizerunek. Jestem chrześcijaninem".

"Ty głupi Polaku. Nie ma Boga. Nikt go nawet nie widział".

Nie zabrał mi jednak medalika. Przyjrzeni się moim rzeczom na stole. Wzięli moją maszynkę do golenia, wycisnęli pastę do zębów na ziemię, pocięli moje mydło w drobne kawałki i wyrzucili moją pastę do butów. Moje serce zamarło, kiedy jeden z nich podniósł do góry poduszczkę z igłami, w którą Ewa zaszyła mój sygnet. "Co to jest?"

"To do naprawiania ubrań".

Próbował nacisnąć poduszczkę, lecz jedna z igieł najwyraźniej wbiła mu się w palec. Zaklął z wielką zawziętością i odrzucił poduszczkę. (Powiniennem wyjaśnić, że Rosjanie przeklinają z większą mocą i płynnością niż którakolwiek inna nacja, którą spotkałem. Wydaje mi się, że język ten charakteryzuje łatwość łączenia długich łańcuchów przekleństw bez konieczności ich powtarzania. Było to coś, do czego szybko się przyzwyczaiłem. Jednak za wyjątkiem miejsc, gdzie będzie to niezwykle ważne, nie będę przytaczał tych przekleństw dosłownie 'verbatim').

Jeden ze strażników przysłuchiwał się tykaniu mojego zegarka, a następnie ostrożnie i powoli, jakby rozkręcał bombę, rozkręcił moją fajkę Dunhilla. Ta sama procedura czekała moje pióro Watermana. W końcu, kiedy przeszukanie zakończyło się, oddano mi plecak, wraz z rzeczami, których nie wyrzucili. Pozwolili mi się ubrać i zabrali do pokoju z mocnymi kratami w oknach. Był on zapewne używano jako skarbiec przez pocztę polską, teraz jednak wszystkie meble wyniesiono. Wewnątrz znajdowali się inni więźniowie, a wśród nich, ku mojemu zdziwieniu, atrakcyjna kobieta, która siedziała na ziemi, obok ciemnowłosego, bladego mężczyzny. Pozostali byli ludźmi z okolicznych wsi.

Zadziwiająco, jak samopoczucie może się polepszyć po odkryciu, że nie jest się samemu w nieszczęściu. Zdałem sobie nagle sprawę, że jestem bardzo głodny i rzuciłem ogólne pytanie: "Czy dają wam tu cokolwiek do jedzenia?"

Człowiek o bladej twarzy powiedział: "Nie wiemy. Ja i żona przybyliśmy do Sianek z Węgier. Mieliśmy już dosyć życia w obozie dla internowanych i zdecydowaliśmy się wrócić do Warszawy; kiedy jednak dotarliśmy tutaj, straż graniczne zaaresztowały nas. Siedzimy tu od południa".

Zapukałem do drzwi na zewnątrz. Na straży było dwóch ludzi NKWD: "Czego chcesz?"

"Chcemy coś do jedzenia. A ludzie chcą iść do ubikacji".

Po chwili jeden ze strażników przyniósł ciężkie wiadro pełne wodnistej zupy, bochenek chleba i blaszany talerz. Powiedział: "Jedźcie po kolei". Poprosiliśmy o łyżkę,. Ale on odrzekł: "Nie mamy łyżek. Wypijcie ją".

Chleb został połamany na kawałki i rozdany, a my jeden po drugim napiliśmy się zupy z talerza. Potem stanąłem przed koniecznością udania się do toalety i poniżeniem załatwiania się pod okiem uzbrojonego strażnika. (Choć doświadczyłem tego setki razy podczas mojego uwięzienia, nigdy nie przestało mnie to ranić). Na szczęście jednak, ani ta hańba, ani twarda podłoga, na której leżałem przez całą noc, nie przeszkadzały mi spać jak kłoda.

Rankiem strażnik przyniósł nam wiadro ciepłej wody i jeszcze jeden chleb. Powiedział: "To wasze śniadanie - HAROSZYJ KIPATOK (dobry wrzątek) i chleb". (Okazuje się, że w całym Związku Sowieckim ludzie piją wrzątek, jako że stale tam brak herbaty). I znów jeden po drugim byliśmy odprowadzeni do ubikacji, gdzie ponownie w otwartych drzwiach stał uzbrojony strażnik.

Komendant NKWD, jeden z tych, który przeszukiwał mnie poprzedniej nocy, powiedział: "Ty - duży Polaku - weź swoje rzeczy i chodź ze mną". Podniosłem swój plecak i poszedłem za nim do biura zarządcy stacji. Powiedział: "Siadaj". Kiedy usiadłem, kontynuował: "Wierzymy ci. Jesteś wolny. Kiedy dotrzesz do Turki, zostaniesz wypuszczony. Potem możesz wrócić do Lwowa, starać się o paszport i pojechać do Francji. Ale musisz to robić PO ZAKONU (zgodnie z prawem)".

Brzmiało to tak dobrze, że nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Spytał: "Rozumiesz?"

"Tak, rozumiem".

"Widzisz, nie jesteśmy aż tak źli, jak wielu z twoich ludzi myśli. Wcale nie lubimy Niemców bardziej niż wy. Musimy was przed nimi chronić. To wasz rząd wciągnął was w te tarapaty. Było ciężko, a on nas zawiódł. Mam nadzieję, że będziesz nas dobrze wspominał i nie będziesz miał do nas pretensji. Jesteśmy takimi samymi żołnierzami jak ty. Czynimy tylko naszą powinność".

Powiedziałem: "Rozumiem". Ale jakoś to wszystko nie wydawało mi się prawdziwe. Wyprowadził mnie z biura do sań, które były zapewne zarekwirowane. Na tylnym siedzeniu siedziała tęga, czterdziestoletnia kobieta z dużą torbą na kolanach. Nie pasowała do tego otoczenia. Było tam również dwóch Rosjan ubranych po cywilnemu, gdyby nie ich niebieskie, NKWD-owskie bryczesy.

Usiadłem między kobietą i jednym z mężczyzn. Drugi siedział naprzeciwko mnie, obok woźnicy. Żartowali między sobą, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie wszystko jest w porządku. Poza tym, podczas całej trzygodzinnej podróży, kobieta trzymała prawą rękę pod swoją torbą. Byłem pewien, że trzyma rewolwer.

Turka jest małym górskim miasteczkiem, siedzibą okolicznego samorządu. Ma sąd i niewielkie więzienie składające się jedynie z dwóch lub trzech cel. Niebawem miałem się z jedną z nich zapoznać. Po wjeździe do miasta Rosjanin siedzący naprzeciwko mnie powiedział woźnicy, żeby skręcił w prawo i po kilkunastu metrach zatrzymaliśmy się przed zwyczajnie wyglądającym drewnianym domem. To nie wróżyło nic dobrego i nie bardzo wskazywało na moje "uwolnienie".

"Weź swoje rzeczy. Będiesz tu wypuszczony".

Kazali mi wmaszerować przez frontowe drzwi i wepchnęli do ciemnego korytarza. Jeszcze kilka popchnięć i byłem w intensywnie oświetlonym pokoju bez okien. Jedynym znajdującym się tam meblem był ustawiony pośrodku stół. Stał przed nim średniej budowy mężczyzna w mundurze NKWD, ze splecionymi do tyłu rękami. Rosjanie chwycili mnie za ręce z obu stron i związali z tyłu z taką siłą, iż myślałem, że połamią mi ramiona.

Spojrzałem na mężczyznę stojącego przede mną. Miał stopień majora i prezentował swoistą elegancję w porównaniu z innymi oficerami NKWD, których wcześniej spotkałem. Był bez czapki, z gęstymi, ciemnymi, falującymi włosami, uczesany starannie, z przedziałkiem z boku. Jego twarz, podobnie jak twarze większości przesłuchujących z NKWD, którzy pracują głównie nocą, była blada. Miał ciemne oczy, a jego wygląd zapowiadał inteligencję połączoną z lodowatym okrucieństwem. Przyglądał mi się w milczeniu. Nagle skoczył do przodu i otwartą dłonią uderzył mnie w oba policzki. Zrobił krok do tyłu i powtórzył atak. Krzyknął: "TY SKATINA (bestio)! Kłamiesz! Wiem o tobie wszystko! Jak masz naprawdę na nazwisko? Jak się nazywa twój angielski szef, który cię tu przysłał? Wiem, że człowiek, pod którego się podszywasz, zginął na wojnie. Jesteś angielskim szpiegiem. Chcę usłyszeć twoje zeznanie, tu i teraz".

Powiedziałem: "Nie ma co zeznawać. Wszystko, co powiedziałem waszemu kapitanowi, było prawdą.

Chwycił mój plecak z ziemi i wysypał zawartość na stół. Podniósł moją fajkę Dunhilla i dwoma rękami przytrzymał mi ją przed twarzą. "Gdzie to kupiłeś? W Londynie?"

2

“Nie. Nigdy nie byłem w Londynie. Została kupiona we Lwowie”.

Widziałem jak mięśnie na jego twarzy tężeją, a moja fajka przełamała się w pół. Powiedział: “I ciebie złamię w ten sposób”. Rzucił połamane kawałki na stół i wyjął mój scyzoryk. Zamasyście i z wściekłością odciął guziki z mojej kurtki, marynarki jeździeckiej i bryczesów. Kawalczki materiału poleciały na ziemię wraz z guzikami. Zabrał również mój pasek. Powiedział: “Zabierzcie go. Na teraz z nim skończyłem”. A do mnie dodał: “Spotkamy się jeszcze i będziesz mnie błagał, żebym wysłuchał twojej prawdziwej historii”.

Musieli mnie mieć za bardzo groźnego więźnia, gdyż do dwóch strażników NKWD dołączyło dwóch lokalnych milicjantów. Jednym z nich był Ukraińiec, którego nie znałem, natomiast w drugim rozpoznałem dorożkarza z Turki, maleńkiego mężczyznę na krzywych nogach, Żyda o imieniu Mosza. Karabin polskiej armii był większy od niego.

We czterech przemaszerowali ze mną przez rynek w Turce. Musiałem podtrzymywać spodnie rękami. Było to poniżające. Nie mogłem się powstrzymać przed powiedzeniem po polsku do dwóch milicjantów: “Uważajcie z tymi karabinami. Możecie spudłować i zastrzelić siebie przez pomyłkę”. Mosza udawał, że mnie nie zna.

Dotarliśmy do sądowego więzienia, zbudowanego z kamienia, z drewnianymi podłogami. Wsadzili mnie do dużej celi z zakratowanymi po obu stronach oknami. Jedno z nich wychodziło na podwórzec przed więzieniem i sądem. Cella pełna była ludzi, którzy - brudni, nieogoleni, w swoich pogniecionych ubraniach wyglądali jak z innej planety. Najgorszy był jednak zapach: mieszanina potu, moczu, odchodów i ów słodki, duszący odór, który pojawia się wraz ze stłoczeniem tłumu w zbyt małym pomieszczeniu. Stałem w drzwiach i starałem się ogarnąć sytuację. Były tam dwa żelazne łóżka, całkiem pozbawione pościeli, drewniany stół i dwa drewniane krzesła. Obok mnie znajdowało się blaszane wiadro pełne moczu. Jakiś głos powiedział: “Witamy w towarzystwie”. Należał on do małego mężczyzny w średnim wieku, o ciemnych, tłustych włosach i zmierzwionej czarnej brodzie. Na spiczastym nosie miał grube czarne okulary. Wszystko jednak łagodziły jego dobrotliwe, ciepłe, brązowe oczy. Powiedział: “Nazywam się CIBOR. Jestem księdzem”.

Jau

(2)

ewen.

(2a)?

1/102

Mówił z kulturalnym akcentem charakterystycznym dla centralnej Polski i zauważyłem, że w trakcie rozmowy ciągle się drapie. Widząc, gdzie koncentruje się moja uwaga, powiedział: "Drogi Panie, nie powinieneś czuć się obrażony, ale my tu wszyscy mamy pełno maleńkich weszek (to zwyczaj ludzi z centralnej Polski, żeby słowem "maleńki, mały" określać większość rzeczowników). "Nie są najsympatyczniejszymi istotami bożymi, ale zapewniam cię, że będziesz dla nich gospodarzem już za parę godzin i nie ma żadnego sposobu, abyś temu zapobiegł". Miał rację. Wszy przyszły i zostały na mnie przez cały pobyt w Związku Radzieckim.

Książd miał na imię Jan; zapoznał mnie z paroma innymi mieszkańcami celi. Siedzący na ławie około 20-letni mężczyzna, opierający się łokciami na stole, nazywał się Jan Gała. Mocno zbudowany, miał szerokie ramiona i długą silną szyję, inteligentną twarz o regularnych rysach, niewielki nos, wysokie czoło i krótkie jasne włosy. Mocno zaciśnięte usta nad kwadratową szczęką nadawały mu germański wygląd. Patrzył na mnie przymkniętymi oczami: było to ciekawe, acz niezbyt przyjazne spojrzenie. Obok niego, na ziemi, znajdował się delikatnie zbudowany mężczyzna z ciemnymi, falującymi włosami i delikatną strukturą kości charakterystyczną dla artysty. Nazywał się WACŁAW LEŚNIAWSKI. Ojciec Jan powiedział: "Obaj szukali pracy, ale zostali aresztowani za przebywanie zbyt blisko granicy". Wyjaśniłem, że ja zostałem złapany na granicy, próbując dostać się do Węgier. Stwierdzenie to zostało pominięte milczeniem.

Jeszcze innym lokatorem był niezwykle człowiek o nazwisku LEBEC. W kilka dni nauczył nas o życiu więziennym więcej, niż moglibyśmy wynieść z długiego kursu psychologii czy socjologii. Był Rusinem i jednocześnie upartym wojownikiem o nacjonalizm ukraiński. Z powodu swojego butnego temperamentu spędził nie lada czas w polskich więzieniach. Lebec był mały i żylasty, z krótko przyciętymi blond włosami. Chociaż wszystkie ubrania miał za duże, zdawały się one nie przeszkadzać jego szybkim ruchom. Polubiłem jego suchy, nerwowy sposób bycia i on także zdawał się mnie lubić.

Pokazał mi, jak zrobić ze sznurka pasek do spodni i guziki z gałązek do kurtki. Pamiętam jak mi kiedyś powiedział: "W więzieniu musisz zawsze wypatrywać narzędzi, które mogą się przydać".

Byłem głodny, ale wyjaśniono mi, że prócz porannej wody i chleba i wieczornej zupy nic więcej nie ma. Z radością powitałem mój pierwszy łyk ciepłej zupy, podanej, tak jak w Siankach, na blaszanym talerzu bez łyżki. Trzy czy cztery talerze musiały wystarczyć dla wszystkich dwudziestu więźniów w celi. Kiedy przyszła noc, większość z nas musiała spać na ziemi, ponieważ ci, którzy zjawili się tu pierwsi, zajęli łóżka i inne meble. To właśnie nocą zacząłem się drapać. Miałem wszy.

Bardzo wcześnie następnego ranka dwóch milicjantów w towarzystwie starszyny (NCO) zmusiło nas do wstania. Każdemu z nas dano 500 gram chleba i ciepłą wodę. Zjadłem cały mój chleb od razu, ale ojciec Jan, Jan Gała i pan Leśniański podzielili swój na porcje, pozostawiając około połowę na potem. Ja jednak przez cały pobyt w więzieniu trzymałem się mojej metody i większość więźniów w końcu zaczęła robić to samo. Są dwa główne powody do tego, aby zjeść swój chleb od razu: po pierwsze zrobienie tego oznacza, że choć na chwilę zaspokaja się głód, który w przeciwnym razie nieprzerwanie ci towarzyszy; po drugie pozostawienie nawet małego kawałka chleba zmusza więźnia do nieustannych myśli o jedzeniu. Istnieje też dodatkowa groźba: inni więźniowie - wiedząc, że ktoś ukrył chleb - mogą posunąć się do kradzieży i przemocy. Pamiętam jak kiedyś przyzwoity skądinąd rodak starał się nocą ukraść od współwięźnia chleb. Kiedy go powstrzymałem, odburknął: "Skoro nie je, widocznie go nie potrzebuje".

Zacząłem się modlić. Słowa Modlitwy Pańskiej, tak dobrze mi znane i często wypowiedane, cisnęły mi się na usta. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem prawdziwe znaczenie zwrotu: "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". To Bóg podtrzymuje nasze życie i ocala nas od głodu i śmierci głodowej. W całym Związku Radzieckim miliony ludzi modlą się o chleb i myślą o chlebie, gdyż właśnie za pomocą chleba i braku chleba rosyjska dominacja utrzymuje ludzi w niewoli.

Późnym przedpołudniem Lebec zdjął koszulę i zaczął szukać i zabijać wszy. Wszyscy z wyjątkiem ojca Jana poszli za jego przykładem. Lebec powiedział mu: "Jeśli nie będziesz tego robił dwa razy dziennie, to one cię zjedzą. Rób to sam, lub ja zrobię za ciebie. Nie możemy dopuścić, żeby się rozpanoszyły". Ojciec Jan dołączył do nas.

Mycie stanowiło problem. Milicjanci, którzy trzymali straż, dawali nam duże dzbany wody, starczała jednak tylko do picia. Lebec poprosił jednego z nich o wodę do mycia, ale strażnik odmówił i zatrzasnął drzwi. Lebec zaczął z wściekłością kopać w drzwi swoimi mocnymi butami narciarskimi. Odgłos był okropny i wkrótce pokazał się strażnik NKWD. "Kto tak hałasował?" Lebec powiedział: "Ja. Chcę trochę wody do mycia. Co z was za strażnicy, że trzymacie nas tu już trzy tygodnie bez mycia? Kiedy byłem w polskich więzieniach dawali mi czyste łóżko, pościel i co dzień musieliśmy się myć i golić. Dostawaliśmy nawet dobre jedzenie, wy nie dacie nam nawet dosyć wody do picia".

Rosjanin zdawał się być zakłopotany i powiedział: "dostaniecie wodę". Odwróciwszy się do milicjanta rozkazał: "Przynieście im wiadro wody".

To była kolejna lekcja, której nauczył nas Lebec: w więzieniu musisz walczyć nawet o podstawy egzystencji.

Kiedy zjawiała się woda, pokazał nam genialny sposób umycia się jednym kubkiem wody. Nabierał jak najwięcej wody w usta, a potem kropla po kropli wypuszczał ją na dłonie i pocierał nimi ciało nie marnując nawet kropli. Była to procedura, która również potem bardzo mi się przydawała.

Zadziwiające, jak szybko istoty ludzkie adaptują się do drastycznie zmienionych warunków. Przystaliśmy na stłoczone warunki w celi, a dzień mijał po dniu bez zmian, za wyjątkiem przybywania coraz to większej liczby więźniów. Jednym z nich był blady, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, którego wraz z żoną spotkałem w Siankach. Był to kapitan MACUTKIEWICZ; lekarz wojskowy, zawodowy oficer. Charakteryzował się niezwykle, pesymistyczną inteligencją. Miał głęboką wiedzę na temat Sowietów opartą na partii bolszewików i bolączkach tego systemu od czasów rewolucji. On, ojciec Jan i ja prowadziliśmy długie i ciekawe rozmowy.

Zima 1939 roku zadomowiła się już na dobre i była jedną z najgorszych, jakie kiedykolwiek odnotowano. Śnieg padał bez przerwy przez kilka dni i leżał na ulicach dochodząc nawet do metra głębokości. W naszej celi nie było ogrzewania z wyjątkiem ciepła naszych własnych ciał. Zazwyczaj po wieczornej porcji zupy staraliśmy się zasnąć na podłodze wtuleni jeden w drugiego, mocno jak tylko się dało, starając się odegnać zimno. Zawsze spaliśmy w pełni ubrani, ściągając jedynie buty. Ja używałem moich jako poduszki.

Pewnego razu późną nocą obudzono mnie kopnięciami w stopy. Strażnik NKWD stał nade mną: "Weź wszystkie swoje rzeczy. Bystrej, bystrej!" (szybciej, szybciej!)

Niczego nie miałem za wyjątkiem butów, które nałożyłem. Byłem gotowy. Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie czekali już strażnicy milicjanci. Kazali mi przemaszerować przez ulice pokryte śniegiem. Była to piękna, wyrazista, ostra noc. Doszliśmy do piętrowego budynku, przed którym stał na warcie strażnik NKWD. Podpisał jakiś papier, po czym zostałem oddany w jego ręce. Wskazując na kilka schodów do góry budynku, powiedział: "Ty, Polak, DAWAJ WPIERIOD".

Wszedłem na górę i zostałem wepchnięty do dobrze oświetlonego pokoju. Major, który kiedyś obiecywał mi kolejne spotkanie, siedział za biurkiem i coś pisał. Kazano mi usiąść naprzeciwko niego. Miał spuszczoną głowę, co dawało mi pełen obraz jego pieczołowicie ułożonej fryzury. Zauważyłem, że pisał moim piórem Watermana, a na ręku miał mój zegarek firmy Longines. Po prawej stronie biurka leżała gruba teczka z moim nazwiskiem.

Powoli podniósł głowę i spojrzał na mnie lodowato. Miał na sobie moją koszulę i krawat. Znów zaczął pisać i nagle popchnął pióro i papier w moją stronę i rozkazał: "Podpisz!" Odpowiedziałem: "Nic nie podpiszę!"

Uderzył z całej siły w grubą teczkę i powiedział: "Wiem o tobie wszystko. Mam tu każdy twój krok od przyjazdu z Anglii i znam nazwiska ludzi, którzy cię przysłali. Wrogowie Sowietów, tacy jak ty, powinni być zastrzeleni. Ale mamy litość nad młodymi ludźmi w twojej sytuacji. Jeśli powiesz nam o tym wszystko, ułaskawimy cię".

Powiedziałem: "Skoro wszystko o mnie wiecie i macie szczegóły w tej teczce, nie ma powodu mnie pytać. Ale mówię panu, że nie jestem szpiegiem. Jestem polskim żołnierzem, który próbował jedynie wykonać rozkaz i dostać się do Francji, aby walczyć z hitlerowskimi Niemcami. I chcę wiedzieć, dlaczego ma pan na sobie moje rzeczy?"

Uśmiechając się sarkastycznie powiedział: "Tam, gdzie teraz idziesz, nie będziesz niczego potrzebował. Ale dostaniesz kwit na swoje rzeczy. W Związku Radzieckim robimy wszystko PO ZAKONU (zgodnie z prawem)". Nigdy nie dostałem żadnego kwitu, ani też żadnych rzeczy. Dodał jeszcze: "Jesteś kłamcą. Marnujesz mój czas. Opowiedz mi swoją historię od początku".

Zegarek, fajka,
pióro - sioobistowne!

3

Zacząłem jeszcze raz, ale Major nie słuchał. Gapił się na mnie tylko. Zauważyłem, że za mną w rogu był jeszcze jeden przesłuchujący i wydawało się, że zapisuje on wszystko, co powiedziałem. Kiedy skończyłem, Major wziął mój długopis i powiedział: "Teraz zacznij jeszcze raz. Spiszę to wszystko na papierze".

Musiałem powtórzyć powoli. Kiedy pisał, a ja mówiłem, powtarzał: "Kłamca, kłamca." Musiało już zrobić się rano. Byłem bardzo zmęczony i w ciepłe pokoju wszy zrobiły się niezmiernie aktywne. Wydawało się, że wpijają mi się zębami do samego mózgu. Nagle Major rzucił pióro na stół i wrzasnął do drugiego przesłuchującego: "Mam go już dosyć. Zastrzelę go teraz".

Wyjmując naganę z pochwy, zaczął mnie przeklinać w sposób ohydny nawet dla Rosjanina. Drugi mężczyzna rzucił się naprzód i wyrwawszy mu pistolet, położył go na stole. Próbował uspokoić Majora i wyprowadził go z pokoju.

Zostałem sam na sam z pistoletem.

Jedyną, co dzieliło mnie od wolności, to kilka schodków i jeden strażnik.

Spojrzałem na rewolwer. Miałem dziwne wrażenie, że jestem pod obserwacją. Przechyliłem się naprzód i spojrzałem na pistolet. W magazynku nie było ani jednego naboju. To wszystko było grą. Siedziałem i czekałem.

W końcu wszedł jeszcze inny interrogator, podniósł rewolwer i ofiarował mi papierosa. Odmówiłem. Potem podsunął mi papier, który wcześniej kazał mi podpisać major. On również prosił, żebym napisał na nim swoje nazwisko, lecz ponownie odmówiłem. Przepraszył za zachowanie majora, który, jak twierdził, za dużo pracował. Oczywiście, dodał, świat pełen jest wrogów Sowieców i trzeba mieć się przed nimi nieustannie na baczności. I przed szpiegami. To był koniec mojego przesłuchania.

Wróciłem do więzienia w sam raz na poranny chleb i wodę. W ohydnej, śmierdzącej, przeludnionej celi poczułem się jak w domu.

3

12

Wraz z przybywaniem coraz większej liczby nowoaresztowanych, nasza cela stała się tak przepełniona, że trudno było znaleźć miejsce do spania na podłodze. Z drugiej strony ciepłota dodatkowych ciał pomagała radzić sobie z dokuczliwymi nocnymi mrozami.

Leśniański, Jan Gała i Ojciec Cibor – wszyscy poddawani byli przesłuchaniom, ale żaden z nas nigdy nie mówił o swoich doświadczeniach. Pewnej nocy Kapitan Macutkiewicz powrócił z jednej całonocnej sesji ze spuchniętą połową twarzy. Nigdy nie pytałem, ale domyślałem się, że to robota majora. Kapitan powiedział nam, że zanim został zabrany na przesłuchanie, widział żonę wolną na ulicach Turki. Widocznie NKWD wiedziało, że bez męża nie wyjedzie ona z miasta.

Życie w celi toczyło się według niezmiennego rytmu. Wielkim wydarzeniem była poranna dostawa PAJKI i KUPIATOKA. potem następowała przedpołudniowa sesja łap-i-zduś z wszami, potem podobna sesja po południu, następnie wieczorna zupa i w końcu noc i sen na ziemi. O dziwo, zawsze dobrze spałem. Śniły mi się ogrody pełne róż, kwitnące łąki i spokojnie pasące się na nich konie. Ani twarda podłoga, ani wszy nie mogły zniekształcić piękna tych wizji.

Pewnej listopadowej nocy zostałem obudzony kopniakiem: “Wstawajcie wszyscy! Wyjeżdżacie! BYSTREJ, BYSTREJ! (Szybko, szybko!)”. Zanim zdążyliśmy się porządnie przygotować, zostaliśmy zagnani na podwórze, gdzie po dwóch stronach stali uzbrojeni żołnierze. Potem kazano nam przemaszerować wyludnionymi ulicami w kierunku stacji kolejowej. Po ciepłej celi czyste zimne powietrze było ostre jak nóż. Czekał na nas pociąg. Załadowano nas do wagonów trzeciej klasy, po około dwunastu do jednego przedziału. We wszystkich drzwiach stali na straży uzbrojeni milicjanci. Siedziałem obok Lebeca. Spytał strażnika: “Dokąd nas zabieracie?” “Dowiecie się niedługo”. Faktycznie pokonywaliśmy część trasy, którą zrobiłem we wrześniu, tylko w przeciwnym kierunku. Po dwóch godzinach byliśmy w Samborze (prawidłowo powinno się mówić Sambor Nowy, w odróżnieniu od innego miasta zwanego Sambor Stary). Wpakowano nas jak śledzie w beczce do budy wojskowej ciężarówki z płóciennym dachem. Przejechała ona pustymi ulicami do więzienia w Samborze, dobrze zbudowanego, nowoczesnego budynku ze wszystkimi wygodami. Lebec powiedział mi, że już przed wojną to więzienie cieszyło się dobrą reputacją wśród braci więziennej.

1951

event.

Wyjaśnił, że było w nim najwięcej pojedynczych cel z żelaznymi łózkami, które na dzień składały się do ściany. Największa cela była przewidziana na sześć osób. Każda miała ubikację z metalową rączką do spuszczenia wody. Było też centralne ogrzewanie i dobrze wyposażony blok szpitalny. Piwnice podobne były do labiryntu i kryły w sobie wiele komórek. Znajdowały się tam również więzienne prysznicze.

Był to trzypiętrowy, konwencjonalnie zaplanowany budynek więzienny z celami rozmieszczonymi na półpiętrach dookoła centralnej "studni". Na poziomie każdej podłogi nad otwartą przestrzenią rozpięto stalowe siatki. Na ścianach, w korytarzach pomiędzy celami, znajdowały się kurki z wodą do picia, o którą można było poprosić strażnika. Bielizna pościelowa i bielizna osobista, wszystko pochodzące z przydziałów rządowych, były zmieniane zawsze po cotygodniowym prysznicu. Więźniowie mieli codziennie myć się i golić, a strzyżenie włosów odbywało się co dwa tygodnie.

NKWD miało jednak swoje własne, dosyć specyficzne porządki.

Wysoka główna brama zatrzasnęła się za ciężarówką, którą natychmiast otoczyli uzbrojeni strażnicy. Zostaliśmy szybko wyładowani i nakazano nam usiąść w śniegu, w rzędach po pięciu; następnie mieliśmy dziesiątkami przejść do recepcji, rozebrać się do naga i stanąć przed naszymi rzeczami. Lebec stał obok mnie. Dwóch strażników NKWD, zwanych CZASOWOJAMI, przeprowadzało przeszukanie. Jeden przeglądał nasze ubrania, podczas kiedy drugi przeprowadzał inspekcję naszych ciał. Oglądał je centymetr po centymetrze, zaglądając nam do ust, oglądając dłonie, każąc nam podnieść ręce i nogi oraz kucać. Lebec wyszeptał: "Zdejmij medalik i trzymaj go w ręku". Kiedy jego przeszukanie skończyło się, a moje miało się właśnie zacząć, przekazałem mu więc dla bezpieczeństwa medalik. Nie wiedziałem, że w więzieniu przeszukiwanie jest na porządku dziennym.

Ubraliśmy się i zostaliśmy zaprowadzeni przez czasowoję do głównego bloku przez prowadzącą doń żelazną bramę. Nie wolno nam założyć butów, więc nieśliśmy je w ręku. Wtedy zauważyliśmy, że czasowyj ~~edy~~ nie porozumiewa się ze swoim współpracownikiem mową. Zamiast tego wydaje dźwięk świszcząc przez zaciśnięte zęby i poruszając wargami, który brzmi "Pssst... Pssst." Szliśmy właśnie w kierunku schodów, kiedy zobaczyliśmy innego strażnika NKWD, który prowadził więźnia. Zatrzymano nas czym prędzej i nakazano przystawić nosy do ściany, kiedy tamci przechodzili. To standardowa procedura we wszystkich sowieckich więzieniach.

CZASOWOJAMI
??

He

Na drugim piętrze zamknięto naszą dziesiątkę w celi przeznaczonej dla jednej osoby. Cella mierzyła 3 na 2 metry i była całkiem pusta, za wyjątkiem ubikacji i ramy od łóżka złożonej do ściany. Kiedy leżeliśmy w dziesięciu na ziemi, byliśmy tak ciasno stłoczeni, że nie sposób było się przekreślić na drugi bok niezależnie od innych. Musieliśmy przekreślać się wszyscy razem na komendę: "Wszyscy w lewo... zwrot!". Podobnie jak w Turcji, tłok dawał nam nieco ciepła, potrzebnego, gdyż nigdy nie włączano centralnego ogrzewania.

W masywnych, drewnianych drzwiach znajdował się maleńki otwór do podglądania, który nazywaliśmy Judaszem. Co pewien czas za szybką można było dostrzec czyjeś oko.

Kiedy leżeliśmy pierwszej nocy, nie mogłem zasnąć, gdyż z więziennego podwórza dochodził bez przerwy hałas pracującego silnika traktora. Nie był on używany do wytwarzania prądu, gdyż Sambor posiadał swoją własną elektrownię. Miał natomiast maskować odgłosy działalności NKWD i pozbawić więźniów snu, żeby osłabić ich wytrzymałość podczas przesłuchania. Podczas kolejnych nocy traktor nie zawsze był w stanie zagłuszyć więzienne potworności. Pamiętam jak wiele razy leżałem nie mogąc zasnąć, słysząc niezwykłe odgłosy ludzkiego cierpienia, przerywane niekiedy strzałami. W ciągu dnia traktor był zawsze cicho, a więzienie odpoczywało. To kolejna ilustracja faktu, że NKWD zawsze pracuje nocą.

Codzienna rutyna ustaliła się bardzo szybko. Wczesnie rano dawało się zawsze słyszeć pukanie do drzwi i odgłos ciągnięcia wielkiego gara kipiataka wzdłuż korytarza. Czasowo otwierał wtedy drzwi i POWAR (kucharz), który także pracował w mundurze NKWD, pytał: "Ilu was jest?"

"Dziesięciu".

"Stańcie w kolejce i podchodźcie pojedynczo".

Każdy z nas dostawał wówczas swoją porcję pajki i chochlę pełną brązowej wody. Dano nam pełen wybór naczyń do picia, od blaszanych talerzy po drewniane miski. Każda pajda pajki miała doczepiony maleńki kawałek chleba przy pomocy drewnianej drzazgi, żeby dorównać do wagi 500 gram. Potem, o 7 rano, drzwi do celi otwierały się ponownie, a czasowo liczył więźniów. Liczony był skład każdej celi. Nazywało się to PROWIERKA i odbywało się co 12 godzin tuż przed zmianą warty czasowojow.

Podczas prowierki wszyscy, nawet bardzo ciężko chorzy, musieli stać bardzo cicho. Teoretycznie była to nasza jedyna szansa komunikacji z więzienną administracją. Poza tym drzwi otwierano jedynie po to, aby dać nam wodę i jedzenie. Z milczenia strażnika wydedukowaliśmy, że nie wolno im z nami rozmawiać.

Wielu czasowojow rekrutowało się z lokalnej ukraińskiej i żydowskiej ludności. W obu przypadkach był to dla mnie szok. Miałem bowiem wśród obu społeczności wielu przyjaciół, którzy byli prawdziwymi i lojalnymi Polakami. Nie wiedziałem, dlaczego Ukraińcy mieliby służyć i pomagać sowieckiej Rosji. Przecież wiadomo było, że w latach trzydziestych Stalin rękami swojego wykonawcy Chruszczowa skazał na śmierć dziesięć milionów ukraińskich chłopów przez sztucznie wywołaną kłeskę nieurodzaju. Potem zlikwidował praktycznie całą inteligencję z głównych miast Ukrainy.

Z polskimi Żydami było nieco inaczej. Większość była dobrze wykształcona, zamożna i w wielu przypadkach patriotyczna. Ale była również część całkowicie oddana ideologii marksistowskiej i spośród niej rekrutowało się wielu działaczy Polskiej Partii Komunistycznej. Moim zdaniem duże wrażenie wywoływał wśród nich fakt, że znaczna ilość przodujących komunistów rosyjskich była żydowskiego pochodzenia. Na przykład Beria, człowiek stojący na czele NKWD, który pochodził z rodziny gruzińskich Żydów, wyselekcjonował na swoich giermków wielu psychopatów i ludzi bez skrupułów z podobnego, co on środowiska. Jestem mocno przekonany, że to powszechnie znana inteligencja Żydów i ich umiejętności organizatorskie stworzyły z NKWD tak efektywną machinę, jaką jest dzisiaj. Nie istnieje żaden aspekt życia w Rosji, którego by ona nie kontrolowała, nadzorowała albo którym by nie zarządzała. Wszystko, począwszy od najmniejszej kopalni, a skończywszy na programach kosmicznych, znajduje się pod władaniem NKWD. Daje ono sobie radę z tym ogromnym zadaniem częściowo z powodu swej wydajności, a częściowo - ponieważ ma do dyspozycji nieograniczoną liczbę niewolników.

Dzień w celi był powolną torturą, zarówno fizyczną jak i umysłową. Byliśmy skazani na brak miejsca, zimno, głód, wszy, własny brud i niepewność własnego losu. Tak czy owak, staraliśmy się, aby nasza egzystencja była choć trochę znośna. Za dnia spuszczaaliśmy ze ściany żelazny stelaż od łóżka tworząc miejsce do siedzenia. Obszar pomiędzy ubikacją a oknem pozostawialiśmy wolny na gimnastykę. Miał on 2,5 kroku szerokości i na zmianę chodziliśmy po nim w tył i w przód dokładnie po 100 kroków każdy. Z niezwykłą pieczołowitością liczyliśmy je sobie nawzajem.

Lebec i ja braliśmy wodę do mycia ze spłuczki ubikacji, a Lebec odkrył jeszcze jedną możliwość wykorzystania tego przyrządu, o której nikt zapewne nie myślał. Przepchnął wodę w toalecie przez kolanko a potem pukał miarowo w rurę ściekową. Przyciągało to uwagę więźniów poniżej, a Lebec mógł się z nimi porozumiewać wkładając głowę do muszli klozetowej i przykrywając ją swoim płaszczem. Pukając w ściany, byliśmy w stanie kontaktować się z celami po bokach. Z naszych domysłów wynikało, że wszystkie cele były równie zatłoczone, co nasza. W Samborze były już zapewne tysiące więźniów.

Zasadniczo czasowoje, którzy rekrutowali się z lokalnej ludności, traktowali nas gorzej niż Rosjanie. Szczególnie nieprzyjemny był wysoki, mocno zbudowany Ukrainiec o ciemnych włosach i ziemistej cerze. Jego broda wydawała się być prawie czarna. Nazywałem go Czarny Iwan.

Zawsze się spóźniał z poranną pajką, a jego kipiatak był letni albo zimny. Kiedy przynosił nam wodę do picia, pytał: "Dlaczego nie pijecie z ubikacji?"

Pewnego ranka rozebrałem się do pasa, żeby umyć się wodą ze spłuczki. Szorując twarz zamknąłem oczy. Czarny Iwan obserwował mnie najwidoczniej przez judasza. Cichutko otworzył drzwi, pociągnął mnie za medalik na szyi, zrywając srebrny łańcuszek i wyskoczył za drzwi, zatrzasnął je za sobą. Rzuciłem się za nim i zacząłem walić pięściami w drzwi i krzyżeć: "Ty złodzieju! Oddawaj mi mój medalik!".

W ciszy więziennej hałas dotarł zapewne do każdego zakamarka. Usłyszałem odgłosy wielu par stóp, ale w swej furii rzucałem się ciągle do drzwi. Jakiś głos spytał: "Dlaczego tak hałasujesz?"

"Chcę z powrotem mój medalik. Czasowej mi go ukradł".

Drzwi się otworzyły. Rosjanin, który liczył nas podczas porannej prowierki, stanął przede mną. Inni NKWD-owcy stali po bokach. Czarny Iwan trzymał się z tyłu. (Muszę dodać, że czasowoje nigdy nie mają przy sobie żadnej broni na terenie więzienia). Powiedziałem: "Ukradł mi mój święty medalik".

Starszy Rosjanin zwrócił się do Czarnego Iwana i spytał: "Zrobiłeś tak rzeczywiście?"

"Owszem. Wrzuciłem go do ubikacji".

Wrzasnąłem: "Jesteś łgarzem. Ukradłeś go".

4

Rosjanin powiedział: "Skończ z tymi wrzaskami, albo policzę się z tobą inaczej. Dobrze zrobił. Nie ma Boga i nie może ci on pomóc. Tu, w Sowietach, nie mamy świętych medalików".

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Miałem złamane serce.

Po tym incydencie Czarny Iwan zamienił się obowiązkami z innym Ukraińcem i nie pracował już na naszym poziomie. Nie mogłem jednak zapomnieć tego, co się stało. W nienaturalnych warunkach więziennych moja niechęć do Czarnego Iwana przerodziła się w prawie że obsesyjną chęć zemsty.

Jeszcze co do obchodzenia się NKWD z więźniami (dotyczy to również "wychowawczych obozów koncentracyjnych" znanych jako ^{АДМІНІСТРАЦІЯ} ІСПРВИТЕНЕЖЕ ТРУДОВИЈЕ ЛАГІЕРА) - nie istnieje nic takiego jak lista dokładnego rozmieszczenia więźniów na terenie więzienia. NKWD stara się unikać przenoszenia więźniów z jednej celi do drugiej, starając się trzymać każdą grupkę w izolacji od innych. Istnieje prosty sposób znalezienia każdego, którego szukają. Czasowoje przechodzą z celi do celi krzyżąc: "Czy jest tu ktoś na literę Z?" Jeżeli twoje nazwisko rozpoczyna się na wykrzykiwaną literę, masz obowiązek się odezwać. Strażnicy, po odnalezieniu osoby, której potrzebują, sprawdzają jej tożsamość pytając o imię i imię ojca. Tym sposobem tylko mężczyźni z tej samej celi, co szukany więzień, wiedzą, kogo straż chce widzieć.

System ten zależy oczywiście od dobrej woli więźnia, który musi odpowiedzieć na pierwsze pytanie dotyczące inicjałów jego nazwiska. Można by sądzić, że nic łatwiejszego niż nie przyznać się do swego nazwiska, w obawie przed bolesnym przesłuchaniem lub czymś jeszcze gorszym. Błąd. Ten system jest praktyczny, gdyż opiera się na pragnieniu każdego więźnia, aby przerwać okropną rutynę, na pragnieniu zmiany, postępu. Tak więc każdy zgłaszał swoje nazwisko. Powinienem dodać, że spotkałem w niektórych tak zwanych 'obozach ^{przejściowych} tranzytowych' (ETAPNAJA TIURMA) ludzi, którzy nie odpowiadali nigdy na pytanie strażnika i którzy w rezultacie siedzieli w więzieniu dłużej, niż ich pełen wyrok. Byli oni psychicznie nie zrównoważeni. Do dziś dnia nie znam ich ostatecznego losu.

W środku którejś z okropnie zimnych nocy, leżałem nie mogąc spać z powodu hałasu traktora. Drzwi celi otworzyły się i Czasowoj spytał: "Ktoś na literę Ł"?

Odpowiedziałem: "Łopuszański".

"Weź swoje rzeczy i chodź ze mną".

Założyłem oficerki i poszedłem za nim wzdłuż korytarza i na dół po schodach do piwnicy. Był to jakby długi tunel z niskim sufitem i ciągiem drzwi wzdłuż ścian. Światło było przydymione, ale widziałem, iż podłoga zrobiona była z dużych, kamiennych kostek, a niektóre drzwi ze stali. Chaszuwiej otworzył trzecie stalowe drzwi po prawej stronie i powiedział: "Właź do środka". Były to ostatnie słowa, jakie słyszałem przez następnych kilka dni.

Cela była całkiem pusta i mierzyła około 3 na 2 metry. Świeciła się słaba żarówka, okolona żelazną kratą w suficie. Na przeciwko drzwi, wysoko na ścianie, znajdował się niewielki, prostokątny otwór z mocnymi kratami. Był to rodzaj szybu i prowadził on zapewne do podobnej wielkości okna na zewnątrz tuż nad poziomem ziemi, nie wpuszczał jednak światła do środka i wywnioskowałem, że okienko jest pokryte śniegiem.

W celi śmierdziało. Zarówno ściany jak i podłoga były mokre od wilgoci, a traktor hałasował tak, jakby był ze mną w pomieszczeniu. Kąt przy drzwiach używany był jako ubikacja. Oczyszcilem sobie więc przeciwległy kąt i uczyniłem z niego miejsce do odpoczynku.

Narzuciłem sobie surową dyscyplinę psychiczną. W pamięci wspomniałem moje ulubione przedmioty z Akademii w Dublinach. Staralem sobie przypomnieć wiersze, których uczyłem się w szkole. Modliłem się. Jedynym sposobem na określenie godziny, był hałas z traktora. Pożywienie przynoszono mi w milczeniu i w nieregularnych odstępach. Czasem, kiedy oczekiwałem porannego chleba i wody, dostawałem zupe.

Moje całe jestestwo przeszło wielką przemianę, jednak bynajmniej nie w sposób w jaki oczekiwali tego moi NKWD-owscy oprawcy. Nie chcę tu wprowadzać mistyki, ani przypisywać sobie nadnaturalnych mocy, ale to, co się wydarzyło jest częścią mojej historii i gwoli prawdzie, muszę o tym opowiedzieć. Byłem w celi już kilka dni i chodziłem wzdłuż ścian, powtarzając sobie budowę anatomiczną zwierząt. Chodzenie było już automatyczne - pomagało mi utrzymać ciepło. Muszę dodać, że byłem w pełni świadomy. Trzy kroki do drzwi, obrót, trzy kroki w tył, obrót. Odwróciłem się w kierunku drzwi, a tam stał mój ojciec, uśmiechając się do mnie. Stałem jak wryty. Ojciec powiedział: "Jacku, zniesiesz wszystko i nic cię nie złamie". Zniknął. Zostałem sam, wpatrzony w stalowe drzwi.

Zstąpił na mnie niesłychany spokój i poczułem wewnętrzną siłę, której nie potrafię w żaden sposób opisać słowami.

(5)

Czas mijał bez żadnych zmian. Pewnej nocy (zakładam, że to była noc, gdyż silnik traktora chodził już dość długo), mocno zbudowany integrator sledowatiel NKWD, wszedł do celi. Powiedział: "Zdejmij płaszcz i kurtkę i chodź ze mną".

Wszedłem z nim po schodach do pokoju przesłuchań. Po prawie całkowitych piwnicznych ciemnościach, jaskrawość elektrycznego światła prawie mnie oślepiła. Obok biurka stał jeszcze jeden sledowatiel, za biurkiem siedział major, ten który przesłuchiwał mnie w Turce. Był przechylony do przodu i patrzył na mnie z półuśmiechem: "Spójrz na siebie. Jesteś brudny. Śmierdzisz. Taka jest ta wasza polska kultura? Nie możesz nawet wokół siebie utrzymać czystości, choć masz cały czas do swojej dyspozycji. Gnijesz żywcem".

Na tle majora i sledowatiela wyglądałem pewnie jeszcze gorzej. Obaj nienagannie czysti i gładko ogoleni, wyglądali, jakby dopiero wyszli od fryzjera. Paznokcie mieli wymanikiowane i - w sposób typowy dla wszystkich Rosjan - spryskali się zbyt dużą ilością wody kolońskiej. To uchybie jest prawdopodobnie bardziej zrozumiałe wśród NKWD-owców, którzy mają do czynienia z więźniami, umyślnie trzymany w plugastwie. Major powiedział: "Daj mu krzesło - wygląda na zmęczonego".

Posadzili mnie na samym brzegu krzesła tak, że praktycznie cały ciężar mojego ciała spoczywał na zgiętych nogach. Dłonie położono mi na udach. Nie wolno mi było dotknąć plecami oparcia, a sledowatiel stał za mną. Major powiedział: "Czy jesteś gotów wyznać prawdę i podać nazwiska swoich angielskich szefów? Mam w tej teczce wszelkie detale, chcę jednak, żebyś to wszystko opowiedział: nazwiska osób, z którymi miałeś się skontaktować i nazwisko mężczyzny, z którym miałeś się spotkać w górach. Ten człowiek jest w naszych rękach. Powiedział nam, że czekał na twój powrót z Anglii".

Odpowiedziałem: "Powiedziałem wam wszystko. Nie jestem angielskim szpiegiem. Jestem polskim żołnierzem i złapaliście mnie w drodze do Francji, gdzie chciałem dołączyć do wojska polskiego. Jeżeli macie człowieka, z którym miałem się rzekomo spotkać, przyprowadźcie go tu, a powie wam, że nigdy mnie nie widział, ani o mnie nie słyszał. Macie moje nazwisko i możecie mnie łatwo sprawdzić w Akademii w Dublinach".

Było mi coraz niewygodniej na krawędzi krzesła. Chciałem się poprawić, ale natychmiast dostałem cios w kark i rzucono mi rozkaz: "Przesuń się do przodu. Siedź prosto".

Major wstał i ^zszeknął: "Ty zawszony psie. Ty skurwysynu". Wyszedł.

Jego miejsce zajął potężny Rosjanin, który przyprowadził mnie z celi. Od nowa rozpoczęło się przesłuchanie. Nazwisko? Imię? Imię ojca? Rok urodzenia? Miejsce urodzenia? Te pytania zadawano mi w kółko, a towarzyszyły im uderzenia w kark i rozkazy: "Trzymaj prosto plecy. Nogi razem. Nie ruszać rąk". Zdawało mi się, że to się nigdy nie skończy.

Mój kręgosłup miażdżył się pod ciężarem ciała. Mięśnie szyi, nóg i ramion były jakby przesywane tysiącem noży. Coraz trudniej było mi odpowiadać na proste pytania. Mój pęcherz był pełen i obolały. Moich dwóch oprawców wymieniono na innych, ale procedurę kontynuowano bez najmniejszej pauzy. Ból stał się nie do zniesienia. Upadłem na ziemię, tylko po to, żeby dosięgły mnie kopniaki i żeby kazano mi znowu wstać. Posadzono mnie dokładnie w tej samej pozycji, a przesłuchanie rozpoczęło się od początku. Pytania były coraz trudniejsze. Integratorzy szydzili ze mnie. Straciłem przytomność, oblano mi twarz szklanką wody i kazano odmaszerować z powrotem do mojej piwnicznej celi. Hałas traktora ustał - czyli nastał już dzień. Położyłem się w czystym kącie celi ku uldze mojego pokiereszowanego kręgosłupa i szybko zasnąłem. Chwilę potem obudziły mnie kopniaki i pytania: "Nazwisko? Imię ojca?" i tak dalej. Odpowiedziałem prawidłowo i pozwolono mi spać.

6

Mijały dni i noce , a ja trwałem w całkowitej izolacji. Drzwi do celi uchylano zaledwie na kilkanaście centymetrów – akurat tyle, żeby zmieściła się miska z jedzeniem. Nigdy nie dano mi nawet spojrzeć na twarz strażnika. Pewnej nocy jednak jeden z miejscowo rekrutowanych strażników, Ukrainiec, otworzył szeroko drzwi, wszedł do środka i podał mi zupę. W tym człowieku widać zostało jeszcze nieco prawości. Powiedział: "Jedz. To twoja wieczerza wigilijna". W ten sposób dowiedziałem się, że jest Boże Narodzenie 1939 roku.

Tych parę słów, wypowiedzianych do mnie po wielu dniach samotności, uzmysłowiło mi, że zaszły ogromne zmiany. Mój kraj, moi rodacy i ja zostaliśmy pozbawieni wolności. Nie dość tego. Nasi wrogowie rozpoczęli całkowitą zagładę naszego sposobu życia, tradycji i kultury. Szli do celu najkrótszą drogą.

Parę dni po Bożym Narodzeniu przeniesiono mnie do większej celi na pierwszym piętrze. Nadal byłem sam, ale była to zmiana na lepsze: mogłem się umyć wodą z ubikacji i położyć na drewnianej ławce.

Następną noc do celi doszło trzech nowych więźniów. Wyglądało, że pozbawieni są wolności od niedawna. Wszyscy ciepło ubrani, na głowach mieli czapki narciarskie i grube boty, trzymali plecaki. Leżałem na jednym końcu ławki, a oni zbili się w kupkę na drugim końcu i zaczęli szeptać między sobą. Najmocniej zbudowany spytał mnie, kim jestem. Odpowiedziałem: "Nie zwracajcie na mnie uwagi. Zgodnie z tym, co mówią Rosjanie, jestem angielskim szpiegiem". Stwierdzenie to wyraźnie ich zaskoczyło i nie próbowali więcej wszczynać ze mną jakiegokolwiek rozmowy.

Kiedy następnego ranka przyszła woda i chleb, utwierdziłem się w przekonaniu, że są nowi w więzieniu NKWD; próbowali bowiem tak podzielić chleb, żeby wystarczył im na cały dzień. Podczas prowierki mężczyzna, który poprzedniej nocy mnie zagadnął, odezwał się do czasowoją: "Towarzyszu komendancie. Przybyliśmy do Związku Sowieców, żeby znaleźć schronienie i uciec przed prześladowaniem i terrorem, który władza okupowaną przez Niemców Polską. Przyszliśmy jako przyjaciele. Przyszliśmy, żeby pracować, a wy zamknęliście nas razem ze szpiegiem".

Rosjanin spojrzął na nich chłodno i powiedział: "Po pierwsze nie jestem towarzyszem. Dla was jestem GRAŻDANIN (obywatel). Macie do mnie mówić "Obywatelu komendancie". A ponieważ przyszliście zza granicy, wszyscy możecie być niemieckimi szpiegami. Wyślemy wasze akta do Moskwy i już oni zadecydują, co z wami zrobić".

Najwyraźniej zaczęli lepiej o mnie myśleć, gdyż wydawali się być mniej przestraszeni i rozmawiali ze mną. Dwóch z nich było zamożnymi polskimi przemysłowcami polskiego pochodzenia z Łodzi znanej jako polski MANCHESTER, z powodu rozwijającego się tam przemysłu włókienniczego. Trzeci mężczyzna, niski i bardzo nerwowy, był niemieckim Żydem, który uciekł z Niemiec, szukając azylu w Rosji Sowieckiej. Wszyscy trzej nielegalnie przekroczyli nową sowiecko-niemiecką granicę w pobliżu PRZEMYŚLA. Wyjaśnili, że zapłacili ukraińskiemu przewodnikowi za przeprawę przez San, a on doprowadził ich prosto w ręce ZASTAWY (straży granicznej). Stało się to zaledwie dwa dni temu.

Potem do naszej celi doszli czterej młodzi Czechosłowacy, którzy świeżo ukończyli inżynierię cywilną na Uniwersytecie w Pradze. Rektor uniwersytetu powiedział im, że powinni natychmiast pojechać do Związku Radzieckiego. Wzięli więc swoje żony i dziewczyny i po przekroczeniu Karpat zostali natychmiast zaaresztowani. Nie pozbawiło ich to jednak wielkich planów – nadal byli bardzo prorosyjscy. Obnosili się z silnymi komunistycznymi przekonaniami podobnie, jak wielu ich współobywateli w owych czasach. (porozumienie z Monachium i inwazja niemiecka na Czechosłowację jeszcze tylko wzmocniła te przekonania). Byli w moim wieku i po początkowym okresie nieufności, zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Trudności życia więziennego wyrównały różnice między nami. Odkryłem, że dosyć lubię jednego z nich, wysokiego, przystojnego blondyna, świeżo po ślubie. Miał na imię ANDREJ.

Wszyscy przywieźli do Polski dyplomy i masę rysunków technicznych na dowód swych zdolności inżynierskich; zamiast jednak zagwarantować im wygodną przyszłość w Rosji Sowieckiej przyczyniło się to do ich klęski. Oskarżono ich, że są na misji szpiegowskiej i musieli znosić kolejne przesłuchania.

Codzień coraz to nowi więźniowie dochodzili do naszej celi. Jednym z nich był pan EKERT, znany członek polskiego Sejmu, człowiek wielkiej kultury, o dużym uroku osobistym i nienagannym charakterze. Przybył z PRZEMYŚLA, gdzie z powodu jego niemiecko brzmiącego nazwiska, zainteresowała się nim niemiecka administracja okupacyjna. Niemcy starali się pozyskać jego współpracę w zamian za jakieś korzyści finansowe. Zaproponowali mu podpisanie listy VOLKDEUTSCHÓW, co by oznaczało, że jest Niemcem z pochodzenia. Odmówił jednak i zdecydował się przedostać do Polski okupowanej przez Sowietów. Rosjanie czym prędzej go zaaresztowali i przywieźli do Samboru.

Innym nowo przybyłym był pan TENCZYN, pracownik banku z Gdyni. Był wysokim mężczyzną o przyjaznej, ogorzałej twarzy i w wieku prawie emerytalnym. Miał wspaniałe poczucie humoru. Podobnie jak inni pracownicy banku, został ewakuowany do wschodniej Polski z powodu wojny. Jak wielu Polaków z zachodnich stron wiedział wiele o brutalności nazistów, więc zdecydował się przejść na tereny okupowane przez Sowieców, gdyż teoretycznie nadal obowiązywał nas pakt z Rosjanami o nieagresji. Pan Tenczyn i grupka innych została aresztowana przez Rosjan wkrótce po przekroczeniu Sanu. Opowiedział nam o pierwszym przesłuchaniu. Kiedy go zapytano o zawód, odpowiedział: "Całe życie byłem pracownikiem w banku". Prowadzący śledowateł powiedział do żołnierza robiącego notatki: "zapisz: bankier". W grupce była również dziewczyna, starająca się przedostać do Lwowa, gdzie mieszkali jej rodzice. Kiedy powiedziała śledowatełowi, że jest manikiurzystką, nakazał "Zapisz: dziwka. Kiedy przeczytają o tym w Moskwie będą wiedzieli, co z tym zrobić".

Opowieść ta wydała nam się zabawna, ale dla pana Tenczyna oznaczała ona – w cztery miesiące potem – dziesięcioletni wyrok w poprawczym obozie koncentracyjnym, za bycie 'kapitalistą'. Stało się jasne, że NKWD miało dyrektywę, żeby zatrzymać, oskarżyć i skazać każdego, kto dostał się w ich ręce. Bez wyjątku.

W celi robiło się coraz tłoczniej. Znalazło się tu kilku miejscowych rolników, których aresztowano za to, że nie zapłacili świeżo narzuconego podatku od surowców naturalnych. Ten rodzaj opodatkowania był dla nas całkiem nowy. Rosjanie wymagali określonej części mięsa i zboża z każdego gospodarstwa, nawet jeśli rolnicy hodowali tylko jedno zwierzę. Zaowocowało to powszechnym ubożem żywego inwentarza - wieśniacy woleli zabić i zjeść własne zwierzęta, niż pozwolić, aby dostały się w ręce Rosjan. Jeden z rolników powiedział, że przez całe swoje życie nie pamiętał, żeby ludzie z jego wsi jedli tyle mięsa. "Ale co będzie na wiosnę?" zapytał. "Skąd weźmiemy mleko?" To była część sowieckiej polityki: zrujnować małe, prywatne gospodarstwa i zasymilować je w ogromne kolektywy, zarządzane przez państwo.

Pewnego dnia doszły do nas niezwykle ważne wieści. Rosjanie przeprowadzali masowe deportacje ludności Lwowa. Jednostki NKWD zamykały w środku nocy całe ulice i dawały ludziom piętnaście minut na spakowanie tego, co zdołają. Wszystkich, łącznie z noworodkami, chorymi, starymi i umierającymi, zaganiano do ciężarówek wojskowych i zawożono na dworzec. Ładowano ich do wagonów bydłowych i wywożono w głąb Rosji, Nazywało się to "dobrowolne przesiedlenie".

Odbывwały się również masowe aresztowania ludzi niegdyś zatrudnionych w służbie cywilnej, lokalnym rządzie, policji, na poczcie itd. Nie pominięto żadnego sektora. Cała Małopolska żyła w strachu i niepewności o to, co miało się dalej wydarzyć.

W tym samym czasie, Rosjanie zaopatrywali Niemców pociągami pełnymi materiałów wojennych. Było tam zboże, ropa ze złóż w BORYSŁAWIE i DROHOBYCZU oraz żywy inwentarz. Tory kolejowe przebiegały obok więzienia w Samborze, toteż słyszeliśmy w dzień i w nocy załadowane pociągi jadące w kierunku terenów okupowanych przez Niemców. Świeżo przybyli do naszej celi tłumaczyli nam, co owe pociągi przewożą. Powiedzieli, że nieraz widzieli w Samborze oficerów niemieckich handlujących z Rosjanami. Mimo że NKWD nie pozwalało na przedostanie się do więzienia żadnych gazet ani ulotek, ale dzięki nowoprzybyłym byliśmy na bieżąco z działaniami wojennymi. Wieści dochodziły dobijające. Przyjaźń niemiecko-sowiecka najwyraźniej kwitła, a nasi alianci stali nieruchomo za linią Maginota. Było oczywiste, że następny krok należy do Niemców, cieszących się serdecznym wsparciem swoich aliantów, a naszych pogromców, Rosjan.

Po długim okresie spędzonym w brudzie i odosobnieniu, i po straszliwym przesłuchaniu, cieszyłem się życiem w przepelnionej celi. Staralem się być zawsze zajęty i pamiętając ~~lekcje Lebeca~~ o przydatności różnych narzędzi, wyciągnąłem gwóźdź z drewnianej ławki. Zacząłem nim wydrapywać małą dziurę w drzwiach, najwyraźniej rozpoczętą przez mojego poprzednika w celi. W końcu udało mi się przewiercić na drugą stronę i uzyskałem tym sposobem niewielkie okienko na korytarz, a tym samym na dokonujące się tam czynności.

Kiedy nie wyglądaliśmy na zewnątrz, zatykaliśmy dziurę korkiem zrobionym z okruchów chleba. Poświęciliśmy też trochę chleba, żeby zrobić całkiem przyzwoite szachy. Używając sadzy ze spalonej szmaty poczerniliśmy jedną część figur, a w rogu ławki, z dala od drzwi, wyskrobałem plansze do gry. Komplet ten przysporzył nam ogromnej przyjemności i wytchnienia. Odbywałem także wiele długich i ciekawych rozmów z panem Ekertem, Andrejem i jego czechosłowackimi przyjaciółmi.

Naszymi najgorszymi przeciwnikami przez ten cały czas były wszy, brud i brak intymności. Z drugiej strony tłok w celi pozwalał chronić się przed uporczywym mrozem na zewnątrz.

7

Podczas każdej prowierki nasz żydowski przyjaciel - przemysłowiec z Łodzi, prosił strażnika o papier i długopis, gdyż chciał napisać do PKOKURORA (oskarżyciela). Każdego dnia otrzymywał niezmienną odpowiedź: "Dostaniesz jutro rano". Tę samą odpowiedź otrzymywali więźniowie na każdą prośbę i codziennie jutro rano stawało się następnym rankiem.

Nigdy o nic nie prosiłem, gdyż wiedziałem, że w odpowiedzi otrzymam kłamstwo. Uświadamia mi to główną różnicę pomiędzy mentalnością Europejczyka a mongolsko-azjatycką mentalnością Rosjanina. Ludzie w Związku Radzieckim przyjmują kłamstwo za główną część swojej egzystencji. Jest w nich tak głęboko zakorzenione, że nic nie mogą poradzić, nie mają bowiem żadnego punktu odniesienia, żyjąc w ciągłym terrorze i całkowitej izolacji od reszty świata. Oto przykład: zapytano Rosjanina, czy w Związku Radzieckim są pomarańcze. Bez namysłu odpowiedział: O, tak. Mamy pełno pomarańczy. Mamy ogromną fabrykę, gdzie się je produkuje, niedaleko Moskwy". Nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek był od niego lepszy. Dla nas może się to wydać śmieszne, ale dla Rosjan to typowe. Życie w kłamstwie to ich szara codzienność.

W przeciwieństwie do brudu panującego w celach, więzienne przejścia, schody i korytarze były pieczołowicie szorowane przed każdą prowierką. Do tej pracy NKWD używało więźniarek. Jeszcze zanim ukończyłem moją dziurę w drzwiach, słyszeliśmy głosy pracujących tam kobiet. Kiedy wizjer powstał, rozpoznałem w jednej z kobiet panią Macutkiewicz, żonę kapitana, którego poznałem w Siankach i Turce. Została widocznie ponownie aresztowana, po zwolnieniu w Turce.

Któregoś popołudnia usłyszałem kobiecy głos. Wyjrzałem przez dziurę. Widziałem przez nią korytarz, łącznie z dwoma oknami na przeciwległej ścianie, w których były zamalowane szyby. Czasowoja, który miał tego dnia służbę, nazywałem SYBIRAKIEM. Dostyc go nawet lubiliśmy, gdyż był jednym z nielicznych strażników, którzy okazywali nam ludzkie uczucia. Podłogę czyściła ładna młoda blondynka.

Wszystko stało się bardzo szybko. Rosjanin podniósł ją do góry, oparł o okno i miał z nią stosunek. Andrej, który stał obok mnie, przyłożył oko do wizjera. Zobaczyłem, jak krew odpłynęła mu z twarzy. Uciekł od drzwi i rzucił się na ławkę, łkając. Byłem zdruzgotany. Dziewczyna była jego żoną.

Przed samą zmianą warty Sybirak otworzył drzwi i stanął w nich trzymając w ręku porcję chleba. "Andrej, żona ci to przysyła". Czekałem. Andrej przeszedł wolnym krokiem i wziął od niego chleb. Zjadł go tej nocy ze swoją żupą. Po tym incydencie nie potrafiłem już grać z nim w szachy ani rozmawiać. Był dla mnie zbyt pragmatyczny.

Dni płynęły monotonnie. Pewnego ranka jednak dobiegły nas odgłosy niezwykłego ożywienia. Usłyszeliśmy kroki więźniów maszerujących w obu kierunkach pod naszą celą. W końcu nadeszła nasza kolej. Chaszuwiej powiedział: "Zostawcie wszystko. Idźcie się kąpać". W koszulach i bieliźnie pomaszerowaliśmy do piwnicy. Nadzorował wszystko Polak w średnim wieku. Dał każdemu z nas maleńki kawałeczek ciemnobrązowego mydła bardzo kiepskiej jakości. Woda była zimna, ale dla naszych umęczonych, brudnych ciał była to czysta rozkosz. Strażnik co rusz kazał nam kończyć, ale my cieszyliśmy się jak dzieci. Potem czekał nas jeszcze jeden zaszczyt. Dali nam czyste koszule i spodnie więzienne z nadrukiem: "Własność Rządu Polskiego".

Po powrocie okazało się, że wszystkie nasze rzeczy leżą na środku celi. NKWD dokonało dokładnego przeszukania. Mój gwóźdź zniknął.

Nasze szachy zostały zgniecione na miazgę. Kiedy dostaliśmy następną rację chleba, zaczęliśmy robić nowe.

Wyprałem swoją koszulę w ubikacji i wymieniłem ją na parę chłopskich spodni, żeby ocalić moje bryczesy. Dostałem również kawałek płótna i zrobiłem sobie z niego mocny pas o szerokości 10 centymetrów. Czytałem kiedyś, że plemiona Indian: Mohawkowie, Komancze, Apacze ciasno wiązali pasy, żeby zapomnieć o głodzie. Przez cały okres mojego uwięzienia i pobytu w Rosji, owiżywałem sobie żołądek bardzo ciasno. Mogę zapewnić, że to działa. Od współtowarzysza z celi zdobyłem również parę drewnianych chodaków. Cena była wysoka: dzienna porcja chleba w trzech ratach. Celem było oszczędzenie moich butów.

Tego typu handel wymienny kwitł w więzieniu, a najcenniejszą walutą był chleb i machorka (tytoń). Miałem szczęście, że nie byłem nałogowym palaczem. Prawdziwi palacze cierpieli bardziej niż inni więźniowie. Palili wszystko. Rozlupywali pudełka po papierosach, wydłubywali z nich drzazgi drewna zabarwionego nikotyną, zawijali je w papier i palili. Niektórzy palacze wymieniali dzienną rację chleba na machorkę.

Handel wymienny mógł funkcjonować między celami bezpośrednio pod i nad sobą, dzięki 'koniowi' - kawałkowi sznurka w żargonie więziennym. Umawiano się co do transakcji przez ubikację, natychmiast po prowierce. Następnie przywiązywano przedmiot do konia w celi powyżej i spuszczano go na dół. Więźniowie w niższej celi odczepiali go, a na jego miejsce zawiązywali przedmiot do wymiany, który z kolei był błyskawicznie podciągany do góry. System ten, rzecz jasna, umożliwiał dość łatwe oszustwa, nigdy jednak o żadnym nie słyszałem. 14

Niewyobrażalne, co może ludzka pomysłowość i cierpliwość w najcięższych warunkach. Małeńka ość lub kość zwierzęca, znaleziona w zupie, zamieniała się w całkiem przyzwoitą igłę; mała sprzączka używana do dopasowania paska w spodniach zmiażdżona o beton stawała się ostrą blaszką; z kawałka płótna wypruwało się mocną nić. To dzięki takiemu zaimprovizowanemu kompletowi do szycia byłem w stanie przyszyć guziki do moich ubrań i naprawić dziury, które zrobił Major swoim nożem w Turce.

Pod koniec stycznia przeniesiono mnie do mojej pierwszej celi w Samborze. Znowu byłem z Lebecem. To również oznaczało, że ponownie spotkam się z Czarnym Iwanem. Widziałem jak nadchodzi, żeby rozpocząć nocną służbę. Byłem pewien, że mnie nie widzi. Ponownie ogarnęła mnie nienawiść i gniew. Miałem tylko jedną myśl: zemścić się za kradzież medalika. Oczekałem, aż ułożymy się wszyscy do snu. Zaaranżowałem to tak, że moje miejsce było przy drzwiach. Po jakimś czasie podniosłem się i przykładając twarz do drzwi obok judasza tak, żeby mnie nie poznał, zapukałem do drzwi.

Niebawem przyszedł. Przez zamknięte drzwi spytał: "Co z tobą? Przestań pukać". Słabym głosem odpowiedziałem: "Daj mi pić. Niedobrze mi".

Sklął mnie, ale poszedł do kranu i napełnił dzbanek. Byłem gotów. Kiedy otworzył drzwi, rzuciłem się na niego i schwyciwszy go prawą ręką za kołnierz zacisnąłem go z całej siły. Puścił emaliowany dzban, rozlewając wodę i cofnął się w kierunku metalowych barierek w przejściu. Uderzył mnie ciężkim pękiem kluczy, ale wyrwałem mu je i rzuciłem na siatkę rozpiętą między piętrami. Wrzasnąłem: "Co zrobiłeś z moim medalikiem, ty złodzieju?"

Przeziąłem go przez barierki. Jego ciemna twarz puchła z braku powietrza. Ogarnęła go panika, oczy stały się wylupiaсте. Po wszystkich moich więziennych poniżeniach opanowała mnie furia.

już była!
historia myślenia

8

Mogłem go wówczas zabić, ale nagle poczułem, że już dość. Rozluźniłem chwyt i staliśmy tak naprzeciwko siebie oddychając ciężko. W kilka sekund przejście pełne było strażników. Unieruchomili mnie, a z tyłu mocne ręce złapały mnie za włosy i przechyliły mi głowę w tył. Staliśmy tak czekając na odpowiedzialnego NKWD-owca. W więzieniu zaległa ponownie cisza, jeśli nie liczyć hałasu traktora. Ale dało się wyczuć, że za drzwiami cel więźniowie nasłuchują z uwagą starając się odgadnąć, co się dzieje.

W końcu na scenie pojawił się senior NKWD, do którego odnoszono się per TOWARISZCZ NACZALNIK (towarzyszu naczelniku). Był to mały, kulejący mężczyzna, dobrze znany z sadystycznych skłonności zarówno w stosunku do swoich własnych ludzi, jak i do więźniów. Miał twarz ascety. Jego cienkie usta bez uśmiechu i bezbarwne oczy sprawiały wrażenie, że zupełnie mu brak ludzkich emocji.

Stał jakieś trzy czy cztery kroki przede mną. Chłodno, bez podnoszenia głosu, kładąc jednak nacisk na każde słowo, powiedział: "JA TIEBIA ROZDIEJU, POSADZU TAM W NIZU FORTOCZKI ODCZYNIU, ISZB ŚNIECHOM PRIRIASU, CZTOB ZMIORZŁ KAK SOBAKA" ("Zdejmę z ciebie wszystkie ubrania, wsadzę się na dół piwnicy, otworzę okienko, a twoje ciało omiotę płatkami śniegu tak, aż zamarzniesz jak pies").

Stałem na bosaka na kamiennej podłodze, w piwnicy, przed żelaznymi drzwiami piątej celi po lewej stronie.

"Zdejmij koszulę i spodnie".

Byłem nagi.

"Włóż do środka".

KARCER (cela poprawcza) był dokładną repliką celi, w której byłem trzymany w odosobnieniu, za wyjątkiem jednego szczegółu. Okno na zewnętrznym końcu wjazdu było otwarte, a śnieg padał przez nie na ziemię. Otuliłem się ramionami i kucnąłem. Było strasznie zimno. Chodziłem, ciągle otulony ramionami. Znowu kucnąłem. Moje myśli były proste: "Nie wolno mi zamarznąć. Nie wolno mi umrzeć".

Rankiem, podczas prowerki, przyszedł mnie zobaczyć senior NKWD, ten sam, który mnie skazał. Stał w drzwiach i spytał: "HOŁODNO?" (Zimno?)

W mojej nagiej niedoli, stanąłem wyprostowany, spuszczać ramiona wzdłuż ciała i odparłem: "Niet".

(Nie.)

W karcerze dostałem mniejszy niż zazwyczaj kawałek chleba i chłodną wodę. Musiało mi to starczyć na 24 godziny, bo nie było popołudniowej zupy. Wiedziałem, że aby nie zamarznąć na śmierć, muszę się bezustannie poruszać. Chodziłem w tę i z powrotem, pozwalając sobie jedynie na krótkie przystanki. Podczas każdej prowierki zadawano mi to samo pytanie: "Holodno?" i za każdym razem odpowiadałem: "Niet".

Wiedziałem, że aby przetrwać, muszę zlekceważyć mojego prześladowcę.

Prowierka odbywała się co 12 godzin. Chodziłem bez przerwy przez 72 godziny, a później straciłem przytomność. Kiedy doszedłem do siebie, patrzyłem w górę na biały sufit. Leżałem nagi w łóżku, na sienniku, przykryty polskim więziennym kocem. Moja twarz i całe ciało zdawały się płonąć i byłem zlany potem. Cierpiałem na okrutny ból poniżej prawej łopatki. Ciężko mi się oddychało. Moje ciało roilo się od wszy. Materac był całkiem przemoczony. W pokoju znajdowało się jeszcze kilka innych łóżek. Znalazłem się w więziennym szpitalu.

Byłem bardzo spragniony, lecz zbyt słaby, aby się unieść. W łóżku po mojej prawej stronie leżał młody mężczyzna o okrągłej twarzy i bardzo krótkich włosach. Był to Białorusin, bojec (żołnierz) w Armii Czerwonej. Wolał postrzelić się w stopę i trafić do więzienia niż jechać na wojnę do Finlandii. Dał mi pić i powiedział, że przywieźli mnie do szpitala poprzedniego dnia. Myślał, że umrę.

Po mojej lewej stronie leżał około trzydziestoletni mężczyzna, który został postrzelony w klatkę piersiową i nogę. Jego bandaże były przesiąknięte krwią. Postrzały otrzymał podczas próby przedostania się na tereny okupowane przez Niemców, w PRZEMYŚLU. Nikomu nie wolno było opuścić Rosji Sowieckiej żywcem. Zmarł następnego dnia. Jego ciało zapakowano w płócienny wór i wyniesiono. Okna szpitala wychodziły na wejście z więziennego podwórza. Szkło było zamalowane, ale przez wydrapany kawałek jeden z moich współtowarzyszy widział, jak pakunek wrzucono na ciężarówkę na stos kilku innych ciał. W nocy ciężarówka odjechała.

Białorusiński bojec nazywał się Wasyl ANTONOWICZ. Był dobrym człowiekiem i najwyraźniej wzbudziłem w nim jakieś zaufanie - lub po prostu miał potrzebę mówienia i dzielenia się swoim strachem. Oskarżono go o dezercję, za którą mógł być skazany na śmierć. Najlżejszym wyrokiem, jakiego mógł oczekiwać, było dziesięć lat przymusowej pracy w obozie koncentracyjnym.

8

ewentualnie

Odwiedził mnie lekarz NKWD, który - ku mojemu zdziwieniu - był dobrze mi znanym polskim internistą żydowskiego pochodzenia z Samboru. Wysoki, przystojny, chętnie wykonywał polecenia Rosjan. Powiedział mi po polsku, że mam ciężkie zapalenie płuc i nakazał czasowoju przynieść mi koszulę i długie spodnie. Obiecał odzyskać dla mnie moje rzeczy i buty z celi, jak również zalecił dla mnie "dieta", co oznaczało, iż moja poranna racja chleba została nieco zmniejszona, a sam chleb był jaśniejszy; do popołudniowej zupy dostawałem natomiast niewielką porcję wątróbki wołowej.

Wraz z powrotem sił wytoczyłem ostrą walkę wszom. Po tygodniu wróciłem do większej celi z panem Ekertem. Czechosłowacy zostali przeniesieni, a ja ponownie dołączyłem do Jana Gały i Leśniańskiego. W celi byli nowi, Rusini Karpaccy, którzy przeszli przez Karpaty z Węgier do okupowanej przez Sowieców Polski, idąc za masową, błędną propagandą, że Rosjanie rozdają ziemie, które skonfiskowali polskim posiadaczom ziemskim. Był to prosty, porywczy i wesół górski naród. Kolorowo poubierani, wielu z nich miało pióra w kapeluszach. To zaskarbiło im przydomek używany przez wszystkich: "Bazanty". Tysiące z nich przeszło do Polski, tylko po to, aby ich aresztowano i deportowano do najodleglejszych krańców Związku Sowieckiego. O ile mi wiadomo, nigdy już nie zobaczyli swoich gór.

Był wśród nich dumny, wysoki, siwy sześćdziesięcioletni mężczyzna. Nazywał się AGOPSOWICZ, a jego rysy wyraźnie wskazywały na ormiańskie pochodzenie. Był właścicielem ziemskim, pełnym wyrozumiałości i wielkoduszności dziedzicem, który sądził, że wolno mu będzie dożyć swoich dni w wiosce koło Sambora. Nawet interwencja w jego sprawie lokalnego Sowieckiego (komitetu) nie uchroniła go przed aresztowaniem. Zmarł w więzieniu w Samborze.

Z powrotem w dużej celi, rozmawiając z panem Ekertem i grając w szachy z Janem Gałą i Leśniańskim, czułem się jak na wakacjach, mimo bólu i charczenia w płucach. Wieści wojenne, które dochodziły do naszej celi, były straszne. Niemcy ciągle zwyciężali, zdawało się, że Rosjanie dotrzymują paktu z Hitlerem co do joty. Nasilili dostawy do Niemiec. Pociągi pełne ropy i zboża przejeżdżające przez Sambor do nowej granicy niemieckiej turkotały pod naszymi oknami dzień i noc. Potem usłyszeliśmy o klęsce Francji. Wielka Brytania stała w pojedynkę przeciwko złu reprezentowanemu przez połamane ramiona krzyża, wspomaganego przez czerwoną gwiazdę z sierpem i młotem. Polacy byli jednak przekonani o zwycięstwie Anglii; tak oddani sprawie, że Niemcy nie byli w stanie znaleźć ani jednego Quislinga wśród naszych 36 milionów.

Wiosna 1940 roku przyszła nagle i była jak zwykle ciepła. Po mroźnej zimie gorące dni zmieniły więzienie w Sambor z lodowatej puszką w piekło. Nierzadko brakowało nam powietrza; wielu więźniów mdlało i współtowarzysze musieli ich cucić oblewając wodą.

Od pierwszego dnia niewoli żaden z nas się nie ogolił ani nie obciął włosów. Nawet dla moich nawykłych już oczu, moi współtowarzysze więzienni wyglądali jak ludzie z czasów prehistorycznych klęsk głodowych. Każdy z nas bardzo schudł, co - w połączeniu z długimi brodami i włosami - sprawiało, że wyglądaliśmy jak biblijni bohaterowie.

Nie muszę wyjaśniać jak trudno było w tych warunkach uchronić nasze włosy od owadów. Skarżyliśmy się podczas każdej prowierki - bez skutku. Wreszcie zaczęły krążyć słuchy, iż ma się odbyć inspekcja PROKURORA z Moskwy.

Pewnego dnia przed południem wyprowadzono połowę osób z naszej celi. Po dwudziestu minutach powrócili z obciętymi niestarannie, acz do samej skóry włosami i brodami. Potem przyszła kolej na nas. Zabrano nas do byłej kaplicy na pierwszym piętrze więzienia. Była duża, wielkości wiejskiego kościoła, z pięknymi witrażami. Na ścianie naprzeciwko wejścia, w miejscu, gdzie powinien być ołtarz, znajdował się pełnowymiarowy obraz Świętej Maryi, Matki Bożej, ubranej w niebieską szatę ze złotą koroną Królowej Polski. Malowidło zostało zamalowane czarną farbą, a na jej twarzy domalowano ogromne czarne wąsy. Przepięknie rzeźbione drewniane konfesjonały były przewrócone i używane jako krzesła fryzjerskie dla więźniów. Podłoga pokryta była kilkunastocentymetrową warstwą poobcinanych włosów.

Kiedy nadeszła moja kolej, przeżegnałem się "in nomine Patrii et Filii et Spiritus Sanctus, Amen". Zacząłem na głos, po polsku odmawiać "Zdrowaś Mario". Moim fryzjerem był czasowo, lokalnie zwerbowany Ukrainiec. Nożyce były duże i tępe; kiedy zaczął obcinać mi włosy, a potem brodę, zranił mnie w kilku miejscach do krwi. Powtórzyłem jeszcze kilkakrotnie na głos "Zdrowaś Mario". Był to jedyny sposób, w jaki mogłem zaprotestować przeciwko desakralizacji kaplicy. Strażnik uśmiechnął się do mnie szyderczo i powiedział: "Módl się, módl! Ale dlaczego ona ci nie pomaga? Spójrz na nią. Jej wąsy wyglądają lepiej od twoich". Mówił tak, rzecz jasna, aby przypodobać się swym rosyjskim panom i zademonstrować komunistyczną lojalność.

9

Następnego dnia mieliśmy znowu dostąpić zaszczytu prysznicu i otrzymania świeżej zmiany spodni i koszuli.

W końcu i na nas przyszła pora inspekcji. Drzwi celi otworzyły się i do środka wszedł niski, przysadzisty mężczyzna o okrągłej twarzy, prawie bez szyi. Miał na sobie cywilny garnitur ze spodniami szerokimi jak oksfordzkie wory i płócienną czapkę z daszkiem. Wyglądał komicznie. Towarzyszył mu NACHALNIK (gubernator więzienny), POLITRUK (oficer polityczny) i kilku sliedowateli NKWD. Zadał mi on tylko jedno pytanie: "Woszi jest?" ("Czy macie wszy?")

Kilku z nas odpowiedziało: "Tak. Mamy ich aż nazbyt wiele". On miał już jednak gotową odpowiedź: "Macie wszy, ponieważ Polska jest kulturalnie zacofana. Nie macie łaźni parowych do odwszania nawet w tak dużym mieście jak Lwów. W Rosji mamy punkty do odwszania nawet na małych stacjach kolejowych. Każda łaźnia publiczna ma łaźnie parowe do odwszania. Minęło jeszcze niewiele czasu, odkąd oswobodziliśmy Zachodnią Ukrainę, ale obiecuję wam, że niebawem zainstalujemy niezbędne punkty do odwszania i wy również zapewne dostaniecie jeden w waszym więzieniu". Rzeczywiście nie mieliśmy w Polsce punktów do odwszania, a powód był prosty: przy naszym poziomie higieny były niepotrzebne. Inspekcja zakończyła się. Powinienem dodać, że tego dnia dostaliśmy nieco więcej kaszy perłowej do zupy.

Z inspekcji był jeszcze jeden pożytek. Kilka dni potem pozwolono nam wyjść na podwórzec i gimnastykować się, nie dłużej jednak niż pięć minut. Nazywało się to PROHUŁKA. Podczas mojego uwięzienia w Samborze, przytrafiło się to trzykrotnie. Powietrze na więziennym podwórzu zdawało nam się najświeższe i najczystsze na świecie. Było upajające jak wino i przyprawiało nas o zawrót głowy. Kiedy wróciliśmy do naszej celi, kontrast zapachów był nie do zniesienia. Oczywiście, podczas naszej nieobecności, gruntownie przeszukano naszą celę, a wszystko rzucono na kupę na środku podłogi. Nasze figury szachowe były znowu zgniecione na miazgę.

Więzienie w Samborze było teraz tak przepelnione, że więźniowie umierali w celach z uduszenia. Dlatego zapewne Rosjanie wywieźli pewnego dnia dużą liczbę więźniów w nieznanym kierunku. Jednocześnie zintensyfikowano aresztowania, więc więzienie nadal było pełne, o wiele ponad swoje możliwości. Czulem, że nikt już o mnie nie pamięta.

10 Gorąco była tak intensywna, że przez całe lato sypialiśmy jedynie w naszych długich spodniach. Kiedyś, wczesnym rankiem odpowiedziałem na znajome pytanie: "Czy jest tu ktoś na literę 'L'?"

Sledowateli nie pozwolił mi założyć koszuli ani sabotów, więc na bosaka poszedłem do izby przesłuchań. Za biurkiem siedział major, obok stało kilku NKWD-owców. Moim ciemieżcom wyraźnie podobał się widok półnagiej postaci przed nimi. Major zapytał, wskazując na kartkę papieru na biurku: "Czy jesteś gotów podpisać swoje zeznanie?"

Potrząsnąłem głową i powiedziałem: "Nie."

Na znak dany przez majora, złapano mnie z tyłu za ręce i związano grubą liną za plecami. Końcem liny okolono mi szyję i tworząc pętlę, zawiązano tak, iż głowę musiałem trzymać z tyłu. Prawie się dusiłem.

Major powiedział: "Jesteś wrogiem Rosji Sowieckiej. Jesteś szpiegiem, który nielegalnie przekroczył granicę, aby zorganizować kontrrewolucję. Jesteś nieskruszony. Za to będziesz zastrzelony. Zabierzcie go".

I to miał być mój koniec. Popchnięto mnie na dół do piwnicy, obok celi, w których spędziłem tak wiele czasu i wzdłuż korytarza do małego jasno oświetlonego pomieszczenia. Ściana przede mną była w wielu miejscach odłupana, zapewne przez pociski i były tam ciemnobrązowe plamy, które wyglądały jak zaschnięta krew. Stał tam Rosjanin w czapce NKWD. Reszta jego osoby była schowana za obszernym gumowym fartuchem.

Moja obstawa przyszpiliła mnie do ściany i uderzyła o nią moją głowę. Trzymali mnie za wykręcone ręce.

Usłyszałem odgłos strzału. Poczulem kulę na skroni. Po przerażającym huku upadłem na ziemię. Zostałem zastrzelony, lecz nie zaznałem bólu. Byłem martwy, lecz nadal czułem sztywność w ramionach i gardle.

Kula przeszła mi nad głowę. Upadek spowodowano nagłym pociągnięciem za wór, na którym stałem. Kolejna sztuczka majora, która miała mnie złamać.

W izbie przesłuchań jeszcze raz podsunął mi długopis i nakazał podpisać zeznanie. Odmówiłem, a on przeklął płynnie i obraźliwie.

Zabrano mnie z powrotem do celi. Przeżyłem swoją własną egzekucję.

10

Nawet dla nas w celi stało się jasne, że Rosjanie wykonywali wielkie przedsięwzięcie, które już przetrenowali w Związku Radzieckim: chcieli zniszczyć całą ludność Małopolski (nazywaną przez nich Zachodnią Ukrainą). Więźniów transportowano z więzienia w Samborze w nieznaną część Rosji, a ich cele nieustannie zapełniano nowoprzybyłymi ludźmi, aresztowanymi w okolicznych stronach.

Dam przykład, w jaki sposób Rosjanie znajdowali kandydatów do uwięzienia i przesiedlenia. Ukraińscy nacjonałiści zorganizowali w całej Małopolsce mleczarnię działającą na zasadzie kooperatywy, i chwała im za to. Kupowali mleko od drobnych rolników, przerabiali na doskonałe sery, masło, jogurty itd. i sprzedawali w swoich sklepach, rozsypanych praktycznie po całym kraju. Z początku Rosjanie zezwalali na to przedsięwzięcie, jako działanie kontrolowane przez rząd. Któregoś dnia jednak we wszystkich miastach aresztowano całą ukraińską załogę kooperatyw pod zarzutem "sabotażu, nacjonalistycznego ukraińskiego szowinizmu i spiskowania na rzecz stworzenia niepodległej Ukrainy". Każdy zatrudniony został skazany na siedem do dziesięciu lat w poprawczych obozach koncentracyjnych. Wszyscy byli srodze bici podczas przesłuchań. Ich pracę przejęli ludzie zwiezieni ze Związku Radzieckiego.

Czułość NKWD skierowana na kontrrewolucyjną działalność odnosi się do każdego aspektu życia zawodowego i każdej pojedynczej osoby. Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że natychmiast po zawarciu paktu między Sowietami a Niemcami nazistowskimi, został wydany rozkaz, aby rozproszyć ludność Małopolski. Odnosiło się to do ludzi wszystkich narodowości, Polaków, Ukraińców, a w szczególności do tych, którzy byli w jakikolwiek sposób zaangażowani w ukraiński ruch nacjonalistyczny. Wszyscy zostali wykorzeni. W ten sposób Rosjanie sprawili, że akt aneksji stał się nieodwracalny.

Proces rusyfikacji może być zobrazowany losami Ukraińca z naszej celi. Przez dłuższy już czas błagał o pozwolenie napisania do Sądu Najwyższego Republiki Ukraińskiej w jej stolicy, Kijowie. Pewnego dnia przynieśli mu papier i ołówek. Zapytał sliedowatiela NKWD, czy wolno mu pisać po ukraińsku. Odpowiedź brzmiała: "Nie. Napisz lepiej po rosyjsku. Lepiej cię wtedy zrozumieją". Tak też jest w całym Związku Radzieckim. Obojętne, czy jest to Uzbekistan, Turkiestan czy Ukraina, oficjalnym językiem jest rosyjski. Czerwoni carowie bezlitośnie egzekwowali to, czego ich poprzednikom, białym carom, nigdy się nie udało. Zrusyfikowali swoje całe imperium. W części Polski zajętej przez Związek Radziecki, tę politykę w niemiłosierny sposób wcielało w życie NKWD.

Wszyscy moi starzy towarzysze z celi zostali odtransportowani z Samboru. W kilka dni później, całkiem niespodziewanie, przyszła i moja kolej. Wczesnym rankiem kazano nam wraz z około trzydziestoma innymi więźniami przemaszerować przez puste jeszcze ulice Samboru na dworzec kolejowy. Załadowano nas do przedziałów trzeciej klasy. Wiedziałem, że bez względu na to, jaki będzie nasz docelowy punkt, będziemy musieli przejechać przez mój ukochany Lwów. Nie znałem żadnego ze współwięźniów i nie wolno nam było ze sobą rozmawiać. Pociąg ruszył.

W tym miejscu opowiem, czego dowiedziałem się później na temat wypadków, które zaszły w więzieniu w Samborze po rozpoczęciu wojny niemiecko-rosyjskiej. Opowiedział mi to młody Polak, Adam R., który w owym czasie miał około 14 lat. Teraz mieszka w Anglii.

Kiedy siły Hitlera zaczęły napierać na Stalina, nakazano NKWD-owcom z Samboru^a ewakuować więzienie, a wszystkich więźniów wysłać w głąb Rosji Sowieckiej. Czas ich jednak naglił. Ostatni tysiąc, lub coś koło tego, więźniów sprowadzono na dół do tak dobrze mi znanej piwnicy, i pozamykano w celach. Wejście zamurowano.

Kiedy Niemcy zbliżali się od PRZEMYŚLA, Rosjanie złapali ostatni pociąg z Samboru^a, pozostawiając za sobą wszystkich miejscowo zrekrutowanych mężczyzn, którzy tak lojalnie służyli NKWD.

Ludność Sambora, szukając bliskich, włamała się do więzienia. W celach w głównym budynku pozamykana była jedynie garstka więźniów. Potem ktoś obeznany z topografią więzienia odnalazł zamurowane wejście do piwnicy. Porozwalano cegły.

I jakby zstąpili do piekieł. Piwnicy pełna była ciał ludzi, którzy umarli w straszliwych warunkach od zaduchu, braku powietrza, głodu i pragnienia. Najwidoczniej zamurowano ich tutaj na jakiś czas przed odejściem Rosjan.

Furia ludzi z Samboru była tak ogromna, że zemstę skierowali na miejscowych strażników więziennych. Roznieśli ich na strzepy, zlinczowali każdego, choćby tylko podejrzanego o kontakty z Rosjanami.

?? *essentially details*

me

Niemcy zdecydowali, że z horroru pozostawionego przez Rosjan zrobią maksymalną propagandę.

Młody Adam R., żywy i inteligentny chłopiec, bawił się i biegał po Samborze z młodszym bratem. (Ich mama nie żyła, a ojca, maszynisty, nie było w domu przez większość dnia). Adam widział żołnierzy niemieckich - musiało to być SS i Gestapo - którzy zbierali polsko-żydowskich mieszkańców miasta. Żydów zmuszano następnie do wyciągania ciał pomordowanych i poduszonych więźniów z piwnic więziennych. Robotę tę wykonywali gołymi rękami; nie dano im żadnych narzędzi ani odzieży ochronnej. Ciała w niektórych celach były niemal całkiem zgniłe. Więźniowie byli najwidoczniej poddani egzekucji na długo zanim Rosjanie opuścili więzienie. Odkrycie to wyjaśnia strzały, które słyszałem czasem w środku nocy. W kuchni Niemcy znaleźli ciało młodej, ciężarnej kobiety, która została ugotowana w ogromnym garze z wrzątkiem.

Ponura prawda na temat piwnicy została rozgłoszona po całym mieście.

Niemcy zmusili nieszczęsnych Żydów do zwożenia ciał na taczkach do masowej mogiły na cmentarzu w Samborze. Wszystko to odbywało się za dnia, tak żeby wszyscy widzieli. Cała ludność została zaproszona do tego masowego pochówku. Na cmentarz przybył ogromny tłum, kiedy jednak ludzie zobaczyli, że Żydzi są zmuszeni do kopania ziemi na groby gołymi rękami, odwrócili się spontanicznie i wszyscy odeszli. W ten sposób ludność Samboru zaprotestowała przeciw takiemu traktowaniu swych żydowskich współbraci.

nie

12

Celem naszego pociągu był sam Lwów.

Zostaliśmy wyładowani na bocznicy, tuż obok sklepienia pięknego dworca kolejowego i zawiezieni, ciężarówkami przykrytymi płachtą, do więzienia BRYGIDKI na ulicy GRUDESKIEJ.

Był to stary, bardzo potężny budynek, przemieniony przed I wojną światową z ^{klasztora} zakonu Sw. BRYGIDY. Było to jedno z najważniejszych więzień NKWD we Lwowie, pełne aż do granic. Wkrótce dowiedziałem się, iż wszystkie więzienia w mieście są tak pełne i że Rosjanie musieli utworzyć specjalny ŁAGIER (obóz koncentracyjny) na ulicy JANOWSKIEJ.

Po rutynowym, gruntownym przeszukaniu, umieszczono mnie w dużej celi. Powiedziano mi, iż była to cela ETAPOWA (tranzytowa) z której więźniowie byli zabierani do transportu do różnych części Związku Radzieckiego.

Stopniowo zbierałem coraz to więcej wieści na temat działalności NKWD, a pojedyncze informacje składały się w całość, tworząc klarowny wzór. Pierwszym krokiem było zaarrestowanie mężczyzn, nie dając żadnego innego powodu, jak tylko ten iż są społecznie niebezpieczni! Ich rodziny, pozostawione bez żywicieli i potencjalnych obrońców, były zabierane do 'przesiedlenia' w najodleglejsze obszary Rosji Sowieckiej. Operacja ta miała miejsce ulica po ulicy w ciągu nocy. Ludziom dawano jedynie minuty na spakowanie się, zanim ich zabrano. Całkowite wyposażenie domów, które pozostawiano za sobą, meble i całą resztę, ładowano na pociągi i odsyłano do Rosji jako "zdobycz wojenną". Była to kradzież na monumentalną skalę; straty materialne są jednak niczym w porównaniu z utratą życia kobiet, dzieci, chorych i sędziwych, którzy wystawieni byli na nieludzkie warunki tranzytu do azjatyckiej Rosji w bydłych wagonach pod nadzorem NKWD. Zostali oni potem porzucani w głuchej puszczy, wśród na poły wędrownych, prymitywnych, mongolskich plemion, które specjalnie nie przejmowały się widokiem umierających z głodu, braku zakwaterowania, chorób i wycieńczenia, przybyszów. Tylko nielicznym, którzy poddani byli dobrowolnemu przesiedleniu, udało się przeżyć pierwszą wojnę 1940/41 roku.

Była to eksterminacja całkiem niewinnych ludzi. Było to ludobójstwo i do dziś dnia nikogo nie pociągnięto za to do odpowiedzialności. Było to, jest i będzie częścią życia Rosji Sowieckiej, rządzonej w imię międzynarodowego komunizmu; jego wykonawcy, którzy posiadają absolutną władzę dyktatorską, rządzą w praktyce perfidną tyranią, gorszą niż w średniowieczu.

Mój pobyt w więzieniu BRYGIDEK^{ski} okazał się krótki. W dużej celi znajdowałem się wspólnie z osobami stanowiącymi przekrój mieszkańców Lwowa. Byli tam ludzie, których drogi życia okazywały się przeróżne. Od zawodowych złodziei, robotników i rzemieślników po studentów i księży. Ich wiek wahał się od kilkunastu do ponad siedemdziesięciu.

NKWD, CZEKA, GPU lub KGB, jakkolwiek chcecie ich nazywać, to mistrzowie prowokacji. Jedną ze sztuczek zmontowanych przez ich agentów we Lwowie było stworzenie polskiej grupy patriotycznej, zwanej 'Biały Orzeł'. W ciągu niespełna kilku miesięcy prowokatorom udało się zwerbować do niej setki chłopców. Potem, pewnego dnia, każdy z nich został zaaresztowany. Skazano ich na ^{do} dziesięć ^{lat} do piętnastu miesięcy w ŁAGRZE (poprawczym obozie koncentracyjnym). Większość umarła w Rosji.

Dwa tygodnie po przyjeździe do Lwowa odpowiedziałem na pytanie "Na literę L?" i nakazano mi przenieść moje rzeczy. Wspólnie z sześcioma innymi więźniami załadowano mnie do polskiego furgonu, pilnowanego przez dwóch strażników NKWD. Nie pozwolono nam się na drewnianych ławkach, musieliśmy siedzieć w wąskim przejściu na ziemi. Wyładowano nas na bocznicę tuż obok głównego dworca kolejowego we Lwowie. Przed nami znajdowały się trzy specjalne wagony więzienne. Muszę je dokładnie opisać, gdyż stanowią one istotną część NKWD-owskich zwyczajów transportowych. Wagon więzienny zbudowany jest tak, jak zwykły wagon osobowy, jednak z zewnątrz, dach i podłoga są pokryte mocną, stalową siatką. Nieprzezroczyste okna są nieustannie zamknięte. Każdy pociąg pasażerski, który kiedykolwiek widziałem w Rosji, miał przynajmniej jeden taki wagon na końcu składu. Wskazywało to na duże proporcje sowieckich obywateli, których wieziono, jak również na stopień, w jakim byli oni przemieszczani (szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż duże transporty więźniów odbywały się w specjalnych pociągach, składających się wyłącznie z wagonów bydłowych).

Wiem, iż te wagony są dziś w pełnym użytku. Są one czymś tak zwykłym, iż dziwne jest, iż goście z wolnego świata przybywający do Rosji Sowieckiej, nigdy tego nie komentują; być może widzą oni tylko to, co chcą widzieć, lub to, co im się pozwala zobaczyć.

I znów muszę opisać to, co przytrafiło się więźniom Rosjan we Lwowie, kiedy Niemcy wypowiedzieli wojnę Rosji Sowieckiej. W ciągu jednej nocy, zanim opuścili Lwów, NKWD wymordowało wszystkich więźniów w ich celach. Niemcy, z kolei, po przybyciu w pełni wykorzystali te rosyjskie okropieństwa, wykładając ciała na widok publiczny. Ewa, moja siostra, która w jakiś sposób dowiedziała się, że jestem we Lwowie, obeszła je wszystkie, szukając, czy nie ma mnie wśród nich.

ewent.

(Powinienem również zaznaczyć, iż po przybyciu do Lwowa, jednym z pierwszych dokonanych przez nich czynów było przeprowadzenie masowej eksterminacji polskiej inteligencji, posługując się ukraińskimi członkami SS. Pierwszym ich celem okazali się niektórzy profesorowie Uniwersytetu Lwowskiego).

W pierwszym wagonie więziennym, w przedziale wyposażonym w drewniane ławki, mieliśmy siedzieć twarzą do korytarza. Pomiędzy nami, a strażnikami NKWD znajdowała się stalowa siatka. Nie wolno nam było między sobą rozmawiać. Po długim okresie oczekiwania, nasze wagony ruszyły. Wyjechałem ze Lwowa na zawsze. Pociąg jechał na wschód Rosji. Modliłem się.

11a

Nie mogłem określić dokładnie, gdzie się znajdujemy, miałem jednak nadzieję, iż p dotarciu do granicy rosyjskiej będziemy musieli zmienić pociąg, gdyż rosyjski system kolejowy ma szerszy rozstaw torów niż reszta Europy; Carowie tak to sobie wymyślili, a bolszewicy utrzymali to bez zmian. Moje nadzieje nie miały się ziścić. Pociąg zatrzymał się, a z wrzasków strażnika na stacji na zewnątrz wiedzieliśmy, iż jesteśmy w ZDOŁBUNOWIE, jednym z głównych krzyżówek między Polską a Rosją. Słysząc było łomot dopasowywania podwozia w naszym wagonie i podróż potoczyła się dalej.

Strażnicy NKWD dali nam porcję chleba i garść słonych, maleńkich kielków zwanych SIELOTKĄ. Te ostatnie powodowały, że mieliśmy ogromne pragnienie, a woda, którą nam dawano, nie była w stanie go ugasić. Rano wolno nam było pójść do ubikacji, która znajdowała się na końcu korytarza i nie miała drzwi. Przez cały czas byliśmy popędzani przez strażników, żeby się pospieszyć.

Podczas jednego z postojów w naszej podróży, usłyszałem jak ktoś wykrzyknął nazwę stacji ZYTOMIR. Jechaliśmy przez sowiecką Ukrainę. Następnej nocy pociąg stanął na, zdawało się, dużej stacji. Usłyszeliśmy duże zamieszanie, a potem nasz wagon został przetoczony na bocznice. Po jakiejś godzinie kazano nam wysiadać i usiąść na ziemi obok torów kolejowych. Uzbrojeni strażnicy NKWD niosący latarki i prowadzący psy, zabrali nas do kilku czarnych furgonów z drzwiami w tyle. To było moje pierwsze spotkanie z cieszącym się złą sławą rosyjskim czarnym pojazdem więziennym zwanym CZIORNYYJ WORON (Czarny kruk). W środku czarnego kruka znajduje się rząd maleńkich, jednoosobowych cel po obu stronach wąskiego, centralnego korytarza. W celach tych jest zbyt mało miejsca na to aby stać jak też porządnie usiąść; do jednej z nich zostałem wepchnięty.

Podróż nie trwała długo. Stanęliśmy obok starego, solidnie zbudowanego więzienia niedaleko dworca kolejowego. Zostałem zabrany sam jeden do pokoju recepcyjnego w celu rutynowego przeszukania. Najwyraźniej wywołałem niemałą sensację wśród NKWD-owskich pracowników więziennych, gdyż pytali z jakiej części Polski pochodzę i dokładnie oglądali moje oficerki. Czułem się jak nowoprzybyłe zwierzę do zoo.

Zostałem zabrany wzdłuż szerokiego korytarza, gdzie po lewej stronie znajdował się rząd drzwi. Był on dopiero co wyszorowany i jeszcze mokry. Na końcu korytarza Chaszuiwej otworzył ostatnie drzwi i wepchnął mnie do środka.

11

Stałem tyłem do drzwi. Po mojej prawej stronie znajdowała się wielka beczka zwana PARASZA, pełna moczu. Przede mną była duża cela pełna półnagich męskich ciał, leżących ciasno na ziemi jeden obok drugiego. Potem dowiedziałem się, że było ich nieco ponad 100. Jedyna żarówka wisiała z tyłu celi, nad ziemią, gdzie znajdowała się jakaś dziesiątka mężczyzn. Mieli oni bardzo dużo miejsca. W środku tej grupki zauważyłem mocny tors, opalonego, ciemno-skórego mężczyzny, o lekko mongolskich rysach twarzy i błyszczących, spokojnych oczach. Grupa ta miała wszystkie możliwe przywileje: miejsce i oddalenie od śmierdzącej paraszy.

Stałem przy drzwiach trzymając w lewej ręce węzełek składający się z lnianych, wiejskich spodni i drewnianych sabotów, które 'kupiłem' w Sambor. Przełożyłem jeden z sabotów do prawej ręki.

Jeden z grupy uprzywilejowanych więźniów wstał i w prostej linii przeszedł do mnie, krocząc niefrasobliwie po ciałach innych więźniów. Był to mężczyzna średniego wzrostu i szerokich barach i dobrze umięśnionych ramionach. Jego głowa była nieproporcjonalnie mała. Twarz nosiła ślady ospy wietrznej. Głęboka rana wzdłuż policzka, kończąca się na górnej wardze, nie dodawała mu urody. Włosy miał przycięte przy samej skórze.

Stanął przede mną i prześlizgnął się po mnie wzrokiem od stóp do głów. Spytał: "Czy masz tytoń?". "Nie". "Czy masz chleb?". "Nie". "Pieniądze?". "Nie". Mocniej ścisnąłem w rękę sabota. Spojrzał w dół na moje saboty, potem podniósł głowę i powiedział: "Zdejmij buty".

Bez zastanowienia i używając refleksu, który wypracowałem sobie podczas lat trenowania szermierki, walnąłem go sabotem między oczy. Upadł do tyłu na innych więźniów. Cofnąłem się w tył trzymając sabota w pogotowiu. Takie było moje powitanie sowieckich więźniów.

Przyglądałem się drugiemu końcowi celi. Stała się rzecz niesłychana. Rozległ się ryk śmiechu, połączony z przekleństwami, które wyrażały zdziwienie i podziw. Mój przeciwnik siedział oniemiały na ziemi, a krew lała mu się z twarzy.

Ciemny mężczyzna, którego opisałem poprzednio, podniósł się i podszedł w moją stronę. Był wyraźnie silny. Byłem gotowy do starcia. Powiedział: "TY MAŁADIEC A WAŃKA DURAK". (Jesteś dzielny, a Wańka to głupiec).

11

"Skąd jesteś?"

"Jestem Polakiem. Dopiero co przyjechałem pociągiem z Polski i nie wiem, gdzie teraz jestem".

"Jesteś w Kijowie w ETAPNEJ TIURMIE (więzieniu tranzytowym). Chodź ze mną".

Poszedłem za nim. Cela była teraz obudzona. Zrobili nam miejsce. Przydzielono mi miejsce na ziemi, a mój nowy przyjaciel, który na imię miał DIMITRIJ, zaoferował mi papierosa. Przedstawił mnie swoim towarzyszom. Nazywał ich REBIATA (dzieci). Okazało się, że DIMITRIJ jest STAROSTĄ celi, zaufanym NKWD.

Nieodłącznym elementem administrowania potężnym imperium więzień i obozów koncentracyjnych NKWD było wykorzystanie najgorszego elementu kryminalnego. Gdyby nie pomoc tych ludzi NKWD nigdy by się nie udało utrzymać miliony więźniów w tak brutalnej dyscyplinie. Ci kryminaliści, zachęceni przywilejami przez NKWD sprawiali, że życie większości więźniów zakwalifikowanych do grupy 'politycznych' było całkiem nieznośne. Starosta jest przewodniczącym celi. To on dostaje chleb, rozdaje zupę, ma najlepsze miejsce w celi, z dala od paraszy i jest pośrednikiem między więźniami a dozorcami więziennymi NKWD.

Starosta podejmuje wszystkie życiowe decyzje w celi. Dimitrij i jego Rebiata należeli do rosyjskiej braci kryminalnej zwanej ŻULIO. Jest to dziwaczna grupa ludzi w Związku Radzieckim. Uznają oni bowiem więzienia i obozy koncentracyjne za swoje domy. Wielu urodziło się w obozie koncentracyjnym, inni awansowali z BEZPRIZORNIE^{YCH} - dzikich, porzuconych dzieci, które jak zwierzęta żyją w dziurach w ziemi, w stadach, zwykle na przedmieściach większych miast. W miejscach takich jak Moskwa czy Charków żyją oni czasami w zapomnianych grobowcach na cmentarzach. Żyją z kradzieży i mordu. Spotkałem ich w sowieckich więzieniach. Mając nie więcej niż dziewięć, dziesięć lat, byli to dzicy o anielskich twarzach. Strażnicy NKWD boją się ich. Widziałem jak jeden PATZAN (bezdolny chłopiec należący do BEZPRIZORNYJE) odgryzł kawałek ciała z ręki NKWD-owca, który zabierał go od jego kolegów z celi. Tamten akurat PATZAN trafił do więzienia za podejrzenie gardła wiejskiej kobiecie, żeby obrabować ją z jedzenia, które wiozła na targ.

Spośród ponad stu mężczyzn w celi byłem jedynym Polakiem. Dimitrij i jego świta mieli wszystko pod absolutną kontrolą. Ze strachu więźniowie godzili się na każde polecenie ZULIO, którzy z kolei bali się Dimitrija. W więzieniu w Kijowie nauczyłem się bardzo ważnej lekcji - lekcji, która odnosi się również do życia w Rosji Sowieckiej w ogóle: dla słabszych nie ma litości, bez względu na to, czy słabość odnosi się do ciała czy do umysłu. Na słabych i bezbronnych żerują silni. Kiedy w celi zmarło dwóch więźniów, Dimitrij trzymał ich ciała przez trzy dni, tak aby dostać ich racje chleba i zupy.

Chociaż nie umiał ani czytać, ani pisać, jego umysł był szybki, był bardzo zainteresowany życiem w Polsce. Do Wańki (którego twarz okrutnie spuchła do ciosu sabotem) podchodził z absolutną pogardą. Dimitrij nazywał go 'małym złodziejaszkiem'. Po naszej walce Wańka traktował mnie dobrze, ale ja nigdy mu nie ufałem.

Ku mojemu zdziwieniu, ta 'tranzytowa' cela pełna była Rosjan, choć Kijów to stolica sowieckiej Ukrainy. Znajdujący się tu Ukraińcy byli zrusyfikowani. Dowiedziałem się niebawem, iż 75% ludności Kijowa to Rosjanie i powiedziano mi iż wśród pozostałych 25% więcej jest Polaków niż Ukraińców. Chruszczow, wykonawca poleceń Stalina, zakończył praktycznie rusyfikację Kijowa rozpoczętą przez carów.

Byłem przerażony obskurnością stroju noszonego przez więźniów, którzy pochodzili z przeróżnych środowisk. Byli tam chłopcy z SOWHOZÓW i KOLHOZÓW, skazani na dwa lata poprawczej pracy, ponieważ mieli niesprawny traktor. Nazywało się to 'sabotaż'. Byli robotnicy, którzy dostali rok i dwa lata za dwuminutowe spóźnienie do pracy. Pewien mężczyzna, który kupił dwie pary butów w państwowym sklepie i próbował je sprzedać na czarnym rynku został nazwany 'spekulantem'. Wszyscy ci ludzie byli zmuszeni do odsłużenia wyroku w odległych częściach Rosji, pracując praktycznie za nic: to znaczy, otrzymywali chleb, dwa razy dziennie zupę i, jeśli mieli szczęście, kawałek ryby. W ten sposób NKWD gromadzi nieograniczoną siłę roboczą dla państwa. Wystarczy aby NKWD oznaczyła kogoś mianem 'niebezpiecznego społecznie' aby musiał on spędzić resztę życia w obozie przymusowej pracy, bez jakiegokolwiek sądu.

To właśnie w więzieniu w Kijowie po raz pierwszy pojawiło się u mnie współczucie dla Rosjan. Całe sowieckie imperium zdawało się być w mocy złej siły, począwszy od najwyższego stanowiska, sprawowanego przez Stalina, po ostatniego obywatela umierającego w lochach.

Nigdy nie interesowały mnie dogmaty polityczne; byłem zbyt zajęty moimi studiami i masą innych zainteresowań poza pracą. Moja świadomość polityczna sięgała jedynie tak daleko jak miłość ojczyzny i pragnienie aby ją udoskonalać przez wybraną przeze mnie profesję - uprawę ziemi. Większość moich kolegów z Akademii w Dublinach podzielało tę opinię. Przy rzadkich okazjach docierały do nas makabryczne opowieści z Żelaznej Kurtyny, która znajdowała się wówczas ^{na} wschodniej granicy Polski. Te jednak, z powodu niewyobrażalnych okropieństw, były z reguły zapomniane przez młodych ludzi i traktowane jak 'antykomunistyczna propaganda'. Pamiętam jak kiedyś przy czytaniu o czystkach i egzekucjach przy rosyjskiej eksterminacji chłopów zwanych KULAKAMI, jeden z moich przyjaciół zareagował: "To nic innego jak propaganda. Takie rzeczy nie mogą się dziać w XX wieku".

Teraz jednak, po raz pierwszy, znajdowałem się w bezpośredniej styczności z ludźmi, którzy byli wykwitem całkiem innej ideologii; rezultatem rewolucji z 1917 roku i 22 lat bolszewickiej władzy. To w mojej celi w Kijowie zdecydowałem iż dowiem się jak w praktyce działa sowiecki komunizm. Chciałem odkryć w jaki sposób ludzie: chłopci, robotnicy i inteligencja skorzystali z ofiar milionów istnień ludzkich po i podczas rewolucji i w czystkach po wszystkim, co symbolizowała Rosja Carska.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech ludzi żyjących w Sowiecie jest ich niesłychana nieufność w stosunku do siebie na wzajem. Początkowo nie mogłem zrozumieć, dlaczego niektórzy z nich byli bardziej otwarci i ufni w stosunku do mnie, cudzoziemca, niż do ich własnych współrodaków. Wkrótce zdałem sobie sprawę, iż mają oni głęboko zakorzeniony lęk przed byciem zadenuncjowanym do NKWD i w tej kwestii nie stanowiłem dla nich jakiegokolwiek zagrożenia. Nie mogli być jednak pewni co do innych współtowarzyszy z celi, z których każdy mógł być prowokatorem NKWD.

Było kilka wyraźnych różnic pomiędzy moim życiem w więzieniu w Kijowie w towarzystwie Dimitrija i jego Zulio w tym w polskich celach wśród moich rodaków. Rosyjskie podejście do uwięzienia było całkowicie pasywne. Miałem wrażenie, iż postrzegali to jako naturalną część życia, coś co zesłał na nich los. Jedyną rozrywką w celi było opowiadanie historii, te jednak dotyczyły zawsze dawno minionych czasów. Ulubionymi były sprośne opowieści i rozwiążności Katarzyny Wielkiej, o rosyjskim poecie Puszkynie i, oczywiście, o szalonym opacie Rasputinie i ostatnich z ^{osobach} rodzin carskich.

Było to dla mnie niesłychane, iż unikano współczesnych historii. Jestem pewien, iż to ze strachu przed byciem zadenujcowanym. Ponieważ jednak Rosjanie to urodzeni bazarze, ich historie były dla mnie ciekawe i pouczające. Pomagały mi w przyswojeniu coraz to lepiej kolokwialnego rosyjskiego.

Patrzono na mnie jak na gościa z innej planety. Jak już wcześniej powiedziałem, Dimitrij i jego koledzy byli ciekawi mojego wcześniejszego życia w Polsce i ciągle domagali się coraz więcej szczegółów. Wyraźnie nie wierzyli w niektóre rzeczy, które opowiadałem im o życiu w wolnym i demokratycznym społeczeństwie. Byli bowiem przyzwyczajeni do obrazu Europy i Wolnego Świata, przedstawianego im przez rosyjską propagandę; iż jest ona pod kontrolą wysysających krew kapitalistów, którzy w celu przywiązania swoich robotników głodzą ich na śmierć, a jakiegokolwiek próby oporu kończą rozstrzelaniem. Tłumaczy to oczywiście dlaczego pełna izolacja Rosjan od reszty świata zawsze była i będzie fundamentalną koniecznością. Nie wolno im kiedykolwiek dowiedzieć się prawdy. Przedwojenne Polska oddzielona była od Związku Radzieckiego ziemią niczyją, drutami kolczastymi, szerokim pasem zaoranego pola, które natychmiast zdradzało kroki kogokolwiek, kto by nie wchodził lub z niego wychodził. Haniebna ściana Ulbrichta w Berlinie jest logicznym przedłużeniem tej dawno ustanowionej polityki.

Minęło kilka dni a ja znowu zostałem wezwany i załadowany do transportu z kilkoma Rosjanami. Wydawało się, iż większość z nich w wagonie więziennym, to księgowi z tak zwanych państwowych kolektywnych gospodarstw. Wyglądało na to, iż NKWD była w trakcie czystki wśród tamtejszej administracji. Jednocześnie bowiem aresztowano wszystkich księgowych w regionie Kijowa i oskarżono o oszustwo. Czystki tego typu były częścią sowieckiego systemu. Powiedziano mi, iż w 1937 roku podobne wydarzenie miało miejsce wśród pracowników stacji kolejowych "w celu zapobieżenia sabotażu^o". Tego rodzaju ofiary padały bez przerwy i utrzymywały Sowieców w stanie ciągłego strachu. Jeden można było wyciągnąć z tego wniosek: System ten był ostrożnie zaprojektowany aby ludzi, którzy musieli cierpieć z powodu ciągłego braku chleba, czy innego pożywienia, podstawowych wygód i mieszkań, trzymać w niewoli. NKWD nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy choćby przejaw opozycji. Motto rosyjskiego komunizmu brzmi: "Kto nie jest z nami jest przeciwko nam".

Tym sposobem dwieście milionów ludzi było trzymany przez sowiecką niewolę w warunkach nie do zniesienia. Bolszewicy wprowadzili nawet ponownie średniowieczne prawo, które pamiętam po łacinie: "Glebe Ad Scripti" (Przywiązany do Ziemi). Oznaczało to, iż robotnicy w kolchozach mieli zakaz opuszczania miejsc pracy. Żeby udać się do miast w tym samym rejonie potrzebowali paszportu, a w celu odwiedzenia Moskwy, lub innych miast Pierwszej Klasy (wszystkie małe i duże miasta w Związku Radzieckim są sklasyfikowane liczbami), robotnik musiał się starać o pozwolenie z komisariatu NKWD. Ten ostatni określał powód i cel wizyty jak również czas pobytu.

Obok dwustu milionów żyjących w ten sposób, pojawiła się nowa arystokracja, ciesząca się przywilejami nieporównywalnymi z tymi w jakimkolwiek wolnym państwie wolnego świata. W czasie mojego uwięzienia, arystokracja ta, licząca milion osób, składała się z oficjalnych członków Partii Komunistycznej, łącznie ze wszystkimi członkami NKWD.

Nasz pociąg posuwał się bardzo wolno i w końcu, w środku nocy, wyładowano nas na bocznicę dużej stacji. Po wielości świateł zgadłem, że było to duże miasto, i okazało się, że to CHARKÓW. Ponownie wciśnięto mnie tyłem do przedziałiku podobnego do trumny w czarnym kruk, ażeby odbyć niewygodną podróż trwającą nieco mniej niż godzinę. Przez jakiś czas czarny kruk poruszał się z całą mocą pod górę. Słyszałem odgłos otwierania wielkiej bramy, po czym wyładowano mnie na brukowane podwórze otoczone ogromnymi budynkami budzącego przerażenie więzienia w CHARKOWIE. Było ono słynne w całej Ukrainie i reszcie Rosji. Znano je jako 'HOLODNA HORA' (Zimna Góra).

W dużym pokoju przyjęć na dobrze wyszorowanej podłodze siedziała już spora grupa więźniów. Zostałem dokładnie przeszukany w oddzielnym miejscu, po czym zabrano mnie do obszernej celi piwnicznej, w której znajdowało się już jakieś trzysta osób. Dostrzegłem grupkę, która z powodu stylu i jakości ubioru była zapewne grupą Polaków. Kiedy mój wzrok nieco się przyzwyczał do półmroku panującego w celi, rozpoznałem w niej wysoką, przygarbioną postać profesora KLEMENSIEWICZA z Politechniki Lwowskiej. Był dobrze znany jako narciarz i taternik i brany był w strój narciarski. Jego widok dodał mi sił. Podeszedłem do niego. Przywitaliśmy się tak jak byśmy się przez przypadek spotkali na nartach. Znał mnie odkąd miałem dziesięć lat. Profesor powiedział mi, iż on, podobnie jak mała grupka naszych rodaków, została przywieziona do Charkowa z więzienia w Stanisławowie, dopiero parę godzin temu.

Kiedy tak staliśmy zatopieni w rozmowie, plecak Profesora wisiał mu luźno za paski na prawym ramieniu. Całkiem przez przypadek spojrziałem w dół i zobaczyłem jak około dziewięcioletni chłopiec odcina mu ostrym nożem paski. Chłopak zaczął uciekać z plecakiem. Ledwo udało mi się go złapać i wyciągnąłem rękę, żeby chwycić chłopca. Uciekł, zamachnąwszy się na mnie z wściekłością swoim nożem. Było to moje pierwsze spotkanie z PATZANEM, bezdomnym chłopcem z grupy Bezprizornije. Ten miał błyszczące oczy, czystą cerę i małe dłonie. Profesor przyjął ten incydent ze spokojem, podziękował mi jednak gorąco.

Przez resztę nocy NKWD zabierała mężczyzn z celi tranzytowej. Zabrano mnie samego i kazano maszerować w górę szeroką klatką schodową, a potem wzdłuż bardzo szerokiego korytarza, gdzie stara podłoga wyszorowana była tak dokładnie, iż wyglądała prawie jak biała. Mój strażnik otworzył drzwi do celi a ja wziąłem jeden sabot do prawej ręki. Zostałem wepchnięty do środka i stanąłem przy drzwiach. Słabe żółte światło z jedynej żarówki w celi pokazało, iż jest ona duża i całkowicie pełna ludzi, większość których właśnie się budziła i wstawiała. Parasza stojąca przy drzwiach, choć pełna i przelewająca się, była nadal w użytku. Smród uderzył moje nozdrza.

Cela była tak pełna, iż ledwo się poruszałem, jednak po jakimś czasie zacząłem posuwać się wzdłuż ściany w lewo, z dala od Paraszy i mokrej ziemi. W tym wysiłku najwyraźniej nadepnałem na kogoś jeszcze leżącego na ziemi, gdyż skierowano do mnie długi potok przekleństw po rosyjsku; determinacja na mojej twarzy i sabot w ręku wystarczyły jednak, aby go powstrzymać.

Porządek dnia w celi rozpoczynał się od wyniesienia Paraszy i wylania jej do ubikacji po drugiej stronie korytarza. Następnie wszyscy w celi, około pięćdziesięciu mężczyzn, zostało pognanych do ubikacji, która była o wiele za mała i była najohydniejszym miejscem, jakie kiedykolwiek widziałem. Potem było śniadanie składające się z kapiatoka i chleba, a następnie starosta wybierał około dziesięciu mężczyzn do wyjścia do pracy w więzieniu. Po wyjściu grupy roboczej, mogłem się położyć na ziemi i zasnąć.

Większość moich współwięźniów w celi była Rosjanami; byli również i Ukraińcy, których pochodzenie mogłem zgadnąć jedynie dzięki brzmieniu ich nazwisk. W ich zachowaniu bowiem nie pozostało nic, co mogłoby wskazywać na to, iż są kimś innym niż Rosjanie. Dowiedziałem się, w (Holodnej Horze, iż Charków, drugie co do wielkości miasto w Republice Ukrainy, był całkowicie zrusyfikowany.

Oprócz mnie wszyscy więźniowie byli już skazani i czekali tylko na transport do poprawczych obozów pracy. Było to na moją korzyść, gdyż dostawałem, tak jak inni, 650 zamiast 500 gram chleba, rację przeznaczoną dla skazanych. Prawie wszyscy byli oskarżeni ^o w imię Paragrafu 54 Ukraińskiego Kodu Kryminalnego. Zatytułowany on jest 'Kontrewolucja' i ma wiele podparagrafów, odnoszących się do każdego wykroczenia pod słońcem przeciwko Sowieckiej Republice Socjalistycznej. Wyroki wynosiły najczęściej od ośmiu do dziesięciu lat, a wszyscy bez wyjątku więźniowie z którymi rozmawiałem, przysięgali swoją niewinność i wierność Leninowi, Stalinowi, marksizmowi i komunizmowi. Jeden obwiniał za aresztowanie swojego sąsiada, który zadenuncjował go z zawiści o jego dobra; inny został oskarżony po tym, jak jego własne dzieci powtórzyły w szkole jego uwagi na temat sowieckiego systemu.

Więźniami byli najczęściej zwykli robotnicy ^o różnych kolejach losu; wśród nich był jednak młody mężczyzna w mundurze. Był to były Komandir Porucznik i z nikim się nie zadawał. Był niski, ^o ale trzymał się bardzo prosto.

Jedynym pospolitym kryminalistą w celi był Starosta. Był brutalny, ale sprawiedliwy. Nie tylko zaopatrywał się w najlepszy chleb i zupę, lecz również dostawał swój przydział ze wszystkiego, co grupa robocza zdobyła poza celą. Wydawało się, iż nienawidzi nas wszystkich, gdyż zostaliśmy zakwalifikowani ^o do więźniów politycznych. Był ^o pełen propagandy, sloganów i sowieckich frazesów.

Po moim kilkudniowym pobycie w Charkowie, grupa robocza powróciła z pewną wiadomością. Dostęcznie przechodziła ona po kolei, od więźnia do więźnia, lecz mnie pominięto. Spytałem byłego Komandira Porucznika o co chodzi. Powiedział: „Dora Kaplan umiera”.

Nie miałem pojęcia, kim jest Dora Kaplan, i powiedziałem mu o tym. Spojrzał na mnie z lekkim niedowierzaniem i powiedział: „Dora Kaplan dwukrotnie postrzeliła Lenina w 1918 roku”.

(Była ona członkinią Partii Socjalno-Rewolucyjnej, niezadowolonej ze sposobu, w jaki dokonuje się Rewolucja. Lenin doszedł do siebie po jej ataku, jednak strzały w końcu przyprawiły go o kalectwo. W 1922 miał atak serca i zmarł w 1924 w efekcie skutków ubocznych. Dora została skazana na śmierć, ale Lenin ją ułaskawił. Wyrok zamieniono na dożywocie i przez lata pracowała ona cichutko w pralni więziennej w Holodnej Horze).

Krótko po wiadomości o tym, że jest chora, usłyszałem, że umarła.

Komandir Porucznik był zadziwiony moja niewiedzą na temat historii Rosji. Po tym incydencie odbyliśmy kilka rozmów. Uważał się za prawdziwego komunistę, jego słownictwo jednak i wyświechtane zwroty przypominały bardziej mowę kogoś po praniu mózgu. Jego podejście do świata poza Związkiem Radzieckim było dla mnie niemal przerażające. Żywił on fanatyczną nienawiść do europejskiego systemu kapitalistycznego pomieszaną z podziwem dla Stanów Zjednoczonych. Był przekonany, iż Związek Radziecki w końcu prześcignie Amerykę. Ani razu nie powiedział mi za co został skazany na dziesięć lat poprawczych robót, które, w większości przypadków oznacza wyrok przedłużonej śmierci poprzez zimno, głód i ciężką pracę.

Czas mijał monotonnie. Staralem się niszczyć wszy i dbać o czystość własnego ciała, ale było to prawie niemożliwe; było bardzo mało wody. Rosjanie zdawali się być pogodzeni z brudem i robactwem. Nie mieli regularnych sesji zabijanie^{ie}, takich jak my w Sambor^{ze} czy Siankach. Kiedy poświęciłem część wody do picia na umycie się nad Paraszą w sposób, w jaki uczył mnie Lebec, byli wielce ubawieni.

Pewnej nocy Sliedowatiel NKWD i Czasowoje [tworzyli drzwi do celi i zamiast zadać rutynowe pytanie 'Ktoś na literę L?' krzyknęli: „Wysoki Polak! Weź swoje rzeczy i chodź z nami. Bystrej (szybko)”.

Zabrano mnie w długą, zdawałoby się, drogę wzdłuż kilku korytarzy i w górę schodów, aż doszliśmy do małego pokoju. Zostałem tam gruntownie przeszukany, a moje ubranie obejrzano dokumentnie centymetr po centymetrze. Moje włosy i brodę przystrzyżono do samej skóry. Dostałem kostkę różowego mydła, pachnącego jak gotowane cukierki i umyłem się w wiadrze wody. W trakcie tej czynności byłem obserwowany przez trzy pary oczu. Ubrałem się i zostałem zabrany do innego pokoju, gdzie pobrano ode mnie odciski palców i dłoni. Potem kazano mi trzymać tablicę, na której było napisane kredą moje nazwisko, imię, imię ojca, data urodzenia i kilka innych liczb.

Sfotografowano mnie kilka razy w różnych pozycjach. Aparat bardzo starodawny i duży, zrobiony był z drewna. Stał na drewnianym stojaku. Cała ta procedura wydawała się niekończąca. Kiedy było po wszystkim, dwóch NKWD-owców zabrało mnie kilkoma korytarzami, w górę i w dół schodami, w innym, niż poprzednio, kierunku. Więzienie Holodna Hora w Charkowie musiało być ogromne.

Zatrzymaliśmy się w końcu przed drewnianymi drzwiami, na których dużymi literami było napisane 'SPEC-CORPUS'. Specjalne więzienie w więzieniu. Była to część zarezerwowana dla więźniów uważanych za najważniejszych i najbardziej niebezpiecznych. Serce waliło mi przeraźliwie.

Drzwi się otworzyły i zostałem przekazany strażnikowi NKWD, który musiał podpisać za mnie pokwitowanie. Drzwi za mną zostały zamknięte na klucz. Wydawało się, iż na służbie znajduje się tylko jeden strażnik, który nakazał mi pójść za nim. Była absolutna cisza, kiedy wchodziliśmy po schodach. Dotarło do mnie, iż ta część więzienia musi być dźwiękoszczelna. Doszliśmy do piętra i skręciliśmy w korytarz. Wzdłuż jego lewej ściany był rząd zamalowanych białą farbą okien. Po prawej zaś stronie znajdował się rząd drewnianych drzwi, każde zaopatrzone w wizjer zakryte ruchomym wieczkiem. Wszystko wyglądało tak nieskazitelnie czysto, iż robiło wrażenie bardziej szpitala niż więzienia. W tej czystości było coś niepokojącego.

Bardzo cicho, bez wypowiedzania słowa, wpuszczono mnie do celi. Była ona mała, około dwa metry na trzy i znów szpitalnie czysta. Pojedyncza żarówka z sufitu dawała dostateczne oświetlenie. Po lewej stronie znajdowała się prycza przykryta szarym kocem. Siedział na niej mężczyzna z głową zagrzebaną w dłoniach. Widziałem tylko jego ciemne, siwiejące włosy na czubku głowy.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Usłyszałem, iż mężczyzna na pryczy łka. Stałem w bezruchu, aby nie być intruzem w jego smutku. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności; po jakimś czasie położyłem się na ziemi i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, w celi panował półmrok. Żarówka elektryczna w suficie była wyłączona, nieco światła wpadało jednak przez maleńkie, zakratowane okienko, wysoko nad drzwiami celi. Mój towarzysz stał z prawą stroną twarzy przyciśniętą do drzwi i uważnie nasłuchiwał. Panowała kompletna cisza. Zobaczyłem teraz, że był mały i baryłkowaty. Kiedy poruszyłem się, żeby wstać, odwrócił się do mnie, a w jego ciemnych, przestraszonych oczach, dostrzegłem smutek i niepokój. Wydawał się na granicy szaleństwa i przez głowę przeleciała mi myśl, iż nigdy dotąd nie widziałem twarzy człowieka, która wyrażałaby tak ogromny strach. Jego wygląd i czystość, jak również elegancja stroju świadczyła o tym, iż należał do rosyjskiej elity i że był w więzieniu od niedawna. Próbowałem zagadać do niego, on jednak nie odpowiadał. Był całkiem pogrążony w sobie i swoim nieszczęściu.

Tego dnia nie dotknął swojej porcji chleba, pił jednak często wodę. Raz po raz słyszałem jak mówi do siebie: „Co mogę zrobić?”

Jego niepokój bardzo mnie bolał. Chciałem go pocieszyć, ale nie miało to sensu.

Nadal panowała cisza, choć widziałem, iż często otwierał się Judasz, a cela jest pod obserwacją.

Do mojej wieczornej zupy, podanej w drewnianej misce, po raz pierwszy od czasu schwytania, dano mi drewnianą łyżkę. Mój towarzysz odmówił swojej porcji, szybko jednak wyszeptał coś do NKWD-owca, który przyszedł ze strażnikami. Nie dosłyszałem jednak słów.

Ponownie ułożyłem się na ziemi. Lampa elektryczna była zapalona i nie mogłem zasnąć. Rosjanin nie mógł sobie znaleźć miejsca. Po krótkiej chwili siedzenia na łóżku, stał dłuższą chwilę z uchem przy drzwiach, nasłuchując. Jak zwykle w bolesnych momentach, odnalazłem ukojenie w modlitwie do Naszej Pani, Królowej Polski.

Stało się to w środku nocy. Rosjanin uciekł od drzwi do przeciwległej ściany. W pośpiechu przypadkowo mnie kopnął. Wstałem. Drzwi się otworzyły, ukazując kilku NKWD-owców. Stałem między nimi a moim więziennym kompanem.

„FJODOR IWANOWICZ KORYŁOW. Wystąp”.

Zza moich pleców doszedł mnie trzęsący się, łamany strachem głos: „Towarzysze! Przyjaciele! Nie róbcie mi tego. Jestem prawdziwym komunistą. Pomóżcie! Nie zabierajcie mnie!”

Dwóch NKWD-owców weszło do celi, a Rosjanin objął mnie ramionami, krzycząc przez łązy: „Nie pozwól im mnie zabrać. Zabiją mnie”.

Uchwycił się mnie z niewiarygodną siłą. Pokój pełen był strażników NKWD. Oderwali go ode mnie i związali ręce za plecami, obwiązując linę dokoła jego szyi w sposób dobrze mi znany. Potem zdjęli mu buty i praktycznie wynieśli. Nadal krzyczał i błagał i w całkowitej ciszy Spec Korpusu, słyszałem go z daleka.

Usiadłem na pryczy. Nieco później przyszedł Czasowoj i kazał mi zebrać wszystkie rzeczy Rosjanina. Zabrał je ode mnie i powiedział: „Masz jego łóżko”. Byłem w celi z człowiekiem skazanym na śmierć.

Nawał myśli, jaki przeleciał mi przez głowę jest nie do opisania. Okropna świadomość, iż jestem otoczony przez moce, które w każdej chwili mogą zakończyć moje życie sprawiała, że nie byłem w stanie cieszyć się wygodami celi, która, jak na rosyjski standard, była luksusowa. Modliłem się za odwagę, aby stawić czoła moim oprawcom z dumą; aby móc ukryć przed wrogami mojego kraju okrutny strach, który mną owładnął.

Następny dzień spędziłem w kompletnej ciszy, w półmroku celi, powtarzając sobie słowa wypowiedziane do mnie przez ^{cię?} zjawę mojego ojca w podziemnej celi więzienia w Samborze „Przejdiesz przez wszystko i nic się nie skrzywdzi”.

Odwiedził mnie więzienny Politruc i Śledowatiel NKWD. Politruc, po zadaniu mi kilku pytań potwierdzających moją tożsamość, wyjął z teczki dwie żółte kartki papieru, zapisane maczką po rosyjsku. Podał mi jedną z nich i kazał podpisać. Odmówiłem mówiąc, iż nie umiem czytać po rosyjsku i co więcej nie znam rosyjskiego alfabetu. Był zły, ale powiedział: „Przeczytam ci”.

„Będziesz sądzony przez Trojkę, nasz trzyosobowy Trybunał Rewolucyjny. W tym dokumencie są zarzuty, na który ^e będziesz musiał odpowiedzieć”.

Zaczął czytać: iż nielegalnie przekroczyłem granicę; iż wysłał mnie wywiad brytyjski; iż, będąc szpiegiem, przygotowywałem kontrrewolucję przeciwko Rosji Sowieckiej za pomocą wywrotowych działań zbrojnych i organizowania powstania wśród wyzwolonych mieszkańców Zachodniej Ukrainy.

Wszystkie te zarzuty znajdowały się ^w pod paragrafem 54 Ukraińskiego Kodu Kryminalnego. Były tam dwie pełne strony wykroczeń, które rzekomo popełniłem.

Skończył czytać i ponownie poprosił o podpisanie. Ponownie odmówiłem. Był zły i powiedział: „To i tak nie ma znaczenia. Nie pożyczysz długo”. Drzwi się zamknęły, a ja zostałem z jedną z żółtych kartek papieru. Był to najwyraźniej owoc pracy Majora nade mną, od momentu mojego pierwszego przesłuchania w Turce, do naszego ostatniego spotkania w Samborze.

Później tego dnia, strażnik NKWD przyniósł mi ciemno niebieską rosyjską koszulę z otwarciem po boku. W Rosji Sowieckiej taki strój nazywa się KOSOWOROTKA. Powiedział mi, żebym ją założył, gdyż później tej samej nocy, mam stanąć przed Trojką.

Nie było nic innego do roboty, jak tylko czekać. Postanowiłem, że będę wyglądać tak elegancko, jak to tylko możliwe i wypolerowałem moje oficerki szarym kocem. Modliłem się.

Było bardzo późno, kiedy otworzyły się drzwi i zostałem wezwany. NKWD-owcy stanowili moją eskortę. Przerazająca Trojka siedziała w murach więzienia Holodna Hora. Wchodząc do średniej wielkości pomieszczenia, dostrzegłem najpierw stół wzdłuż ściany naprzeciwko drzwi, przykryty jaskrawo-czerwonym obrusem. Za stołem siedziało trzech mężczyzn. Byli oni w średnim wieku, ubrani w rosyjskie ubrania i wydawali się bardzo tędy, szczególnie ten siedzący w środku. Miał on czerwoną, choleryczną twarz, praktycznie bez szyi i zadarty nos, który był zbyt mały w stosunku do reszty twarzy. Był całkiem łysy i zdawał się przewodniczyć.

Oprócz stołu, ławki i kilku krzeseł, pokój był pusty. Na ścianie za stołem był duży wizerunek Stalina, ozdobiony czerwoną flagą z sierpem i młotem. Posadzono mnie na ławie między dwoma strażnikami. W pokoju było dwóch lub trzech innych NKWD-owców.

Natychmiast rozpoznałem grubą już teczkę z moim nazwiskiem. Widziałem ją poprzednio w więzieniu w Turce i Sambor. Trzech członków Trojki czytało z niej jakieś dokumenty. Zerkali na mnie raz po raz. Wszystko to zdawało się trwać wieki.

W końcu mężczyzna w środku odwrócił się do Politruka, który przyniósł do mojej celi listę zarzutów. Miał on być moim oskarżycielem i był przebrany z munduru w ciemną, cywilną marynarkę, choć nadal miał na sobie długie, gumowe oficerki i ciemno-niebieskie NKWD-owskie bryczesy. Moja sprawę przygotował niezwykle starannie. Były w niej wzmianki dotyczące każdego szczegółu moich przesłuchań, to, iż posiadałem brytyjską fajkę Dunhilla, i nawet pastę do butów Kiwi. Zajęło mu to dużo czasu i długo rozwodził się co do mojej tożsamości. Powiedział, iż przeszedłem granicę jako angielski szpieg i przybrałem nazwisko człowieka, który został zabity w czasie wojny. Najważniejszy jednak był jego wniosek: iż jako agent brytyjskich imperialistów i kapitalistów i ich lokaj, byłem wrogiem Rosji Sowieckiej i należy mnie zastrzelić jak psa.

W trakcie tej długiej przemowy byłem poddany dokładnemu zbadaniu. Byłem pewien, iż podjęli już w mojej sprawie decyzję i cała dalsza procedura była jedynie farsą. Zastanawiałem się, czy pozwolą mi na to wszystko coś odpowiedzieć i bronić się.

„Jacek Mieczysławowicz Łopuszański. Wstań”.

Wstałem: uczynili to również dwaj strażnicy po bokach.

„Czy słyszałeś i zrozumiałeś co powiedział o tobie Komrad oskarżyciel?”

„tak”.

„Czy jesteś gotów przyznać się i wyjawić wszystko tak, abyśmy mogli obejść się z tobą łaskawie?”

Powiedziałem: „Niet. Nie ma nic do wyjawienia. Nie jestem angielskim szpiegiem. Nie mówię po angielsku i nigdy nie byłem w Anglii. Nie mam żadnych kontaktów z angielskim wywiadem. Nie jestem wrogiem Związku Radzieckiego. Jestem polskim żołnierzem, który starał się jedynie być posłuszny rozkazom Polskiego Rządu we Francji i dołączyć tam do wojsk polskich, aby kontynuować walkę przeciwko Niemcom i temu wszystkiemu, co niesie ze sobą Hitler i Niemcy. Jestem oskarżony o przygotowywanie zbrojnego ataku na Rosję Sowiecką; Polska jednak nie jest z Rosją w stanie wojny. Przeciwnie, Polska ma ważny akt o nieagresji”.

Tyle pozwolono mi powiedzieć. Przewodniczący gruby mężczyzna huknął pięścią w stół i wrzasnął:

„MOLCZY! (Zamknij się!) Jesteś nie tylko szpiegiem, ale także agitatore. Zostałeś dobrze wyuczony przez twoich imperialistycznych i kapitalistycznych panów.”

Taki był koniec przesłuchania. Gruby mężczyzna powiedział: „Twoja sprawa jest zakończona. Będziesz powiadomiony o werdykcie”. Odwróciwszy się do jednego ze strażników powiedział: „Zabierz go”.

Po powrocie do celi natychmiast kazano oddać mi rosyjską koszulę. I znowu nie pozostało mi nic innego, jak tylko czekać.

Następne dwa dni upłynęły na modlitwie i rozmyślaniu. Próbowałem przygotować się na najgorsze, ale jakoś w głębi wierzyłem, że przeżyję. Miałem wrażenie, że znalazłem się w jakimś nierealnym koszmarze i jakkolwiek beznadziejne się wszystko wydaje, moja sprawa w końcu zwycięży.

Wygodna cela była dla mnie jak sala tortur. Nie mogłem spać. Trzeciej nocy po moim, tak zwanym, przesłuchaniu, do celi wszedł oskarżyciel Politruk i dwóch innych NKWD-owców. Politruk zaczął czytać: „Jacek Mieczysławowicz Łopuszański, sądzony przez Rewolucyjny Trybunał Trojki regionu Charków, za wykroczenia z Artykułu 54, o Kontrewolucji... (potem zacytował kilka podsekcji)... jak również z Artykułu 79 o Nielegalnym Przekroczeniu Granicy Rosji Sowieckiej jest winny tych wykroczeń przeciwko Rosji Sowieckiej i ludziom Sowietu i zgodnie z Ukraińskim Kodeks Kryminalnym zostaje skazany na śmierć”.



12

paragraf



Poprosił mnie o podpisanie. Odmówiłem i zostałem zostawiony w spokoju.

Tych, którzy czytają moją historię muszę teraz poprosić o wybaczenie tego, co teraz nastąpi. Może się to wydać niepotrzebnym obnażaniem duszy. Muszę to jednak powiedzieć z jednego tylko powodu. Świat wie o tym, iż w straszliwych czasach, które powaliły Polskę po rozbiorze przez Rosję i Niemcy, tysiące moich rodaków stawało przed wyrokiem śmierci i było poddanych egzekucji. Większość była w moim wieku i umierała w warunkach bardzo podobnych do tych, przed którymi teraz stałem. Moje doświadczenie w więzieniu w Charkowie jest tym, co z nimi dzielę i stwierdziłem, że jako prawdziwy Polak, wychowany w wolnej i chrześcijańskiej Polsce, powinienem opisać moje podejście do wszechwładnej śmierci z rąk naszych barbarzyńskich, wschodnich wrogów.

Moje młode, silne ciało buntowało się przeciwko umysłowi. Poprzez racjonalizację i logikę próbowałem stłumić mój niezwykle silny instynkt przetrwania. Byłem świadomy każdego mięśnia w moim ciele i po przejściu udawanej egzekucji w Samborze, ^{gdzie} prawie że czułem lufę pistoletu „Nagana” opartą o podstawę mojej czaszki. ^M Miałem w sobie nieopisany strach przed śmiercią.

Jakże wiele myśli przelatywało mi przez głowę. Jakże krótkie było moje życie! Jak niewiele udało mi się osiągnąć! Nie miałyby to znaczenia, gdybym się nigdy nie urodził. Dlaczego taki los przygwoździł mój kraj, który tak szybko odbudowywał się po Pierwszej Wojnie Światowej? Dlaczego przytrafiło się to nam, kiedy próbowaliśmy stworzyć sprawiedliwe i wolne społeczeństwo? Jakże prawdziwe i praktyczne jest pojęcie patriotyzmu, miłości i służby własnemu krajowi! Jak ważne, aby mieszkać na swojej własnej ziemi! Jak nic nieznaczące, w świetle katastrofy, która się teraz wydarzyła, były międzypartyjne waśnie! Jakże tragicznie głupie narzekania na podatki, protestujące głosy ekonomistów i pacyfistów, którzy nie godzili się na wydatki na obronę! Gdyby tylko wiedzieli, co miało się wydarzyć! Warto byłoby żyć o chlebie i wodzie, gdyby oznaczało to utrzymanie naszej wolności. Zamiast tego byliśmy systematycznie wyniszczani przez naszych dwóch złowieszczych sąsiadów. Nie stanowiliśmy jednak dla nich żadnego zagrożenia, poza naszym tradycyjnym chrześcijaństwem, naszą wiarą w wolność osobistą i naszym odrzuceniem totalitaryzmu.

Pograżony w strachu, zwróciłem się do Boga w modlitwach, których nie można znaleźć w żadnym modlitewniku.

Poprosiłem Go, aby był moim spowiednikiem. Powiedziałem Mu, który wie wszystko, wszystkie moje grzechy i niedociągnięcia i błagałem o przebaczenie. Poprosiłem Go aby dał mi siłę do zachowania honoru. W końcu poprosiłem Go, aby przyjął moja śmierć jako ofiarę dla Jego Opatrzności i błogosławieństwo dla bliskich i moich cierpiących rodaków. Po tej modlitwie i dedykacjach, uspokoilem się i zacząłem odczuwać głód, zacząłem jeść. Zauważyłem, że jestem pod stałą obserwacją przez Judasza. Robiłem gimnastykę, chodząc prawie że do wyczerpania i udało mi się zasnąć. Przebudzenie jednak i zdanie sobie sprawy z mojej ~~pozycji~~ było okropne.



→ sytuacji

Znowu wziąłem się w garść. Bóg wysłuchał mojej modlitwy.

Tego dnia, kiedy przyszedł oznajmić mi mój wyrok, Politrak zjawił się ponownie w celi. Trzymał ołówek i kartkę papieru i w półmroku wręczył mi oba przedmioty.

„Oto papier i ołówek. Możesz napisać do Towarzyszcza Stalina i prosić go o oddalenie Twojego wyroku”.

Oddałem mu obie rzeczy i powiedziałem: „Nie umiem pisać po rosyjsku, a ty i twoja Trojka wiecie, iż moim jedynym wykroczeniem jest bycie polskim żołnierzem”.

12

Powiedział: „Nie wiem, czy jesteś głupi, czy też chcesz umrzeć, ale na pewno jesteś taki jak cała reszta | twardy. Nie rozumiem cię”. Odszedł, a ja zostałem znowu sam z moim szaleńczo bijącym sercem.

105

Następnych kilka dni spędziłem na niespokojnym oczekiwaniu. Straciłem rachubę czasu, wiedziałem jednak, że znowu jest zima.

Odkąd dowiedziałem się o mojej karze śmierci, przestałem starać się oszczędzać oficerki i bryczesy i nosiłem je niemal cały czas. Były one widzialnym łącznikiem z moim minionym szczęściem: z rytmicznym ruchem konia; z chrzęstem skóry na siodle; z wolnością. Starałem się oddalić myśli o mojej nadchodzącej egzekucji, każdy jednak ruch na korytarzu oznaczał zagrożenie.

Koniec mojej męki w Spec Korpusie w Holodnej Horze nadszedł, jak wszystkie wydarzenia kontrolowane przez NKWD, całkiem niespodziewanie. W środku nocy, strażnik nakazał mi się ubrać, założyć oficerki i wziąć wszystkie moje rzeczy. Te ostatnie to lniane chłopskie spodnie i drewniane saboty. Kazał mi czekać.

Byłem gotów i | w pewien sposób | ulżyło mi, | pamiętając, iż | kiedy zabrano Rosjanina z celi na egzekucję, nie wolno mu było zabrać butów.

10/10

→ bo pamiętałem



Po długim oczekiwaniu, zostałem poprowadzony z celi do pomieszczenia, które zdawało się być biurem ~~Naczelnika~~ (zarządcy). Jak na rosyjskie warunki było ono niezłe umeblowane. Obecność kilku butelek wódki i przeróżnego jedzenia na dużym biurku wskazywało na trwającą pewnego rodzaju zabawę. Było tam kilku wysoko postawionych oficerów, siedzących z kieliszkami w ręku. Zostałem postawiony w środku pokoju i poczułem na sobie wszystkie pary oczu.

Rosjanie uśmiechali się szeroko, a cała scena wydawała się nierealną. Stałem wyprostowany z poważną, nieruchomą twarzą. Nie miałem zamiaru uczestniczyć w wesołości moich wrogów. Najwyraźniej zostałem tam przyprowadzony, aby ich zabawić.

Nie było to jednak wszystko. Średniego wzrostu Pułkownik o nieskazitelnym wyglądzie, wstał i spomiędzy butelek na biurku podniósł kartkę papieru. Czytał szybko:

„Jacek Mieczysławowicz Łopuszański, urodzony 17 lipca 1917 roku we Lwowie w Zachodniej Ukrainie, dawnej Polsce, skazany na śmierć przez Rewolucyjny Trybunał Trojki Regionu Charków... (potem nastąpił długi opis moich „przewinień”)”. Następnie, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, powiedział on, iż moja apelacja do Comrada Stalina, Pierwszego Sekretarza Komunistycznej Partii ZSRR o łaskę, została wysłuchana. Przecież nigdy nie pisałem żadnej apelacji! Powiedział, iż został on zamieniony na nieokreślony czas robót w Północno-Wschodnim Poprawczym Obozie Pracy. Zakończył: „Podpisano Józef Stalin”.

Coś w środku wykrzyknęło: „Nie zabiją cię! Nie zabiją cię!”. Starłem się jednak aby nie drgnął mi ani jeden mięsień lub inaczej nie pokazać ulgi.

Powiedział: „Nie cieszysz się, że będziesz żył?”

„Tak”.

„**ŻYĆ BUDZIESZ NO JEBAĆ NIE ZACHOCZYSZ**” (co tłumaczone łagodnie oznacza: „Będziesz żył, ale już nigdy nie zamarzysz o stosunku płciowym”).

Nic nie odpowiedziałem. W ciągu godziny byłem znowu w przedziale więziennym z nieznanymi rosyjskimi więźniami, w pociągu pędzącym z dala od Charkowa.

12

Przed świtem pociąg zatrzymał się i wraz z grupką rosyjskich więźniów kazano mi wysiąść i usiąść po pięciu w śniegu koło torów kolejowych. Byliśmy w samym środku otwartej przestrzeni. Na horyzoncie nie było ani jednego budynku.

Pilnowała nas grupka strażników NKWD w białych kozuchach w towarzystwie wilczurów. Kiedy pociąg odjechał, kazali nam wstać i skrzyżować ręce za plecami. Potem usłyszeliśmy polecenie: „PO PIATORKAM DAWAJ W PIERJOD”. („Po pięciu, naprzód”). Ruszyliśmy przez głęboki śnieg, ciągle w półmroku, otoczeni przez strażników, którzy trzymali swoje karabiny w pogotowiu. Dwa psy były na smyczy, po jednym z każdej strony nas. Było okrutnie zimno. W oddali dostrzegłem kilka świateł.

Nasza dróżka biegła po niewielkim spadku. Dookoła nie było ani jednego krzaczka, który by zburzył białą monotonię pól pokrytych śniegiem. Powoli robiło się jaśniej. Strażnik popędzał nas abyśmy szli szybciej, jednocześnie przypominając nam cały czas, o trzymaniu rąk za plecami. Rosjanin koło mnie przesunął ręce po poślizgnięciu się na śniegu i został natychmiast powalony na ziemię uderzeniem w plecy kolbą karabinu.

Powoli schodziliśmy więc w dół i przed sobą zacząłem rozróżniać potężny zarys budynku podobnego do zamku. Jego ciemne, wyraźne kontury stanowiły ostry kontrast dla terenu pokrytego śniegiem i sprawiały wrażenie przerażającego odosobnienia. Dotarliśmy w końcu do solidnie ogrodzonych bram budynku przypominających fortecę. Dowiedziałem się potem, iż było to jedno z najstarszych i najbardziej przerażających więzień w Związku Sowieckim zwane BAHMUD (po rosyjsku: BAHMUDSKA TIURMA). Zostało ono zbudowane przez Katarzynę Wielką i wielu z jej przeciwników więziono tam do śmierci. Choć jego nazwa została zmieniona na ARTIOMOWSKA TIURMA imię pozostało.

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła była grubość murów więziennych w niektórych miejscach dochodząca do dwóch metrów. Wydawało się, że po latach ściany zaczynały się zapadać pod ziemię pod swoim własnym, ogromnym ciężarem.

Po dokładnym przeszukaniu w ciemnym pomieszczeniu na parterze, strażnik NKWD zabrał mnie schodzącym na dół korytarzem do więziennych piwnic. Na niższym poziomie, korytarz był pełen więźniów leżących na ziemi. Było tam dość miejsca na przejście dla jednej tylko osoby.

Po prawej stronie znajdował się ciąg wnęk około 1,5 metra wysokości. Każda kończyła się jakieś dwa metry dalej ciężkimi żelaznymi drzwiami, a za tymi drzwiami znajdowały się lochy. Mógłbym je równie dobrze nazwać katakumbami. Aby wejść do mojej celi, musiałem się praktycznie zgiąć w pół i wejść do wnęki a potem przecisnąć się obok ściany i przejść obok strażnika NKWD, który otworzył drzwi.

W słabym, żółtym świetle pojedynczej żarówki, cela przypominała czarny, kamienny grób. Miała ona jakieś 3,5 metra kwadratowego. Znajdowała się tam jedna drewniana prycza, na której leżał starszy, siwy mężczyzna a drugi stary człowiek siedział. Reszta mieszkańców rozmieszczona była na ziemi. Parasza stała obok drzwi. Po obu stronach miała ona żelazne pierścienie, przez które można było przełożyć kij i wynieść do opróżnienia. Nie było okna. Otwór do inspekcji nie był zakryty od zewnątrz, a jedynie solidnie okratowany. Brak wentylacji oznaczał, iż ściany były permanentnie mokre, co z kolei sprzyjało rośnięciu ciemno-zielonej pleśni.

Cela śmierdziała. Była, jak dotąd, najgorsza, jaką widziałem. Mimo wszystko byłem jednak dobrej myśli z powodu oswobodzenia mnie od kary śmierci.

Moi towarzysze w celi zdawali się być obojętni na moją obecność, kiedy jednak roznoszono pajkę, starosta, Rosjanin w średnim wieku musiał się wyklócić ze strażnikiem o porcję dla mnie. Po wielokrotnym przeliczaniu dostałem mój chleb. Jak tylko drzwi za strażnikiem zamknęły się, starosta zażądał połowy. Odłamałem mały kawałek chleba i podałem go Rosjaninowi lewą ręką. W prawej trzymałem drewniany sabot. Powiedziałem: „Dostaniesz najwyżej tyle za swój wysiłek”. Wziął go bez słowa. W więzieniu w Kijowie dostałem dobrą naukę.

W opisach okropnych więzień, często czyta się o myszach i szczurach. Choć Bahmud to najstraszniejsze ze wszystkich sowieckich więzień, przypominało całą ich resztę z tego względu, że nie było tam ani jednego gryzonia. Są one nieobecne z tej prostej przyczyny, iż nie ma dla nich nic do jedzenia. Więźniowie w Związku Radzieckim są trzymeni o takim głodzie, iż zjadają nawet najmniejszy okrusz pożywienia. Nie pozostaje nic.

Stary człowiek leżący na pryczy umierał na chorobę płuc. Po ataku kaszlu zaczął płuć krwią. Stary mężczyzna siedzący na pryczy starał się go doglądać. Powiedział mi, iż inwalidą jest Profesor Matematyki z Leningradu. Znałem jedynie jego imiona: SERGIEJ IWANOWICZ. Jego przyjaciel to Ukrainiec, Profesor Ekonomii Socjalnej z Uniwersytetu w Kijowie. Znałem również jedynie jego imiona: IWAN WŁODZIMIROWICZ. Był to dobry człowiek. Jestem przekonany, że obaj profesorowie byli idealistami komunizmu od długiego czasu. Iwan Włodzimirowicz był jednym z przedstawicieli ukraińskiej inteligencji w Kijowie, który brał czynny udział we wcielaniu NEP-u, NOWEJ EKONOMICZESKOJ POLITIKI. Została ona wprowadzona przez Lenina, aby polepszyć życie ludziom w Związku Sowieckim po spustoszeniach wojennych, Rewolucji i ekonomicznym upadku. NEP zezwalał na prywatną inicjatywę i, co najważniejsze, pozwalał aby drobni chłopcy uprawiali własną ziemię i dostarczali swoje produkty na wolny rynek w miastach i wsiach. Zgodnie z tym, co mówił Iwan Włodzimirowicz i inni Rosjanie, z którymi rozmawiałem, życie poprawiło się tak szybko podczas NEP-u, iż był to dla nich najszcześniejszy i najbardziej dostatni okres od czasu Rewolucji.

Zostało to zakończone przez porządki Stalina, który skolektywizował całą ziemię i zlikwidował drobnych rolników, zwanych KUŁAKAMI. Proces ten rozpoczął się czystką skierowaną w tych wszystkich, którzy wprowadzali NEP. Iwan Włodzimirowicz został aresztowany i skazany na pięć lat pracy, jednak dzięki starym bolszewickim przyjaciołom i kolegom, wypuszczono go akurat na czas, aby mógł być świadkiem sztucznie wywołanego głodu na Ukrainie w latach trzydziestych. To, co wydarzyło się podczas tego głodu zdruzgotało Iwana Włodzimirowicza do tego stopnia, że niemal każda rozmowa prowadziła do jego doświadczeń z tamtego okresu. Nazywał to Wymordowaniem Narodu Ukraińskiego.

Moja przyjaźń z Iwanem Włodzimirowiczem powstała na bazie mojego pragnienia opieki nad umierającym Siergiejem Iwanowiczem. Był on bardzo słaby, z trudem łapał powietrze i mógł ledwo mówić. Próbowaliśmy ulżyć mu w cierpieniu.

Iwan Włodzimirowicz był na pewno wspaniałym nauczycielem. Z powodu różnicy wieku (był ona jakieś trzydzieści lat strasznie ode mnie) traktował mnie jak jednego ze swoich studentów, a nasze rozmowy przypominały wykłady.

lc Jc
L

Był on zagorzałym komunistą, ja jednak nazwałbym go humanitarnym socjalistą. Za wszystkie niedociągnięcia w Związku Sowieckim winił nieodpowiednich ludzi u władzy.

Nie zgodził się z moją opinią, iż prawdziwa siła systemu demokratycznego polega na tym, iż rząd jest pod stałą publiczną obserwacją i może być zmieniony głosami ludzi, którymi włada.

Kochał swoją wielką Ukrainę. Kiedy po raz pierwszy spytałem o głód w latach trzydziestych, spojrział na mnie poważnie, ale nic nie odpowiedział. Nie naciskałem. W dzień lub dwa powiedział bardzo cicho do siebie, bardziej niż do mnie: „Jestem już stary, i istnieje mała szansa, że będę kiedykolwiek wolny, ty jesteś młody. Być może uda ci się przeżyć. Jesteś cudzoziemcem i może nadejść czas, kiedy wolno ci będzie opowiedzieć ludziom o tym, co wydarzyło się na Ukrainie. O głodzie, który nie był głodem, a wymordowaniem narodu”.

Ciągnął dalej: „Od czasów Rewolucji mieliśmy kilka okresów głodu. Najstraszniejszy był po przegranej wojnie z Polską. Potem nastąpiła straszliwa susza. Ziemia była do tego stopnia spalona, iż co najmniej trzydzieści milionów ludzi miało bardzo niewiele do jedzenia. Kilka milionów zmarło z głodu. Było to w latach 1921 i 1922, ale różniło się znacznie od Ukrainy w 1931 i 1933 roku. Ten głód był wywołany specjalnie... z polecenia z góry ... z Kremla, od Stalina. Chruszczow był architektem i wiernym wykonawcą tych poleceń ... wspomagany przez całą potęgę NKWD”.

Kiedy Iwan Włodzimierzowicz wspominał Chruszczowa, powiedziałem mu, że natychmiast po inwazji Armii Sowieckiej na Polskę i nazwaniu terytorium Polski Ukrainą Zachodnią, Chruszczow stanął u władzy. To on, wraz z NKWD Berii, zorganizował masowe aresztowania i „dobrowolne przesiedlenia” mieszkańców Polski do azjatyckiej Rosji. Stalin dobrze znał swojego eksperta.

Iwan Włodzimierzowicz ciągnął dalej: „Rok 1931 był niezwykle pomyślny. Rekordowe żniwa pszenicy, ziemniaków i innych plonów cieszyły chłopów, szczególnie dlatego, iż NEP zezwalał na prywatną własność ziemi i wolny handel. Ludzie w ukraińskich miastach mieli jedzenia pod dostatkiem. Nakaz Stalina brzmiał jednak: kolektywizacja rolnictwa... co oznacza, iż Państwo ma pierwsze prawo i łatwy dostęp do tego, co zostaje wyprodukowane. Nie muszą ściągać podatków od indywidualnych kułaków lub zabierać od nich produktów. Spichlerz gospodarstwa kolektywnego należy w pełni do Państwa”.

„Ukraiński chłop stawiał oczywiście opór. Wielka siła NKWD spadła na Ukrainę. Co jednak najważniejsze granice zostały otoczone armią NKWD. Ukraińskim chłopom odebrano paszporty, co oznaczało, iż mieli zakaz wjazdu do miast, lub nawet dużych wsi. Jesienią tego roku NKWD skonfiskowało zboże, ziemniaki, nawet owoce z sadów we wszystkich wsiach. Ludzie próbowali robić kryjówki z jedzeniem. Jeśli zostali nakryci, byli rozstrzelani na miejscu. Bydło i świnie zostały skonfiskowane i odebrane. Przyszła straszna zima a chłopom nie pozostało nic do przeżycia długich, zimnych, śnieżnych miesięcy. Taki był początek powolnego mordowania ukraińskiej populacji chłopów. Siedem z czterdziestu milionów straciło życie przez zagłodzenie. Dotknęło to w pierwszym rzędzie dzieci i ludzi starych. Głód był tak straszny, iż ludzie zjadali ciała swoich zmarłych niemowląt i krewnych. Nie było litości. Wymarły całe wsie”.

Iwan Włodzimirowicz spojrzał na mnie swoimi dobrymi, szarymi oczami, a łzy toczyły się po jego pooranej zmarszczkami, szarej twarzy. Nie był to jednak koniec jego opowieści.

„Następnie przyszła kolej na ukraińskie miasta i miasteczka. Noc w noc NKWD dokonywało masowych aresztowań inteligencji, oskarżając ją o kontrrewolucję, nacjonalizm ukraiński i trockizm, oraz przynależność do NEP-u. Wszystkie te zarzuty były wystarczające do tego, aby kogoś zaaresztować”.

Iwan Włodzimirowicz, który mocno wierzył w NEP, został aresztowany i wraz z wieloma innymi trzymany w więzieniu lub obozie koncentracyjnym. Zrujnowało to jego zdrowie. Wielu zostało zabitych. Rodziny deportowano do azjatyckiej Rosji pod hasłem „ wolne przesiedlenie” i nigdy ich więcej nie widziano.

Choroba Sergieja Iwanowicza postępowała. Po kolejnym silnym ataku kaszlu, dostał on krwotoku z ust. W zatłoczonej celi pielęgnacja była niemożliwa. Wziąłem w garść jeden z moich drewnianych chodaków i zacząłem walić w drzwi. Spotkało się to z dezaprobatą ze strony moich rosyjskich współtowarzyszy, których nie interesowało zdrowie Sergieja Iwanowicza. Dopiero po jakimś czasie do drzwi podszedł Czasowoj i wrzasnął: „Skończ natychmiast z tym hałasem, albo wyciągnę cię i wpakuję do KARCERU (celi poprawczej) na trzy dni”.

Odwrasnąłem: „Umiera tu człowiek. Potrzebuje lekarza. Traci krew”. NKWD-owiec odparł: „Nieważne. Mamy w Związku Radzieckim dosyć ludzi. A ty się uspokój. Rano obejrzy go lekarz”.

Tej samej nocy Sergiej Iwanowicz, Profesor Matematyki na Uniwersytecie w Leningradzie zmarł.

Po porannej prowierce (liczenie głów) wraz z Iwanem Włodzimirowiczem wytachaliśmy bezwładne, lekkie ciało Sergieja Iwanowicza przez wąski tunel wejściowy tylko po to, aby usłyszeć nakaz pozostawienia ciała w korytarzu.

Po powrocie do celi spytałem Iwana Włodzimirowicza, czy wszystkie rosyjskie więzienia są zawsze takie przepelnione. Odpowiedział: „Nie, nie zawsze”, kiedy jednak są pełne są tylko dwa powody - albo jest wojna, albo NKWD potrzebuje ludzi do jednego ze swoich dużych przedsięwzięć”.

Powiedziałem: „Proszę to wyjaśnić”.

„A, to bardzo proste. Dam ci przykład. Niemcy rozpoczęli wojnę z Polską, zmobilizowano Armię Sowiecką. Wielu robotników wcielono do armii. Również młodzi więźniowie z poprawczych obozów pracy zostali bezpośrednio przeniesieni do wojska. Taka mobilizacja spowodowała oczywiście poważne braki siły roboczej w różnych przedsięwzięciach w całym kraju, którymi zarządzało NKWD.

„NKWD, Narodowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, po egzekucji ⁷⁻ YEZOWA i powołaniu Berii na przewodniczącego, dokonało masowych aresztowań ludzi, którzy nie nadawali się do służby wojskowej. Więzienia w całym Związku Radzieckim były przepelnione do tego stopnia, iż więźniowie musieli być trzymani na korytarzach, gdyż w celach nie było miejsca. Większości aresztowanych nie zarzucono żadnego wykroczenia. Obchodzono się z nimi zgodnie z tak zwaną ‘procedurą administracyjną’ i nazywano S.O., Socjalno Opastnyj lub społecznie niebezpieczny. Zostali oni wysłani do łagrów (obozów więziennych) rozsianych po całym Związku Radzieckim i w ten sposób luki spowodowane mobilizacją były szybko i efektywnie zapełnione, okupione jednak ogromnym ludzkim cierpieniem”.

Słuchając Iwana Włodzimirowicza, dokonałem refleksji, iż zaledwie kilka miesięcy temu, w wolnej Polsce, potraktowałbym tę historię jako anty-sowiecką propagandę. Było to jednak coś ze starożytnego Egiptu, gdzie faraonowie posługiwali się niewolnikami do budowy piramid. Iwan Włodzimirowicz ciągnął: „Muszę ci opowiedzieć historię życia mojego przyjaciela, który był jednym z najlepszych inżynierów cywilnych w Związku radzieckim. Mieszkał on w Moskwie. Słyszałeś zapewne o bardzo ważnym kanale między Bałtykiem a Morzem Białym. Został on ukończony w 1933 roku przez ponad milion niewolników. Zanim robota się rozpoczęła NKWD napelniła więzienia. Znowu warunki były tak straszne, iż więźniowie musieli spać na korytarzach.

„Aresztowań dokonano aby sprostać potrzebom ogromnego przedsięwzięcia NKWD. Człowiekiem, którego postawiono na jego czele był mój przyjaciel. Jak na ironię był on na początku zamknięty w więzieniu za trockizm a potem, jako alternatywę do pracy fizycznej, zaproponowano mu zarządzanie tym monumentalnym zadaniem. Rzecz jasna, skorzystał z okazji. Jak już powiedziałem, wymagało ono siły roboczej ponad miliona ludzi takich jak ogromnej liczby robotników budowlanych, stolarzy, inżynierów, hydraulików, kierowców traktorów i tak dalej. NKWD dokonywało aresztowań zgodnie z listą wykwalifikowanych pracowników, którzy byli im potrzebni. Były miasta, które straciły wszystkich stolarzy lub hydraulików jednej nocy. Niekiedy zdarzały się przypadki, iż NKWD zachowała się nadgorliwie aresztując zbyt wielu ludzi jednej umiejętności. Tych, którzy byli ponad zapotrzebowanie, uwalniano bez podawania przyczyny. Praca przy kanale Bałtyk - Morze Białe odbywała się w strasznych dla nieszczęsnych niewolników warunkach. Narzędzie były prymitywne, jedzenie niewystarczające”.

Iwan Włodzimierowicz był przekonany, iż ponad pół miliona tych robotników zmarła podczas trwania przedsięwzięcia, kanał jednak skończono o czasie. Przyjaciel Iwana został wypuszczony i odznaczony Orderem Lenina.

Potem pojawiło się nowe przedsięwzięcie: kanał Moskwa-Wołga. I znów w więzieniach kipiało od wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych robotników i znów przyjaciel Iwana został aresztowany i zaproponowano mu kontrolę nad pracami budowlanymi jako alternatywę do pracy fizycznej w więzieniu. Stał na czele a kanał ukończono w 1937 roku. I znów około pół miliona niewolników straciło życie. Przyjaciel Iwana Włodzimierowicza został wypuszczony i odznaczony honorami, ale był on złamanym człowiekiem. Coś w nim pękło i nie mógł już pracować w swojej profesji. Postradał rozum.

Odrzekłem, iż mimo osiągnięć tego systemu, wydawał mi się on nieludzkim Iwan powiedział: „Tak, całkowicie się z tobą zgadzam. Sam jednak dostałeś odpowiedź, kiedy prosiłeś o pomoc dla Sergieja Iwanowicza. ‘Mamy dosyć ludzi w Związku Radzieckim’”.

„To było i jest nadal mottem tych, którzy rządzą Rosją Sowiecką. Ludzkie życie nie jest nic warte. Istnienie Państwa jest jedyną rzeczą, która się liczy. Dyktatura Proletariatu niczym się nie różni, od innych rodzajów dyktatury”.

„Najlepszym przykładem jest nasza przyjaźń z Hitlerem. Tak prędko zawiązana i tak całkowicie spożytkowana. Istnieje dla tego tylko jeden powód. Sowiecko-Bolszewicki komunizm i niemiecki hitlerowski nazizm funkcjonują na tych samych zasadach. Metody i praktyka jest ta sama. Istnieje ten sam brak tolerancji dla własnych obywateli. 'Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam' To motto wspólne dla obu systemów”.

Słuchałem Iwana Włodzimierowicza i pomyślałem: rzecz jasną, że dla człowieka takiego jak on istnieje tylko jedno miejsce w Związku Radzieckim... więzienie lub obóz pracy. Moje współczucie dla ludzi Sowiecie pogłębiło się w więzieniu w Bahmud. le

Mój wyjazd z więzienia nastąpił w środku którejś nocy. Nie dano mi nawet dość czasu, aby pożegnać się z moim dobrym przyjacielem profesorem Iwanem Włodzimierowiczem.

Szedłem w kierunku linii kolejowych, pilnowany przez NKWD-owców z dwoma psami. Robiło się coraz cieplej a śnieg zmieniał się w chlapę i bryzgał w górę od butów strażników. Byłem szczęśliwy, że każdy krok zabierał mnie dalej od ponurych murów Bahmudy.

Jakiś pociąg zatrzymał się na otwartym polu i wysiadł z niego kontyngent więźniów i został zmuszony do siądca w grupkach po pięciu w topniejącym śniegu. Byłem jedynym więźniem, który miał wsiąść do pociągu. Wsiadłem więc do znajomego wagonu więziennego, który ku mojemu zdziwieniu, był pusty. Podróż trwała krótko. O świcie pociąg zatrzymał się na otwartej przestrzeni.

Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegłem drewniane budynki jakiejś wioski. Przywieziono mnie do Starobielska. Byłem jedynym wyładowywanym więźniem, a moje NKWD-owska eskorta składała się z czterech strażników z karabinami najeżonymi bagnietami i szczekających wilczurów. Szedłem środkiem drogi z rękoma na plecach. Wkrótce zobaczyłem po raz pierwszy za dnia sowiecką wioskę.

Po obu stronach drogi znajdowały się drewniane chaty. Wyglądały na bardzo stare i rozpadające się i były zapewne zbudowane przed rewolucją. Przed frontowymi płotami niektórych z tych chat biegł wąski, drewniany chodnik. Podczas mojego marszu zauważyłem, po raz pierwszy od mojego przybycia do Związku Radzieckiego ludzi, którzy byli w drodze do pracy. Jd

Potem wydarzyło się coś, co otworzyło mi oczy na sposób życia sowieckich ludzi. Reakcją tych wolnych obywateli, żyjących w 'Raju Robotników' na mój zbliżający się mały konwój, było zatrzymanie się i odwrócenie do nas plecami, tak, jakby wszyscy byli więźniami w rosyjskim więzieniu. Ci zwykli ludzie pracy musieli zachowywać się jak małpy, które nic nie słyszały, nie widziały i nie mówiły. Ich życie było pełne strachu.

Po paru minutach zauważyłem kopuły rosyjskiego kościoła prawosławnego (cerkwi), w ich charakterystycznym, bizantyjskim stylu. Na lewo od budynku znajdował się podobny, mniejszy kościół (Mała Cerkwa). Cały teren otoczony był drutem kolczastym, z rozmieszczonymi na całej długości drewnianymi wieżami ostrzałowymi.

Pod eskortą doprowadzono mnie do dużych drewnianych bram, dokładnie takich, jak w filmach o fortach armii amerykańskich na Dzikim Zachodzie. Przeszliśmy przez wąską furtkę na prawo od bramy, prowadzącą do stróżówki. Było tam na straży dwóch poruczników NKWD. Nie przeszukiwali mnie; zlustrowali mnie jedynie od stóp do głów. Jeden zapytał: „Czy masz jakieś złote monety?” Odpowiedziałem: „Nie mam nic. Odebrano mi wszystko, co posiadałem”.

Młodszy z dwóch poruczników wypowiedział do mnie tylko dwa zdania: „Spóźniłeś się. Twój towarzysz odeszli parę miesięcy temu”. Miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, jego kolega powstrzymał go jednak.

Wkrótce zostałem doprowadzony na obwarowany teren. Znaczny obszar dokoła dużego kościoła był okolony drutem kolczastym. Na prawo znajdował się długi rząd drewnianych pawilonów, zwanych PAŁATKI. Były one zbudowane dosyć niedawno, prawdopodobnie jakieś pięć czy sześć lat temu. Zabrano mnie do Pałatki 13 gdzie, ku mojej radości, znalazłem się pośród moich współrodaków, którzy zostali przywiezieni do Starobielska zaledwie przed paroma tygodniami z różnych więzień w okupowanej Polsce.

To co uderzyło mnie jako pierwsze w Starobielsku, to relatywnie rozluźniona atmosfera. Normalnie oszklone okna i drewniane drzwi, choć solidnie okratowane, przyczyniały się do tego klimatu. Rząd drewnianych prycz był luksusem w porównaniu do standardu innych rosyjskich więzień. Chata 13 nie była zatłoczona; było tam tylko dziesięciu młodych ludzi, wszyscy polskiego pochodzenia. Wszyscy zdawali się być pogodni, mimo oznak długiego więzienia przez Rosjan.

lata 40?

Przywitał mnie raczej niewysoki, młody mężczyzna o miłej, inteligentnej twarzy. Nazywał się Józio WILK. On i jego starszy brat zostali złapani podczas próby przejścia Karpat do Węgier, tak by dołączyć do Polskiej Armii we Francji. Obaj bracia zostali skazani na siedem lat robót poprawczych. Józio powiedział mi, iż Starobielsk był obozem tranzytowym, z którego więźniów zabierano do różnych innych obozów pracy. Wydawało się, iż wie on dużo na temat Starobielska; później ja sam dowiedziałem się nawet więcej.

Przed Rewolucją, obszar więzienia w Starobielsku znajdował się w rękach zakonników z Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Ich zakon był bardzo zamożny i leżał na terenie kilku akrów ziemi. Podczas Rewolucji duży kościół, Cerkwa oraz mniejszy budynek. Mała Cerkwa zostały przekształcone w bloki więzienne. Do konstrukcji cerkwi wbudowano dodatkowe piętra w sposób, w jaki buduje się pokłady na statku. Prawosławni zakonnicy zostali rozgonieni ale, ku mojemu zdziwieniu, i z przyczyny, która nigdy nie stała się dla mnie jasna, opat (który był niewidomy) i jeden z jego księży byli nadal więzieni w Starobielsku. Często widziałem ich jak przechadzali się pomiędzy dużym kościołem a chatami; niewidomy opat był prowadzony przez swego towarzysza. Mieli na sobie długie, czarne kasaki z charakterystycznym dla księży prawosławnych nakryciem głowy. Nigdy przedtem nie widziałem takiego stroju, aż do 1950 roku nigdy potem, kiedy to zobaczyłem Arcybiskupa Makariosa z Cypru w telewizji. Był on ubrany prawie identycznie jak ci dwaj nieszczęśnicy w Starobielsku, którzy wpisałi mi się w pamięć jako symbol tego więzienia.

Józio Wilk powiedział mi w kilku pierwszych minutach po moim przyjeździe, iż do Starobielska przywieziono polskich oficerów po ich schwytaniu w 1939 roku przez Armię Czerwoną. Jako dowód zaczął mi pokazywać nazwiska ryte na drewnianych pryzkach, w podłodze, drzwiach i oknach chaty. Były nazwiska i daty - większość z listopada i grudnia 1939 roku. Wydawało się, iż chata 13 została przydzielona porucznikom i podporucznikom. Zacząłem przyglądać się drewnie w podłodze centymetr po centymetrze, w nadziei, iż odnajdę nazwisko kogoś, kogo znałem. I znalazłem: „Podporucznik WOJTEK MARKOWSKI, Lekka Artyleria ” i „Porucznik KAZIMIERZ ŁOPUSZAŃSKI, kawaleria”.

Najwyraźniej odbyły się przenosiny mieszkańców, gdyż znajdowały się też następujące inskrypcje: „transport opuszczający Starobielsk, styczeń 1940”. Były też podobne napisy z lutego i marca. Po marcu nie było już nic.

Wszyscy ci oficerowie opuścili Starobielsk w nieznanym kierunku. Dokąd ich zabrano? W owym czasie nie było odpowiedzi. Aby ją otrzymać musiałem czekać do 1956 roku. Stało się to, gdy siedziałem w przytulnym, dużym pokoju w Londynie, należącym do sióstr Wojtka Markowskiego, kiedy zobaczyłem oficjalną listę polskich żołnierzy zamordowanych przez Rosjan w lesie katyńskim. Odczytałem z listy: „Markowski, Wojciech, Podporucznik, Lwów” et cetera. Przekreśliłem stronę i przeczytałem: „Łopuszański Kazimierz, Porucznik Kawalerii”, et cetera.

Dla tych, którzy czytali i słyszeli o masowych morderstwach w Katyniu pragnę powiedzieć jedno: łatwo skwitować tę zbrodnię stwierdzeniem ‘rozstrzelano dziesięć tysięcy ludzi’. W ten sposób wszystko sprowadza się do statystyki. Kim jednak byli ci, którzy umarli? Każdy miał swoją własną historię. Każda śmierć była tragedią. Chcę Ci po krótko opowiedzieć o dwóch spośród owych tysięcy, którzy umarli.

Moja mama i mama Wojtka Markowskiego były przyjaciółkami jakiejś dziewczynki i przyjaźń tę utrzymały kiedy dorosły, wyszły za mąż i urodziły dzieci. Wojtek, którego wszyscy nazywaliśmy Tula, był bliskim przyjacielem mojego brata, Mariusza. Wszyscy Markowscy byli utalentowani muzycznie i artystycznie. Ojciec Tuli był znanym malarzem i Profesorem Sztuk Pięknych. Jego syn odziedziczył po nim te dary i wyrósł na przyjemnego i przystojnego młodego człowieka o wyprostowanej, rosłej posturze. Wyróżniał się jako sportowiec, szczególnie w narciarstwie. Wygrywał zawody w slalomie i skokach narciarskich. Miał wspaniały umysł i równoległe z nauką w gimnazjum (osiem lat i matura) ukończył kursy w Konserwatorium we Lwowie. Grał na pianinie jak mistrz. Tula uważał jednak, iż ze swoimi zdolnościami do rysowania i malowania, istniała dla niego tylko jedna możliwa kariera - architekta. Stał się on jednym z najmłodszych i utalentowanych architektów we Lwowie. Kiedy został powołany do wojska, podobnie jak inni młodzi Polacy, poszedł do Szkoły Podchorążych Artylerii i został Podporucznikiem w Piątym Pułku Lekkiej Artylerii Konnej. W 1939 roku został pojmany jako więzień wojenny (jeniec) przez Rosjan we Włodzimierzu Wołyńskim. Jego siostra, która także aresztowana i deportowana do Rosji powiedziała mi, że ostatnie wieści mieli od Tuli w marcu 1940 roku z obozu w Kozielsku, z którego to miejsca wszystkich rozstrzelano w Katyniu.

Pamiętam Porucznika Kazimierza Łopuszańskiego takiego jakim go ostatnio widziałem: startującego w zawodach we Lwowie w 1937 roku w między-pułkowych zawodach konnych z 14-tym Pułkiem Ułanów Jazłowieckich. Przyglądałem mu się z plemienną dumą. Był urodzonym jeźdźcem; utrzymywał z koniem doskonałą harmonię. Dla mnie był ucieleśnieniem wszystkiego, co najlepsze w starej tradycji polskiej kawalerii.

Nie dość było Związkowi Sowieckiemu aby wziąć udział w rozbiórce Polski wraz z hitlerowskimi Niemcami. Zabili oni Kazimierza Łopuszańskiego i Wojtka Markowskiego oraz wiele tysięcy innych, pociskami w nasadę czaszki w Katyniu.

Niemal od mojego pierwszego dnia pobytu w chacie 13 czułem się lepiej. Holodna Hora i wiezienie w Bahmud poszły w niepamięć jak zły sen. Po raz pierwszy od czasu mojego uwięzienia, dano nam do podziału bryłkę cukru. Zostawiano nas w spokoju w naszej Pałatce od jednej Prowierki do drugiej, bez ciągłego nadzoru ze strony strażników. Co trzeci dzień brano nas także na Prohułkę. Miejscem na Prohułkę było podwórze obok dużego kościoła. Otoczone drutem kolczastym. Strażnicy NKWD traktowali nas z większą swobodą, jaką kiedykolwiek dotąd widziałem.

Pewnego dnia w drodze powrotnej z Prohułki, Józio Wilk dostrzegł w piaszczystej ziemi kawałek szkła. Podniósł je tak szybko, iż strażnik nic nie zauważył. Kawałek ten był nie większy niż 5 na 3 centymetry, Józio jednak wpadł już na pomysł jak go można wykorzystać. Oznajmił: „Wszystkich was ogolę”.

Następnego dnia po „Prowierce” Józio wziął się do roboty. Ogolił nas wszystkich małymi kawałkami odłamany od oryginalnego kawałka szkła. Musieliśmy leżeć nieruchomo na niższej pryczy, kiedy Józio moczył nam twarz wodą, pocierał o nią trochę ohydneho rosyjskiego mydła i szybko golił. Był w tym niezwykle wprawiony i bardzo miłą niespodzianką było to, iż operacja ta nic nie bolała. Potem jeden z nas ogolił z kolei jego. Po raz pierwszy od czasu naszego uwięzienia byliśmy porządnie ogoleni. Trudno opisać przyjemność jakiej doświadczyliśmy. Wieczorna Prowierka minęła jakoś bez incydentów. Spokojnie ułożyliśmy się do wieczornego snu. Po tym jak nas wszystkich ogolił, Józio zdeptał kawałeczki szkła na proszek swoimi ciężkimi butami narciarskimi.

Następnego jednak ranka podczas Prowierki nakazano nam nagle: „Wstawać!”. Komandir NKWD przyglądał się naszym twarzom po kolei. Potem odwrócił się kazał zamknąć drzwi. Parę minut później, usłyszeliśmy kroki jednostki strażniczej, maszerującej w kierunku naszej pałatki. Komandir NKWD wrzasnął od progu: „Kto ma żyłkę? Kto was ogolił?” Nikt nie odpowiedział. Kazano nam się rozebrać i dokładnie nas przeszukano. Cella została przewrócona do góry nogami; wszystko zostało obejrzone. Zaglądali do najmniejszych szczelin, ale nic nie znaleźli. W tajemnicy byliśmy uradowani widząc, jak nasi dozorczy szamoczą się w tych bezowocnych poszukiwaniach. Powiedziałem sobie w duchu: „Warto było”. Wymieniliśmy ciche spojrzenia; nasze oczy śmiały się w głos. Było to świetne uczucie, ten jednak wypadek zakończył mój pobyt w chacie 13. Rosjanie zdecydowali się nas rozdzielić.

Kazano mi przemaszerować obok stróżówki przy głównej bramie, w kierunku małego kościoła, Małej Cerkwi. Zbudowane tam cele, podzielone drewnianymi przegrodami, były małe i ciemne. Wsadzono mnie do celi gdzie, ku mojej radości, spotkałem młodego Polaka z wielkimi zawiniętymi wąsami. Nazywał się Karol Nawalicki. Podczas mojego krótkiego tam pobytu był dla mnie przyjaznym towarzyszem. Powiedział mi, że obóz w Starobielsku jest zapełniany coraz to większą liczbą więźniów przywożonych ze wschodnich części Polski. Powiedział również, iż raz po raz duże transporty odjeżdżają w nieznanym kierunku, najprawdopodobniej jednak jechały do łagrów (poprawczych obozów koncentracyjnych).

Po kilku dniach zostałem wraz z kilkoma innymi współwięźniami, przeniesiony do dużego kościoła. Zostałem ulokowany na najwyższym piętrze, pod samym sufitem i kopułami. Na podłodze było pełno rzędów drewnianych prycz z siecią wąskich przejść między nimi. Według moich szacunków na tym tylko piętrze znajdowało się około kilkuset więźniów.

Wchodzenie na to piętro, było jak wkraczanie do małego, średniowiecznego miasteczka. Moją pierwszą reakcją była przyjemność, gdyż znajdowałem się znowu między rodakami, większość których była ze wschodnich dzielnic Polski. Po paru minutach spotkałem pana Eckerta, którego poznałem po raz pierwszy w więzieniu w Samborze. Poprowadził mnie do samego końca kościoła i zaoferował najwyższą pryczę. Na pryczy tej po przeciwnej stronie przejścia Jan Gała i pan Leśniawski grali w karty. Był tam również ojciec Cibor. Było to jak powrót do domu po dalekiej podróży.

Wydawało się, że transport więźniów z Sambora przyjechał do Starobielska prawie bezpośrednio przede mną. Pan Eckert przedstawił mnie chudemu około 30-letniemu mężczyźnie średniego wzrostu. Nazywał się pan Janusz. Miał nieskazitelnie dobre maniery i od razu go polubiłem. Powiedział, iż jest urzędnikiem z Zachodniej Polski, nie zdradził jednak nic więcej na temat swojego pochodzenia.

Dobrze być wśród ludzi, z którymi spędziłem tak wiele czasu w więzieniu. Przeważnie najwyższego piętra w kościele dawała mi poczucie większej wolności niż tego dotychczas z rąk Rosjan doświadczyłem.

Następnego ranka ruszyłem na poszukiwanie innych przyjaciół i znajomych. Kierowało mną uczucie, iż kogoś spotkam i miałem rację. Czekano na mnie coś więcej niż nagroda. Po raz kolejny uderzyła mnie pomysłowość Polaków. Porobili oni sobie noże, igły do szycia i nici oraz inne narzędzia. Ponieważ chleb dostawaliśmy w jednym kawałku i musiał on być dzielony przez nas samych, skonstruowano kilka wag. Były one również używane do dystrybucji cukru w kostkach. Handel wymienny kwitł w pełni.

Chodząc po labiryntach przejść, pierwszą napotkaną twarzą w twarz osobą był Roman Puchalski. Był to jeden z tych wyjątkowych młodych ludzi, który przez swoją doskonałość sprawiał, iż odczuwało się dumę z przynależności do tego samego narodu. Był bardzo wysoki, miał około 187 cm wzrostu, albo i więcej. Był szczupły ale i silny, z rysami twarzy podobnymi do Wikinga, jasne blond włosy i bladoniebieskie oczy. Twarz była odbiciem dobroci jego charakteru. Niektórzy z jego znajomych uważali go za nieco ekscentrycznego. Jego jedyną miłością była przyroda i życie w naturze. On, jak również jego brat, Włodzimierz, studiował leśnictwo na Politechnice Lwowskiej, obaj jednak poświęcili swoje życie fotografowaniu przyrody. Działalność ta była wybitnym sukcesem. Za wspólne osiągnięcia zostali odznaczeni złotym medalem w zawodach, które o ile dobrze pamiętam nazywały się „Olimpiada Fotograficzna”. Roman był pionierem w takich dziedzinach jak sfotografowanie nacierającego dzika lub gniazda orła. Aby mu zrobić zdjęcie, ryzykował skręcenie sobie karku wspinając się w Tatrach i wchodząc po niestychanie wysokich sosnach. Był on doskonałym wspinaczem i narciarzem. Przy kilku okazjach jeździliśmy razem na nartach w Karpatach. Był on małym, ale mimo to doskonałym towarzyszem. Dzieliłem z nim miłość do natury i wszystkiego, co żyje.

Kiedy go spotkałem wyczułem od pierwszego momentu, iż tkwi w głębokiej depresji graniczącej z załamaniem. Był niezwykle pesymistyczny jeśli chodzi o przyszłość i wyrażał swoją opinię, iż nikt z nas żywy nie opuści Związku Sowieckiego. Było to przekonanie dokładnie odwrotne do mojego, gdyż ufałem, że Boża Opatrzność i Łaska nas ocala.

Roman znajdował się już jakiś czas na wyższym piętrze kościoła i powiedział mi, że jest tam wielu ludzi ze Lwowa. Wspomniał profesora ZDZISŁAWA STAHLA z Uniwersytetu we Lwowie. Młodzi ludzie bardzo go kochali i szanowali za przejrzystość umysłu, za patriotyzm (służył w kawalerii, był oficerem), za bogatą wiedzę z życia politycznego Polski, za bezpartyjność i elegancję manier. Był i dzięki Bogu jest nadal jednym z nielicznych, autentycznych ekspertów sowieckiego systemu. Jego wiedza jest oparta na latach naukowych badań nad Rosją.

Byłem wielce poruszony spotykając Profesora w Starobielsku. Wróciły mi wspomnienia wielu szczęśliwych chwil, które spędziłem w jego towarzystwie z licznymi i drogimi przyjaciółmi ze Lwowa.

Profesor Stahl przybył do Starobielska z więzienia w DNEPROPIETROWSKU. Wydawał się całkiem niewzruszony wszystkimi torturami wywieranymi na nim przez dozorców NKWD. Był spokojny, mimo świadomości, iż ostatecznym celem naszych wrogów jest to, aby nas zniszczyć.

Spotkałem także mojego starego przyjaciela Wojtka Dembińskiego. Przed samą wojną ukończył studia inżynierskie na Politechnice Lwowskiej. Był nieśmiały, zamyślonym młodym człowiekiem i jego dziwną pasją było tropienie ("piesze myślistwo"). Choć dobrze zbudowany, nie był specjalnie silny. Tak czy owak, pokazał później, iż mimo swojej fizycznej słabości, jego charakter, wola i lojalność w stosunku do przyjaciół były wykute ze stali. W owym czasie mało do mnie mówił; przecierpiał jednak wiele od momentu uwięzienia. Nasze spotkanie w Starobielsku odbyło się w całkiem innych okolicznościach niż to było ostatni raz, kiedy byliśmy na przyjęciu urządzanym we Lwowie podczas karnawału przez rodzinę wspólnych przyjaciół.

Szybko weszliśmy w rutynę, która składała się ze spaceru (Prohułka) co trzy, cztery dni. Było wśród nas kilku księży. Jeden z nich, kanonik, o szczupłej, ascetycznej twarzy w warunkach wielkiej tajemnicy odprawiał raz po raz mszę. Używał do niej zwykłego więziennego chleba i wody zamiast wina. Braliśmy udział w nabożeństwie; nie gromadziliśmy się jednak wokół niego, gdyż naraziłoby go to na zdemaskowanie. Zamiast tego siedzieliśmy, lub nawet leżeliśmy na naszych pryczach i modliliśmy się po cichu. Gdyby wydał go jakiś prowokator NKWD, na księdza spadłaby kara w postaci długiego siedzenia w karczerze i bicia, które z kolei mogłoby się zakończyć śmiercią.

Miałem więc luksus spowiedzi świętej i rozgrzeszenia, a zdesakrowany, wielki kościół prawosławny mimo antychrześcijańskiej mocy NKWD był znów w służbie Pana. Ksiądz i inni jak on, którzy to umożliwiali, byli świętymi i męczennikami naszych czasów.

Byliśmy świadomi, iż Starobielsk opuszczają bezustannie duże transporty więźniów i że jeszcze większe transporty docierają tu z różnych części Polski. W ten sposób Rusini karpaccy, których zwaliśmy 'bażanty', znaleźli swoją drogę do obozu więziennego i zostali umieszczeni wraz z nami w kościele.

Nikt z nas nie był przesłuchiwany. Wraz z większością moich towarzyszy byliśmy zdania, iż Rosjanie zdecydowali już co z nami zrobią, a nasz los był przesądzony: mieliśmy być wysłani do obozów pracy przymusowej. Nikt nie wiedział dokąd; pamiętam jednak, że kiedy ocalono mnie od śmierci, niby dzięki Stalinowi, użyto określenia 'północno-wschodnie poprawcze obozy pracy'. Oznaczało to tylko jedno miejsce w imperium sowieckim - Syberię.

Wydarzyło się to wczesną wiosną 1941 roku. Śnieg już stopniał, ale było nadal zimno. Pewnego ranka, kiedy jeszcze spaliśmy, na nasz kościół spadła lawina strielków NKWD. Wrzeszczeli "Podjom! (Wstawać) i brać wszystkie rzeczy".

Ludzie z niższego piętra zostali już pobudzeni i zagnani na podwórze obok kościoła. Byli pilnowani przez NKWD-owców trzymających ręczne karabiny maszynowe. Obok wejścia do kościoła znajdowało się drewniane podium, na którym stali oficerowie NKWD z listami nazwisk więźniów. Potem rozpoczęła się długa procedura odczytywania nazwisk i upewniania się co do tożsamości więźniów poprzez odpytywanie o imię ojca, datę urodzenia i numer sekcji kodu kryminalnego zgodnie z którym zostali skazani. Po identyfikacji więźniów, zabierano ich na zewnątrz i kazano usiąść z grupach po pięciu na piaszczystej drodze. Do czasu kiedy my, z wyższego piętra wyszliśmy na podwórze, na drodze, w długiej, wężowej kolumnie siedziało już kilkuset mężczyzn. Byli oni bacznie pilnowani.

Listy ułożono w ten sposób, iż znalazłem się na zewnątrz, siedząc wśród całkiem obcych mi ludzi, większość z których to Rusini z Karpat, 'bazanty'.

Czekaliśmy do późnego popołudnia, przesuając się co chwila o kilkadziesiąt metrów do przodu po piaszczystej drodze. Wydawało mi się, iż Rosjanie starają się opróżnić cały obóz w Starobielsku. Na szczęście był to suchy dzień. W końcu strażnicy NKWD przynieśli beczkę i ustawili ją na najwyższym miejscu ulicy. Wysoki pułkownik NKWD wdrapał się na beczkę. Pamiętam jego utuczoną twarz i jego grubą, byczą, czerwoną szyję. Bardzo donośnym głosem wykrzyknął: "ZAKLUCHONNIJE! SZACH W PRAWO, SZACH W LEWO, SZCHITAJET SJA POBIE KANWOJ PRINIMAJET URUZJE BEZ PREDUPREZDENJA - PONIATNO, DAWAJ W PERIOD!" - co znaczy: "Więżniowie. Krok w prawo - krok w lewo uważany jest za próbę ucieczki. Konwój będzie strzelał bez uprzedzenia. Zrozumiałe? Ruszać naprzód".

Potężny konwój wstał z ziemi popędzany przekleństwami licznych strażników zaczął iść przez szeroką, wiejską drogę. I znów byłem świadkiem smutnej sceny - wolni obywatele sowieccy zachowują się jak więźniowie, odwracając się plecami do naszego długiego konwoju.

Doszliśmy do otwartej przestrzeni za wsią, a przed nami znajdowały się tory kolejowe i długi ciąg wagonów bydlęcych. Było już prawie ciemno, kiedy piętnaście rzędów po pięciu więźniów, łącznie z moim rzędem, zostały zmuszone do wejścia do wagonów; ciężkie drzwi zatrzasnięto za nami.

Wagon był pusty za wyjątkiem dwóch drewnianych prycz z każdej strony i beczki na wodę wówczas pustej stojącej na środku. Na przeciwko drzwi znajdowała się niewielka dziura, która miała służyć za latrynę. Udało mi się zdobyć miejsce na najwyższej przycy po lewej stronie obok okienka nie większego niż kilkanaście centymetrów kwadratowych. Było ono okratowane, mogłem jednak wystawić rękę na zewnątrz. Po przeciwnej stronie wagonu znajdowało się podobne okno.

Ładowanie trwało jeszcze długo w nocy, a następnie pociąg ruszył. Modliłem się.

Wczesnym rankiem pociąg zatrzymał się na jakiejś dużej bocznicy. Byłem z powrotem w Charkowie. Daleko, gdzieś przy końcu pociągu, słyszałem przerażające walenie w wagon. Hałas narastał i zbliżał się w naszym kierunku. Wkrótce spadł i na nas. Czterech NKWD-owców, każdy opatrzony w wielki pobijak, przypominający kij do polo, uderzało w każdą deskę wagonu po kolei. Jeden walił w deski na suficie, inny w podłodze i po jednym z każdej strony. Upewniali się w ten sposób, iż w próbie ucieczki nie usunięto żadnej części drewnianej konstrukcji. Hałas był zatrważający i mieliśmy z nim żyć podczas częstych sesji w dzień i w nocy, podczas podróży, która trwała kilka tygodni.

Po tym niezwykłym hałasie następowała Prowierka, która okazywała się po prostu kolejnym sposobem torturowania więźniów. Otwierano kłódkę w drewnianych drzwiach i odsuwały się one w bok; przed nami ukazywały się dwa automatyczne karabiny zakończone bagnetami, po czym wsiadał barbarzyński młody strażnik z pobijakiem, któremu pomagał w tym ów drugi. Nakazywał nam przesunąć się na jedną stronę, a swojej maczety używał do tego, aby przyspieszyć każdego więźnia, który zbyt wolno się ruszał. Uderzenie spadały gdzie popadło: na plecy, szyję, głowę. Kilkakrotnie podczas podróży widziałem jak po uderzeniu w głowę, nieprzytomny więzień zostawał powalony na ziemię. Kiedy wszyscy znajdowali się już na jednej stronie, NKWD-owiec zaczynał nas liczyć jednego po drugim, nakazując tym, których już policzył, żeby przeskakiwali na drugi koniec wagonu. I znowu, jeśli ktoś był zbyt wolny, mógł poczuć na sobie ciężar młota. Gdy zdarzało się, iż strażnik się pomylił, kazał wszystkim przejść na jedną stronę i zaczynał od początku. Dzięki mojej sprawności i zwinności, zwykle unikałem ciosów, ale było to okropne dla starszych lub wolniejszych więźniów. Strażnicy obrzucali nas zawsze masą wyzwisk i przekleństw. W trakcie długiej podróży pociągiem, taka Prowierka odbywała się co 24 godziny. Dostyc często pociąg stawał nieświadomo gdzie specjalnie w tym celu.

Na bocznicę w Charkowie napełniono do połowy drewnianą beczkę w środku wagonu. Mówiono nam: "musi wam to starczyć do pojutra". Dawano nam również naszą dzienną porcję chleba i kawałek surowej, czerwonej, słonej ryby, którą Rosjanie nazywają GARBUSZA. Z powodu małej ilości wody jaką przyznawano 75 więźniom, zdecydowałem od razu, że nie będę jadł słonej ryby. Jeden z 'bażantów' z ochotą przyjmował i zjadał moją rację. Większość moich polskich towarzyszy również odmawiała jedzenia ryby.

W Charkowie pozostaliśmy przez większość dnia. Domyśliłem się, że NKWD opróżnia tamtejsze więzienie i dołącza więcej wagonów do naszego, i tak wielkiego, już transportu. Większość mężczyzn w naszym wagonie okazała się 'bażantami'. Zajmowali oni miejsca w środku wagonu dokoła beczki z wodą, którą przykryliśmy kawałkiem starego materiału, aby zapobiec rozpryskiwaniu się wody, podczas częstych i nagłych postojów. Zgodziliśmy się, iż z powodu niewystarczającej ilości wody, będziemy ją dawkować dwa razy dziennie po pół kubka na osobę. Rusini karpaccy pieczołowicie pilnowali beczki i gdy zasugerowano, iż któryś z więźniów dostał nieco więcej wody, wybuchała kłótnia.

Polacy nie brali udziału w tych waśniach. Trzymaliśmy się razem dokoła jednej pryczy w jednym końcu wagonu. Wśród nas był młody człowiek, który mówił, iż jest Francuzem. Jego rodzice mieszkali w Warszawie. Zdaje się, iż na nazwisko miał HOLTORP. Starał się aby jako obywatelowi Francji zapewniono mu lepsze traktowanie niż Rosjanom. Mówił niezłe po polsku, gdyż część swego wykształcenia otrzymał w polskiej szkole. Podczas Prowierki protestował przeciwko transportowi z nami; w odpowiedzi otrzymał kilka ciężkich ciosów pobijakiem. Obserwowałem, jak nagle, wraz z pokonywaną pociągiem odległością, gasł w nim duch.

Byłem bardzo rad, iż udało mi się dostać miejsce na pryczy obok małego okienka. Stojąc, mogłem przyglądać się sowieckim miasteczkom, wsiom, stacjom kolejowym i ludziom.

Po całonocnym biegu, nasz pociąg wjechał na płaski, z rzadka zaludniony, teren podmiejski. Kilka wiosek, przez które przejeżdżaliśmy wyglądało, jakby nie dokonywano w nich żadnych napraw od czasów rewolucji. Ogromne pola nie były zaorane po zeszłorocznych zniwach i były nadal pokryte rżyskiem. Byłem jednak najbardziej zaskoczony masą sprzętu rolniczego, który leżał rdzewiejąc na polach i zarastał chwastami. Najczęstszymi porzuconymi przedmiotami były traktory, pługi i maszyny siewne.

Byłem pewien, iż te drogie maszyny rolnicze leżały beczynnie przez bardzo długi czas. Zrozumiałem, dlaczego w Rosji Sowieckiej zawsze brakuje chleba i istnieje wieczna groźba głodu.

Innym, uderzającym faktem był brak zwierząt domowych. Nasz pociąg przejeżdżał przez wielkie otwarte połacie, gdzie nie było śladu jakiegokolwiek żywej istoty. Gdzie podziały się krowy? Gdzie pracujące konie? W tym miejscu muszę podkreślić, iż jechaliśmy przez Sowiecką Ukrainę, przed pierwszą wojną światową spichlerz Europy.

Kilkakrotnie nasz pociąg stawał na małych stacjach, przepuszczając zawsze pociągi jadące w przeciwnym kierunku. Muszę w tym miejscu opisać w jaki sposób działa sowiecki system kolejowy. Nasz pociąg nie mógł ruszyć zanim nie otrzymał sygnału dzwonka, który zawiadowca stacji dostawał od motorniczego pociągu jadącego z przeciwnej strony. Studenci kolei szybko doceniają efektywność tego systemu sygnalizacji.

Same stacje dosyć odrapane, zwykle były porządnie zamiecione przez pracownice używające mioteł z gałązek. Kobiety te były zwykle niskie i grube, i nosiły ciężkie ubranie, a na głowie miały szale z dzianiny, obwiązane także dokoła górnej części ciała. Przypominały one bezkształtne tobołki. Dodatkowo na torach kolejowych widziałem często pracujące w pocie czoła brygady robotnic. Kobiety te miały okrągłe, ciężkie twarze, całkiem pozbawione wyrazu. Samo patrzenie na nie wystarczało, aby odczuć przygnębienie.

Była jeszcze jedna depresyjna rzecz, charakterystyczna dla sowieckich stacji kolejowych. Na dosłownie każdym peronie znajdowała się ławka zajmowana przez rozmawiające pełno-wymiarowe figury Lenina i Stalina wykonane z białego gipsu. Miało to oczywiście dodać im chwały, mnie jednak wydawało się makabryczne.

Nasz niewolniczy pociąg przesunął się na północ przez samo serce Rosji. Minęliśmy duże miasta Kursk i Orł. Nasza beczka była już pusta i pozostawaliśmy bez wody, aż dotarliśmy do KALUGI, gdzie została ponownie napełniona. Było dla mnie oczywiste, iż byliśmy na głównej trasie do Moskwy. Przejechaliśmy tam wcześniej, któregoś ranka i nasz pociąg stanął na ogromnej bocznicy obok pociągu towarowego z charakterystycznymi znakami Polskich Kolei Państwowych. Przez częściowo otwarte drzwi niektórych wagonów widziałem, że przewożą one głównie kobiety, dzieci i kilku starszych mężczyzn. Były straszliwie zatłoczone.

Dziesięcio- dwunastoletnie dzieci nosiły do wagonów wiadra z wodą. Warunki w pociągu były podobne do naszych, i on także, był bacznie pilnowany przez NKWD-owców z karabinami z bagnetami. Ci polscy zakładnicy byli ludźmi, którym ofiarowano 'dobrowolne przesiedlenie'. Zawołałem w ich kierunku: "Skąd jesteście?" Był to transport z WOŁYNIA, z Łucka. Strażnicy ostro zareagowali na tę wymianę informacji, zamykając drzwi, przeklinając i strasząc ich mieszkańców.

Zanim opróżniono naszą beczkę na wodę, widziałem jeszcze trzy pociągi z Polski, zapelnione na siłę deportowanymi obywatelami. Wyniszczenie polskiej ludności w częściach naszego kraju zajmowanych przez Rosjan NKWD-owcy przeprowadzali z pełną determinacją. Byłem bardzo przygnębiony, myśląc o moim ojcu i siostrze i wielu innych drogich przyjaciółach, którzy, o ile mi wiadomo, żyli pod naciskiem sowieckiej okupacji. Zastanawiałem się, czy ktoś mi bliski znajdował się w którymś z pociągów, mijających nas na bocznicach w Moskwie. Dla mnie, niewolnika Rosjan, jedyną pociechą była ~~ta~~ modlitwa.

Nasz pociąg wkrótce odjechał z sowieckiej stolicy i rozpoczął podróż na wschód. Nastąpiła zmiana pogody. Szybko zrobiło się ciepło i bardzo sucho. Przesuwaliśmy się bardzo prędko, przystając jedynie, aby pobrać wodę i wziąć węgiel do naszej lokomotywy parowej.

I znów mijane chaty i tereny podmiejskie sprawiały wrażenie biedy i zaniedbania. Ten fakt, jak również płaski ogrom terenu tworzyły atmosferę letargu. Nawet duże rzeki, przez które przejeżdżaliśmy, zdawały się płynąć niemrawo. Pierwszym dużym miastem, do którego dotarliśmy po Moskwie były Gorki. Była to pamiętna chwila, gdyż to tam po raz pierwszy ujrzałem matkę wszystkich rosyjskich rzek, Wołgę. Była to najszersza rzeka, jaką kiedykolwiek widziałem; przez most przejechaliśmy w niezwykle wolnym tempie. Wołga była dla mnie symbolem Rosji: jej ogromu, powolności, tajemniczości, bezkresu z ciemnymi wodami, które płynęły nie wiadomo skąd i niewiadomo dokąd. Przypomniałem sobie starą rosyjską pieśń: Wołga, Wołga Mać RODNAJA (Wołga, Wołga, Matka Rosjan).

Następnie przejechaliśmy przez prowincję CHUWACZY, którą zamieszkiwała, łagodna ludność mongolskiego pochodzenia. Z powodu ich opozycji w stosunku do bolszewików, ludzie z tej prowincji ucierpieli z rąk NKWD nie mniej niż ich tatarscy sąsiedzi.

Odległości między dużymi miastami były naprawdę ogromne. Zanim dotarliśmy do KAZANIA, w beczce nie było już ani kropli wody. 'Bażanty', którzy zjadali zawsze swoją dzienną porcję słonej ryby, byli tak spragnieni, iż kiedy w końcu beczka została napelniona, bili się o to, kto pierwszy będzie mógł się napić. Dla NKWD-owców było to wyraźnie zabawne i zaśmiewali się oni w głos. Musieli odczuwać wyższość w stosunku do więźniów oznaczonych jako 'wrogowie Związku Sowieckiego'. Nasza mała grupka Polaków, do których należał nieszczęsny Francuz, Holtorp, trzymała się z dala od utarczek i kłótni karpackich Rusinów - 'bażantów'.

Mimo tego, że nie ~~przyjmowałem~~ słonej ryby, bardzo doskwierało mi pragnienie. Brak wody wykluczał także możliwość, najprostszego nawet, umycia. Wszy szalały, mimo regularnych sesji uśmiercania.

Hjadtien

Za dnia gorączka mimo turbulencji w powietrzu spowodowanych ruchem pociągu była nie do zniesienia. W nocy z kolei temperatura spadała nagle do zera i musieliśmy zbijać się do kupy aby się ogrzać.

Dojechaliśmy do przemysłowego miasta ZŁOTOUSK^T, znanego przed Pierwszą Wojną Światową ze sławnych stalowni i produkcji złotouških szabl^{ts} dla rosyjskiej kawalerii. Byłem pewien, iż transport zdąży w kierunku Uralu, który stanowi naturalną linię graniczną pomiędzy Europą i Azją. Przyjazd do dużej i bardzo ruchliwej stacji w UFIE, potwierdził moje przypuszczenie. Teraz od Azji dzieliło nas jedynie stosunkowo niskie pasmo Uralu.

Postój w Ufie był na tyle krótki, iż pobrano jedynie wodę i węgiel dla lokomotywy; my nie dostaliśmy wody. Dla 75 ludzi w naszym wagonie pozostało jedynie ćwierć wiadra wody. Po Ufie pociąg rozpoczął łagodną wspinaczkę do góry. Przypominało to Podkarpacie w Polsce. Wraz z coraz większym wybrzuszeniem ziemi, zaczęliśmy dostrzegać nieliczne sosny średniej wielkości. Była to bardzo przyjemna odmiana terenu w porównaniu do płaskości krajobrazu pomiędzy Moskwą a Ufą. Zmieniła się także pogoda. Powietrze zrobiło się przegrzane, ciężkie i wilgotne a oddychanie stało się uciążliwe. Nasze ciała pociły się, a pragnienie osiągało swój szczyt.

Kiedy pociąg przejechał przez dolinę pomiędzy dwoma górami, zaczął padać deszcz. Podczas mojego pobytu w cerkwi w Starobielsku stałem się właścicielem małej drewnianej miseczki o średnicy nie większej jak siedem, czy dziesięć centymetrów. Mogłem ją ledwo co przecisnąć przez kraty mojego małego okienka na końcu wagonu i trzymałem ją tak, iż zaczęła się napęlniać deszczem. Nie mogłem wsadzić miski z powrotem do wagonu bez rozlewania wody, piłem więc przyciskając usta jak najmocniej do krat. Wiatr i prędkość pociągu sprawiały, iż dużo wody rozchlapywało się po mojej twarzy. Była to czysta rozkosz.

Piłem, a potem przekazywałem naczynie moim polskim towarzyszom, prosząc ich o to, aby jej nie upuścili. Oni także się napili i miska znów wróciła do mnie. Pociąg stanął w końcu doliny, jedyne jednak co widziałem, to gęsty las sosen. Deszcz padał mocno a miska szybko się napęlniała. Piłem cudowną, zimną wodę. W ułamku sekundy, moje szczęście się skończyło. Stał bagnetu strielka NKWD weszła głęboko w bok mojej lewej dłoni, przecinając ją tuż nad nadgarstkiem. Moja miska upadła obok torów kolejowych, a ja wycofałem rękę, która mocno krwawiła. Usłyszałem śmiech i przekleństwa ze strony strielka. Byłem dla niego zabawny. Ktoś dał mi kawałek szmaty, a ktoś inny obwiązał mi mocno rękę, aby zatamować krwawienie. Trzymałem rękę wysoko nad głową i stwierdziłem, iż gdyby ranę zadano mi dwa centymetry poniżej nadgarstka, naruszyłaby ważne arterie, a ja stanąłbym przed niebezpieczeństwem wykrwawienia się na śmierć. Takie było moje powitanie Azji.

Pociąg zaczął zjeżdżać na równinę Syberii.

Przy zjeżdżaniu z Uralu zrobiło się znowu bardzo gorąco. Dojechalśmy do dużej stacji kolejowej w Cheljabińsku, pierwszym dużym mieście przemysłowym w Zachodniej Syberii i pierwszym postoju na linii Transsyberyjskiej. Pociąg stał w pełnym słońcu, a nam dano chleb, słone kielki i beczkę wody z zastrzeżeniem, że ma nam ona starczyć na trzy dni. Tak więc woda wystarczająca na dzień miała nam starczyć na pierwsze trzy dni naszej 13 500 kilometrowej podróży przez kontynent azjatycki.

Na linii Transsyberyjskiej znajdowały się dwie linie torów. Co jakiś czas mijały nas pociągi udające się w przeciwnym kierunku. Odległości między miastami syberyjskimi są ogromne. Kilometr po kilometrze pociąg pokonywał niezaludniony, płaski, zielony teren ozdobiony tu i ówdzie nielicznymi kępkami bylin lub małych drzewek. Na próżno wypatrywaliśmy na horyzoncie śladów ludzkiej obecności. Szukaliśmy jakiejś działalności człowieka lub zwierzęcia w ziemi dokoła torów kolejowych, lecz jej nie było. Po wielu godzinach udało mi się zobaczyć prymitywną, nieubitą drogę wijącą się donikąd.

Pociąg przekraczał duże, powolne rzeki syberyjskie po ciężkich solidnie wyglądających mostach. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłem, iż po obu stronach mostu, przez który przejeżdżał pociąg, znajdował się podobny most. Te zapasowe mosty znajdowały się zawsze nie bliżej jak kilometr dalej, każdy jednak przejazd rzeczny był zawsze podwójny. Wywnioskowałem, iż musiało to być zrobione ze względów strategicznych, na wypadek wojny z Chinami.

Dominującym wrażeniem z tego okresu było to, iż Syberia sprawiała, że Europa wydawała się niezwykle mała. Jechaliśmy naprzód przez gorące, puste azjatyckie terytoria Związku Sowieckiego. Pociąg wytrwale pokonywał odległości, przystając co jakiś czas gdzieś na pustkowiu.

Dojechalśmy w końcu do Petropawłowska, gdzie nastąpił krótki przystanek na pobranie wody do lokomotywy. Dostaliśmy chleb i słoną rybę, ale tym razem nie dano nam wody. Nasze pragnienie było tak przemożne, że nawet 'bażanty' odmówiły mojej porcji ryby. Nocą, nagły spadek temperatury dawał nam pewne wytchnienie od upału i pragnienia. Zauważyłem, że pozbawienie wody ma na nas dziwny wpływ. Niektórzy z moich współrodaków zapadli w letarg - rozmowy ustały. Jednocześnie wśród 'bażantów' pojawiały się niewyjaśnione ataki agresji. Walki i bijatyki wybuchały dość często. Wydawało się, iż ci górale cierpieli bardziej niż my.

Najbardziej agresywnym z nich wszystkich był silny, młody mężczyzna zwany Fedko. Zdominował swoich rodaków i dzięki swojej przemocy zyskał sobie pozycję starosty (zaufanego NKWD). Otrzymywał chleb i ryby dla nas wszystkich. Spał również najbliżej beczki z wodą, otoczony innymi 'bażantami' i rozdzielał nasze małe racje wody. Próbował robić wrażenie sprawiedliwego w stosunku do naszej małej grupki Polaków, ja jednak miałem go na oku i sądzę, że był on tego świadomy. Również jego rodacy 'bażanty' mieli go pod dokładną obserwacją.

Trzeciej nocy po wyjeździe z Chelj^zabińska, gdzie beczka została napełniona, pociąg przejechał przez dużą stację kolejową Omsk, bez postoju. Do następnego dużego miasta, NOWOSYBIRSKA, było zapewne jakieś 2 500 kilometrów. Nasze ciała, wymęczone całodziennym żarem i szalejącym pragnieniem, cieszyły się pewną ulgą, związaną z nocnym chłodem. W wagonie panowała kompletna cisza, przerywana jedynie charakterystycznym, regularnym stukotem kół na łączach torów kolejowych. Wiedziałem, że na dnie beczki jest jeszcze jakiś 15 centymetrów wody, akurat tyle, aby każdy z nas mógł dostać po ćwierć kubka. Wraz z ruchem pociągu woda rozpryskiwała się po dnie beczki. Przez moje małe okienko widziałem dalekie gwiazdy na bezchmurnym niebie. Środek wagonu okrywała ciemność, widziałem jednak śpiące ciała karpackich Rusinów dookoła beczki.

Nad beczką pojawił się jakiś cień i usłyszałem wyraźny odgłos kogoś szybko pijącego wodę. Wrzawa, która potem nastąpiła była nie do opisania. Słyszałem wrzeszczących Ukraińców: "Złodziej!", "Zabić go!", "Kradnie naszą wodę". Potem usłyszałem głos kogoś płaczącego i łkającego głosem tak pełnym bólu i strachu, iż nie można go było określić jako ludzki. Wydawało się, iż wszyscy na podłodze w środku wagonu, biorą udział w biciu winowajcy. Furia została w końcu wyładowana, a wagon pogrążył się ponownie w ciszy.

Niedługo potem zaczęło świtać i światło dzienne ukazało pobite ciało Fedki. Bicie spowodowało najwidoczniej krwawienie wewnętrzne, gdyż z kącika ust płynęła mu strużka zaschniętej krwi. Jego twarz zamarła w nieskończonym, niemym krzyku. Jego rodacy odsunęli się od ciała, a mnie wydawało się, iż Fedka leżał tam jako zadośćuczynienie za krzywdy, które wywarli na nim jego współbracia Rusini, jego współbracia ludzie.

całość

tek

Pociąg stanął. Walenie drewnianych młotów przesuwano się wzdłuż wagonów w naszą stronę. Odsunięto drewniane drzwi i młody zbir NKWD zawołał: "Wszyscy na lewo". Nastąpiło przepychanie, tak aby więźniowie nie zostali pobici młotem. Musieli oni skakać przez ciało Fedki. Leżał samotnie na środku wagonu.

"Co z nim?" "Czy jest martwy?"

Wskazując na dwóch Ukraińców Karpackich Komandir NKWD nakazał: " Wyrzucicie go z wagonu!"

Sztywne ciało Fedki zostało przeciągnięte po drewnianej podłodze przez jego współrodaków, po czym upadło niezdarnie do stóp dwóm uzbrojonym strażnikom. Komandir rozkazał jednemu z nich, aby przetaszczył ciało kilkanaście metrów dalej od torów w krzaki. Taki był pogrzeb Fedki.

Liczenie zakończyło się. Komandir starł ręką liczbę '75', napisaną kredą na ciągle jeszcze otwartych drzwiach. Napisał w tym miejscu '74'. Niewolnicy Związku Sowieckiego są niczym innym jak liczbami napisanymi kredą, którą można zmasać w sekundę. Nasze życie i śmierć nie miało znaczenia. Brutalny mord dokonany w naszym wagonie przez tłum nie interesował naszych prześladowców. Wydawało mi się, że dobrze pasowało to do polityki NKWD: zniszczyć i sterroryzować, i tym sposobem utrzymać 'dyktaturę proletariatu', która w rzeczywistości była dyktaturą bandy gangsterów bolszewickich pod dowództwem Stalina.

Podróż ciągnęła się przez kolejne 36 godzin w przemożnym pragnieniu, zanim dotarliśmy do Nowosybirsk, 4000 kilometrów do Czelabińska. Nasz beczka została napelniona; wypilem powolutku mój przydział wody. Było to picie życia samego. Po raz pierwszy w tej początkowej części podróży, byłem w stanie zjeść mój chleb, który musiałem poprzednio zostawić nietknięty, gdyż moje spierzchnięte usta nie mogły sobie z nim poradzić.

Podczas postoju w Nowosybirsku nastąpiła zmiana warty w stróżówce przed naszym wagonem. Nowy człowiek miał rosyjską harmonię, na której grał bez przerwy 'KATIUSZĘ'. Widać była to jedyna melodia jaką znał, i miała nam ona towarzyszyć przez pozostałe 12 500 kilometrów podróży. Dotarliśmy do Nowosybirsk wczesnym rankiem, a przez moje małe okienko widać było główny budynek dworcowy. Przyjrzałem się dokładnie kilku plakatom propagandowym. Były na nich obrazy Lenina i Stalina podpisane: "Towarzysz Stalin nasz Ojciec i ukochany Przywódca, prowadzi nas prawdziwą drogą Lenina ku komunizmowi".

Były też plakaty pokazujące Brytyjskie Lwa z czapką Johna Bulla na głowie palącego grube cygaro; leżał on na klatce zawierającej umierających z głodu brytyjskich robotników; podpis brzmiał: "Imperialistyczni, brytyjscy kapitaliści prześladowają i głodzą brytyjskich robotników i wysyłają ich na wojnę przeciwko socjalistycznym Niemcom. Imperialiści brytyjscy zaatakowali Socjalistyczne Niemcy, aby zrobić interes na zbrojeniach. Ludzie sowieccy staną jednak w zjednoczonym frontie socjalistycznym z Niemcami przeciwko tym brytyjskim imperialistom. Musimy mocniej się starać aby pomóc naszym niemieckim aliantom zwyciężyć brytyjskich imperialistów, którzy są wrogami Związku Sowieckiego. Niezrównana Armia Sowiecka jest gotowa sowieccy robotnicy muszą jednak ciężiej pracować i być czujnymi przeciwko wrogom komunizmu".

Były także slogany: "Kto nie pracuje ten nie je", "Dogonimy Amerykę i przegonimy ją w produkcji", "Pójdziemy za naszym wielkim Ojcem i Przewodnikiem, Stalinem", "Robotnicy świata, łączcie się!" Przez głośniki dochodziły marsze militarne i pieśni patriotyczne, jak ta: "Nie znam innego kraju na świecie, gdzie tak swobodnie człowiek oddycha". Bardzo szybko poprawiliśmy ją: "Nie znam innego kraju na świecie, gdzie tak powolnie człowiek zdycha".

W Nowosybirsku nasz pociąg przejechał przez jedną z największych syberyjskich rzek - Ob. Woda, koloru gliny, pełna była śniegu, który stopniał wcześniej, podczas gorącej wiosny.

Wjechaliśmy do Prowincji Krasnojarska, gdzie pociąg przejechał równinę największego państwowego gospodarstwa, Sowhozu. I znów uderzyła mnie niegospodarność systemu. Ziemie nie były zaorane od czasu poprzednich zbiorów. Droga maszynaria rolnicza rdzewiała porzucona na środku pól. Budynki rolnicze były mizernie nareperowane; często widać było dziury w dachu. Dla mojego wprawnego oka, syberyjskie rolnictwo państwowe leżało w ruinie. Żadna z normalnych wiosennych czynności rolniczych nie miała miejsca. I znów uderzył mnie brak zwierząt domowych, mimo setek kilometrów pastwisk. Pomyślałem sobie: te pastwiska mogłyby wyżywić bydło w ilościach wystarczających do tego, aby nie tylko Związek Sowiecki miał dosyć mięsa i skóry, ale także mógł zaspokoić potrzeby Europy i wielu innych krajów świata.

W tej części Syberii obozy pracy NKWD można było zobaczyć co jakiś czas, zwykle niedaleko od linii kolejowej. Obozy można było łatwo rozpoznać po ich wysokich drewnianych płotach, otoczonych palisadą i drutem kolczastym i po wysokich wieżach strażniczych.

Często widzieliśmy drewniane budynki z napisem PROIZWODSTWO NKWD (Przedsiębiorstwo NKWD). Doszedłem do wniosku, iż cały przemysł był pod kontrolą NKWD. Było to logiczne. Mieli oni nieograniczone ilości siły roboczej i mogli sobie pozwolić na nieprzerwaną produkcję, bez problemów, które spotyka się w wolnym społeczeństwie. Nie mieli zmartwień dotyczących roszczeń płacowych; nie musieli oferować porządnego lokum ani rozrywki; nie musieli zabezpieczyć zakwaterowania dla rodzin czy też budować szkół dla ich dzieci. Zamiast tego NKWD nakazywało swoim sowieckim niewolnikom pracować bez wynagrodzenia, jedynie za kawałek chleba, ryby i dwie miski wodnistej zupy dziennie. Niewolnicy zapracowywali się na śmierć, tylko po to, aby ich zastąpić nowymi niewolnikami. Słowa, które usłyszałem w więzieniu w Bahmud nadal dźwięczały mi w uszach: "Mamy dosyć ludzi w Związku Sowieckim". Indywidualny żywot był bez znaczenia; każdy był wymienialny.

Warunki w naszym wagonie były nadal potworne. Nasze ciała męczone były wewnątrz przez pragnienie i głód a z zewnątrz przez upał, brud, wszy i zatłoczenie. Następowaly wybuchy histerycznej rozpacz. Pewien młody Rusin w ataku samozagłady, zaczął walić głową w drewniane ściany wagonu, aż jego twarz zalała krew. Musieliśmy go pohamować siłą i związać mu ręce i nogi. Wydawało mi się, iż ta podróż się nigdy nie skończy.

Samotny strażnik NKWD w stróżówce, którego dzieliła od nas jedynie drewniana, przednia ściana wagonu, grał bez przerwy melodię Katuszy. Była to już teraz tortura. Jak na ironię ta sama melodia stała się wiele lat później jednym z największych hitów na Brytyjskiej Liście Przebojów.

Odległość 1500 kilometrów dzielącą Nowosybirsk od Krasnojarska pokonaliśmy w cztery dni, łącznie z jednym długim postojem z nigdy nie wyjaśnionego powodu. W ciągu niektórych nocy Prowierka dokonywana była przez strażników wymachujących młotami. Kiedy dojechaliśmy do Krasnojarska, w naszej beczce nie było już ani kropli wody. Zatrzymaliśmy się na dużej stacji, gdzie znajdowały się znajome postacie Lenina i Stalina w niemej rozmowie i wiele plakatów propagandowych. Dodatkowo przez megafony opowiadano o kobiecie, która stała się Stahanowcem - przodownicą pracy Związku Sowieckiego, ponieważ wydoiła w ciągu dnia rekordową ilość krów. Jej współpracownicy w Sowhozie obiecali, że pójda w jej ślady i spróbują wydoić jeszcze więcej krów, wszystko dla większej chwały sowieckiego komunizmu.

Dowiedziałem się później, iż system dodawania wartości 'pracującym bohaterom i bohaterkom' jest praktykowany w całym sowieckim przemyśle. Zarząd jakiegoś przedsiębiorstwa stwarza sztucznie sprzyjające warunki tak, aby wybrany robotnik mógł dojść do poziomu produkcji niemożliwego do normalnego osiągnięcia. Z robotnika robi się bohatera, poziom uznaje się za normę, a od zwykłych robotników pracujących w normalnych warunkach oczekuje się dojścia i utrzymania go.

Tuż za Krasnojarskiem przejechaliśmy przez żelazny most przez ogromną rzekę JENISEJ. Podobnie jak Ob, pokonała ona drogę 4500 kilometrów na północ, aby wpaść do Oceanu Arktycznego. Rzeki syberyjskie są ważnymi liniami komunikacyjnymi i transportowymi i na JENISEJI widziałem różne barki i łodzie pływające we wszystkich kierunkach.

Podróżowaliśmy teraz na południowy-wschód. Po trzech dniach jazdy przez z rzadka zaludnione równiny, zaczęliśmy przesuwać się wśród krajobrazu, który delikatnie znosił się i opadał. Nastąpił także nieznaczny, acz bardzo przyjemny spadek temperatury. Nasze pragnienie stało się nieco mniej natarczywe, choć nadal wodę mieliśmy surowo wydzielaną.

Rutyna ta była utrzymywana, podobnie jak długie okresy czekania w odległych miejscach bez bezpośredniego jasnego powodu. Na czwarty dzień o Krasnojarsku napełniono naszą beczkę wodą. Była to ogromna ulga w naszym ciągłym braku wody. Dopiero za trzy dni dojechaliśmy do następnego dużego miasta, Irkucka. Wcześniej następnego ranka, pociąg zatrzymał się na jakiejś bocznicy, niemal pod samym kompleksem dużych, ceglanych budynków. Trzymano nas w zamkniętym wagonie, ale usłyszałem jak nasza lokomotywa odjeżdża od wagonów naszego transportu. Potem były odgłosy rozładowywania wagonów z przodu, a więźniom kazano usiąść z brzegu torów. Następnie nakazano mieszkańcom dwóch wagonów - w sumie 150 mężczyznom - przemaszerować pod silną strażą NKWD do kompleksu ceglanych budynków. Pół godziny potem ci sami mężczyźni maszerowali z powrotem do pociągu w straszliwie pogniecionych ubraniach i włosach przystrzyżonych do samej skóry. Byli po kąpieli, a ich odzież została sparzona, aby zniszczyć wszy. Budynek nazywał się WOSZOBOJKA (miejsce do odwszawiania). Nie mogłem się doczekać naszej kolejki, ale nie nastąpiło to, aż do późnego popołudnia. Nasz wagon i następny zostały wyładowane i nasza 149-cio osobowa grupa przemaszerowała jakieś 450 metrów do budynku.

Po podróży pociągiem, moje nogi czuły się jak kończyny marynarza, który po długiej wyprawie trafia na ląd. Przez parę minut cieszyłem się czystym, odkrytym niebem nad moją głową. Potem otworzyły się drzwi do Bani (pryszniców), a my weszliśmy do środka. Przed nami znajdował się długi drewniany blat, za którym stało kilka młodych rosyjskich dziewcząt. Miały one na sobie białe fartuchy i niektóre z nich trzymały już golarki w podorędziu. Wszystkie wydawały mi się ładne, być może dlatego, iż od momentu uwięzienia nie miałem kontaktu z kobietami.

Jedna z dziewcząt za ladą zdawała się zarządzać. Zawołała ona: "REBIATA. ROZDEWAJTIE'S DAWAJTIE ODIOŻU W WOSZOBOJKU". (Dzieci. Zdejmijcie ubranie i oddajcie je do odwszawiania).

Wśród nas znajdowało się kilku młodych Rosjan z sąsiedniego wagonu, którzy bez zastanowienia zrzucili z siebie ubranie żartując z dziewczętami. One natychmiast potem wzięły się do roboty obcinając Rosjanom włosy na głowie, pod pachami i w okolicy łonowej.

Żaden z polskich więźniów nawet się nie ruszył. Nie wychowano nas w duchu robienia pokazu z naszych ciał w obecności kobiet. NKWD-owcy nalegali jednak, abyśmy się rozebrali. Oddałem moją kupkę ubrań do odparowania, zatrzymałem jednak przy sobie moje oficerki. Czułem się poniżony. Kiedy żeński golibroda zbliżył się do mnie, wziąłem od niej golarkę i sam obciąłem sobie włosy na ciele. Pozwoliłem jej na obcięcie włosów na głowie.

Czy był to celowy cios dla naszego poczucia męskości? Jakiegokolwiek były motywy tej procedury, moi rodacy mieli w stosunku do niej podobne odczucia. Incydent przypomniawszy mi natychmiast, że jestem niewolnikiem Związku Sowieckiego.

Weszliśmy pod prysznic, a letnia woda była rozkoszą dla mojego ciała. Nie tylko się umyłem, ale również piłem tyle wody, ile się dało. Kiedy wyszedłem otrzymałem mój tobołek z ubraniami, które były jeszcze ciągle wilgotne i parujące; para jednak nie była dość gorąca, gdyż wszędzie nadal panowały się dokoła. Był to straszliwy zawód. Wkrótce kazano nam odmaszerować z powrotem do pociągu i podzielono nas na dwa wagony. Nastąpiła wymiana więźniów, gdyż młodzi Rosjanie znaleźli się teraz w naszym wagonie, a zostało mniej Rusinów.

Następnego dnia opuściliśmy Irkuck, a pociąg kontynuował podróż w swoim południowo-wschodnim kierunku przez dziki, kamienisty, wznoszący się teren. Większość kamienia była ciemnoszarym granitem. Przejechaliśmy przez kilka tuneli, wyciosanych w gładkich, i wzdłuż wysokich, nagich ścian wyciętych ludzką ręką. Przez moje małe okienko dojrzałem kilka polskich imion wyłobionych głęboko w granicie prawie półmetrowymi literami. Były tam także daty 1864 i 1865. Droga pod ten odcinek kolei Transsyberyjskiej została zrobiona przez moich rodaków, którzy zostali schwytani podczas krwawego powstania przeciw Rosjanom w 1863 roku. Jechałem po śladach moich szlachetnych braci Polaków, którzy oddali wszystko, co mieli, z własnym życiem włącznie, aby wywalczyć sobie wolność od Rosji. Moje poczucie jedności z nimi było ogromne. Gorąco modliłem się za ich dusze a inni Polacy w wagonie dołączyli do mnie. Polscy niewolnicy Rosji carskiej wybudowali trasę kolei, którą teraz jechali Polacy niewolnicy do pracy dla Rosji komunistycznej. Nic się nie zmienia, jedynie etykiety.

Kiedy pozostawiliśmy za sobą granitowe ściany i tunele, kolej biegła wzdłuż południowego brzegu jeziora Bajkał. Jest to tak naprawdę bardziej międzylądowe morze, niż jezioro. Jego przejrzysta, wzburzona tafla sięga poza horyzont. Jezioro Bajkał powstało kiedy lodowiec wycofał się pod koniec Ery Lodowej. Jeden z Rosjan powiedział mi, iż było ono bardzo głębokie i pełne ryb słodkowodnych. Powiedział również, że po rewolucji w 1917 roku, bolszewicy załadowali do kilku starych statków oficerów pojmanych przez Armię Carską i zatopili je na środku jeziora. Zgodnie z tym, co mówił, tysiące umarło tym sposobem.

Odczułem ulgę, kiedy pociąg odjechał od jeziora, w górę w wyższe pasmo drzew iglastych zwanych tajgą. Naszą następną przystanią było miasteczko Chita, jakieś 650 mil na wschód od Irkucka. Trasa przechodziła jakieś 150 mil od granicy z Mandżurią, a na stacji, przez którą przejeżdżaliśmy widziałem ludzi o płaskich, okrągłych mongolskich twarzach.

Twarze te były dla naszych europejskich oczu całkiem bez wyrazu. Przejeżdżaliśmy przez samo serce azjatyckiej Rosji.

Jeśli chodzi o wygodę, była to najlepsza część naszej podróży. Jechaliśmy przez chłodniejsze, wyższe terytoria, gdzie pełno było drzew tajgi, a po dojechaniu do Chity, nasza beczka na wodę została napelniona. Nareszcie byliśmy wolni od pragnienia i gorączki. W Chicie tory biegną blisko granicy z Mandżurią i najwyraźniej była ona uważana za strefę wyłącznie militarną. Na tamtejszej stacji znajdowali się jedynie czerwonoarmiści, żadnych cywili. Zauważyliśmy także dużo wojskowej wrzawy na trasie Transsyberyjskiej. Na jednej ze stacji nasz pociąg zatrzymał się obok innego pociągu, wiozącego cały regiment artylerii konnej. Ludzie, zwierzęta i broń byli właśnie, jak się wydawało, rozładowywani. Konie były dobrze wyposażone, z nowymi siodłami i uprzężą, którą rozpoznałem jako tę, przydzielaną oddziałom wojska polskiego podczas mobilizacji w sierpniu i wrześniu 1939 roku. Były one pierwszej jakości. Bolszewicy nie mieli skrupułów używać swych nieuczciwie złupionych polskich zdobyczy.

Podczas gdy nasz pociąg jechał ociążale na wschód, rozmawiałem nieco z młodymi Rosjanami, którzy dołączyli do nas w Irkucku. Wszyscy byli skazani na osiem do dziesięciu lat w poprawczych obozach pracy za wykroczenia zgodnie z Paragrafem 58, Sowieckiego Kodu Kryminalnego^{karnego}. (Dodam w tym miejscu, iż jedno z pytań straży, zadawane nam w celu identyfikacji było: 'Numer Kodu Kryminalnego^{paragrafu} pod którym zostałeś skazany?' Stwierdzono, że jestem winien zarzutów pod Paragrafem 54 Ukraińskiego Kodu; kiedy jednak znalazłem się w Rosji, kazano mi odpowiadać: Paragraf 58, tak jakby dawanie prawdziwej odpowiedzi było niewygodne). Choć wszyscy Rosjanie mówili, iż są niewinni, pokornie jednak przyjmowali swój los. Jeden z najmłodszych, dość miły człowiek powiedział mi: "W Związku Radzieckim są trzy kategorie ludzi - ci, którzy byli w więzieniu, ci którzy w nim są, i ci którzy w nim będą. Taka jest prawda o naszym życiu w Rosji Sowieckiej. Więzienie jest najważniejszą szkołą i wychowaniem dla wszystkich ludzi sowieckich",

Spytałem, czy boi się o swój los w rękach NKWD. Nie odpowiedział, a ja wówczas nie nalegałem, później jednak dostałem moją odpowiedź, Rosjanie to ludzie niezwykle muzykalni; tam gdzie spotka się trzech Rosjan jest chór. Rosjanie z naszego wagonu zwykle dołączali do strażnika w stróżówce, kiedy ten śpiewał i grał "Katuszę". Razem śpiewali doskonale. Śpiewali także i inne rosyjskie piosenki, a w ich repertuarze znajdowała się odpowiedź na moje pytanie.

Niezwykle harmonijnie zaczęli śpiewać o Syberii. Słowa jednej części są następujące: "Sibir, Sibir, Sibiru nie bajutsia, Sibir Toże Ruskaja Ziemia". (Syberio, Syberio, nie boję się ciebie, bo ty też Syberio jesteś rosyjską ziemią). Nie, on się nie bał. Zarówno on, jak i jego bracia Rosjanie byli więzieni na śmierć w jednym z najsurowszych klimatów na świecie i w najgorszych warunkach, jakie człowiek kiedykolwiek stworzył. Było to jednak w porządku, gdyż miało się to przytrafić na rosyjskiej ziemi. Ten fakt zilustruje być może dlaczego sowieccy ludzie znieśli tak wiele pod bolszewickim uciskiem przez tak długi czas, bez większych prób ich obalenia.

Zjechaliśmy w dół z wyższych terenów blisko granicy z Mandżurią i przejechaliśmy przez dużą stację BLAGOWIESZEŃSK. Zrobiło się chłodniej i pokonałmy kolejną równinę zanim dojechaliśmy do CHABAROWSKA. Przyzwyczałem się już do monotonii podróży i byłem doskonały w uskakiwaniu przed drewnianymi młotami podczas prowerki. Od odjazdu ze Starobielska, żyłem o chlebie i wodzie, gdyż ciągle odmawiałem jedzenia słonej ryby i kielków, które nam oferowano. Pomimo tej mizernej diety, nastąpiła znaczna poprawa mojego stanu zdrowia. Miałem ciągle świadomość bólu pod łopatkami i szmerów w płucach po zapaleniu płuc, którego się nabawiłem w karcerze w więzieniu w Sambor. Teraz jednak stan moich płuc zaczął się polepszać a ból ustawać. Było tak pewnie dzięki suchemu syberyjskiemu powietrzu. Głód doskwierał mi bez przerwy, dzięki jednak pasowi głodowemu Amerykańskich Indian, który zrobiłem sobie z płótna, byłem w stanie znieść nawet najgorsze męczarnie głodowe. Może dzięki temu właśnie pasowi, jestem po dziś dzień szczupły w talii.

Nadal krążyły spekulacje co do naszego ostatecznego celu, kiedy jednak skręciliśmy na południe po opuszczeniu Chabarowska, stało się jasne, że udajemy się do najważniejszego portu na Syberii: Władywostoku. Wiedziałem, iż Władywostok był sowieckim oknem na Ocean Spokojny, morze Japońskie i Morze Ochockie. Wiedziałem również, iż był to punkt załadowywania więźniów jadących do przerażającej prowincji KAMCZATKI na wyspy KURYLSKIE OSTROWA. W Europie zarówno Kamczatka jak i wyspy, miały złą sławę jako miejsca, gdzie zsyła się ludzi na najgorsze możliwe katusze. Było powszechnie wiadomo, iż na tych odległych terenach NKWD posiada wiele obozów dla niewolników. Nigdy jednak nie słyszałem o regionie Kołymy.

Jest to teren wielkości Europy, albo nawet większy, między morzem Arktycznym i Morzem Ochockim. Z jej gór spływają tysiące strumieni, które karmią potężną, przerażającą rzekę Kołymę, od której cały region bierze swoją nazwę. Cały ten teren został skolonizowany przez Związek Sowiecki przy użyciu niewolników dostarczanych przez NKWD od roku 1934 do 1935.

Cztery dni minęły zanim dotarliśmy do Władywostoku. Zamiast jednak zrobić tam postój, nasz pociąg pojechał dalej, aż dotarł do miejsca, które nazwałbym specjalną stacją więzienną, zwanego BUCHTA NACHODKA. Nasza podróż pociągiem dobiegła nareszcie końca.

Wyładowano nas do części obozu otoczonego drutem kolczastym i strzeżonego przez wieże strażnicze. Między nami a innymi częściami znajdowała się ziemia niczyja oznaczona: 'ZAPRETNAJA ZONA' (Strefa zakazana). Znajdowały się tam prymitywne drewniane chaty z rzędami prycz. Zostaliśmy w nich rozmieszczeni. Wolno nam było poruszać się swobodnie w obrębie naszego terenu i po raz pierwszy od tygodni dostaliśmy posiłek składający się z gorącej zupy.

Obóz znajdował się w Buchta Nachodka (Zatoce Nachodki), która jest największą bazą sił morskich Sowieckiej Rosji. Po całej zatoce porzrucane były inne obozy więzienne oddzielone od siebie drutami kolczastymi i 'strefami zakazanymi'. Dowiedziałem się wkrótce, iż znajdujemy się w obozie przejściowym. Dokoła nas były obozy pracy, w których mieszkali ludzie zmuszeni do pracy w bazie morskiej i różnych innych miejscach. Po jednej stronie znajdował się obóz, który zajmowały sowieckie kobiety. Byliśmy od nich oddzieleni wysokim murem z drutu kolczastego. Strefa zakazana oznaczona była pojedynczym rzędem drutu kolczastego ciągnącego się przez kilka metrów z każdej strony płotu. Mojego pierwszego ranka w obozie przejściowym w Nachodce byłem świadkiem ludzkiej tragedii.

Było to późnym przedpołudniem. Przechadzałem się po naszym terenie, który był już dosyć zaludniony przez obywateli sowieckich. Było ich wielu różnych narodowości, wszyscy jednak mówili po rosyjsku. Ku mojej radości, spotkałem tam starego przyjaciela ze Lwowa, Wojtka Dembińskiego. Chodziliśmy wzdłuż płotu dzielącego nas od obozu kobiet. Przez płot Rosjanie i Rosjanki wykrzykiwali nazwy swoich miejscowości i nazwiska, próbując odnaleźć ludzi, których znali. Nagle Rosjanin przeskoczył przez pojedynczą wiązkę drutu kolczastego i przebiegł kilka metrów przez strefę zakazaną do płotu. Po drugiej stronie Rosjanka zrobiła dokładnie to samo. Po kilku sekundach stali w objęciu, nie zważając na dzielące ich metalowe kolce. Z wieży strażniczej padł rozkaz: "DAWAJ NAZAD" (zawrócić w tył). Para stała nieruchomo.

Kiedy już hałas strzałów z karabinów maszynowych ucichł, nie docierał do mnie fakt, iż tych dwoje ludzi nie żyje. W bardzo szybkim czasie, duża grupa strażników NKWD karabinami zakończonymi bagnetami zagnała nas z powrotem do chat.

Administracja wewnętrzna obozu poprawczego sprawowana jest przez zwykłych przestępców: Zulio i Urki. Zulio, jak już wcześniej tłumaczyłem, to agresywni kryminaliści, z których wielu to porzucone dzieci wychowywane na dziko na przedmieściach miast; Urki, natomiast to ludzie, których rodzą więźniarki w poprawczych obozach pracy, a których ojcowie są nieznani.

Urki nigdy nie wychodzą poza obręb drutów kolczastych obozu. Powiedziano im, iż nie są oni w stanie poradzić sobie z życiem na zewnątrz. Byli oni ważnym narzędziem NKWD, która sprawiała, iż zarządzanie obozami przebiegało gładko. Zulio i Urki mieli przydzielone chaty, którymi mieli się opiekować. Zajmowali oni uprzywilejowane miejsca w rogu, oddzielone przegrodą, za którą cała reszta więźniów była stłoczona ze sobą z braku miejsca. Urki byli analfabetami. Nigdy nie byli w szkole, ani nie otrzymali żadnego innego wykształcenia ponad to, co oferowało życie obozowe. Wykonywali oni polecenia i podziwiali jedynie swoich NKWD-owskich dozorców. Wszyscy deklarowali, iż są komunistami, bez świadomości, co to słowo oznacza. Celem ich nędznego życia było po prostu najeść się tak, aby nie czuć głodu, trzymać się w cieple, mieć więcej miejsca w chacie, niż inni i robić wszystko, co wymagali od nich ich NKWD-owscy panowie.

Kierowała nimi zimna brutalność. Urki byli niezwykle silni; tłumaczyłem to selekcją naturalną: dziecko urodzone w potwornych warunkach niewolniczego obozu pracy, mogło przeżyć jedynie wówczas, gdy natura dała mu niezwykle zdrowie. Słabe dzieci umierały. W związku z tym, iż zostali oni obdarzeni autorytetem i dostawali lepsze jedzenie, Urki czerpali przyjemność i satysfakcję z okrucieństwa w stosunku do innych więźniów, którzy, z powodu braku jedzenia, byli słabsi. NKWD ^{św} Nie mogłoby utrzymać poprawczych obozów pracy bez URKI i ZULIO. Tak naprawdę to właśnie Urki robili całą brudną robotę w Nachodce; nie obchodziły ich jakiegokolwiek względy humanitarne, których nie znali i nie rozumieli.

W Nachodce przed naszym transportem mieszkali najwyraźniej inni polscy więźniowie, gdyż Urki i Zulio w obozie mieli na sobie nowe polskie ubrania. Większość ze znajdujących się tam wraz ze mną Polaków miała przy sobie plecaki lub tobołki zawierające zapasowe ubranie lub buty. Urki sprawujący pieczę w naszej chacie płacił sprytnie chlebem i tytoniem, aby te rzeczy uzyskać. Przedmioty te upłynął potem u strażników NKWD, którzy potrzebowali nawet najprostszycy artykułów w Rosji Sowieckiej od czasów rewolucji w 1917r zawsze brakowało wszystkiego.

Byliśmy beztroscy w obozie, czekając, jak się dowiedziałem od rosyjskich więźniów, na załadunek na statek. Zanim dotrzemy do ostatecznego celu miała nas czekać podróż statkiem. Byłem bardzo zadowolony, iż moim kompanem był Wojtek Dembiński, dowiedziałem się również, iż wszyscy moi starzy przyjaciele z dużej cerkwi w Starobielsku byli w Nachodce, w innych jednak częściach, wymieszani z Rosjanami i Ukraińcami. Był tam Roman Puchalski, jak również profesor Zdzisław Stahl, Pan Janusz, Jan Gała i Pan Leśniański.

Staralem się uzyskać jak najwięcej informacji od rosyjskich więźniów, którym znacznie łatwiej było komunikować się z ich rodakami i którzy byli zawsze wybierani do różnych prac na terenie obozu, w kuchni itd. jak tylko się dało. Ciągłe wspomniano nazwę Kołyma. Jeden z Rosjan był szczególnie pozytywnie nastawiony do Polaków, gdyż był on dobrze traktowany w Polsce, gdy jako żołnierz służył w armii carskiej w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Powiedział mi: "Młody człowieku, Kołyma jest ziemią bardzo daleko od Moskwy, zapomnianą przez Boga. Nie chce On ani jednego jej skrawka. Prawo tam nie istnieje. To ziemia śmierci dla takich, jak ty". Niewiele więcej udało mi się z niego wydobyć, oprócz krótkiej mowy: "Pracuję w Nachodce już cztery lata. Widziałem statki pełne ludzi, takich jak ty, odpływające do Kołymy. Statki te zawsze wracają pełne węgla albo drewna, nigdy ludzi".

Byli jednak i ci, którzy wrócili do Nachodki z północno-wschodnich obozów pracy. Blisko naszego domu widzieliśmy mały obóz z kilkoma tylko chatami i plakatem po rosyjsku: "INWALIDZKAJA KOLONIA" (kolonia inwalidów). Mieszkało tam nie więcej jak stu mężczyzn, każdy z nich miał okaleczone ciało i przynajmniej jedną brakującą kończynę. Ich twarze można było opisać jako ostateczne świadectwo ludzkiego cierpienia i deformacji. Dotknęły ich okrutne odmrożenia i zamiast nosów mieli tylko dwie przerażające, czerwone dziury w środku twarzy, a zamiast policzków ochłapy pokiereszowanej tkanki na kościach policzkowych; Nawet skóra na powiekach była odmrożona, pozostawiając im oczy, których nawet we śnie nie mogli zamknąć. Tych nieszczęsnych mężczyzn brano co rano do pracy w porcie.

Był to jeden z tych zimnych, szarych dni, kiedy wiał wiatr od Pacyfiku. Powiedziano nam, żebyśmy zabrali nasze rzeczy i opuścili baraki. Nadszedł dzień odpływu. Procedura zaczęła się podobnie jak w Starobielsku, od podania przez więźniów nazwiska, imienia ojca i numerów Kodu Kryminalnego, pod którym zostali skazani. Musiałem czekać prawie trzy godziny zanim mnie wyczytano. Umieszczono mnie wśród ludzi, których nie znałem, ale, na moje szczęście, dołączył do mnie Wojtek Dembiński. Obaj byliśmy radzi, że podróż odbędziemy razem.

Koniec maja

NKWD przygotowywało się do ogromnego transportu ludzi. W sąsiednich ośrodkach dokonywało się podobne liczenie i przygotowania. W południe kolumna za kolumną zaczęły opuszczać obóz, mężczyźni nieśli swoje rzeczy w tobołkach, plecakach lub nawet dużych walizkach. Zdawało się, iż ludzie schodzą się z każdego zakątka obozu więziennego, z całej zatoki. Szliśmy w kierunku portu drogami obok dobrze pilnowanych magazynów i warsztatów.

Był koniec maja. Kanały nawigacyjne między Władywostokiem a Północno-Wschodnimi obozami pracy były roztopione i ponownie otwarte. NKWD wysyłało nas, aby wymieścić całą północno-wschodnią siłę roboczą, która przepadała co roku w wiecznej nocy zimy arktycznej.

Droga biegła wzdłuż licznych przystani dla łodzi podwodnych. Pojazdy te wyglądały jak śpiące wieloryby, dokoła których nic się nie działo. Z dużej odległości, po lewej, północnej stronie portu, ujrzałem dwa statki towarowe. Bardziej oddalony statek był prawie dwukrotnie węższy od tego, który stał bliżej. Na luku mniejszego napisane było jego imię "DŻURMA". Większy statek wypisane miał swoje imię czerwonymi literami, było to imię mojego współrodaka, zdrajcy "FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO". Był to człowiek, który zorganizował Cze-ka, znaną później w różnych okresach pod nazwą GPU, NKWD, a teraz KGB. Pod jego imieniem znajdowały się słowa drukowane mniejszymi literami: "Dawit Faszystu" (dusi faszystę) i obraz pięści zaciskającej się na czarnym ciele faszysty, którego krew kapie dużymi kroplami na luk. Oto jak Związek Sowiecki chwalił i gloryfikował jednego z najbardziej przerażających psychopatów morderców w historii rodu ludzkiego.

Załadowanie na statek rozpoczęło wraz z powolnym nadchodzeniem więźniów, którzy wspinali się na wyższe pokłady Dzurmy po wąskich deskach, wzmocnionych drewnianymi poręczami. Na pokładzie stało kilku uzbrojonych NKWD-owców, a za nimi znajdowała się platforma, na której stał rosyjski karabin maszynowy Maxim i trzech innych strażników. Dopilnowywali oni załadunku i pakowania ludzkiego towaru.

Ładownie zostały przekształcone w miejsce zakwaterowania przez nagą drewnianą konstrukcję z czterech pięter, połączonych ze sobą trzeszczącymi schodami. Między piętrami miejsca było akurat tyle, aby mężczyzna średniego wzrostu mógł stanąć wyprostowany. Ja mam 1.80 cm wzrostu i musiałem niezłe się schylać. Tuż za ładownią, nieco poniżej poziomu pokładu, znajdowały się drewniane platformy, zajmowane przez Zulio i Urki, wybrani przez NKWD do pilnowania innych więźniów.

Strumień więźniów ze mną i Wojtkiem Dembińskim włącznie, został załadowany do trzeciej ładowni od strony dziobu. Zulio znajdujący się na platformach przy wejściu, popychali nas okrutnie w dół skrzypiących schodów. Cała ta drewniana konstrukcja w ładowni była najwyraźniej wzniesiona przez innych więźniów w wielkim pośpiechu, używając minimalnej ilości gwoździ i desek, znajdujących się nie na swoich miejscach. Zanim jeszcze wypłynęliśmy zdawało się iż piętra jęczą i trzęsą się pod ciężarem tysięcy ciał. Wojtek i ja znajdowaliśmy się na końcu kolumny. Wszystkie wyższe piętra były już zajęte, kiedy schodziliśmy po schodach; kazano nam zejść na sam dół statku, gdzie niemożliwością było stanąć prosto. Musieliśmy się czołgać na czworaka, aż w końcu usadowiliśmy się w żelaznej wrzędze statku. Była ona jak duża metalowa, półokrągła koleina, z cieniutkim paskiem żelaza wystającego przez środek. Wojtek i ja zrobiliśmy sobie poślanie wewnątrz wręgi, a przedzielało nas żelazne uźebrowanie statku.

Ładownia wyposażona była w kilka zaledwie elektrycznych lamp i dawały one bardzo słabe, żółte światło. Bycie w najniższym punkcie statku, znacznie poniżej poziomu wody dało mi przerażające poczucie klaustrofobii. To tak jakbym był pogrzebany za życia. Doświadczyłem fizycznego bólu i przerażającego strachu, ale raz jeszcze odnalazłem spokój i pewność siebie w cichej modlitwie. Wojtek Dembiński milczał na swoim poślaniu. Po dłuższej chwili zapytałem: "Śpisz?". Odpowiedział: "Nie, modlę się".

Załadunek na Dżurmę trwał jeszcze długo w nocy, aż zatrzasnięto ładownie. Przy schodach znajdowały się beczki, mające służyć za Parasze. Żadnych innych udogodnień dla naszych ciał nie było. Cały chleb i wody miały być rozdawane z najwyższej platformy przy pokładzie, którą zajmowali nasi 'opiekunowie' - Zulio i Urki. Kilka godzin po zakończeniu ładowania, poczułem lekki przechył i usłyszałem nowy dźwięk z silnika parowego naszego statku. Byliśmy na morzu.

Pierwszy dzień nie obfitował w wydarzenia. Silniki utrzymywały stałe tempo, a ja szybko przyzwyczałem się do wibracji i hałasu. Ruchy statku w żaden sposób nie działały na mnie. Miałem dobry żołądek. Niestety w przypadku większości więźniów w naszej ładowni było odwrotnie. Większość z nich cierpiała okrutnie na chorobę morską, a odgłosy wymiotów i jęków słyszałem przez cały czas. Wojtek, dzięki Bogu, podobnie jak ja, był niezłamany.

W ładowni wentylacja była bardzo słaba a powietrze zrobiło się ciepłe i ciężkie. Wilgoć z ciasno upchanych ciał powodowała silne skraplanie się powietrza. Woda spływała strumieniami w dół żelaznych ścian, mocząc ubrania, które z powodu gorąca, zdjęliśmy z siebie.

Wojtek i ja mogliśmy zjeść chleb i wypić wodę. Kiedy przyszła moja kolej, aby je przynieść, odkryłem, ku mojej wielkiej satysfakcji, iż Zulio, na swojej uprzywilejowanej platformie, cierpieli okrutnie na chorobę morską. Ich twarze były zielone. I to zapewne przez fakt, iż całkiem pochłonęły ich obolałe żołądki, dostawałem spore porcje zarówno chleba jak i wody. Wojtek i ja staraliśmy przypomnieć sobie ze szkolnych lekcji geografii morską trasę z Władywostoku do Północno-Wschodniej Syberii. Opuszczając Nachodkę musieliśmy płynąć na północ po Morzu Japońskim a potem przekroczyć Cieśninę La Perouse pomiędzy Japonią a wyspą SACHALIN, która znajduje się w posiadaniu Rosji Sowieckiej. Jest to jedyna droga do Morza Ochockiego, które oddzielone jest od Oceanu Spokojnego pasmem wysp idących na północ do półwyspu Kamczatki.

W półmroku naszej zamkniętej ładowni, nie mieliśmy pojęcia o upływie czasu i trudno nam było odróżnić dzień od nocy. Byliśmy jednak jakieś trzy czy cztery dni na morzu, kiedy sytuacja zaczęła się zmieniać. Delikatne kołysanie statku zaczęło przybierać na sile. Leżąc na plecach widziałem w jednej chwili moje stopy wysoko nad głową, a w drugiej na dole. Potem nadeszło przerażające trzeszczenie desek z konstrukcji, na której spoczywali wszyscy więźniowie. Statek wpadł w silny sztorm, a kapitan zdecydował najwyraźniej, aby skrócić i stawić mu czoła, gdyż dziób zaczął szaleńczo pikować raz w dół to znów w górę. Mężczyźni, którzy wcześniej już jęczeli od choroby morskiej, wyli teraz i krzyczeli ze strachu i przerażenia. Z którejś części statku jakiś polski głos śpiewał hymn dla ginących. Najgorsze było jednak ciągle trzeszczenie drewnianej wewnętrznej konstrukcji statku.

Chociaż ładownia była zamknięta, znajdował się w niej otwór przegrodzony żelaznym prętem dla wentylacji. Za każdym razem, gdy fale uderzały o pokład, hektolitr po hektolitrze morskiej wody wlewał się do ładowni. Z każdym przechyłem statku, byliśmy zalewani mieszaniną wody morskiej, wymiocin, moczu i odchodów. Elektryczne żarówki zaczęły gasnąć jedna po drugiej. Leżąc na płask w żelaznym zebrze i trzymając się desperacko, oczekiwałem iż koniec nadejdzie lada moment, jeśli nie przez zatopienie, to przez zaduszenie pod ciężarem drewnianych piętér nade mną, które jeśli napór wody się nie skończy, miały lada chwila zawalić się na dół.

Huragan, gdyż nie był to już zwykły sztorm, przybrał na sile. Statek turlał się szaleńczo i pikował tak ostro, iż przy jednej okazji myślałem, iż fala przycisnęła go aż do samego dna morza. Jakaś cudowna siłą wyniosła go jednak do góry i postawiła na powierzchni; szarpnięcie było jednak tak silne, iż prawie wyrwało mi ręce kurczowo wpięte w żelazne żebro i wyrzuciło na drugi koniec łodzi. Wszyscy w ładowni zamilkli.

Przysłuchiwałem się odgłosowi wiatru i walenia gigantycznych fal o ściany statku. Najbardziej przerażający jednak z tych odgłosów było ciągle jęczenie drewnianych podpór. Wyobrażenia przynosiła mi obrazy mojego ciała pływającego gdzieś w ciemnych wodach Pacyfiku. Przysięgam, iż strach był prawie wystarczający, aby zatrzymać bicie mego serca. Wszystkie instynkty buntowały się przeciwko tej sytuacji. Odziedziczyłem i byłem wychowany w duchu miłości do otwartych przestrzeni, nieba nad głową i dobrego konia pode mną, którego kopyta stały mocno na ziemi. A oto byłem w ciemnościach i śmierzących czeluściach niewolniczego statku, rzucanego szaleńczo po morzu w samym środku huraganu.

Walenie wiatru i fal nie dawało spokoju. Wraz z kolejnym pikowaniem statku, nastąpił potężny huk i ostatnia odporność drewnianych desek puściła. Otworło się piekło. Podpory, deski i więźniowie, którzy się na nich znajdowali zwały się z łoskotem w dół. Żelazna wręga, w której leżeliśmy, ocaliła Wojtkę Dębińskiego i mnie od zgniecenia na śmierć. Wszystkie pozostałe żarówki zgasły. Znaleźliśmy się w totalnych ciemnościach zagrzebani na dnie statku pod stertą drewnianego gruzu, w którym kotłowali się przerażeni więźniowie. Ranni wydawali z siebie jęki i wrzaski. Słysząc też było histeryczne krzyki. Wojtek i ja byliśmy zagrzebani, jednak dzięki Bożej łasce ocaliliśmy w cudowny sposób bez najmniejszego nawet zadrapania (chroniło nas żelazne żebro statku).

Huragan trwał przez co najmniej kilka następnych dni, a my byliśmy nadal w potrzasku. Spowiły nas ciemności, nie mieliśmy jedzenia ani wody do picia, a nasze ubrania przemoczyła cuchnąca woda. Ale byliśmy bezpieczni. Żyliśmy. Statek płynął dalej. Wiatr stopniowo wycichał. Huragan wyładował już swoją złość, a kołysanie statku stało się łagodniejsze. Przeżyliśmy.

Przez sterty zwałonego drewna dostrzegłem błysk światła. Krzyknąłem: "Jesteśmy tu we dwóch. Żywi. Pomóżcie nam się wydostać". Minęło dużo czasu zanim Wojtek i ja zostaliśmy uwolnieni spod kupy desek, podpór i gruzu. Jakimś sposobem schody prowadzące do samej góry ładowni, uniknęły poważniejszych zniszczeń; poza nimi jednak prawie wszystko się zawaliło pozostawiając wielką przepaść od góry do dołu statku. Otoczyli nas więźniowie, którzy stracili swoje prycze. Było ich tak wielu, iż nikt nie miał dość miejsca, aby się położyć. Wszyscy musieliśmy stać lub kucnąć. Wielu miało połamane kończyny lub cierpiało inne urazy. W tych trudnych warunkach wyciągnięcie wszystkich innych, przywalonych więźniów spod gruzu, trwało bardzo długo. Rosjanie dali nam tylko kilka lamp huraganowych i ładownię spowijał półmrok. Po odnalezieniu zmarłych, ułożono ich na stosie u dołu schodów.

Od rozpoczęcia sztormu Wojtek i ja dostaliśmy nasz pierwszy posiłek. Składał się on z wody i grubych pajd suchego chleba zwanego SUCHARY.

W zwałonej ładowni statku zdumiał mnie nastrój więźniów. Ludzka siła i wytrzymałość w potwornych chwilach to wspaniała rzecz. Wyczuwałem silne uczucie ulgi, teraz kiedy już niebezpieczeństwo śmierci przez zatonięcie minęło. Ludzie dokoła mnie wydawali się prawie szczęśliwi. Wszyscy starali się tak poodsuwać drewno i gruz, abyśmy mogli cieszyć się minimum wygody. Na przemian staliśmy i kucaliśmy. Co jakiś czas staraliśmy się wyciągnąć kogoś spod kupy śmieci. Potrzebowaliśmy szmat na bandażę dla rannych. Moje lniane spodnie, które kupiłem w więzieniu w Sambor za porcję chleba, zakończyły swój żywot jako wiązanie dokoła szyn na złamanej kostce młodego Rosjanina. Okrutnie cierpiał i powtarzał w kółko: "Gospody Pomiluj" (Boże, zlituj się),

Żaden ze strażników NKWD nie wszedł do ładowni. Nie oferowali jakiegokolwiek pomocy. Następnego ranka Zulio na platformie nieco poniżej ładowni zawołał: "Wynosić trupy na górę!" Ujrzałem to natychmiast jako szansę odetchnięcia choć przez chwilę świeżym powietrzem. Ta sama myśl zaświtała najwyraźniej i wielu innym.

Nastąpiło szaleńcze przepychanie się do zmarłych ciał. Pamiętam, jak chwyciłem obiema rękami stopę zmarłego i trzymałem ją z całej siły. Było tak wiele osób, które niosły ciało, że i ja zostałem wyniesiony do góry. Moje stopy ledwo co dotykały drewnianych schodów. Po raz pierwszy od wielu dni zobaczyłem światło dzienne przez otwór do ładowni.

Niebo pełne było czarno-szarych chmur, wiszących nisko i gęsto nad pokładem jak brudne szmaty. Kiedy weszliśmy na platformę, Zulio wepchnęło niektórych więźniów brutalnie w dół schodów, ja jednak mocno trzymałem stopę zmarłego mężczyzny. Wspiąłem się na pokład i zobaczyłem, iż wejście do ładowni otoczone jest żołnierzami NKWD z bagnetami na automatycznych karabinach. Karabin maszynowy obsługiwany przez 3 mężczyzn wycelowany był prosto w nas. Kolbami karabinów zostaliśmy popchnięci w kierunku prawej burty i rozkazano nam: "BROSAJ ZA BURTU" (Wyrzucić za burtę). Nie pozwolono mi pozostać na pokładzie wystarczająco długo, abym zobaczył, jak ciało uderza o powierzchnię gęstego, ciemnozielonego turlającego się oceanu. Miałem niepokojące wrażenie, iż ponure morze i oprawcze niebo były w konspiracji, aby zmiażdżyć nasz statek między sobą. Sekundy potem znajdowałem się z powrotem w ładowni uderzony między łopatki kolbą karabinu. Tak wyglądał NKWD-owski pogrzeb na morzu.

Z powrotem w dole statku, byłem pewien, iż pod gruzami znajduje się więcej ludzi. Niektórzy martwi, inni pewnie żywi, ale nieprzytomni. Nic nie dało się jednak zrobić z powodu naszego zatłoczenia. Zajmowaliśmy teraz mniej niż jedną czwartą miejsca, do którego zostaliśmy powpychani przy załadowaniu. Byliśmy skazani na stanie przez resztę podróży.

Następnego dnia DŻURMA wpłynęła do jednego z portów na półwyspie Kamczatki. To Zulio powiedział nam o tym. Przez kilka godzin silniki statku milczały. Nasi pogromcy NKWD najwyraźniej albo rozładowywali, albo pobierali jakiś towar.

Wojtek i ja staliśmy obok siebie, drzemiąc na stojąco. Wszyscy bali się kucnąć, nie tylko z powodu ponizającej higieny, ale także z powodu dużego prawdopodobieństwa zostania uduszonym pod ciężarem innych, wyczerpanych fizycznie i psychicznie stłoczonych więźniów.

Silniki statku znów zaczęły wibrować a dźwięk ten został przyjęty z radością. W mojej głowie było tylko jedno pragnienie: zakończyć tę koszmarną podróż morską i poczuć twardą ziemię pod stopami.

Moje nogi zaczęły puchnąć. I znów moje drewniane chodaki okazały się bardzo przydatne, założenie butów było niemożliwe. W tej części podróży kilku starszych mężczyzn utraciło przytomność lub wolę do życia, i upadło by umrzeć pod stopami współwięźniów. Wojtek i ja czuwaliśmy; kilkakrotnie musiałem go mocno uderzyć w twarz, aby nie pozwolić mu usnąć. On podobnie, pilnował, abym ja był przytomny. Tym sposobem przeżyliśmy ostatnią część naszej podróży.

Dżurma w końcu zadokowała, minęło jednak kilka godzin, zanim zostaliśmy wypuszczeni z naszej ładowni. Po wejściu na pokład, poczułem się, jakby przekłuty czystym, zimnym powietrzem. Dżurma została przycumowana w porcie, obok solidnego drewnianego pomostu, na którym stały drewniane budynki, przypominające domki z bali drewna na amerykańskim dzikim zachodzie. Od pomostu w kierunku masywnego pasma górskiego biegła stromo kręta droga. Góry te pokryte były iglastymi drzewami, które Rosjanie nazywają KEDRA. (Często się zastanawiałem, czy to samo, co Amerykańskie Cedry). Dokoła było jeszcze trochę topniejącego śniegu. Przybyłem do miasta Magadan w Zatoce Nagajewo na Morzu Ochockim.

Oprócz tego, iż jest stolicą całego regionu Kołymy, Magadan to także stolica GULAGU DALSTROY. To skrót od GOŁOWNOJE UPRAWLIE LAGIERÓW „DALSTROJA” i nie łatwo go przetłumaczyć. Trzy pierwsze słowa znaczą coś na kształt: 'Siedziba Najwyższego Rządu Obozów Koncentracyjnych', a ostatnie 'przedsięwzięcia w dalekich stronach Północno-wschodnich'. Pozostawiwszy jednak to dosłowne tłumaczenie na boku, Gulag Dalstroj oznacza jedną tylko rzecz dla niewolników Związku Sowieckiego - śmierć. To najbardziej obawiana część Syberii. Miejsce bez powrotu.

Moja 3200 kilometrowa podróż morską w dole Dżurmy trwała 18 dni. Ktoś mi powiedział, że normalna podróż trwa 16 dni.

Wyładunek więźniów był niezwykle powolnym procesem, z powodu ich obolałych i spuchniętych nóg i ogólnego osłabienia. Schodząc w dół po pokładowej desce Dżurmy na syberyjską ziemię, kilkaset metrów przed sobą ujrzałem początki gór kołymskich. Ziemia wspinała się ostro w górę, tworząc ogromną, niepokojącą ciemnozieloną, a gdzieś tam nawet czarną ścianę. Droga pełna była więźniów, siedzących w rzędach po pięciu. Otaczali ich strażnicy NKWD, ubrani w zielone mundury, a na zimowych czapkach wisiły bolszewickie gwiazdy. Na płaszczach mieli zielone i ciemnobrązowe barwy Gulagu Dalstroy. Strażnicy nazywali się Strielki (jeden strażnik: Strielok), co oznacza strzelca. Strielki mieli absolutną władzę życia i śmierci nad więźniami. Na Kołymie ostrzeżenie: "Krok w prawo, krok w lewo, uważane jest jako próba ucieczki" nie było cczą groźbą. Wielokrotnie podczas mojego pobytu na Kołymie, widziałem jak Strielki strzelają i zabijają więźniów, którzy wypadli z szeregu maszerującej kolumny.

nie
8-9

10

Nasi strażnicy byli także więźniami Kołymy. Bardzo szybko dowiedziałem się, iż strielkom nigdy nie wolno było wrócić na stały kontynent Związku Sowieckiego. Skazano ich na spędzenie reszty życia w tej okrutnej części Syberii. Jestem pewien, iż u korzeni ich niepojętego okrucieństwa w stosunku do więźniów leżało ich własne nieszczęście. Jak na warunki w Kołymie, cieszyli się oni dobrymi warunkami życia, byli jednak więźniami w nie mniejszym stopniu, niż my sami.

Dżurmę przycumowano za innym niewolniczym statkiem podobnej wielkości. Na jej dziobie nazwę MAGADAN wypisano dużymi, białymi literami. Dowiedziałem się później, iż oprócz tych dwóch małych łodzi i większego FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO, jeszcze jeden duży statek pływał po tej niewolniczej trasie do Magadanu: nazywał się DALSTROJ. Przez cały trzy- czteromiesięczny okres letni, te cztery statki były w ciągłej służbie. Przez pozostałe osiem do dziewięciu miesięcy, zatokę Nagajewo pokrywała lodowa skorupa wchodząca głęboko do morza Ochockiego. Wówczas jedyną drogą komunikacji pomiędzy Magadanem a resztą Syberii było powietrze.

Kolumna zaczęła się w końcu przesuwać i maszerowaliśmy drogą między magazynami, składowiskami i innymi budynkami; wszystkie otoczone były drutem kolczastym. Przesuwaliśmy się w lewo od wąskiego płaskowyzu, na którym leżało miasto Magadan.

Droga biegła stromo i kamienście. Najprościej porównać ją do Kalwarii. CI więźniowie, którzy mieli walizki lub ciężkie toboły znaleźli się wkrótce w tarapatkach. Droga zapelniła się porzuconymi rzeczami. Strażnicy nie tracili czasu na pokrzykiwanie na tych, którzy zostawali w tyle: używali do tego celu bagnetów. W przeciwieństwie do niektórych czułem się dobrze. Idąc po twardej ziemi, owiewany czystym powietrzem, miałem wrażenie, że każdy krok dodaje mi sił.

Podczas marszu działa się jedna dziwna rzecz. Co parę minut kazano nam na chwilę stanąć; raz był to nawet postój półgodzinny. Byłem pewien, iż te postoje nie odbywają się z powodu dobrego serca Sowieców.

Doszlśmy do bardzo stromej części drogi, gdzie oba zbocza pokrywał mech i topniejący śnieg. Patrząc w górę z niemalże samego dołu kolumny, dostrzegłem, jak ci z przodu, znikają za granią. Wkrótce znaleźliśmy się wszyscy na niewielkim płaskowyzu, wyższym niż sam Magadan, nad którym wisiał ogromny masyw Kołymy.

Więźniom kazano usiąść na drodze długości około 270 metrów prowadzącej do kompleksu budynków. Po obu stronach drogi na długości około 45 metrów bezpośrednio przed budynkami znajdowały się góry ubrań, botów, walizek i tobołów. Między tymi stertami rzeczy, a ulicą stały dwa rzędy dwudziestu Rosjan; to Zulio i Urki; każdy z nich trzymał drewnianą pałkę nie krótszą jak metr. Strażnicy NKWD z bagnetami na karabinach, zmuszali więźniów do zdjęcia wszystkich ubrań i przejścia pomiędzy chłuszczącymi rzędami zbirów. Był to okropny widok. Rosjanie z zapamiętaniem okładali każdego więźnia, który starał się utrzymać swoje rzeczy. Używali również swoich drewnianych pałek, aby pospieszyć ów potężny strumień nagich mężczyzn do bloku prysznicowego.

Kiedy moja część kolumny zbliżała się do budynków w umyśle skryzalizował mi się plan. Zdecydowałem, iż za wszelką cenę, muszę zatrzymać moje buty. Strażnicy NKWD gromadzili więźniów w grupkach po pięćdziesięciu. Znalazłem się w siódmym z dziesięciu rzędów po pięciu.

Padł rozkaz: "Zdjąć wszystkie rzeczy". Bagnetami pospieszano opieszających. Staliśmy nadzy, czekając i trzęsąc się w lodowatym powietrzu.

Z lnianych spodnie, które oddałem na bandażu w ładowni Dzurmy, została mi jedynie kieszeń. Była to moja portmonetka. Włożyłem ją do jednego buta i oba utknąłem pod prawą pachą. Z moich pozostałych rzeczy zrobiłem węzełek i trzymając go nad butami, przycisnąłem mocno do ciała lewą ręką.

"DAWAJ W PIEROD". (Ruszać do przodu).[†] Nasz mała kolumna weszła między rzędy Zulio i Urków i bicie się rozpoczęło.

Niby zawodnik rugby, który próbuje przebić się przez przeciwną drużynę, aby strzelić gola, biegłem jak najszybciej umiałem, odpychając na boki współwięźniów i celując prosto w drzwi do pryszniców. Udało mi się tam dotrzeć prawie bez obrażeń, kilka metrów przed drzwiami jednak, Urka chwycił mój węzełek i zdzielił mnie z całej siły drewnianym kijem w plecy. Zabrał mi tobolek, ale buty ocalały. Zarówno one jak i ja, byliśmy bezpieczni pod prysznicami.

Po kąpieli, w prawie zimnej wodzie, dano mi standardowy kołymski strój uszyty z ciemnoniebieskiej pikowanej watą bawełny, przypominający kurtki bardzo teraz popularne.

*dlugie buty!
bardzo*

Strój składał się z czterech części: spodni, zwanych BRIUKI, kurtki zwanej FUFKAJA, płaszczka sięgającego łydek (3/4) zwanego BUSZLAT i czapki z klapami, które można spuścić w zimie na uszy, lub latem związać na górze. Dano nam również buty zrobione ze zużytych opon ciężarówek. Nazwaliśmy te buty 'traktory'. Wszystkie te rzeczy dano nam na chybił trafił, bez względu na nasze wymiary. Natychmiast też wzięliśmy się za wymienianie, starając się dobrać rzeczy, które by pasowały. Dostałem kawał bawełnianej szmaty do obwiązania stóp; skarpetki w Związku Sowieckim nie są dla więźniów albo robotników; są one do wyłącznego użytku dla wygody wyżej postawionych członków Partii i, oczywiście, dla elity NKWD.

Strielki zagnali nas wszystkich ubranych w jednakowe stroje kołymskie przez tylne drzwi na duży plac, otoczony wysokim, masywnym, drewnianym płotem. Ta palisada pełna była więźniów. W samym środku znajdowało się drewniane podium, na którym stało kilku NKWD-owców. Odczytywali bez przerwy długą listę nazwisk więźniów. Mieliśmy się zidentyfikować, poprzez podanie naszego imienia, imienia ojca, daty urodzenia i numeru Kodu Kryminalnego, pod którym zostaliśmy oskarżeni.

Od czasu ostatniego "posiłku" na statku składającego się z chleba i wody nie dostaliśmy nic do jedzenia. Niektórzy więźniowie z powodu głodu i wyczerpania usiedli na ziemię i zasnęli, chwilę potem zostali obudzeni pałami przez Zulio i Urki, którzy krążyli wśród tłumu. Przez chwilę uległem dziwnemu wrażeniu, że ów pierwszy dzień na Kołymie trwa nienormalnie długo. Przypomniałem sobie potem, iż latem na kole Arktycznym jest prawie bez przerwy jasno.

Za każdym razem, gdy strażnicy zgromadzili 25 więźniów, zabierali ich na zewnątrz. Przyszła moja kolej i wraz z 24 innymi nieszczęśnikami, przemaszerowaliśmy przez bramę. Na Kołymie grupa 25 więźniów nazywa się Brygadą. Nadzoruje ją Strielok, który ma nad swoimi podopiecznymi władzę życia i śmierci. Jego prawą ręką jest człowiek zwany Brigadir - rosyjski kryminalista, którego zadaniem jest wycisnąć z brygady jak najwięcej pracy. Zwykle osiąga swój cel poprzez częste, okrutne bicie. Przewodnim hasłem Gulagu Dalstroj jest wyeksploatowanie pracy z więźniów w każdej możliwej minucie. Na odpoczynek i posiłek poświęca się absolutne minimum. Nieuchronnym skutkiem dla więźniów jest śmierć. Tym, którzy muszą pracować poza obozami więziennymi, z rzadka udaje się przetrwać jedną zimę.

H JB
1015A
?

VI, 4/1 r.

Moja brygada rozpoczęła długi marsz do placu budowy na przedmieściach Magadanu. Natychmiast przydzielono mi pracę polegającą na donoszeniu cegieł po trzęsącej się konstrukcji z drewnianych desek dwóm Rosjanom w średnim wieku, pracującym dwa piętra wyżej. Po położeniu na dół sterty cegieł i rozpoczęciu układania ich, jeden z mężczyzn spytał mnie "Czy jesteś Polakiem?" Odpowiedziałem: "Tak, jestem Polakiem". "Czy jesteś żołnierzem, czy oficerem?" "Żołnierzem". Bez przerywania pracy powiedział: "Jest wojna". Odparłem: "Wiem. Dlatego tu jestem". Spojrzał na mnie przelotnie i powiedział: "Jest wojna z Hitlerem. Ten bastard zaatakował Związek Radziecki", jego oczy śmiały się jednak. Ciągnął dalej: "Niemcy idą na Moskwę". Spytałem: "Skąd wiedziałeś, że jestem Polakiem?" Powiedział: "Widziałem wielu takich jak ty w zeszłym roku na Magadanie". Spytałem, gdzie się ci wszyscy ludzie podzieli, a on na to skinął głową w kierunku gór o odpowiedział jednym słowem: "Tam".

Skóra na mych dłoniach stała się podczas uwięzienia, delikatna i cieniutka. A wilgotne, szorstkie cegły wkrótce zdarły mi większość skóry z wewnętrznej strony dłoni. Moje ścięgna i mięśnie protestowały przeciwko powrotowi do aktywności, po tak długim okresie przymusowego leniuchowania.

Dano mi niechlujnie zrobione, drewniane nosidło, które opierało mi się na kręgosłupie, a dwa drewniane haczyki obejmowały mi ramiona. Praca polegała na ładowaniu jej cegłami i noszeniu ich do góry po drewnianym rusztowaniu. Za każdym razem, kiedy przechodziłem koło Strieloka, dorzucał mi jeszcze kilka cegieł do i tak już dokuczliwego ciężaru; bawił go widok moich chwiejnych kroków, kiedy wspinałem się na górę.

Zdawało mi się, że pierwszy dzień pracy nigdy się nie skończy. W końcu jednak odmaszerowaliśmy z placu budowy. Szliśmy w kierunku północno-zachodnim wzdłuż drogi wychodzącej z Magadanu, mijając wiele różnych lagrów (obozów więziennych). Połączyliśmy, a potem dołączyły do nas inne brygady po 25 więźniów, wszystkie idące w tym samym kierunku. Co jakiś czas, jedna z brygad skręcała w kierunku bram lagru. W końcu dotarliśmy do straszliwie zniszczonego obozu. Postawione tam drewniane chaty ^{baraki} zrobiono z nieociosanych bali drzewa. W dachu pełno było dziur. Odniosłem dziwne wrażenie, iż przez długi czas miejsce to było niezamieszkałe.

Rutynowe procedury towarzyszące wejściu jak i wyjściu z obozu w Kołymie były zawsze pilnie egzekwowane przez NKWD, bez względu na porę dnia i nocy, czy też pogodę. Strielok pilnujący brygady miał najpierw zameldować się u Komandira Konwoja (nazywanego również Komandir Rozwoda), człowieka odpowiedzialnego za wszystkie brygady udające się do pracy. Następnie uzbrojeni Strielki, stojący po obu stronach bramy, przywoływali do siebie pierwszy rząd pięciu więźniów, aby podeszli do przodu z rękami z tyłu. Dwóch nieuzbrojonych Strielków szybko przeszukiwało piątkę, a gdy nic nie znaleźli, pozwalali im przejść dalej. Procedura powtarzana była dla każdego rzędu po pięciu więźniów. Długie okresy oczekiwania na swoją kolej, były chyba najgorsze w żywocie sowieckich niewolników na Kołymie.

Po przejściu przez bramę po pierwszym dniu pracy, udałem się od razu do rozsypującej się chaty zwanej STOŁOWAJA (jadalnia). Musiałem stać w długiej kolejce, zanim dostałem miskę zupy zwanej BAŁANDA. Nie było ani łyżek a ni talerzy, jedynie ograniczona ilość starych blaszanych puszek zmienionych w naczynia do picia, przy pomocy drewnianego ucha. Pocieszenie przyszło jednak w osobie starych przyjaciół ze Starobielska i towarzyszy podróży, których spotkałem przy stole. Byli tam wszyscy.

Byłem tak głodny, że porcja zupy i towarzyszący ^{jej} mu chleb zniknął w przeciągu kilku sekund. Mimo późnej pory było jeszcze jasno. Razem z Wojtkiem Dembińskim zdecydowaliśmy że znajdziemy jakieś miejsce na resztę nocy. Przez bramy wchodziło coraz to więcej brygad, było jednak nadal pełno miejsca. Wybraliśmy miejsce, które wydawało nam się najlepsze ze wszystkich rozpadających się baraków do spania i weszliśmy do środka. Znajdowały się tam dwa rzędy nagich drewnianych prycz pomiędzy którymi biegło wąskie przejście. Stał tam także stół zrobiony z nieheblowanego drewna, trzy ławki i mały piec z lanego żelaza, którego komin przeżerała praktycznie rdza. Wojtek i ja byliśmy tak zmęczeni, iż zdecydowaliśmy, że będzie starali się od razu zasnąć na gołych drewnianych deskach podwójnej pryczy na piętrze. Jeden z długich płaszczy rozłożyliśmy jako materac a drugim okryliśmy się. Natychmiast pochłonął mnie głęboki sen.

Nie wiem jak długo spałem, obudziłem się jednak nagle z okropnym uczuciem, iż jakieś małe stworzenia łążą po całym moim ciele, gryząc mnie po twarzy, wchodzą do nosa, oczu i uszu i ślizgając mi się po plecach. Z dzikim obrzydzeniem, rzuciłem się aby zadusić setki, może tysiące dużych, czerwonych, cuchnących pluskiew rozmazując krew z ich ciał po całej twarzy i obolałych dłoniach. Wojtek był już na ziemi, starając się wytrząsnąć potworne małe owady z ubrania. Cała chata była zaatakowana. Sufit aż roił się od robaków, które co chwila spadały na więźniów. Wybiegłem na zimne, prawie zamarzające powietrze. Był środek czarnej, kołymskiej nocy, która o tej porze roku trwała około dwóch godzin. Rozebrałem się do naga i wytrząsnąłem ubranie. Niektóre robaki miały aż dwa centymetry średnicy. Tej nocy nie było już dla mnie odpoczynku.

Kilka dni ciężkich robót na placu budowy w Magadanie, dało mi możliwość rozmowy z tak zwanymi 'wolnymi ludźmi' z Kołomy. Byli to dawni więźniowie, którzy odpracowali już swój wyrok za przewinienia kryminalne. Mogli mieszkać i pracować w Magadanie, lecz nie wolno im było wyjeżdżać z Kołomy. NKWD przydzieliło im funkcję PRORABÓW (nadzorców) w różnych przedsięwzięciach, i nigdy nie musieli pracować w dalekich terytoriach Gułagu Dalstroy. Tak naprawdę jedynymi ludźmi, którzy, z tego co widziałem, mogli całkiem swobodnie poruszać się po Gułagu Dalstroy, były ekipy geologiczne, nieustannie poszukujące nowych złóż mineralnych. Rozległe i niemal całkiem nagie pasma Gór Kołymskich są słusznie nazywane przez Rosjan ZOŁOTOJE DNO, Złoty Basen. Jest tam więcej złota niż w jakimkolwiek zakątku świata. Poniewierające się grudki dochodziły do pół kilo, albo i więcej.

W górach znajdują się także kopalnie węgla, ołowiu i rtęci, którymi zarządza NKWD. Niewolnicy mogą przetrwać najwyżej trzy do sześciu miesięcy w kopalni ołowiu czy rtęci. Byłem więc szczęśliwy, iż z jakichś nieznanych powodów, NKWD nigdy nie wysyłała tam do pracy więźniów politycznych, takich jak ja skazanych za domniemaną działalność "kontrrewolucyjną". Śmierć przez zatrucie ołowiem jest straszna, ale śmierć w kopalni rtęci nawet gorsza. Kiedy rtęć dostanie się do ludzkiego organizmu, kości zamieniają się w galaretę i w efekcie zanikają. Po jakimś czasie kości takiego górnika złamią się pod najlżejszym naciskiem. Śmierć przychodzi zaraz po tym.

Z początku moje ciało korzystało jedynie ze świeżego kołymskiego powietrza i długich spacerów każdego dnia do- i z placu budowy. Ale ból spowodowany ciągłym głodem towarzyszył mi bezustannie i żeby go pokonać, zaciskałem coraz mocniej indiański pas głodowy.

W obozie było wiele spekulacji, co do naszej przyszłości. Jakimś sposobem dowiedzieliśmy się, iż była to jedynie baza tymczasowa, i że niedługo mają nas przemieścić. Od momentu, kiedy Niemcy hitlerowskie zaatakowały Rosję zaczęły krążyć przeróżne plotki co do przyszłości polskich żołnierzy. Niewiele sobie jednak z nich robiłem. Pewnego dnia pojawiła się jednak wiadomość, którą trudno było zlekceważyć. Miała ona zmienić życie tysięcy Polaków więzionych w Związku Sowieckim i kolejnych kilku tysięcy, którzy przetrwali straszliwe warunki 'dobrowolnego przesiedlenia' w odległych częściach Rosji.

Dobre wieści dotarły do mnie z ust drogiego, uprzejmego pana Janusza. Pokazał mi wycinek z rosyjskiej gazety zatytułowany: "Amnestia dla obywateli Polski w Związku Radzieckim". W króciutkim artykule napisane było: "Zgodnie z paktem z 15 sierpnia 1941 roku między rządem polskim w Londynie z generałem Sikorskim i Rządem Sowieckim w Moskwie ze Stalinem na czele, wszyscy polscy żołnierze i obywatele, trzymeni w więzieniach, obozach więziennych lub znajdujący się na 'dobrowolnym przesiedleniu' w Związku Sowieckim zostaną uwolnieni; udzieli się również im pomocy, aby mogli dołączyć do Armii Polskiej tworzonej w Związku Sowieckim do walki z niemieckim, faszystowskim najeźdźcą".

Wszyscy byliśmy zachwyceni, choć zachowanie i stosunek do nas NKWD-owskich ciemniwców, nic się nie zmieniły. Nie zdziwił mnie incydent, który wydarzył się następnego ranka podczas Rozwody^u (defilady). Jeden z Polaków próbował protestować, gdy jak zwykle mocno nas popychano, podczas ustawiania nas w brygady. Strielok zaczął walić go kolbą od karabinu a Brigadir dołączył z drewnianą pałką. Nieszczęsny Polak został dotkliwie pobity.

Tego dnia, jak również w ciągu kolejnych dni, zmuszano nas do jeszcze cięższej pracy niż zwykle. Stało się jasne, że Strielki na Kołymie albo stanowili własne prawo, lub też wykonywali polecenie z Moskwy, aby nas jak najprędzej unicestwić. Z tych dwu możliwych wyjaśnień, to drugie wydaje mi się bardziej prawdopodobne.

Moja opowieść powraca teraz do tematu moich pięknych butów. Czytelnik zorientuje się z usilnych starań od czasu uwięzienia aby je zachować, czym były one dla mnie. Dobrze mi służyły zarówno w sensie praktycznym, jak też i psychologicznym, jako oparcie i symbol życia przed wojną. Teraz, na Kołymie, były mi znowu dobrym sługą. Nosilem je do pracy, a nocą używałem jako poduszkę. Tak naprawdę były one jedyną częścią ubrania, którą zdejmowałem podczas zbyt krótkich sześciu godzin pomiędzy powrotem do domu pod koniec długiego dnia pracy i wychodzeniem z niego aby rozpocząć następną. Za wyjątkiem obuwia wszyscy spaliśmy całkowicie ubrani.

Zdarzyło się to pewnego, rzadko spotykanego, jasnego poranka na Kołymie. Powietrze było rześkie i lekko mroźne. Tego dnia stałem na placu ^{debelajum} ~~defilad~~ czekając na sformowanie brygad do pracy. Skończyłem jeść śniadanie składające się z balandy i zjadałem właśnie ostatnie okruchy ciemnego, kleistego chleba kołymskiego. W barakach Urki dokonywały codziennego rytuału szukania pod pryzami więźniów, którzy próbowali uniknąć pracy - zawsze udawało im się znaleźć choć jednego, zawsze też nagradzali ich biciem, a potem zmuszali do dołączenia do brygad pracy. Później, podczas pobytu na Kołymie, kiedy co noc zdarzały się dwa lub trzy zgony, Urki pojawiały się o poranku i tłukły zwłoki tak długo, aż się upewnił, że więzień „podoch”- zdechł. Ludzie, którzy byli naprawdę chorzy i niezdolni do pracy nie unikali bicia. Jeśli chodzi o opiekę medyczną, mieliśmy jedną izbę chorych nad którą pieczę sprawował WRACZ (lekarz). Miał on niby medyczne wykształcenie, ale tak naprawdę był pielęgniarzem. Jedynymi instrumentami do jego dyspozycji były bandaże do opatrywania poważniejszych ran i rycyna. Co więcej więźniom nie wolno było wyjść do izby chorych za dnia, a jedynie w czasie przeznaczonym na sen.

Każdego ranka na chybił trafił wybierano brygady, a raz rozdzielono mnie od Wojtka Dębińskiego, znalazłem się jednak w tej samej brygadzie, co Jan Gała i Pan Janusz. Długi wąż maszerujących robotników wyruszył w drogę.

Mimo przepracowania, braku snu i jedzenia poranny marsz wydawał mi się zawsze łatwy. Tego dnia widzialność w ostrym, przejrzystym powietrzu była doskonała. Przede mną rozciągał się wspaniały panoramiczny widok na Zatokę Nagajewo, wzniesiony płaskowyż Magadan i majestatyczne, tajemnicze, złowróźbne pasmo gór kołymskich w całej arktycznej szorstkości.

Strielok odpowiedzialny za wszystko przechadzał się wzdłuż naszej brygady. Zauważyłem, że nie spuszczał wzroku z moich butów, które, choć brudne, nie straciły swej elegancji. Na placu budowy, odbył krótką konferencję z jednym z brygadzystów, który przydzielił mnie do mieszania zaprawy murarskiej. Uważano to za dobrą robotę, dużo lżejszą od noszenia cegieł po rusztowaniu. Pracowałem samotnie, napełniając wiadra innych więźniów, którzy z kolei wnosili je na górę do murarzy.

Brygadzista podszedł do mnie i zapytał: "Czy chcesz sprzedać swoje buty?" Odparłem: "Nie". Zniżył głos i powiedział: "Głupi jesteś. Strielok kazał mi cię spytać. Chce te buty. Jeżeli mu ich nie sprzedasz, zdejmie je z twego martwego ciała. Stracisz buty i życie".

Spojrzałem na niego i powiedziałem: "Co chce mi za nie dać?" Odpowiedział: "Jeden bochenek chleba". Odrzekłem: "To za mało". Najwyraźniej wyczuł moją determinację, gdyż po chwili namysłu powiedział: "Oprócz chleba dostaniesz duży kawałek kielbasy z ryby".

Trudno opisać jak trudna była moja decyzja. Wyruszyłem w drogę, żeby połączyć się z polską armią we Francji z nadzieją, iż któregoś dnia powrócę, mając wciąż na nogach moje piękne buty, aby uwolnić kraj od obcej okupacji. Walczyłem o te buty i troszczyłem się o nie, a teraz stałem przed koniecznością oddania ich wrogowi mojego kraju, NKWD-owskiemu zbirowi, za kawałek rybnej kielbasy i bochenek chleba.

Podobnie jak w przypadku wszystkich ważnych decyzji, które musiałem w życiu podejmować, tak i tę podjąłem w kilka sekund. Zgodziłem się rozstać z moimi butami pod warunkiem, iż po otrzymaniu zapłaty za nie, Strielok pozwoli mnie, Panu Januszowi i Janowi Gali na PRIKURKĘ, kilkuminutową przerwę w pracy. Brygadzista kazał mi oddać buty, ale ja rzekłem: "Przynies bochenek chleba i kielbasę, a potem ci je oddam". Sklął i nazwał mnie coś jak "chytry Polaczok", odszedł jednak, aby przynieść jedzenie. Pan Janusz i Gała pracowali kilka metrów ode mnie. Zawołałem ich: "Panowie, jesteście dziś po południu zaproszeni na kolację". Spojrzeli na mnie, jakbym cierpiał na pomieszenie zmysłów.

Po czasie, który wydał mi się bardzo długi, brygadzysta powrócił z chlebem i około kilogramem grubej, jasnej kielbasy rybiej. Niósł obie te rzeczy chowając je pod płaszczem. "Szybko", powiedział niecierpliwie. "Dawaj buty". Odpowiedziałem: "Chwileczkę. Chcę, żeby moi dwaj przyjaciele, o tam, dołączyli do mnie. Mogą mi pomóc zdjąć buty". Zawołał Galę i Pana Janusza a oni podeszli do nas dość zmieszani.

Poprosiłem Janka Galę, aby zdjął moje buty i tak też zrobił. Brygadzysta rzucił mi zapłatę zawiniętą w gazetę, na moje kolana i wyrwał buty. Podzieliłem chleb i rybią kielbasę na trzy równe części i wręczyłem po kawałku moim przyjaciołom. Uczta trwała cztery, może pięć minut. Moje buty nakarmiły trzech głodnych żołnierzy: Pana Janusza, pułkownika słynnego pułku Strzelców Podchalańskich; porucznika Jana Galę z tego samego pułku i Ułana z cenzusem Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu J. Łopuszańskiego. Dopiero podczas tego posiłku, moi przyjaciele wyjawili swoje stopnie i fakt, iż byli żołnierzami.

Był to pierwszy i ostatni raz na Kołymie, kiedy wróciłem do obozu nie czując głodu.

Był to także ostatni raz, kiedy pracowałem na budowie w Magadanie. Po powrocie do obozu, zobaczyłem na placu kilka ciężarówek, ciasno napakowanych więźniami. Moja brygada została zagnana do chaty stołówkowej. Zanim udało mi się wypić wodnistą zupę, wraz z innymi zostaliśmy spalowani przez Urki i popędzeni do wejścia do ciężarówek.

Większość transportu na Kołymie odbywa się w niestarannie zrobionych ciężarówkach. Wydaje mi się, że są one robione na licencji Forda w fabryce na terenie Rosji, zbudowanej przez Amerykanów. Ciężarówki napędzane są paliwem ze spalania klocków drewna, zamiast benzyny lub ropy, a po obu stronach każdej szoferki znajduje się duży, pionowy, metalowy cylinder. Konstrukcje przypominające kominy, wypuszczały gęsty dym drzewny i, w zależności od kierunku wiatru, mógł on powodować ciągłe, nieprzyjemne duszące warunki dla więźniów znajdujących się w tyle ciężarówki.

Stłoczono nas tak ciasno, że siedząc na podłodze ciężarówki, nie sposób było się ruszyć. Miało to tę zaletę, że było nam ciepło. Konwój wyruszył nocą. Podróżowaliśmy po wznoszącej się, wyboistej drodze, przez całkiem wyludnione górskie jary. Szło to bardzo powoli i dopiero o świcie konwój dotarł do celu: agru (obozu więziennego) zwanego 39-tym kilometrem. | 5

Obóz 39 kilometra rozpościerał się na dużym terenie po prawej stronie głównej drogi kołymskiej, na wznoszącym się zboczu górskim usianym maleńkimi drzewami cedrowymi. Wzdłuż lewej granicy, ze zwykłym ogrodzeniem z drutu kolczastego i wieżami obserwacyjnymi biegł rwący, potężny potok górski, w owym czasie nie szerszy jak 13-17 metrów, o idealnie czystej, płytkiej wodzie płynącej po dnie z granitowych kamieni. Do wrót, zrobionych z podwójnego drutu kolczastego prowadziła wznosząca się, kręta droga długości około 190 m odchodząca od drogi głównej. Nad bramą znajdował się duży plakat z dwoma sloganami wypisanymi ponad półmetrowymi literami. Brzmiały one: KTO NIE RABOTAJE^T TOT NIE KUSZAJE^T (Kto nie pracuje, ten nie je) i TRUDOM ZASZCZISZCZAJEM RODINU (Pracując bronimy naszego ^{oiczynę} kraju).

Zmarznięci i odrętwiali po podróży, zostaliśmy zagnani do drewnianej chaty u dołu obozu na śniadanie składające się z wodnistej zupy i chleba. Po pół godzinie maszerowałem do pracy w brygadzie, w której znajdował się także Roman Puchalski i Wojtek Dębiński. Przeszliśmy przez górski potok, mocząc się przy tym po kolana i weszliśmy w bagnisty górski przesmyk. Jak tylko przeszliśmy przez wodę Strielki przykryły swoje głowy czarnymi kapturami z siatki, przypominającymi te jakich używają pszczelarze. Powód stał się bardzo szybko jasny. Zarówno ja jak i inni współwięźniowie. Zostałem zaatakowany przez chmary komarów i gżów. Były one niezwykle agresywne, przedostając się przez każdy otwór w stroju i kęsając dotkliwie. Byliśmy pogryzieni po twarzach, szyjach, oczach i uszach. Próby odstraszenia ich rękami były bezsensowne; one także stawały się obolałe od pogryzień. Niemal natychmiast twarze stały się spuchnięte a z oczu strumieniami polały się łzy od jadu owadów, które zgniataliśmy. Cała kolumna rzuciła się do ucieczki aby jak najprędzej oddalić się od bagnistego terenu, gdzie owadów było najwięcej. Kiedy doszliśmy do płaskowyzu podobnego do basenu, gdzie NKWD zdecydowało o wybudowaniu nowej PŁASZCZATKI (lotniska) spotkała nas pewna ulga.

Podczas najbliższych tygodni spędzaliśmy w ten sposób każdy dzień: dwie godziny marszu do pracy, następnie 12 godzin niemal niewykonalnie trudnej pracy fizycznej i dwie godziny marszu z powrotem do obozu. Potem osiem godzin na jedzenie i sen, zanim rutyna powtarzała się od początku.

Władze w Gulagu Dalstroy zdecydowały, iż nasz niewolniczy transport zbuduje lądowiska dla 39 kilometra przekształcając skalistą, bagnistą ale i stosunkowo płaską nizinę w sieć dróg i bieżni. Drzewa, wysokogórska roślinność, skały i skuta lodem ziemia miały być pokonane bez pomocy mechanicznych narzędzi. Jedyne, co mieliśmy do dyspozycji to kilofy, łopaty, szufle i taczki, no i oczywiście znikomą cząstkę siły fizycznej. Takie były wymagania stojące przed naszymi dłońmi, naszymi mięśniami i naszymi ścięgnami, na które czychało stałe niebezpieczeństwo zranienia lub śmierci od pałek brygadzystów oraz bagnetów i kul NKWD-owskich Strielków.

Roman, Wojtek i ja spędziliśmy pierwszy dzień na ścianiu niewielkich, polarnych cedrów przy pomocy tęgaj, podwójnej piły i wykopywaniu korzeni z zamarznętej ziemi. Jedynym pocieszeniem było to, iż dym z ognisk na których paliły się powalone drzewa pomagał w przegnaniu komarów.

Pod koniec dnia byłem całkiem wyczerpany. Gdy wracaliśmy drogą w kierunku strumienia przy obozie, jeden z więźniów z brygady idącej przed naszą miał najwyraźniej nagłą potrzebę wypróżnienia. Wskoczył z kolumny i przykucnął kilka metrów z boku. Nasz Stroelok, łegi Rosjanin, stanął, przyłożył karabin do ramienia i zastrzelił kucającego mężczyznę. Potem nakazał nam wszystkim, abyśmy szli szybciej. Przy bramie, kiedy odbywało się liczenie więźniów, Rosjanin zdał raport: "Jeden z więźniów zabity, podczas próby uciezki". Stałem w oczekiwaniu na przeszukanie przed wejściem do obozu. Strielok przywołał mnie, wraz z ^{beurym} innym Rusinem. Ponownie musiałem przejść przez strumień, mocząc się przy tym po kolana. Zaprowadzono nas do ciała. Zabity mężczyzna upadł na twarz ze spodniami wokół kolan.

Miałem mu zdjąć odzież i wraz z Rusinem zanieść martwe ciało kilka metrów dalej od ścieżki w chaszczce. Kilka minut potem byliśmy już z powrotem w obozie a ja oddałem strażnikowi ubrania mężczyzny. W oszołomieniu szedłem do chaty jadalnej. Uczyłem się o życiu i śmierci na Kołymie.

Chatki na 39-tym kilometrze były równie niestarannie skonstruowane jak te na Magadanie. Jedyna różnica to, że zbudowano je później. W każdej chacie mieszkało 70-100 więźniów (cztery brygady pracy po 25 ludzi) pod nadzorem Urków. Mieli oni swoją własną luksusową, jak na warunki Kołymy kwaterę usytuowaną na jednym końcu baraku. Mieli także swych własnych służących - inwalidów o pokiereszowanych kończynach i twarzach zeszpeconych mrozem. W niektórych, szczególnie przykrych wypadkach ich twarze nie zagoiły się właściwie i nadal sączyła się z nich ropa. Byli oni jedynymi, którzy przetrwali ubiegłą zimę. Oprócz obowiązku niewolniczej służby Urkom, byli oni także dyżurnymi, pilnując, aby w piecu zawsze paliło się drewno. Przy kilku okazjach rozmawiałem z tymi nieszczęśliwcami. Uważali się za błogosławionych losu siedząc w ciepłych chatach i nie będąc zmuszonym chodzić do pracy.

Chaty były w pełni wykorzystane. Ponieważ więźniowie byli podzieleni na dwie 12 godzinne zmiany, jedna grupa spała, podczas kiedy druga pracowała. Tak więc szopy wybudowane na 100 ludzi stały się domem dla 200. (Powiniennem wyjaśnić, iż na Kołymie praca może trwać bez przerwy przez 24 godziny, gdyż podczas nocy polarnej nigdy nie jest całkowicie ciemno. Tak naprawdę większość roboty na lotnisku toczyła się w nocnym półmroku).

W całej chacie nie ma najmniejszego skrawka, który niewolnik na Kołymie mógłby nazwać swoim własnym. Każdej nocy musi on walczyć z innymi współwięźniami o pryczę, najlepiej blisko pieca, tak aby mokra odzież mogła wyschnąć przed rozpoczęciem pracy następnego dnia. Wojtek, Roman i ja staraliśmy się zawsze wrócić do chaty jak najszybciej po wieczornej zupie, starając się znaleźć miejsce aby położyć się razem.

Światło pochodziło z dwóch, czasem z trzech elektrycznych żarówek w każdej chacie. (Energia pochodziła z generatorów napędzanych przez traktor a dochodzący z niego hałas przywodził mi na myśl najgorsze dni samotnego uwięzienia w więzieniu w Samborze). Światła te nigdy nie były w stanie przebić się przez chmurę niebiesko-szarej mgły spowodowanej parowaniem wilgoci z ubrań więźniów.

Przeludnienie było poważnym problemem. Nie było wystarczającej liczby prycz, tak więc niektórzy z nas musieli spać w centralnym przejściu. Nie było wentylacji, a na ścianach skraplała się woda. Czasem zdawało mi się, iż duszę się w tym zgniłym powietrzu.

Głodny i zmęczony, leżałem co noc ściśnięty między współwięźniami i modliłem się. Prosiłem Boga, za wstawiennictwem Dziewicy Maryi, Królowej Polski, o przyjęcie mojego cierpienia za wywierane na moich ukochanych tysiące mil stąd. To jedynie podczas tych chwil modlitwy w chatach na 39-tym kilometrze, stawałem się wolny i daleki od cierpienia na Kołymie. Potem następował sen bez snów, przerwany wrzaskiem i pałowaniem Urków, pędzących więźniów do następnej 12-to godzinnej pracy.

Starzy przyjaciele ze Starobielska z wyjątkiem Romana i Wojtka, byli rozrzućeni po innych brygadach pracy i chatach. Kilkakrotnie wychodząc z „jadalni” spotkałem profesora ZDZISŁAWA STAHLA. Bardzo mnie pocieszał jego niezłomny duch i chłodne podejście do bolszewickiej polityki i naszego kraju. Był on pewien, iż Sowietci złamią każdą umowę zawartą z Rządem Polskim w Londynie. Czuł on, iż jak tylko dostaną to, czego chcieli od swoich nowych aliantów z Anglii i Stanów Zjednoczonych, zgodzą się ponownie na uwolnienie obywateli polskich ze wszystkich części Związku Sowieckiego, w nadziei, że i tak poumierają oni w odległych miejscach takich, jak Kołyma, bez wieści dochodzących do świata na zewnątrz. W pełni wierzę, że ta hipoteza była całkowicie właściwa i, że Rosjanie zdecydowali się później na ocalenie życia niektórym z nas jedynie dlatego, iż Generał Sikorski i Anders nie ustawiali w dopytywaniu się o „zaginionych” 15 000 polskich oficerów, którzy, jak wiadomo, zostali zamordowani w masakrze katyńskiej.

Innym pamiętnym spotkaniem, które miałem, nastąpiło w wyjątkowym miejscu - w latrynie. Rozmawiałem tam z ANATOLEM KRAKOWIECKIM, którego młodzieńki syn był wraz z nim wymieniony na 39-ty kilometr. Próbował żartować z naszego położenia, wyczuwałem jednak, że był głęboko zatroskany i straszliwie wyczerpany ciężką pracą.

Jeśli chodzi latryny, składały się one z rowów, szerokich na około metr, z drewnianą deską wzdłuż jednej strony. Były one głębokie i bardzo niebezpieczne dla słabszych więźniów. Znałem kilku mężczyzn, którzy wpadli do nich i utonęli; jednym był nieszczęsny Francuz, Holtorp, który podróżował wraz ze mną w jednym, wagonie przez Syberię.

Bardzo prędko dni zaczęły być coraz krótsze a temperatura spadła. Plaga komarów i gzów skończyła się. Zakończyło się kołymskie lato, a zima był już tuż tuż. Druga zmiana spędzała teraz całe 12 godzin pracy w nocnym półmroku.

Aerodrom był miejscem nieustającej aktywności. Niewolnicy zatrudnieni byli na każdym skrawku płaskowyzu a mnogość ognisk pozerających wykorzenione drzewa dawały wrażenie świętowania no corocznych obchodach Nocy Guy Fawkes. Przypomniał mi się inny starożytny polski zwyczaj, tradycja, zgodnie z którą ludzie chodzili na noc Wszystkich Świętych na cmentarze w miastach i wsiach i oświetlali mogiły ukochanych, którzy odeszli, mnogością świeczek. Z pewnej odległości, luna znad lotniska przypominała mi lunę z nocy Wszystkich Świętych nad CMENTARZEM ŁYCZAKOWSKIM w moim ukochanym Lwowie. To wspomnienie miało mi towarzyszyć przez cały czas pobytu na 39-tym kilometrze.

Wkrótce zaczęły się epidemie chorób. Byliśmy na najuboższej z diet z niewielką ilością świeżego jedzenia, gdzie był całkowity brak owoców i warzyw. Pierwsze oznaki niedoboru witamin, objawiły się we wrzodach na łydkach niektórych z moich współwięźniów. Te ohydne rany wkrótce rozprzestrzeniły się po całym ciele, pozostawiając głębokie, ciekące otwory, niekiedy tak duże że zmieściłyby męską pięść. Usta i dziąsła także mocno ucierpiały. Zauważyłem, że moje doskonałe, mocne zęby stały się luźne. Była to CYNGA. Szkorbut.

Choroba ta rozprzestrzeniała się tak prędko, że Nachalnik Łagru nakazał jednej brygadzie zebranie igieł sosnowych i kory z drzew cedrowych. Tak zwani kucharze zrobili z tego napar, który podano nam wraz zupą po powrocie z pracy. Był on chłodny i gorzki. Najwyraźniej miał nam dostarczyć witaminy C, jednak w moim wypadku wywołał niezwykle dziwne skutki uboczne. Spowodował, że serce zaczęło mi bić nieregularnie, a wkrótce znacznie spuchły mi obie nogi. Nigdy więcej nie piłem już naparu z cedru.

Po kilku dniach ulewnych deszczy, płytki potok biegnący wzdłuż naszego obozu, stał się bulgocącą, krętą rzeką. Strumień był tak prędko i mocny, że któregoś dnia w drodze do pracy kilku więźniów zostało porwanych i zatopionych. Reszta, która ocalała chwyciła się mocno za ręce i bezpiecznie przekroczyła rzekę. Utrata w ten sposób siły roboczej była najwyraźniej powodem decyzji Nachalnika, iż konieczny jest most. Nakazał nam go wybudować jeszcze tej samej nocy. Kilka brygad, z moją włącznie, która właśnie powróciła po wyczerpującym dniu pracy, została wygnana z obozu z powrotem do roboty.

Nie chcę się rozwodzić nad budową tego mostu, muszę jednak podać kilka detali. Strażnicy NKWD nakazali nam wejść do wody, mimo tego, iż byliśmy całkiem wykończeni i powiedzieli, że nie wolno nam z niej wyjść dopóki robota nie będzie skończona. Musieliśmy wbić pale w dno rzeki i umieścić na nich deski. Nie wiem, ile istnień ludzkich most ten kosztował, było ich jednak wiele. Most był gotów na czas, abyśmy mogli nim przejść i zacząć naszą trzecią z rzędu 12 godzinną zmianę. Niemożliwym jest opisanie stanu mojego umysłu i wyczerpania. Kolumna mężczyzn nie tyle maszerowała, co wlokła się do aerodromu, a ludzie ślaniali się i często wypadali z linii. Nawet Urki nie byli sobą - szybcy i okrutni.

Przygnębiał mnie widok Romana Puchalskiego, który szedł obok. Przy wzroście 193 cm był najprawdopodobniej najwyższym mężczyzną na Kołymie. Teraz jednak dystygowana postać była przygarbiona, wychudzona i słaba od wyczerpania. Przez kilka ostatnich dni jego szlachetna twarz niezwykle schudła, a kości policzkowe wyglądały jakby chciały przebić się przez skórę. Jego wielkie niebieskie oczy ziały gorączką, a ich wyraz był tak pełen smutku, iż pozostanie mi w pamięci do końca życia.

+ lato 41

Wyszeptał do mnie: „Jacek, nie zniosę już więcej. Pamiętasz? Powiedziałem ci, że nas wykończą. Mogę ci teraz powiedzieć, że nigdy nie wrócę już tą drogą do obozu. Nie mam już woli do dalszego życia”.

Chociaż ja też byłem bliski zdesperowania, starałem się zebrać myśli i pocieszyć Romana. Powiedziałem: „Poczekaj no Roman. Oni muszą nas uwolnić. Jest przecież porozumienie z naszym Rządem. Anglia i Stany Zjednoczone poprą Gen. Sikorskiego i zmuszą Sowieców do uwolnienia nas”. Ale widziałem, że moje słowa nie miały żadnego efektu. Roman, maszerujący z ogromnymi trudnościami obok mnie, zaczął jeszcze raz: „Jacek, obiecaj mi, że jeżeli kiedykolwiek uda ci się wydostać z tego piekła, opowiesz ludziom. Opowiedz WŁODKOWI (jego młodszemu bratu)”. Odparłem: „Obiecuję. Ty jednak musisz obiecać, że jeżeli stąd wyjdiesz, a ja nie, opowiesz moim o mnie”. Roman nic nie odpowiedział.

Podczas tej trzeciej zmiany moje ruchy i wszystko to, co się działo dookoła zdawało się być w zwolnionym tempie. Mój kołymski strój był przesiąknięty wodą i ciążył na plecach i kończynach; jednak karabiny Strielców i pałki Urków były tuż obok, zapewniając ciągłość pracy.

Największe okrucieństwo zwrócone było przeciwko najsłabszym więźniom. Słychać było niekończące się pokrzykiwania: „SZOWIELIS SJA!” (pospieszyć się!), któremu towarzyszyły ciężkie ciosy w śmiertelnie wykończonych niewolników.

Roman nie znajdował sił na to, by się ruszyć. Stał wyprostowany, z obiema rękoma spoczywającymi na łopacie. Prorab i Brygadir rzucili się na niego ze swymi pałami, wykrzykując przy tym ohydne plugastwa. Zdawało się, iż nie czuje już jakiegokolwiek bólu. Cios w głowę powalił go na kolana; upadł w dół na twarz i leżał w bezruchu. Przewrócili go na plecy. Był ciągle żywy, ale nieprzytomny. Strielok, który grzał się przy ognisku, wtrącił się i nakazał abym wraz z innym więźniem przyniósł Romana i położył go przy ogniu.

Nie wiem, dlaczego Strielok wykonał ten nadzwyczajny gest. Być może intrygowała go jego niezwykle wysoka postać lub po prostu nudził się. Tak czy owak jego zachowanie spotkało się z ostrą dezaprobatą ze strony Proraba i Brygadira.

Robota wlokła się godzina po godzinie. Zauważyłem, że Roman podniósł się i siedział w bezruchu przy ognisku. W końcu przybyła druga zmiana, aby nas wybawić. Przekazaliśmy narzędzia. Każdemu z nas nakazano znalezienie dużego kawałka drewna, aby zanieść go do obozu, na spalenie w piecu. Strażnicy nazywali to UDAR, pracę, którą rzekomo wykonywaliśmy na ochotnika. Wiedzieliśmy, że jeżeli nie przyniesiemy z powrotem drewna, stracimy dzienną rację chleba. Wszystkie brygady z naszej zmiany stały gotowe do marszu do obozu; dziwne zbiorowisko ludzi bliskich upadku, niosących kolekcję dużych kłód drzewa o różnym kształcie. W przygaszonym świetle wyglądało to jakby las martwych kłód wyrastał z naszych pokiereszowanych ciał. Odwróciłem się, aby spojrzeć na naszego Strielka i zobaczyłem, że popycha Romana w kierunku jednej z brygad z następnej zmiany, która właśnie co zaczynała następną 12 godzin. Strielok powiedział: „Dobrze dzisiaj odpoczął. Może odpracować swoją zmianę z wami?”. To był ostatni raz, kiedy widziałem Romana.

Podczas następnej zmiany dowiedziałem się, że zmarł pchając taczkę pełną ziemi i kamieni. W moim przekonaniu nie ma wątpliwości, iż zmarł ^{że} złamany psychicznie. Roman Puchalski, miłośnik natury i wszystkich żywych istot, nie mógł pogodzić się z brutalnością i nieludzkim traktowaniem zbirów NKWD w stosunku do swoich współbraci - ludzi. Jego nagie ciało zostało wyrzucone w tundrę na obrzeżu lotniska. Podobnie jak ciała innych niewolników, stało się ono pożywieniem dla dzikich zwierząt na Kołymie.

Kilkakrotnie widziałem, jak lokalni Eskimosi (zwani Jakucami, Lamutami lub Ewenami) wręczają NKWD-owskim administratorom wspaniałe futra, w zamian za sól i parafinę. Futra te, zrobione ze srebrnych i niebieskich lisów i innych niebywale pięknych stworzeń, które utuczyły się na ciałach niewinnych ofiar NKWD; nie sądzę, jednak aby ten fakt dotarł kiedykolwiek do handlarzy futer, czy też eleganckich dam z Zachodniego Świata, kupujących płaszcza, właśnie z tych skór uszyte.

Pisząc te słowa o śmierci Romana Puchalskiego, dotrzymałem obietnicy, danej mi dawno temu.

W dzień po jego zgonie wśród Rosjan w obozie wybuchło podniecenie. Chodziły słuchy o dużych rybach, które zaczęły przemieszczać się w górę rwącej rzeki. Podczas parady przydzielono mnie do brygady rybaków. Była to bardzo przyjemna odmiana. Myślę, że zostałem wybrany ze względu na wzrost i najprawdopodobniej także, na moją ruchliwość. Reszta rybaków składała się z silnych, rosyjskich kryminalistów, których język pełen był wszelakich istniejących przekleństw. Nasz sprzęt łowiecki składał się z mocnych siatek połączonych z liną i obciążonych dużymi kamieniami. Były także mniejsze siatki, dołączone do dużych metalowych obręczy na końcach długich pali. Do zabijania ryb służyły siekiery i łomy. Dano mi kilka mocnych, lnianych worków. Inni więźniowie otrzymali podobne worki. Naszym zadaniem było zebranie martwych i ogłuszonych ryb z brzegu rzeki i przeniesienie ich w workach do ciężarówki, czekającej do zawiezienia ich do Magadanu.

Przed świtem duże sieci zostały rozciągnięte w poprzek rzeki. Kilku Rosjan w gumowych butach weszło do wody i ustawiło się wzdłuż napiętej liny, która wystawała na jakiś metr ponad rzekę. Nie musieli długo czekać.

Patrząc z brzegu, wydawało się że prąd rzeki zmienił nagle kierunek i zawirował w górę, bulgocząc i miotając się, wprost do sieci. Woda ożyła największymi łososiami, jakie kiedykolwiek widziałem. Ryby starały się na oślep sforsować drogę przez sieć, aby kontynuować wędrówkę do swych tajemnych terenów lęgowych wysoko, w górach kołymskich. Rzeź zaczęła się tuż potem. Rosjanie znajdujący się w wodzie wyciągali ryby z kłębiącej się masy i wyrzucali je na brzeg, gdzie inni Rosjanie roztrzaskiwali im głowy przy pomocy siekier i łomów. Moim zadaniem było wkładanie ryb do worków i przeniesienie ich, wciąż jeszcze podrygujących do ciężarówki. Było to łowienie ryb po kołymsku. Robota była nie mniej wyczerpująca niż zwykła praca na lotnisku.

Ciekawe

Sieć zerwała się kilkakrotnie pod ciężarem ryb. Wiele łososi wyskakiwało z wody nad rybakami próbując uciekać w górę rzeki. Był to widok niezwykle. Wreszcie wraz z zapadnięciem zmroku zabijanie ryb dobiegło końca. Kazano mi, wraz z innymi więźniami, zanieść nasze ostatnie ładunki ryb do obozowej kuchni.

Po opróżnieniu mojego wora ogłuszonych, acz nadal żywych łososi do wielkiego żelaznego kotła, zauważyłem, że Rosjanin przede mną wkłada swój pusty worek pod kurtkę. Natychmiast zrobiłem to samo. Kradzież tego wora była najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek na Kołymie zrobiłem. Miała ona odegrać zasadniczą rolę w walce o przetrwanie.

Był to mój jedyny dzień w roli rybaka. Choć na następnej zmianie byłem już z powrotem na lotnisku, odmiana bardzo mi posłużyła i dała mojemu zmęczonemu ciału nieco wytchnienia.

Na 39-tym kilometrze dochodziło do zmian. Tego dnia, po powrocie z lotniska, kazano Karpato-Rusinom (bazantom) wziąć wszystkie swoje rzeczy i wsiadać do czekających ciężarówek. Domyśliłem się, iż ich los został przesądzony jakąś decyzją z Moskwy, która natychmiast wykonano.

Muszę wyjaśnić, w jaki sposób roznoszą się na Kołymie wieści. Dzieje się to zwykle za sprawą kierowców, najczęściej byłych przestępców, którzy zostali wypuszczeni przez NKWD i dostali pozwolenie życia na Kołymie jako wolni obywatele. Podczas swych podróży z miejsca na miejsce, opowiadają więźniom co się gdzie indziej dzieje. To właśnie od kierowców dowiedzieliśmy się, iż Karpato- Rusini mieli zostać wywiezieni kilkaset kilometrów na budowę drogi z Magadanu do Jakucka, przekraczając najzimniejsze miejsce na ziemi, region Wierhojańska. Mieli dotrzeć do swego przeznaczenia przed pierwszymi opadami śniegu. Wiadomość tę przekazał mi jeden z inwalidów. To właśnie on powiedział mi o tym, jak ubiegłego roku tysiące Polaków (mówił o nich per Generałowie i Oficerowie, gdyż Rosjanie zdają się uważać wszystkich Polaków za oficerów wysokiego stopnia) pracowało na tej drodze i jak wszyscy poginęli.

Ten sam los czekał Karpato-Rusinów. Po kilku tygodniach od wywiezienia ich z 39-go kilometra wszyscy zginęli, zabici przez połączenie zimna, braku jedzenia, ciężkiej pracy i złych baraków w ^{obozie} Gulagu. I znów, to właśnie kierowcy opowiedzieli nam o tym, co się stało. Wyjechali by dostarczyć żywność i powrócili z NKWD-owskimi Strielkami, którzy byli jedynymi ocalonymi z konwoju „bazantów”.

W naszym obozie zachodziły inne, mniej oczywiste zmiany. Małe wybrane grupki moich rodaków, nareszcie zaczęły wyjeżdżać. Pogłoski (jak się później okazało w większości prawdziwe) donosiły, iż zawożono ich do Magadan, gdzie byli uwalniani. Zauważyłem brak Jana Gali, prof. Zdzisława STAHLA, Anatola KRAKOWIECKIEGO i jego syna, Pułkownika Janusza i wielu innych. Ostatni ciężki dla mnie cios nastąpił, gdy rozdzielono mnie od Wojtka Dembińskiego, którego zabrano do odtransportowania, kiedy stałem w kolejce po zupełną. Zostałem sam, jako jedyny Polak w obozie. Wszyscy moi rodacy wyjechali.

W mojej brygadzie było kilku Ukraińców i zdawali się oni być do mnie pozytywnie nastawieni, szczególnie jeden, który był KONIOWODEM, mężczyzną pracującym i doglądającym koni. Na 39-tym kilometrze było sześć małych, obskurnie wyglądających koni typu mongolskiego. Miały one niezwykle długie futra, duże głowy, z wydatnymi szyjami w kształcie litery U. Były niezwykle krzepkie i przez cały czas trzymano je na zewnątrz z niewielką ochroną przeciwko złej pogodzie. Były słabo odżywiane; czasami widziałem jak przeżuwały mech, igły sosnowe z drzew cedrowych a nawet korę. Ukraiński Koniowod powiedział mi, iż został zaaresztowany i zesłany na Kołymę, za jedyne przewinienie jakiego dopuścił się w życiu. Powiedział, że jego wioska leży na granicy Polsko-sowieckiej. Połowa jego rodziny z żoną, starszą matką i nim samym, żyła w Rosji. Jego winą było otrzymanie trzech listów od krewnych z polskiej strony. Został zaaresztowany przez NKWD i oskarżony o szpiegostwo. Jego gospodarstwo zostało skonfiskowane, a żona, matka i dzieci, przesiedlone do Kazachstanu, prawie aż na chińską granicę. Bardzo się o nich martwił. Ostatnio miał od nich wieści, kiedy był w łagrze niedaleko Irkucka. Płynął na Kołymę tak samo długo jak ja, tyle że na statku zwanym „MAGADAN”.

Mój ukraiński przyjaciel - Koniowod podsłuchiwał jak Stielki rozmawiali o obozie w mieście Magadan, gdzie Polacy zwolnieni z łagrów, oczekiwali przewiezienia do Władywostoku. Według niego, było ich ponad stu. (Zgodnie z tym, co napisał Generał Anders w swojej książce „Armia na wygnaniu” pierwszy odpływ Polaków z Kołomy nastąpił pod koniec września 1941 roku. Na pokładzie znajdowało się około 150 mężczyzn. Dowiedziałem się później, że był wśród nich prof. Zdzisław Stahl, porucznik Janusz, Anatol Krakowiecki z synem, Jan Gała i Wacław Leśniński).

Na Kołymie przejście jesieni w zimę trwa zaledwie kilka godzin. Pierwsze śniegi szybko pokryły krajobraz a ostry mróz zamroził rzekę na dobre. Drewniany most, który pochłoniął tyle ludzkich ofiar i który nie bezpośrednio spowodował śmierć mojego przyjaciela Romana, stał się nagle niepotrzebny.

W bitwie o przetrwanie, musiałem teraz stawić czoła nie tylko ogromnemu głodowi i brakowi snu ale także biegunowym mrozom. Zimno stało się Wrogiem Numer Jeden. Pierwszy wór, który ukradłem przedstawiał teraz ogromną wartość. Wyciąłem z niego dwa dolne rogi, przykrywając sobie czoło, uszy i kości policzkowe, szyję i podbródek. Inny pasek stał się rodzajem szala, który zawiązałem sobie dookoła podniesionego kołnierza płaszcza i mocno obwiązałem sznurkiem. Kolejne dwa duże kawałki użyłem do obwiązania gumiaków, przewiązując je znowu sznurkiem. Jednak główna część worka była najcenniejszym ... Wyciąłem jeszcze jedną dziurę, dość dużą, aby mogła precyzyjnie się przez nią moja głowa; wciągnąłem go na siebie. Ręce weszły przez otwory, które wcześniej wyciąłem na rogach. Wór sięgał mi prawie do kolan i stworzył doskonałą podpinkę dla fufajki (płaszcz). Wraz z innymi więźniami otrzymałem parę bawełnianych rękawic PALCZATEK. Je także wyścieliłem.

Dla robót na lotnisku nie było dyspensy. Śnieg i mróz sprawiły, że warunki stały się bardziej dokuczliwe i wkrótce umierały co noc dwie trzy osoby. W naszej chacie było teraz masę miejsca, a każdy miał własną pryczę.

Wszedłem w posiadanie dwóch niezwykle ważnych narzędzi: drewnianej łyżki i blaszanej puszki z drucianą rączką zwanej KOCIOŁOK. Szczególnie puszka przedstawiała ogromną wartość. Mogłem ją napęcznieć wodą a potem, podczas czasu na wypoczynek, zagotować na piecu i napić się gorącej wody. Pomogło mi to poradzić sobie z pragnieniem, które było kolejnym nieodłącznym towarzyszem na Kołymie. Niektórzy więźniowie starali się walczyć z pragnieniem wkładając sobie śnieg do ust i czekając aż się roztopi. To jednak wyciągało ogromne ilości ciepła z organizmu i zwiększało ryzyko wychłodzenia organizmu. Ani razu nie uległem pokusie jedzenia śniegu.

W siedzibie Gulagu Dalstroj na Magadanie znajdowało się biuro Głównego Zarządcy, odpowiedzialnego za cały region, wysoko postawionego oficera NKWD o nazwisku GARANIN. Kiedykolwiek mówili o nim sowieccy więźniowie, czynili to szeptem. Wkrótce jego imię było na ustach wszystkich.

Garanin sprawował władzę nagana i żelaznej pięści i odnosiło się to w równym stopniu do jego NKWD-owskich współpracowników, jak i do więźniów. Niektórzy z moich rosyjskich współwięźniów wierzyli, że Garanin był jednym z pierwszych morderców FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO, człowieka, który założył Cze-ka, potem znanego pod nazwą GPU, NKWD i KGB. Z opowieści na jego temat, bez trudu mogłem w to uwierzyć.

Miał on w zwyczaju odbywać okresowe wizytacje w łagrowych kopalniach złota, rozrzuconych po górach kołymskich. Czasem nie wysiadał nawet z samochodu; nakazywał jedynie, aby obozowy zarządca przyprowadził do niego więźniów, którym stale nie udawało się wykonać normy pracy. Następnie przez okno samochodu Garanin strzelał do nieszczęsnych więźniów i nakazywał pozostawienie ich ciał przez kilka dni tam, gdzie padły, jako ostrzeżenie dla innych niewolników.

Podczas mojego tam pobytu, Garanin dokonał tylko jednej wizytacji na 39-tym kilometrze. Nastąpiła ona na szczęście, gdy pracowałem na lotnisku. Był tam dość długo, aby poddać egzekucji dwóch brygadirów z powodu, którego nigdy nie odkryłem. Przez kilka dni po jego wizycie nad obozem wisiała aura lęku. Potem dotarła do nas zaskakująca wieść: Garanin nie żyje! Na jej potwierdzenie nie musieliśmy długo czekać. Któregoś ranka podczas parady Nachalnik (zarządca obozu) przeczytał krótki raport od nowego Zarządcy Gułagu Dalstroy.

„Robotnicy i więźniowie. Poprzedni Gubernator Gułagu Dalstroy w mieście Magadan, Garanin, został rozstrzelany za następujące przewinienia: był zdrajcą i imperialistycznym szpiegiem, który poprzez mordowanie robotników w różnych PRYJSKACH (kopalniach złota) w tym regionie, świadomie sabotował wydobycie złota i przeszkadzał w produkcji. Był winien sprzedaży przydziałów więźniów, wolnym obywatelom Magadanu. Kradł złoto i wszedł w tajemny układ z amerykańskimi kapitalistami. Za te przewinienia został poddany egzekucji w Magadan. Podpisano, nowy Gubernator Kołomy”.

Później, kiedy znowu znalazłem się w Magadan, opisano mi egzekucję Garanina. Odbyła się ona w iście bolszewickim stylu. Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia w Magadanie wylądował niewielki samolot. Wsiadł z niego porucznik NKWD i nie spiesząc się przeszedł do siedziby Gułagu Dalstroy. Miał on pisemne pozwolenie wejścia do budynku, podpisane przez samego Berię. Garanin był w swoim pokoju i siedział za biurkiem. Porucznik, który miał być nowym gubernatorem, wszedł bezpośrednio do biura i strzelił Garaninowi kilkakrotnie w głowę. Dwóch strażników zaalarmowanych tym odgłosem wbiegło do gabinetu. Nowy Gubernator, ciągle jeszcze trzymając pistolet w ręku, powiedział: „Wynieście to ścierwo”. W ten sposób dokonała się zmiana gubernatorów.

Mimo tego nie nastąpiła zmiana naszych warunków, czy też traktowania nas przez NKWD-owskich Strielków. Jedyne różnice polegały na tym, iż nowy Gubernator nie robił już osobistych inspekcji łagrów, ani też nie dokonywał osobistych egzekucji.

Mój przyjaciel, ukraiński Koniowod, w związku z pracą przy koniach, był w dogodnej pozycji do zbierania informacji o tym, co się działo na Kołymie. Przez niego dowiedziałem się, iż statek pełen polskich więźniów uwolnionych w Magadan, odpłynął z portu do Władywostoku. Głęboko przygnębiła mnie ta nowina, gdyż zgodnie z tym, co mówił mój ukraiński koniowod, był to ostatni odjazd z Magadan zanim wody w Zatoce Nagajewo zamarzną. Potem już żaden statek nie będzie mógł odpłynąć, czy też wpłynąć do zatoki aż do końca maja następnego roku. To tak, jakby podszedł do mnie ktoś i powiedział: „Możesz przestać myśleć o wydostaniu się stąd. Spędzisz zimę na Kołymie”.

Byłem ciągle głodny. Czulem, jak z każdym dniem pracy staję się coraz słabszy i bardziej zmęczony. Zdecydowałem, iż będę jako obywatel Polski domagał się od moich oprawców uwolnienia.

Podczas porannej ^{apelu} parady niemożliwym ^e było dotarcie do któregośkolwiek z wyżej postawionych Naczalników NKWD. Zrobienie tego zinterpretowano by jako próbę migania się od pracy i zakończyłoby się chłostą. Zdecydowałem, iż spróbuję szczęścia po powrocie z pracy. Nie było to łatwe.

Chciałem się widzieć z Naczalnikiem, mocno zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu o nieprzyjemnej twarzy. Zawsze trzymał się od więźniów na dystans i zawsze towarzyszyło mu co najmniej dwóch strażników. Jedną dziwną rzecz nie pasowała do jego osoby, miał psa. Było to wielce niezwykle na Kołymie, gdzie, jako zasadę, trzymano jedynie wilczury alzackie, używane do pilnowania więźniów. Był to kundel, dość duży, mieszaniec Bernardyna i Samojeda. Psa doglądano niezwykle pieczołowicie. Wielokrotnie słyszałem zawistne spekulacje moich rosyjskich współwięźniów o tym, co pies dostał na obiad.

Moja szansa podejścia do Naczalnika natrafiła się w momencie, gdy wraz z psem przechodził obok końca chaty jadalnianej, gdzie stałem w kolejce po posiłek. Wszedłem z kolejki i podszedłem do niego wykrzykując: „Obywatelu Naczalnik, jestem polskim obywatelem i zgodnie z porozumieniem pomiędzy Rządem Polskim a Marszałkiem Stalinem, powinienem być wypuszczony i wysłany, aby dołączyć do Armii Polskiej”.

Dwóch ochroniarzy Naczalnika podskoczyło do mnie i chwyciło mnie za ręce, ja jednak nie przestawałem krzyczeć: „Jestem polskim obywatelem i domagam się zwolnienia”.

Nachalnik podszedł do mnie dość blisko i zarzucił mnie zwykłym strumieniem pytań: „Nazwisko? Imię? Imię ojca?... itd”. W końcu zamilkł. Spojrzał na mnie lodowato i powiedział: „Uwolniliśmy wszystkich porządných obywateli i oni dołączą do Armii, aby walczyć przeciw faszystowskiemu Niemcom. Ale ścierwo, takie jak ty, będzie musiało bronić Sowieckiego Sojuza pracą. Nie będziesz wypuszczony. Dawaj na rabotu”.

Pozwolili mi odejść i wróciłem do kolejki, aby stać po moją zupę i chleb.

Kolejne dni na aerodromie były, jak dotąd, moimi najgorszymi. Słowa Nachalnika: „... będziesz bronił Sowieckiego Sojuza pracą...” wciąż huczały mi w głowie. Jedyną moją pociechą była modlitwa, którą mówiłem w drodze do pracy, podczas pracy, wracając do obozu i która była mi kołysanką przed uśnięciem. Dzięki modlitwie wyrobiłem sobie psychiczne oderwanie od rzeczywistości życia na 39-tym kilometrze.

Arktyczna zima miała nad nami pełnię władzy. Któregoś dnia, wracając do obozu i niosąc jak zwykle kawał drzewa do pieca, natrafiliśmy na ostrą burzę śnieżną. Na szczęście byliśmy blisko obozu i doczłapaliśmy się na niewielką odległość do jadalni, kiedy jednak wyszedłem po zjedzeniu zupy i chleba na zewnątrz, płatki śniegu padały tak gęsto, iż miałem trudności w odnalezieniu drogi do baraku. Jego duszące, zepsute ciepło było tej nocy bardzo miłe.

Nieludzko zmęczony natychmiast rozwiązałem moje bandaże ochronne z butów, twarzy i czapki. Znalazłem sobie miejsce na wyższej pryczy obok mojego ukraińskiego Koniowoda, któremu zawsze udawało się wrócić do baraku przede mną.

Prawie natychmiast zasnąłem. Po jakimś czasie, nie wiem dokładnie jak szybko, Ukrainiec przywołał mnie do przytomności potrząsaniem. Próbując wyłonić się z głębokiego snu wykończonego człowieka, nie byłem całkiem świadomy tego, co się działo w głównym korytarzu. Kilku Rosjan klęczało na ziemi, dojrzałem, leżące między nimi ciało psa Nachalnika. Niezwykle profesjonalnie obciągnęli go ze skóry i oprawili. Podzielili mięso między więźniów. Było surowe, ale zjedzono je natychmiast. Dano mi kawałek, nie mogłem się jednak zmusić do jedzenia. Oddałem je mojemu przyjacielowi Koniowodowi. Wszystko wydarzyło się w absolutnej ciszy i niezwykle prędko. Psia skóra, jelita i kości zostały wyrzucone do latryny. Kilka innych jego części spalono w piecu. W kilka minut więźniowie już spali.

Następnego ranka, dużo wcześniej niż zwykle nakazano wszystkim więźniom z obozu wyjść i ustawić się na zbiórkę. Burza śnieżna się skończyła. Strielki, Zulio i Urki zaczęli przeszukiwać baraki. Kazano nam czekać, stojąc w świeżym śniegu, który odbijał elektryczne światła milionami gwiazdeczek. Był on zamarznięty na kamień, a gwiazdy świeciły z zaskakującą jaskrawością na głęboko granatowym, bezksiężycowym niebie. Nawet brzydota obozowych chat przykrytych śniegiem, nie mogła przyćmić piękna arktycznej nocy.

Sam Nachalnik przechadzał się od jednej brygady do drugiej pytając, czy ktoś nie widział jego psa. Usłyszałem jak jeden z mężczyzn z naszego baraku powiedział: „Zapewne oddalił się od obozu. Wilki z tundry pewnie go dopadły”.

Poszukiwania trwały, jednak los psa nigdy nie został wyjaśniony. Dopiero teraz mogę powiedzieć Nachalnikowi Poprawczego Obozu Pracy na 39-tym kilometrze, Gułag Dalstroy w Rejonie Kołymy, co przytrafiło się jego spałemu psu. Został zjedzony, surowy i jeszcze ciepły, Towarzyszu Nachalnik, przez zagłodzonych niewolników bolszewickiego systemu. A ja to wszystko widziałem.

Prace na lotnisku były kontynuowane jednak całkiem bezproduktywnie. Teoretycznie mieliśmy nie pracować gdy temperatura spadnie poniżej 50 stopni C; ta zasada nigdy jednak nie była przestrzegana. Mrozy stały się coraz bardziej kłuszące, a liczba zgonów powiększyła się ze zwykłej liczby dwóch czy trzech co noc, do aż dziesięciu. Musiałem się przyzwyczaić do patrzenia jak ludzie dochodzą do granic wytrzymałości. Istnieje rosyjskie określenie ludzi, którzy osiągają ten stan: nazywa się ich DOCHODJAGA. Moje pierwsze spotkanie z Dochodjąką było wstrząsające. Siedziałem jeszcze w jadalnianej chacie przy jednym z grubo ciosanych stołów, siorbiąc balandę i raz po raz ogryzając po kawałeczku z małej porcji ryby. Większość z rosyjskich więźniów, po wysaniu każdej najmniejszej cząsteczki mięsa z ryby, wyrzucała ości pod stół. Ja zostawiałem moje zawsze na stole. Skończyłem jeść rybę i właśnie co miałem dopić ostatnie dwa czy trzy łyki zupy, gdy ujrzałem brudną, chudą rękę wyciągniętą po moje ości. Ręka ta należała do zagłodzonego mężczyzny, kucającego pod stołem. Spojrzałem w jego nienaturalnie spuchniętą twarz. Z oczu bił mu ogień gorączki. Zjadł moje ości, podobnie jak uczynił to z ośmiu innych więźniów.

Odszedł, aby napęłnić żołądek ogromnymi ilościami wody. Powodowało to stopniowe puchnięcie od nóg w górę, a kiedy organizm jest przepełniony wodą ponad miarę, serce poddaje się a więzień umiera. NKWD-owscy Strielki mieli dla DOCHODJAGI jedynie pogardliwe szyderstwo. Ich stosunek można zilustrować sformułowaniem, które często wypowiadali: „Pij. Pij. I pamiętaj, jedno wiadro wody równa się bochenkowi chleba. Sprawi on, że będziesz gruby.”

Rosyjscy więźniowie, którzy nie zeszli jeszcze do tego ostatecznego poziomu ludzkiego poniżenia, traktowali Dochidiagów, swoich braci, swoich rodaków z nienawiścią i okrucieństwem. Dla wolnego człowieka jest to niemal nie do pojęcia. Sądzę jednak, iż wyjaśnienie tego podejścia kryje się pod jednym słowem: strach. To prymitywny strach nakazywał Rosjanom zachowywać się w ten sposób. Kiedy spoglądali w twarz Dochodjagi, widzieli samych siebie i zastanawiali się kiedy i oni będą wyglądać i zachowywać się tak, jak teraz ta nieszczęsna istota przed nimi. Strach przed skutkami głodu, pragnienia, zimna, przepracowania, braku snu i poniżających warunków życia, powiększał każdego dnia strach w naszych mózgach. A strach przeradzał się w nienawiść naszego własnego obrazu i losu, jaki widzieliśmy w ostatecznym upadku Dochidiagi.

Muszę oddać w tym miejscu kolejny hołd dla mądrości mego ojca. Ofiarowując nam naumyślnie spartańskie wychowanie, zapewnił, iż jego dzieci wykształcą w sobie krzepę fizyczną. Jako dzieci, byliśmy przez niego zachęcani do jazdy w górach na nartach, spędzając wiele dni ^w na mroźnym, górskim powietrzu. Ten trening sprawił, iż ku mojemu zdziwieniu byłem lepiej przygotowany do stawienia czoła zimie na Kołymie, niż wielu moich współbraci więźniów, którzy od urodzenia mieszkali w Rosji syberyjskiej.

Podobnie, jak wszystkie żywe istoty, człowiek także przystosowuje się do rutyny, nawet tej najprzykrzejszej. Punktem kulminacyjnym mojego życia na 39-tym kilometrze była Balanda po pracy i sześć godzin odpoczynku w moim ciepłym baraku. Pozostały czas poświęcony był jedynie pokonywaniu głównych przeciwności: mrozu i głodu, w tej właśnie kolejności. Ruchy w pracy musiały być ekonomiczne, ciągłe, nieprzerwane tak, aby pobudzać krew w obiegu i równomierne by oszczędzać traconą energię. Niewielkie ilości białka w naszym chlebie i rybie, nie starczały, aby sprostać potrzebom naszych organizmów. Oznaczało to, iż nasze własne ciała dostarczały nieustannie równoważnika białka, stopniowo zmniejszając nasze fizyczne zasoby. Zauważyłem o ile, od czasu przybycia na Kołymę, stałem się chudszy.

Pewnej wyrazistej, mroźnej nocy, wróciłem właśnie z pracy i układałem się do snu obok ukraińskiego koniowoda. W tym momencie pojawił się Starosta (starszy) i Strielok i wyczytali moje nazwisko. Dołączyłem do niewielkiej około dziesięcioosobowej grupy więźniów; kazano nam wymaszerować z obozu na główną drogę, gdzie oczekiwał na nas konwój - kilka zadaszonych ciężarówek. Stała tam grupka Strielkow, ubranych w kozuchy, przytupując w śniegu swymi dobrze opatulonymi botami (walonkami).

Zostaliśmy ciasno załadowani do ciężarówki i konwój ruszył, wspinając się w górę gór kołymskich, oddalając się od Magadan i przybliżając do ZOLOTOWO DNA, Złotego Basenu. Przez cały czas przeraźliwie łomotały łańcuchy na oponach ciężarówki. W moim zatroskaniu znowu szukałem i odnalazłem pociechę w modlitwie. Wkrótce zdrzemnąłem się i w końcu zmęczony wysiłkiem po 12 godzinnej pracy na lądowisku, zapadłem w głęboki sen.

Nagle nastąpiło szarpnięcie, i ciężarówka zatrzymała się. Strielki pokrzykiwali na nas, żebyśmy wysiadali. Pełny księżyc na czystym niebie sprawił, iż było prawie tak jasno jak za dnia. Księżyc wyglądał jak słońce, pozbawione ciepła. W połyskującym śniegu wszystkie elementy krajobrazu były ostro podkreślone. Przejechaliśmy zapewne szmat drogi od 39-tego kilometra. Szeroka droga, pokryta śniegiem, wznosiła się ostro przez górski wąwóz. Scena ta odbierała dech w piersiach.

Strielki nakazały nam stanąć za ciężarówką i pchać, pomagając rzeźącemu silnikowi. Po pewnym czasie była to dość miła odmiana od podróżowania w niewygodnych warunkach i ścisku z tyłu auta. Moje myśli poszybowały do Świąt Bożego Narodzenia w Karpatach, kiedy w świetle księżycy podobnym do dzisiejszego, zjechałem na nartach w dół samotnej półki skalnej, aby dotrzeć na Sylwestra do wioski w dolinie.

Dzięki naszej pomocy ciężarówka pokonała stromy odcinek drogi i wyłoniła się w wyższych partiach gór. Po prawej stronie był ostry spadek w przepaść, którą płynęła wijąca się górską rzeka. Po obu stronach drogi, która przy każdym skręcie zdawała się znikać w przepaść, nie było żadnej barierki. Po lewej, skąpo zadrzewione zbocza wznosiły się ku szeregowi górskich szczytów. Konwój dojechał do punktu, który Strielkom najwyraźniej służył za miejsce do odpoczynku. Jeden z nich zaczął zgarniać śnieg, pociągając nogą i tworząc głębokie wgłębienie. Oznaczył w ten sposób kwadrat o przekątnej około 25 metrów. Zaprowadzono nas w jego środek.

Komandir konwoja zwrócił się do nas: „Więżniowie. To wasz teren. Tutaj będziecie odpoczywać. Zróbcie sobie ognisko”. Dano mnie i kilku innym siekiery. Pod okiem Strieloka kazano ściąć na ognisko niewielkie polarne drzewa. Inni więźniowie zabrali ścięte pnie i zrobili z nich dwa ogniska: jedno na terenie więźniów, drugie przy ciężarówce NKWD-owców. Wkrótce oba dobrze się paliły, wysyłając płomienie wysoko w czyste, mroźne powietrze.

Mróz był tak dotkliwy, że wkrótce szmaty obwiązane dokoła mojej twarzy, zmieniły się w twarde kawały lodu. Byłem szczęśliwy, że przydzielono mnie do ścinania drzew, gdyż dzięki temu moja krew była w ciągłym ruchu. Księżyc zniknął za pasmem górskich szczytów, pozostawiając po sobie dwa czerwone krążki światła dokoła ognisk kontrastujące z panującym dokoła półmrokiem. Ciepło ze spalonych sosnowych kłód, ogrzewało przód naszych ciał, podczas gdy przeszywające nocne powietrze przenikało ubrania i zamrażało plecy. Niektórzy z moich towarzyszy pragnąc ogrzać się, zbliżali się niebezpiecznie blisko ognia. Kłody paliły się głośno i wysyłały fontanny iskier. Jeżeli zdarzyło się, że najmniejsza nawet iskierka lądowała na bawełnianym odzieniu więźnia, wypalała natychmiast dużą dziurę, a jeśli się jej natychmiast nie zgasiło, spaliłaby strój a w końcu i samego więźnia. Z tego powodu trzymałem się zawsze w bezpiecznej odległości od ogniska. Regularnie obracałem się także, aby żaden skrawek ciała nie był nigdy zbyt mocno wystawiony na działanie mrozu.

Od wyjazdu z 39-go kilometra nie dostaliśmy nic do picia i byliśmy dlatego niezwykle spragnieni. Niektórzy więźniowie podnosili pospiesznie garście śniegu i pakowali go sobie do ust, jak już jednak tłumaczyłem wcześniej, okrada to organizm z resztek kalorii potrzebnych do przeżycia. Podzieliłem się gorącą wodą z puszki z gorzej wyposażonymi rosyjskimi więźniami, byłem jednak świadomy tego, że przy najmniejszej sposobności ukradli by mi ją bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Pilnowałem więc bacznie mojej puszki. Kiedy z niej nie korzystaliśmy, przywiązywałem ją sobie sznurkiem do pasa. Udało mi się zareagować w kilku wypadkach, gdy chciano mnie okraść.

Woda uzyskana z roztopionego śniegu nie smakuje tak dobrze jak woda pitna z innych źródeł, gdyż pozbawiona jest minerałów. Jestem pewien, iż to właśnie dlatego skorbut tak łatwo poradził sobie z niektórymi z nas.

Czas mijał niezwykle powoli. Niektórzy więźniowie drzemali. Pomimo tego, iż głowę miałem ciasno obwiązaną szmatami, mróz zaczął wciskać mi się do bębenków w uszach, powodując ostry, pulsujący ból ucha i ciągle buczenie w głowie. Ciepło z ogniska nic nie pomagało.

Po przeciwnej stronie na prawo, ujrzałem starego Rosjanina siedzącego bardzo blisko płomieni. Przyglądając mu się zobaczyłem jak rozwiązał swoje szmaty na głowie, a dwie klapki z kołymskiej czapki zawisły mu luźno, jak uszy myśliwskiego psa. Cienka, klasyczna kreska nosa wyloniła się z twarzy pokrytej szarym zarostem. Półprzytomny i skrajnie wykończony patrząc na niego pomyślałem o świętych i apostołach namalowanych przez starych mistrzów.

W ognisku leżały teraz do czerwoności rozpalone węgle a ukrop był przemożny. Co jakiś czas dorzucano więcej kłód. Docierał do nas zapach dobrego jedzenia, które przygotowywano na ognisku NKWD-owców z drugiej strony. Sam zapach powodował ból w moim pustym żołądku.

Spojrzałem na starszego, śpiącego Rosjanina z twarzą świętego. Nagle iskra padła na jego bawełniany Bushlat a wypalona w nim dziura szybko się powiększała. Wcale na to jednak nie zareagował. Jakiś mężczyzna obok niego, potrząsnął starego Rosjanina za ramię. Zobaczyłem jak ten powoli przechylił się do przodu, a jego głowa delikatnie zbliżyła się do płomieni. Cały tułów wpadł w końcu do ognia i został przezeń pochłonięty. Płomienie z ubrania wystrzeliły wysoko w niebo. Nikt się nie ruszył. Była tylko cisza.

Obrzydliwy zapach dotarł do Strielków. Podbiegli uzbrojeni, w pełnej gotowości. „Co się dzieje?” Jeden z Rosjan odpowiedział mu przeklinając przy tym siarczyście. Na koniec dodał: „Przynajmniej mu ciepło”.

Zwęglone ciało wyciągnięto z ogniska i wrzucono w śnieg.

Kiedy Strielki już odpoczęli, dostaliśmy naszą dzienną porcję chleba. Był on zmrożony na kamień, ale ponieważ najwyraźniej źle go wypieczono z ciasta, które bardzo rozcieńczono wodą, nikt nie miał odwagi go rozmrozić. Próbowałem kiedyś rozgrzać kawałek na piecu, ale pozostała z niego jedynie ciemno-brązowa kleista masa. Jeden z rosyjskich więźniów na 39-tym kilometrze wyjaśnił mi dlaczego chleb jest takiej złej jakości. Najpierw NKWD kradnie część mąki przyznanej obozowej piekarni. Potem więźniowie kradną jeszcze więcej, dodając w jego miejsce wodę. W HLEBORJEZCE, miejscu w kuchni, gdzie bochenki są krojone na porcje, kradną jeszcze więcej chleba, uzupełniając wagę poprzez nasączanie tego, co zostało, wodą i zamrażanie. W rezultacie otrzymuje się niezwykle wybrakowany chleb, który ma utrzymać przy życiu pracujących więźniów.

Strielki NKWD wiedzą oczywiście o wszystkim, wolą jednak nic w tej sprawie nie robić. Każdy, kto narzeka zostaje nagrodzony razami albo zamknięciem w karnym baraku. Jest to niewielka, pusta, nieogrzewana chata z gołą ziemią. Zabiera się tam więźniów po 12-godzinnej pracy i wypuszcza rano, aby rozpoczęli kolejną zmianę. Wyrok trzech nocy w baraku karnym to skazanie na śmierć przez zamarznięcie.

Oprócz starszego mężczyzny, który spłonął podczas naszego pierwszego postoju w drodze do Złotych Złóż na Kołymie, kilku innych więźniów także straciło życie. Byli to ci, którzy złożyli się po prostu do snu w śniegu, by nigdy więcej się nie zbudzić. To najprostsza droga ucieczki z Kołymy. Strażnicy dopilnowywali zawsze, aby zwłoki obdrzeć z ubrania i pozostawić w śniegu na pożarcie dzikim zwierzętom.

Wznowiliśmy podróż ciężarówką, która co rusz zmieniała bieg - od powolnego w górę krętej drogi do niezwykle groźnych, ostrych zjazdów. Bardzo się bałem, gdy, siedząc na ziemi pokrytej śniegiem, starałem sobie wyobrazić niebezpieczeństwa przed jakimi stoi kierowca podczas owych zjazdów. Wszyscy wiedzieliśmy, iż podczas drogi zarówno kierowcy jak i Strielki pili duże ilości wódki. Wpływało to na chaotyczną jazdę i przysparzało nam potwornego strachu.

Kiedy dotarliśmy do stromego odcinka drogi, spowiła nas gęsta mgła. Wysiedliśmy, aby pchać ciężarówkę. Długa kołymska noc zbliżała się do końca a wraz z nieśmiałym przyjściem dnia, pojawił się lekki wiatr, który odegnał mgłę. Udając, że pcham z boku, spojrzałem na góry i podziwiałem widok. Tuż pod nami znajdował się ocean szarobiałych chmur, z których wystawały górskie szczyty. Wyglądały one jak postrzępione wyspy pokryte szkłem, które świeciły w zamarzniętej tafli wody. Ich strome zbocza, migocące pod pokrywą śnieżną, zdawały się być bardzo blisko. Przed nami rozciągał się fantastyczny widok wodospadu z lodu, odbijającego złocistą poświatę wschodzącego w oddali słońca. Dawały się wyodrębnić wszystkie kolory tęczy. Był to najpiękniejszy, najbardziej spektakularny górski widok jaki kiedykolwiek widziałem.

Konwój wił się po labiryncie wąwozów łączących liczne pasma górskie. Mijaliśmy niezliczone nagie szczyty. Nasze postoje odbywały się w niezwykle starych i rozwalających się łagrach, które były zapewne zbudowane przez niewolników w tym samym czasie co droga. Powiedziano mi, iż droga ta pochłonęła jedno ludzkie życie na każdy metr odległości. Mogłem w to z łatwością uwierzyć.

2

Dotarliśmy do Górnego Kołymska, tej części gór, gdzie rodzi się potężna rzeka Kołyma. Były tam tysiące strumieni z bystrzynami i wodospadami, opadającymi w dół do głębokich dolin zanim zbiły się w jeden potok. To Złote Zagłębienie, gdzie grudki złota można podnosić z ziemi gołą ręką. To miejsce, gdzie złoto nie przedstawia dla niewolników żadnej wartości, gdyż ich jedynym zadaniem jest je zbierać. Dla tych niewolników jedyną prawdziwą wartością jest pożywienie, ciepło i wypoczynek.

Nasze
miejsce.

Moim celem był obóz 400-go kilometra. Po kilku godzinach siedzenia w rozpadającej się chacie około 50 z nas wezwano po nazwisku i sformowano kolumnę. Pozostali z konwoju wyruszyli już wcześniej w głąb gór.

Rozpoczęliśmy marsz. Nawet w tych arktycznych bezkresach Strielki NKWD czuli się w obowiązku oznajmić nam iż: „Krok w prawo, krok w lewo, próba ucieczki...” itd. Szliśmy za poruszającą się powoli ciężarówką, która zjechała po jakimś czasie z głównej drogi i zaczęła wspinać się po bardzo stromej i o wiele węższej drodze. Strielki kazali nam co rusz iść szybciej, jednak chodzenie w śniegu było niezwykle trudne. Na najtrudniejszych odcinkach drogi musieliśmy pchać ciężarówkę. Po kilku godzinach przed kolejnym pasmem górskim, zobaczyliśmy bramy łagru. Był to PRYJSK PIONIER (Przodownik Kopalni Złota). Ochrona była tu równie skrupulatna, co w każdym innym obozie. Znajdowały się tam tradycyjne płoty z drutów kolczastych, wieże strażnicze i lampy pościgowe. Chaty, daleko w głębi drutów kolczastych, były jak zwykle byle jak zbudowane i nie miały światła elektrycznego. W każdym baraku znajdowało się po kilka lamp naftowych, a ciepło pochodziło ze znajomych pieców z lanego żelaza. Na szczęście nie było tu problemu z przeludnieniem.

Nasza grupa została rozbita po różnych barakach a mnie przydzielono do grupy roboczej zwanej Brygadą Sidorowa. Sidorow był chłopem syberyjskim zesłanym na Kołymę za zamordowanie urzędnika z Sowchozu (gospodarstwa kolektywnego). Niezmiernie się chlubił swoim czynem, używając go jako groźby przeciwko robotnikom z jego brygady. Prócz niego, wszystkich innych więźniów z mojego baraku zesłano za „wykroczenia” polityczne. Byli wśród nich Rosjanie, Ukraińcy, Ormianie, Kozacy, Tatarzy, Mongołowie z Mandżurii oraz Uzbekowie. Trudno było mi sobie wyobrazić, w jaki sposób zdołali oni wszyscy obrazić bolszewicki system. Ci zwyczajni robotnicy i chłopci, zostali oderwani od swoich domostw i rodzin za przewiny, które znał jedynie wszechwładny Sowiecki Sojuz.

Wiedziałem, od momentu, kiedy mnie schwytano, iż celem Rosjan jest zgładzenie mnie jako części Polski. Ale dlaczego, ach, dlaczego wyniszczyli tysiące swych własnych ludzi, zwykłych robotników, którzy mieli przecież być tymi, którzy najwięcej z Rewolucji skorzystają? System ten żywił się tymi, których miał zbawić. Czyż po eliminacji rządzącej klasy carskiej, nie zamierzano zakończyć procesu destrukcji raz na zawsze? Przyszła mi do głowy tylko jedna, logiczna odpowiedź: iż dyktatura, obojętnie czy zwie się Faszyzmem czy też Komunizmem, polega na całkowitym podporządkowaniu mas ludzkich przy pomocy bezwzględnego, niekończącego się terroru.

Było mi niezwykle trudno ocenić wiek jak i narodowość więźniów, którzy mieszkali ze mną w baraku. Spaliśmy w pełnym stroju, nigdy nie ściągając nawet naszych kołymskich czapek. Byłem przedmiotem ciekawości i drwin z powodu prób utrzymania higieny osobistej. Co wieczór zagrzewałem przy pomocy mojego metalowego kubka pół litra wody. Potem, zamoczywszy kawałek szmaty, pocierałem nią twarz, ręce i stopy w tej właśnie kolejności. Szczególnie dbałem o stopy, upewniając się, iż są czyste i że nie ma na nich potu. Moje ablucje wywoływały zawsze komentarze ze strony Rosjan o 'polskiej wybredności'.

Mieszkało ze mną kilku więźniów, którzy najwyraźniej postradali zmysły. Nigdy się do nikogo nie odzywali, a na ich twarzach malował się ciągły strach. Wypełniali obozowe obowiązki niczym roboty, nigdy nie protestując na bicie czy też zbyt dużo pracy, której od nich oczekiwano.

Kopalnie złota, gdzie pracowaliśmy, usytuowane były w boku stromej góry. Do szybów prowadziła wąska ścieżka biegnąca wzdłuż drewnianej konstrukcji, na której składano złotonośną ziemię, w dół góry do miejsca, gdzie był on myty i przesiewany. Sidorow podzielił swoją brygadę w grupki po trzech robotników. Każda grupka zwie się ZWINO; Sidorow wytłumaczył nam, iż każda ma za zadanie wykopać dziewięć metrów sześciennych ziemi podczas swojej zmiany - to znaczy trzy metry sześciennie przypadają na każdego z nas. Kiedy to mówił, stojący obok Strielok zaśmiewając się powiedział: „Nawet koń nie zdołałby tego zrobić, ale wy musicie. Taka jest wasza „norma”, a jeśli jej nie wykonacie, zmniejszą wam waszą rację chleba”.

Każda Zwino miała do dyspozycji taczkę, kilof i łopatę. Sidorow kazał mi popychać taczkę do szybu w kopalni. Był on długi i ciemny, a nędznie wyglądające drewniane podpory podtrzymywały stropy. Nie po raz pierwszy od chwili schwytania mnie przez Rosjan, czułem, że chodzę do mego własnego grobu. Strielok został na zewnątrz, Sidorow natomiast szedł za mną, dopilnowując, abym ruszał się szybciej. W słabym świetle parafinowej lampki huraganowej ujrzałem bardzo wąski otwór z boku głównego szybu. Było to miejsce, w którym moje Zwino miało pracować - nasz ZABOJ. Sidorow wręczył mi kilof i kazał zaczynać. Z przerażeniem w sercu spojrzałem na ścianę z kamienia i ziemi przede mną i zacząłem walić.

Było tam zaledwie dosyć miejsca, aby zamachnąć się kilofem, który był jak zapalka pukająca nieśmiało w nieefektywnie w masywne serce góry. W tym, stłoczeniu, wytężając oczy aby cokolwiek w ciemnościach dojrzeć i przysłuchując się ciągłemu jękowi podpór stropu, oddałem się całkowicie modlitwie.

Z każdym zamachem kilofa, z każdym przerzuceniem grudki ziemi, z każdym oddechem, modliłem się. Bez tego wsparcia jestem pewien, iż nie przetrwałbym w tej kopalni złota ani jednej zmiany.

W końcu padł rozkaz, żeby wracać do obozu. Zanim jednak pozwolono nam pójść do „stołówki” dokładnie sprawdzono, czy nie mamy bryłek złota, które na Kołymie dochodziły niekiedy do pół kilograma. Nie znalazłem żadnego złota ani tego dnia, ani też przez cały okres mojego pobytu w obozie. Żołądek dopominał się o jedzenie. Każdego dnia Strielki przypominały nam, iż 1 gram złota, znaleziony u więźnia oznacza pięć gramów ołowiu - kulę w tył szyi. Raz byłem świadkiem takiej egzekucji. Jeżeli zaś, z drugiej strony, któryś z więźniów znalazł i wręczył jakąś grudkę złota Probabowi (brygadziście) w kopalni, oznaczało to, iż przydzielono mu dodatkowe 100 gram chleba tego dnia - jedną grubą pajdę.

Pomijając fakt, iż praca w kopalni była o wiele bardziej wyczerpująca niż praca na lotnisku, warunki życia w barakach były gorsze od wszystkiego, czego dotychczas doświadczyłem. Nie istniały przyjaźnie między więźniami, a jedynie własny interes. Aby przeżyć, wiedziałem, że muszę się trzymać blisko dwóch innych członków mojego Zwina - Siemiona i Wańki. Po pracy szliśmy razem do jadalni i pilnowaliśmy, żeby każdy dostał swoją porcję chleba, zupy i ryby od Sidorowa-brygadzysty. W chacie spaliliśmy razem na górnej pryczy, tak byśmy lepiej mogli ustrzec nasze rzeczy przed złodziejami. Nigdy się nie dowiedziałem, z jakiego powodu Siemion i Wańka zostali zesłani na Kołymę, odkryłem jednak, że była to już ich druga zima w tej prowincji. Pierwszą spędzili pracując w Magadan i niejednokrotnie wspominali ten czas jako najszcześniejszy od chwili internowania.

Od Siemiona dowiedziałem się więcej na temat życia w Zagłębiu Złota w Górnym Kołymsku. Powiedział mi, iż poprzedniego roku, kiedy był w Magadan, na Kołymę przyplęła duża grupa polskich ‘oficerów i obszarników’. Natychmiast zesłano ich daleko w góry, gdzie zimą 1940/41 słuch o nich zaginął. Powiedział, że nie tylko Polacy, ale także niemal cała siła robocza w Górnym Kołymsku zmarła z głodu i od przepracowania. Aby określić o czym mówił wskazał na niewielką grupę mężczyzn, którzy zajmowali niższą pryczę w końcu baraku. Już wcześniej zauważyłem coś dziwnego w tym, iż izolują się od reszty więźniów. Siemion powiedział: „To LUDOJEDY - pożeracze ludzi”.

Zaskoczony zapytałem: „Co masz na myśli?” Odpowiedź była prosta. Ubiegłej zimy obozy w regionie 900-go kilometra były odcięte najpierw przez powodzie i obsunięcia ziemi a potem przez potężne opady śniegu. Dostawy mąki nie docierały do umierających z głodu więźniów, którzy nie mieli wyboru i musieli zjadać zmarłych współwięźniów. W ten sposób niektórzy przetrwali, a na wiosnę przewieziono ich z powrotem do naszego obozu. Byli wyrzutkami, z których współrodacy bez końca śmiali się i urągali. Dla mnie nie byli oni normalni. Mogłem sobie jedynie wyobrazić piekło, przez które przechodzili.

Wnioskując z liczby rannych niewolników-górników w obozie wiedziałem, iż przetrwanie choć jednej zmiany bez jakiegokolwiek urazu jest nie lada osiągnięciem. Wszyscy wiedzieliśmy, iż w przypadku nieszczęścia nie możemy liczyć na ekipy ratunkowe - gdyż ich nie było - a jedynie na podstawową opiekę medyczną. Wszystkie rany opatrywano w ten sam sposób: smarowano dużą ilością jodyny i zawijano niewielkim bandażem. Dla najdotkliwiej poszkodowanych znajdował się barak szpitalny, nigdy jednak nie słyszałem o tym, aby trafił tam jakikolwiek więzień polityczny. Ktokolwiek cierpiał na uraz mniej poważny jak utrata kończyny musiał pracować dalej, bez przerwy na wyzdrowienie. W wypadku utraty kończyny, więźniowie dołączali do tak zwanej „kolonii inwalidów”, gdzie nie pracowali w kopalni, a jedynie wykonywać prace w obozie, zanim odeśle się ich z powrotem do Magadanu. Było wiele wypadków, gdzie więźniowie specjalnie się okaleczali, aby uniknąć pracy w kopalniach.

W kopalni, gdzie pracowałem, główny szyb i mój boczny tunel były bardzo nieadekwatnie podparte słabymi, szeroko rozstawionymi palami. Strielki rzadko wchodzili do środka w obawie przed ^{ar}zwałką kamieni, ja sam musiałem niejednokrotnie rzucać się do ucieczki przed spadającymi ogromnymi masami kamieni i ziemi. Praca, którą wykonywałem kilofem, bez przerwy podważała stabilność ziemi; często wkopywałem się na prawie dwa metry w głąb góry zanim w to miejsce wstawiono jakąkolwiek drewnianą podporę. Było to wszystko przerażające, musiałem jednak pracować bez przerwy, gdyż w wypadku widocznego spadku ilości wykopanej ziemi przez moje zwino, okrojono by nam naszą porcję chleba do 450 gramów na dzień; to jednak nie wystarczyłoby aby nasycić zagłodzone żołądki nawet na godzinę. Oznaczałoby to również mniej kalorii do przetrwania.

Siemion i Wańka dobrze pracowali i mogliśmy dzięki temu zadowolić Sidorowa i otrzymać pełną rację chleba, mimo tego, iż nasza wydajność miała się nijak do wymaganych dziesięciu metrów ziemi. Sidorow miał dobre układy z Probabem i jego raporty pracy nigdy nie były podważane. Jest to doskonała ilustracja tego w jaki sposób funkcjonuje system Błata w Sowieckim Sojuszu. Błat to wymiana przysług, dwustronna zgoda na oszukiwanie. Wpływa ona zarówno na każdą sferę pracy co i życia osobistego. Odgrywa ogromnie ważną rolę wśród tych, którzy mają władzę w sowieckich więzieniach i łagrach, ale nie obejmuje więźniów i robotników niewolniczych, gdyż ci nie dysponują żadnymi usługami, które mogliby zaproponować w zamian za preferencyjne traktowanie. Niewolnik, taki jak ja, na samym dnie hierarchii obozowej może jedynie przyjąć swoją działkę i filozoficznie się przyglądać korupcji na wyższych szczeblach.

Białem się kopalni. Na początku każdej zmiany, kiedy wchodziłem do szybu, oddawałem swe przestraszone ciało i duszę w ręce Boga i w ciszy się modliłem. Oprócz strachu, musiałem sobie także radzić z brakiem doświadczenia w takiej pracy, jak również prymitywnymi narzędziami. Rękojeść mojego kilofa pokryta była jeszcze korą, a koło przy naszej taczce nie było wcale okrągłe; zamiast obracać się gładko, podskakiwało.

Mój strach sięgał zenitu zawsze pod koniec zmiany, kiedy pracowałem w końcu naszego małego tunelu bez żadnej drewnianej podpory podtrzymującej ściany ani desek nade mną. Pewnego dnia uderzałem kilofem w ziemię, aby napelnić ostatnią taczkę tej zmiany, kiedy przytrafiło się to, czego najbardziej się obawiałem. Z sufitu w tunelu zwałił się gład, który ledwo co ominął moją głowę, lecz ~~pał~~ na kciuk lewej ręki, trzymającej jeszcze rączkę kilofa. Piasek i mniejsze kamyki zawałyły się zasypując całą górną część mojego ciała. Z wyciągniętymi do przodu rękoma z twarzą w dół leżałem zagrzebany. Nie odczuwałem żadnego bólu ze zranionej dłoni, jedynie otępienie; byłem jednak sparaliżowany ze strachu. Odkryłem, że nie mogę ruszać nogami.

Minęły wieki zanim poczułem jakieś ręce starające się mnie wyciągnąć. Siemion, Wańka, Sidorow i inni wytaszczyli mnie spod ziemi i uwolnili prawą rękę spod dużego kamienia.

Wszystko to stało się podczas mojej siódmej zmiany w kopalni złota.

Ból w ręku i pokiereszownym tułowi był okropny, jednak znacznie gorszy był szok, w jakim znalazłem się potem.

→ spact

Obozowy wracz (słowo to oznacza lekarza, ale tak naprawdę był to tylko pielęgniarz) posmarował mi jodyną zmiążdżony kciuk i rany na głowie i plecach. Nie mógł jednak nic zaradzić, aby zmazać mi z umysłu przerażającego wspomnienia walących się na mnie głazów i ziemi. Nie mogłem tej nocy spać. Miałem gorączkę. Każdy organ mego ciała drżał w spazmach. Modliłem się, powtarzając na okrągło: „Bądź wola Twoja”.

Nie zwolniono mnie z pracy. Rankiem Sidorow zarządził, że nadaję się do ‘łżejszych prac’. Zamiast kilofa dostałem taczkę, którą miałem pchać czterema nienaruszonymi palcami prawej ręki. Dostałem również linę przywiązaną do obu rączek i obwiązaną dookoła moich ramion. Pracowałem całą zmianę. Ciągły ból, jeśli tylko jest do zniesienia, można zaakceptować. Ludzie żyjący w wolnych i dobrze zorganizowanych krajach, w których rządzi prawo, nie muszą się przekonywać o tym, jak wspaniale są wyposażeni, aby stawić czoła przeciwnościom losu. Jednak wszyscy posiadamy wspaniałą fizyczną i psychiczną moc, wewnętrzną siłę, która pozwala naszej rasie przeżyć trudne chwile i okiełznać nieprzyjazne otoczenie. Na Kołymie, mimo bólu, głodu, wyczerpania, okrutnego mrozu i brutalności NKWD, chęć życia była we mnie równie silna co kiedykolwiek przedtem. We współbraciach więźniach dostrzegłem dowody takiego samego myślenia. W ich przypadku unaoczniło się to w różny sposób. Niektórym pomagały bluźniercze przekleństwa. Inni byli niezwykle agresywni i sadystyczni w stosunku do swoich rodaków. Niekiedy zdarzało się, iż jakiś więzień poddawał się w bitwie i kładł w śniegu, aby umrzeć, generalnie samobójstw było jednak bardzo niewiele.

Kąt baraku, w którym spałem, zarezerwowany był dla kilku więźniów pracujących w obozowej kuchni. Wszyscy byli Rosjanami, a ponieważ większość czasu spędzali wewnątrz i mieli wiele okazji do kradzieży pożywienia, wyglądali i zachowywali się inaczej niż my wszyscy. Była to arystokracja naszego baraku, która całą resztę traktowała z pogardą. Dla nich więźniowie, którzy musieli wychodzić na zamrożone arktyczne powietrze i pracować co najmniej dwanaście godzin w kopalniach, byli już martwi. Jednym, szczególnie nieprzyjemnym i brutalnym członkiem tej grupy był kucharz - Powar. Był dobrze odżywiony i mocno zbudowany. Nie wystarczało mu zajmowanie uprzywilejowanego miejsca w baraku. Aby nas wszystkich pogrążyć, wielokrotnie ostentacyjnie zjadał na naszych oczach skradziony chleb i inne pożywienie.

W kilka dni po moim wypadku, cała uprzywilejowana grupa została wyrzucona z kuchni i wysłana do pracy w kopalniach. Powara zamknięto w karczerze (celi ^{karnej} poprawczej), a po wypuszczeniu następnego ranka, przydzielono go do mojej brygady. Był najwyraźniej od dawna wrogiem Sidorowa, gdyż przydzielono go do najgorszego Zaboju w całej kopalni.

Po powrocie do łagru po tej zmianie, Powar i Sidorow kłócili się długo i głośno, obrzucając się wzajemnie obelgami. Sidorow sklął Powara i powiedział mu, że dostanie tylko połowę racji chleba, gdyż nie pracował dość ciężko i nie osiągnął swej „normy”. Wypasiony ex-kucharz zdał sobie sprawę, że takie połączenie ciężkiej pracy i małej ilości chleba wkrótce go wykończy. Stał się milczący i zamyślony.

Kilka dni później wróciłem wraz z pozostałymi robotnikami do baraku po kolejnej zmianie, zadowolony z czekającego nas ciepła. Piec był rozpalony do czerwoności. Palły się w nim bale wcześniej ścięte przez porządkowego chaty, jednego z inwalidów. Starosta (powiernik) wręczał mu siekiere, którą ten miał każdej nocy oddać z powrotem.

Wdrapałem się już na moją prycze, kiedy zobaczyłem, jak Powar wyrwał inwalidzie siekiere. Lewą rękę położył na pniu drzewa, który służył za podporę do ścinania, podniósł prawą rękę wysoko nad głowę i jednym szybkim zamachem odciął sobie lewą dłoń. Podniósł kikut swojej lewej ręki, a kiedy trysnęła z niej krew, wrzasnął do Sidorowa: „To koniec pracy dla ciebie”. Po wiązce przekleństw zakończył: „jestem inwalidą”. Nie mogłem już dalej patrzeć. Odwróciłem się i zamknąłem oczy i zacząłem się modlić.

Zadziwiające było to, że Powar przeżył tę straszliwą amputację a jego życzenie się spełniło. Został zesłany na Magadan.

Był to kolejny sygnał w moich próbach zrozumienia niezgłębionej rosyjskiej duszy.

Tej nocy ból w ręku i szok z bycia świadkiem tego straszliwego aktu samookaleczenia nie pozwoliły mi zasnąć. Myśli biegały mi przez głowę. Jak błysk wyłonił się z mej podświadomości wyraźny obraz wypadku, którego byłem świadkiem w dzieciństwie.

Przypomniał mi się leśnik, pokazujący pułapkę zastawioną przez kłusownika. W jej szczękach tkwiła jeszcze przednia łapa lisa. Lis, po wpadnięciu w sidła, odgryzł swą własną łapę, aby odzyskać wolność i uniknąć śmierci.

Zarówno lis, jak i rosyjski Powar działali w podobny sposób.

Kontrastem dla nieszczęsnego losu, który narzuciło mi NKWD, sceneria dokoła mnie była źródłem przyjemności. W pełni cieszyłem się surowym pięknem Kołomy. Któregoś dnia, wychodząc z kopalni, oczekiwałem jak zwykle półmroku nocy kołomyjskiej. Zamiast tego, tuż przede mną, w ogromnym półkolu, firmament zarzył się kolorowym światłem od ciemnoczerwonego do niebieski, zabarwionym na różowo - aż po złoty. Kolory wibrowały i promieniały, rozpostarte przez połowę nieba jak ogon wielkiego pawia. Nad Biegunem Północnym rozchodziło się mocne jaskrawe światło. Byłem świadkiem Zorzy Polarnej, Aurory Borealis. Piękno tego zjawiska jest nie do opisania. Odczułem wówczas nieistotność mej własnej egzystencji. W obliczu owego wspaniałego pokazu mocy przyrody, Bożego stworzenia. Bez specjalnego powodu ta manifestacja Bożej siły niesłychanie podniosła mnie na duchu. W nadchodzącym czasie miałem jeszcze kilkakrotnie ujrzeć Zorzę Polarą i zawsze robiła na mnie podobne wrażenie.

Dla każdego, kto zachował jeszcze zdrowe zmysły, jakkolwiek plan ucieczki z silnie strzeżonego obozu byłby aktem szaleństwa. Stawienie czoła polarnym warunkom, bez właściwego sprzętu, jedzenia i broni przeciw dzikim zwierzętom byłoby samobójstwem. Mimo tego zdarzyła się ucieczka z Prjeksu Pioniera. Dowiedziałem się o tym któregoś dnia przed pracą podczas parady. Strielki i Urki przeliczyli dokładnie więźniów, a my czekaliśmy w śniegu, tupiąc nogami, aby pobudzić krążenie i uniknąć odmrożeń. Dowiedzieliśmy się wkrótce, iż sześciu Rosjan, pierwotnie z rejonu Irkucka, zbiegło tnąc druty w podwójnym płocie dokoła obozu. Udało im się skraść pewną ilość chleba z HLJEBORJEZKI, miejsca, gdzie krojono chleb.

Strielki uprzykrzali nam życie niekończącymi się poszukiwaniami za każdym razem gdy wychodziliśmy lub wracaliśmy z pracy.

Czwartego dnia po ucieczce, po powrocie do domu nakazano wszystkim więźniom stanąć na placu ^{aparadnym} paradnym. Nawet inwalidów wygnano z baraków i ustawiono obok. Kiedy tak staliśmy pod ostrym światłem z elektrycznych żarówek, przed nami pojawiły się trzy pary sań, zaprzęgnięte w renifery, które wyjechały z za baraku administratorów NKWD. Sanie, powożone przez grupę Ewenów (Eskimosów), zajęły na samym środku placu. Z każdego z trzech sań, wyładowano dwa sztywne ciała. Nachalnik zawołał do milczącego tłumu niewolników: „Przyjrzyjcie się dobrze. Tak stanie się również z wami, jeżeli spróbujecie ucieczki”. Martwe ciała pozostawiono na placu paradnym. NKWD-owcy zapłacili Ewenom solą i naftą. Siemion powiedział, że Ewenowie polują na zbiegłych więźniów, jak na dziką zwierzynę. Zabijają dla nagrody.

Stawałem się coraz bardziej słaby i z przerażeniem zauważyłem po powrocie z pracy, że moje stopy i łydki zaczęły puchnąć. Nacisnąłem kciukiem w opuchnięte miejsce tuż nad kostką. Kiedy podniosłem palec, wgłębienie pozostało i dobrą chwilę trwało, aż całkiem zniknęło. Postanowiłem pić mniej wody, ale domawianie sobie wody w połączeniu z ciągłym głodem było jak tortura.

Większość ze współwięźniów była w jeszcze gorszym stanie niż ja, a zgony przytrafiały się coraz częściej. Sowieccy niewolnicy przyjęli w związku z tym fatalistyczne nastawienie, a ja sam, choć nie mogłem pogodzić się ze śmiercią, uznałem, że w obecnych warunkach nie mam szans na przeżycie kołymskiej zimy. Modliłem się do Dziewicy Maryi o cud.

Logika tak nakazywała mi tłumaczyć moje położenie: byłem zagubionym wśród Sowietów Polakiem, którzy w najlepszym wypadku nie dbali o mnie, a czasem mnie wręcz nienawidzili. Większej samotności nie mogłem doświadczyć nawet w środku Sahary. Był to zaiste najczarniejszy punkt mojego życia, któremu zdawała się grozić zagłada.

Nie wszystko jednak stracone. Pewnego ranka, kiedy właśnie co miałem wyjść od pracy, podszedł do mnie Strielok NKWD i kartką papieru w rękę. Wyczytał moje nazwisko i powiedział: „Weź swoje rzeczy”. Wszystko, co posiadałem miałem przy sobie. Dodał: „Przygotuj się do transportu”.

Sądziłem, iż zdecydowali o przeniesieniu mnie do innego obozu, położonego jeszcze głębiej w górach. Poszedłem za nim i dołączyłem do grupy około dziesięciu więźniów czekających u bram Priesk Pioniera.

Po kilku minutach podeszło do nas paru inwalidów, wśród nich także mężczyzna, który stracił stopy. Ślizgały się na śniegu, próbując radzić sobie ze źle zrobionymi kulami i podporami. Wśród inwalidów rozpoznałem Powara, który odciął sobie dłoń.

Pytanie, które zadawałem sobie było: „Czy zamierzają nas wykończyć, czy też możliwe, że udajemy się z powrotem do Magadanu?”

Usłyszałem, jak ktoś mówi po polsku. Powiedziałem wtedy: „Ja też jestem Polakiem”. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że w Priesk Pionierze są także inni Polacy; najwyraźniej jednak było ich kilku i stało się jasne, że NKWD planowało odtransportować inwalidów i nas z powrotem do Magadan.

Wkrótce, jechałem znów kołymską drogą tym razem w przeciwnym kierunku niż dotychczas. Pierwsza część cudu, o który się modliłem stawała się faktem.

Powrotna podróż do Magadan była jak przejażdżka. Ani wyboje na drodze, ani mroźna pogoda czy też niewygoda jazdy nie mogły zachwiać mojej nadziei i wdzięczności za Bożą łaskę i ocalenie mnie z kopalni złota. Nic nie miało już więcej znaczenia. Żywiłem głębokie przekonanie, iż przetrwam. Wśród gór kołymskich zstąpił na mnie spokój i ukojenie. Będąc w tym stanie umysłu nie zauważyłem nawet kiedy konwój przejechał obok łagra na 39-tym kilometrze, gdzie dotknęła mnie osobista tragedia.

Stanęliśmy w końcu, a wszystkim Polakom rozkazano wysiadać z ciężarówek. Pod mocną eskortą przemaszerowaliśmy do obozu niedaleko głównej drogi. Jakieś sześć kilometrów dalej widzieliśmy liczne światła z miasta Magadan. Bardzo dokładnie nas przeszukano i kilkakrotnie dopytywano się, czy nie schowaliśmy nigdzie złota. Potem, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, odłączono mnie znów od rodaków. Zostaliśmy rozsypani po różnych chatach. Co gorsza, okazało się, że umieszczono mnie razem z sowieckimi więźniami oskarżonymi o wykroczenia kryminalne. Nie było wśród nich ani jednego więźnia politycznego.

Znalazłem się w dużym obozie dostarczającym siły roboczej do wielu przedsięwzięć. Kiedy po sześciogodzinnym odpoczynku dołączyłem do Rozwodu, okazało się, że do obozu wraca około 100 brygad pracy, to znaczy, co najmniej 2500 więźniów. Przydzielono mnie do brygady pracującej w KAMIONNEJ KARRIERZE (kamieniołomie). Aby do niego dojść, musieliśmy przejść ogromną odległość wzdłuż traktu wykopanego w zamrożonym śniegu na głębokość około metra. Dano mi pracę polegającą na pchaniu wagonów po wąskich szynach z miejsca, gdzie składowano kamienie do podnóża góry, gdzie przyjeżdżały ciężarówki ^o załadunku. Dodam, że wagony miały jakieś 1 metr kwadratowy powierzchni i 1,20 cm wysokości. Było ich trzy. Brigadir uznał, że z ranną dłonią nie byłbym w stanie utrzymać młota, mogłem jednak służyć jako ludzka lokomotywa.

Była to znacznie lepsza praca niż w kopalni złota, ale z powodu całkowitego wystawienia na zimno, nasze przetrwanie znalazło się w dużym niebezpieczeństwie. Mrozy były dotkliwie, a wszyscy niewolnicy musieli bezustannie się ruszać, aby krew nie przestała w nich krążyć.

Pilnujący nas Strielki siedzieli dookoła ogromnego ogniska. Byli dobrze osłonięci przed zimnem - w długich, owczych kożuchach z wysokimi kołnierzami. Na nogach mieli WALONKI (filcowe boty). Każdy Strielok miał karabin z bagnetem - zawsze gotowy do strzału. Nie byli bezpośrednio zainteresowani pracą, którą mieliśmy do wykonania. Wszyscy niewolnicy na moim odcinku kamieniołomu podlegali pod nadzór Proraba. Był nim Rosjanin, kryminalista, którego zwolniono, i któremu pozwolono żyć w Magadan. Zawsze się ruszał, wymachując pałką i żądając od nas szybszej pracy. Widziałem, jak bije więźniów bez innego powodu, jak tylko po to, by zaspokoić swą sadystyczną naturę. Jego mowa pełna była przekleństw. Przezwiskiem Rosjanina był CZORT (diabeł). Za plecami bezustannie go lżono.

Cała resztę mojej brygady stanowili Zulio (przestępcy). Nie miałem wątpliwości, że są wśród nich także mordercy, a nasz Brigadir, mimo tego, iż był u władzy, zdawał się ich bać. Dobrze wszystkim wiadomo, iż kilku brigadirów znaleziono martwych, z podciętym gardłem. Winnych nigdy nie znaleziono. Inni współwięźniowie traktowali mnie sprawiedliwie. Dobrodusznie, choć z nutą sarkazmu, dali mi przydomek: Polski Lord. Uważali, iż trafiła mi się gratka przy pchaniu wagonów; jednak w moim osłabionym stanie była ona dla mnie bardzo ciężka, a szczególnie powrót pod górę po opróżnieniu wagonów. Na szczęście mogłem zawsze chwilę odpocząć po tym wyczerpującym zadaniu, czekając aż Zulio (grupa trzech robotników) napelni ponownie wagony.

Któregoś dnia zjechałem na dół z moimi wagonami i ujrzałem, że Zulio siedzi dookoła dużego kamienia i gra w karty. Było najwyraźniej około południa, gdyż właśnie kończył się trzygodzinny okres światła dziennego. Po szarym, ciężkim niebie, przesuwały się śnieżne, ciężkie chmury. Mróz nie kąsał ze zwykłą sobie intensywnością.

Oparłem się o wagon i przyglądałem się Zwinowi z odległości kilku metrów, zadowolony z dodatkowego odpoczynku. Nasz Strielok znajdował się jakieś siedem metrów od nas, stojąc plecami do ogniska. Gra w karty trwała już jakiś czas, kiedy zjawił się straszliwy Prorab, Diabeł. Podbiegł praktycznie do nich, wykrzykując, klnąc i nakazując im natychmiast skończyć grę. Zdawali się w ogóle nim nie przejmować; a po chwili jeden Zulio obrócił się i powiedział przez zaciśnięte zęby: „Zamknij się. Kończymy rozgrywkę”. Nadal prowadzili licytację. O dziwo, zamiast użyć pałki, Prorab zatrzymał się jakiś metr dalej i zaczął wykrzykiwać przekleństwa. Po jakimś czasie, trzej gracze odłożyli karty i powoli wstali. Dwóch odwróciło się i odpowiedziało Prorabowi równie mocnymi obelgami. Trzeci przeszedł półkolem, aż stanął za Diabłem i podniósł młot o długiej ręczce. Wszystko działo się jak w zwolnionym filmie. Zamachnął się młotem, jakby chciał rozwalić twardy kamień. Stalowy młotek uderzył w czaszkę Diabła, miażdżąc ją jak papier. Futrzana czapa zleciała mu z głowy. Ciało osunęło się na ziemię. Z głowy nie pozostało prawie nic. Z nasady szyi wypłynęła struga krwi, która szybko wezbrała barwiąc śnieg na czerwono. Strach i groza niemal zatrzymały mi serce.

Strielok był najwyraźniej świadkiem tego wszystkiego. Zobaczyłem jak zwolnił spust swojego karabinu i powoli podszedł do mordercy, który stał jak zahipnotyzowany nad ciałem Proraba. Strielok uniósł karabin do policzka, tak iż lufą karabinu dotknął prawie twarzy mordercy i strzelił mu w głowę. Krew dwu martwych mężczyzn zlała się na śniegu w dużą, szkarłatną kałużę. Do dziś słyszę gromki śmiech, który rozległ się wówczas z ust dwu towarzyszy gry w karty. „Ha, ha! On przegrał tę grę!” Trzej mężczyźni grali o głowę Proraba. Przegrany miał go zabić.

Ten wypadek zbiegł się z końcem mojej pracy w kamieniołomie. Następnego dnia kilka brygad przydzielono do innej pracy: kopania kanału z Magadan do Zatoki Nagajewo. Nie jestem pewien, sądzę jednak, że miał odprowadzać ścieki z miasta do morza.

Tego dnia mróz był tak dotkliwy, iż KOMANDIR ROZWODA, Naczelnik nadzorujący wszystkimi brygadami pracy, podjął ów nadzwyczajny krok, aby poinformować nas o tym, iż temperatura nie spadła poniżej -50 stopni C i w związku z tym nie możemy być zwolnieni z pracy. Nie wierzyłem mu. Zimno zdawało się przeszywać na wskroś moje ciało. Stałem w śniegu, przestępując z nogi na nogę, oklepując się i modliłem się, żeby Strielki kazali nam wreszcie rozpocząć marsz.

Mojej brygadzie przydzielono nowego Strielka, Rosjanina o wyraźnie mongolskich rysach twarzy. Ktoś doniósł, że był on mieszanką Rosjanina i Tatara. Od momentu, kiedy wyruszyliśmy przez bramy obozu, stało się jasne, że jest sadystą. Dołożył z całej siły kolbą karabinu w plecy niewolnikowi, który maszerował na końcu kolumny. Nie było do tego ataku żadnego powodu, jak tylko wszystkich przestraszyć i zmusić nas do szybszego tempa.

Do kanału było bardzo daleko. Z początku trasa wykopana w śniegu, prowadziła do Magadanu. Później skręciła w wąziutki przesmyk między wysokimi ścianami ze śniegu i przekształciła się w biały bezkres prowadzący ku Zatoce Nagajewo.

Kanał miał jakieś 7,5 metra głębokości i stromymi brzegami schodził w dół. Byłem wstrząśnięty widząc system wydobywania ziemi z dna rowu. Niewolnik kopiący na samym dole musiał wrzucać każdą wydobytą łopatę kamieni i ziemi na deskę umieszczoną w brzegu, jakieś 45 centymetrów nad jego głową. Tu, kolejny niewolnik przerzucał ją wyżej na kolejną deskę i tak dalej, aż ziemia została wyrzucona na samą górę. Nie trzeba w tym miejscu podkreślać, iż z rowu tym sposobem wydobywano mniej niż połowę, cała reszta spadała z powrotem w dół, obsypując przy tym obficie głowę i szyję niewolnika stojącego na dnie rowu. Bawiło to niezmiernie naszego tatarskiego Strielka, który często rzucał na więźniów ziemię i kamienie, jeszcze bardziej pograżając ich w niedoli.

Było to znacznie gorsze miejsce do pracy niż kamieniołom. Pierwszego dnia miałem szczęście, gdyż umieszczono mnie w rowie na najwyższej desce.

Trzymała mnie na duchu także wiadomość, która przekazał mi rosyjski członek naszej brygady. Powiedział on, że w Magadanie znajduje się niewielki obóz, w którym mieszka grupa polskich więźniów na prawach wolnych obywateli. Wydawało mi się, jednak iż moje szanse przetrwania i dołączenia do nich stawały się stopniowo coraz mniejsze z powodu Strielka Tatar, który swoją brutalnością i wiecznym zmuszaniem do szybszej pracy gnał nas ku śmierci. Modliłem się i miałem nadzieję.

Każdego dnia Tatar znajdował sobie jednego więźnia, który służył mu za kozła ofiarnego. Któregoś dnia przyszła kolej na młodego Rosjanina, którego Strielek zesłał do pracy na dno kanału. Ja byłem na drugim poziomie od dołu. Praca toczyła się swoim zwykłym, monotonnym rytmem, zanim Tatar nie podniósł dużego kawału zamrożonej ziemi i rzucił go na dół, uderzając Rosjanina z całej siły między łopatki. Ten zareagował spontanicznie. Przeklinając, podniósł niewielki kamyk i rzucił go w kierunku Tatar. Nie trafił, dla Strielka było to jednak wystarczające. Przyłożył sobie karabin do policzka, i rozkazał Rosjaninowi wyjść z okopu. Wszyscy przestaliśmy pracować. Młody człowiek w milczeniu wspinał się po deskach na samą górę. Tatar kazał mu iść i obaj zniknęli. Żaden z nas nie widział nic z rowu. Po chwili rozległ się pojedynczy strzał z karabinu. Tatar wrócił wrzeszcząc: „DAWAJ RABOTU” (wracajcie do pracy). Wskazał na mnie i zesłał na dół rowu. Jak tylko zacząłem kopać rozpoczęło się bombardowanie ziemią. Ból i wyczerpanie były okropne, na szczęście jednak zostało nam tylko kilka godzin pracy tej zmiany. W końcu wymęczony wygramoliłem się do góry. Byłem ostatnim z brygady, który wyłonił się z rowu. Tatar już czekał. Uderzył mnie kolbą swęgo karabinu w klatkę piersiową, tak że upadłem na plecy w śnieg. Wstałem czując się słaby i roztrzęsiony. Tatar wskazał na ciemny kształt na śniegu, koło świerku jakieś dziesięć metrów od nas. Było to ciało młodego Rosjanina, którego miejsce zająłem na dole rowu. Tatar powiedział: „Jutro twoja kolej. Wezmę cię pod świerk i zastrzelę”.

To zajście opóźniło nasze wyjście do obozu, a wszystkie brygady dawno już zniknęły w ciemnościach. „Dawaj w pierod” (Ruszać do przodu). Zaczęliśmy iść, dla Tatara jednak nie dość szybko. Był wyraźnie zniecierpliwiony i jak najszybciej chciał dotrzeć do obozu. Przeklinał, wybiegał na czoło kolumny i szedł z przodu. Byłem na końcu, ^{wyspłucha} ze wszech sił starając się dotrzymać kroku, nie przestawałem jednak myśleć o groźbie Strieloka. Nie były to czcze słowa. Miałem być następnym, który zginie; jutro. Spojrzałem na lewo i zobaczyłem światła Magadan, gdzie wypuszczono już moich współrodaków. W mojej desperacji uznałem, że muszą do nich dołączyć. Muszę uciec. Wiedziałem, że jeżeli zostanę złapany podczas próby ucieczki, Strielok zastrzeli mnie na miejscu. Jeżeli jednak nie spróbuję i tak następnego dnia będę zabity. Zdecydowałem.

W miejscu, gdzie nasza wąska ścieżka łączy się z szerszą drogą, sturlałem się w śnieg i ległem w bezruchu. Wsłuchiwałem się w skrzypienie śniegu pod butami mojej brygady. Serce waliło mi szaleńczo. Wkrótce wszystko ucichło. Po raz pierwszy od czasu schwywania w Karpatach byłem wolny i sam.

Odwróciłem się w kierunku odległych światel miasta i próbowałem biec; było to jednak niemożliwe - nogi miałem spuchnięte i ciężkie, jak z ołowiu. Szedłem więc jak najszybciej potrafiłem, potykając się często i upadając. W tym momencie zdałem sobie sprawę jak słabe mam mięśnie. Chciałem jak najbardziej powiększyć odległość między mną a Tatarem, który w każdej chwili mógł zauważyć moją nieobecność. Strach gnał mnie do przodu.

Byłem na tej samej drodze, którą chodziłem, kiedy pracowałem na budowie w Magadan od razu po przybyciu na Kołymę. Sceneria wyglądała jednak całkiem inaczej pod grubą pokrywą śniegu. Światła Magadan zdawały się tworzyć czerwoną łunę wysoko nad miastem. Przywoływało mnie ku sobie i pomimo głębokiego lęku i niepewności, czułem się pijany od oszłamiającego smaku wolności. Jedyne ci, którzy zaznali niewoli mogą sobie teraz wyobrazić moje wszechogarniające szczęście z wyrwania się. Nagle wolny od wiecznie wlepionych we mnie oczu NKWD, odnalazłszy samotność z dala od hord nieszczęsnych braci więźniów, poczułem się prawdziwie szczęśliwy.

Moim planem było udać się do centrum Magadan i podszyć się pod wolnego współobywatela, który zbłądził w drodze do obozu. Nie wiedziałem jednak, iż mimo teoretycznej 'wolności' ta grupa Polaków była pod stałą obserwacją i nie pozwalano nikomu opuszczać obozu.

Gdy wszedłem do Magadan, czułem się jak w mieście duchów. Nie było absolutnie nikogo. Wyszedłem na środek drogi pokrytej śniegiem, z dwóch stron ograniczonej drewnianą palisadą. Nieco dalej, na drodze, dostrzegłem patrol milicji NKWD. Szli w moim kierunku. Nie było odwrotu. Moje nieszczęsne, opuchnięte nogi zbyt mi ciążyły, abym mógł uciekać. Uznałem, że będę próbował jakoś z tego wybrnąć. Kiedy odległość między nami zmniejszyła się, zobaczyłem, jak zdejmują karabiny z ramion i zamierzają się w moim kierunku. Krzyknęli: „Stoj” (stać). To był koniec mojej wolności.

Kazano mi przejść niewielki odcinek drogi do drewnianego budynku, który okazał się siedzibą Milicji w Magadan. Nakazano mi rozebrać się i dokładnie przeszukano. Potem, raz jeszcze musiałem odpowiedzieć na potok pytań o mojej tożsamości, kończąc na Numerze Sekcji Kodu Kryminalnego, pod którym zostałem oskarżony. Odrzekłem: „Paragraf 58, kontr-rewolucja”. Dodałem czym prędzej: „Jestem obywatelem Polski i z związku z tym, powinienem być zwolniony. Stalin zarządził amnestię dla Polaków” NKWD-owiec, który był najwyraźniej odpowiedzialny spytał, z którego obozu zbiegłem. Odparłem, że nie wiem, że jakiś czas temu przywieziono mnie z Górnego Kołymska, aby mnie wypuścić, tak, jak innych Polaków.

Moje odpowiedzi zdawały się go złościć. Powiedział innym przesłuchującym: „Wsadźcie go tam” i skazał na drzwi. Zostałem brutalnie wepchnięty do ciemnego, pustego pomieszczenia, bez okien. Upadłem na wznak. Moje wymęczone ciało a w szczególności nogi, wdzięczne były za tę chwilę odpoczynku. Drzwi otworzyły się ponownie i w świetle drugiego pokoju dostrzegłem dwóch, czy trzech mężczyzn bez kożuchów, trzymających drewniane pałki. Spróbowałem podskoczyć do góry, jednak w tym momencie spadła na mnie niekończąca się lawina uderzeń.

Bili mnie po całym ciele, a jeden z nich przeklinał płynnie i ordynarnie. Staralem się ochronić głowę ramionami, na niewiele się to jednak zdało. Upadłem do przodu z kucek na kolana. Uderzali mnie na okrągło po plecach, szyi i głowie. Zapikowałem w przód i stoczyłem się na ziemię. Zaczęli mnie kopać a jeden z nich skakał mi po piersiach. Miał na sobie ciężkie buty. Poczulem, jak łamie mi żebra, potem uderzony pałką w głowę, padłem nieprzytomny.

Nie wiem, jak długo to trwało, kiedy jednak doszedłem do siebie, w pokoju było całkiem ciemno. Każdy skrawek mego ciała krzyczał z bólu. Moja twarz była zbita na miazgę, spuchnięta i pokryta krwią. Krew leciała mi także z szyi i innych miejsc. Z ledwością mogłem oddychać, z powodu przeszywającego bólu w klatce piersiowej, byłem jednak żywy.

Poczucie czasu zniknęło. Do dziś dnia nie wiem jak długo spędziłem w ciemnej celi siedziby Milicji w Magadan. Nie dostałem nic do picia, ani do jedzenia. Miałem najwyraźniej wysoką gorączkę, gdyż mój język był suchy i spuchnięty i byłem niezwykle spragniony.

Wreszcie pod eskortą dwóch NKWD-owców przeszedłem wyludnionymi ulicami do dużego obozu na przedmieściach miasta. Ten stosunkowo krótki odcinek był, z powodu bólu całego ciała, najdłuższy jaki kiedykolwiek przebyłem. Mimo agonii, czulem zadowolenie, iż nie wracamy do poprzedniego obozu i mojej brygady pracy nadzorowanej przez mordercę Tatarą Strieloka. Jak tylko obstawa strażników milicji dostała na mnie pokwitowanie, wsadzono mnie do małego, drewnianego baraku, całkiem pustego z jednym okienkiem bez szyby o powierzchni około 25 centymetrów. Podłogę stanowiła zamarznięta ziemia. Byłem w karcerze (celi karnej). Strielok, który wepchnął mnie do środka powiedział przed zamknięciem drzwi: „To cię odoczy ucieczki”.

Było jasno, wiedziałem więc iż wpakowano mnie do celi wczesnym rankiem. Siedziałem w niej przez 12 godzin jednej zmiany pracy. Choć byłem w bardzo złym stanie, starałem się powstrzymać przed zaśnięciem, gdyż oznaczałoby to zamarznięcie.

W końcu usłyszałem, że do obozu wracają ekipy pracy pod eskortą strażników. Pamiętam nieprzyjemne uczucie związane z tym, że tysiące mężczyzn przemieszczają się w tak idealnej ciszy. Rzecz jasna, iż niewolnicy nie mają energii do tracenia na gadanie.

Wyprawdzono mnie z karceru a na moje miejsce wepchnięto kilku innych więźniów, aby spędzili tam noc. Wszedłem do baraku powtarzając: „Wody... wody”. Przedstawiałem najwyraźniej przerażający widok nawet dla obytych oczu innych więźniów. Dostrzegłem na ich twarzach zmieszanie. Po raz pierwszy byłem świadkiem takiego ^{widoku} wzruszenia wśród sowieckich więźniów.

Zmarznięty, dygoczący z bólu i wycieńczenia pragnieniem, rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem kubek wody stojący obok rozgrzanego do czerwoności pieca. Ruszyłem w jego kierunku; zatrzymały mnie jednak delikatnie czyjeś zdecydowane ręce. Odwróciłem się i spojrzałem w twarz o regularnych rysach, bardzo bladej skórze i wielkich, łagodnych oczach, które mogę przyrównać jedynie do gazeli. Powiedział do mnie po rosyjsku, z silnym, gruzińskim akcentem: „Poczekaj. Usiądź z dala od gorącego pieca. I nie pij zimnej wody. Zagotuję dla ciebie kąpiatok”. Posłuchałem. Tym sposobem zawarłem moją pierwszą prawdziwą przyjaźń na Kołymie ze szlachetnym architektem z TIBLISI, Ilją KRUZASZWILI.

Chata pełna była Gruzinów, dumnych, przystojnych, niezależnych ludzi z Kaukazu o odwiecznej historii. Byłem wśród przyjaciół. (Polacy i Gruzini, oddzieleni od siebie tysiącami kilometrów i stąd nie przedstawiający dla siebie żadnego zagrożenia, byli zawsze przyjaciółmi. Te dwa narody miały podobne tradycje rycerstwa, honoru, umiłowania osobistego jak też i narodowej wolności. Gruzja została bezlitośnie skolonizowana przez Sowietów podczas i po rewolucji bolszewickiej. Beria, jako szef NKWD, zemścił się osobiście na ludziach z tego narodu, twierdząc, iż nie docenili go za młodu. Prześladował i mordował swych przyjaciół, którzy dopomagali mi i jego matce, gdy żyli w biedzie. Wszyscy jego dobroczyńcy zostali poddani egzekucji, podobnie jak tysiące innych współrodaków).

Powoli zacząłem się rozgrzewać. Ilja przyniósł mi kubek gorącej wody, a innemu Gruzinowi udało się dostać trochę Balandy z kuchni. Wszyscy wiedzieli, że jestem Polakiem i chcieli mi w szczególny sposób okazać swą przyjaźń. Wkrótce zasnąłem na pryczy obok pieca. Ilja powiedział mi potem, że czuł, iż musi mnie chronić, w ten sam sposób, co chroniłby swego młodszego brata, który jest w więzieniu gdzieś w Sowieckim Sojuszu. Kiedy spałem poszedł porozmawiać w moim imieniu z człowiekiem, który stał się potem moim drugim prawdziwym przyjacielem na Kołymie; z mężczyzną, który osobiście dopilnował, bym nie zginął w ciągu następnych kilku dni w rezultacie bicia milicjantów. Nazywał się Jan WIERZPOLSKI. Był Brygadirem, Prorabem, odpowiedzialnym za warsztaty inżynierskie i najlepszym inżynierem konstrukcyjnym na Magadanie. Był on także Polakiem, ale takim, który nie mówił po polsku, choć wszystko rozumiał. Jego ojciec był zarządcą rafinerii cukru w prowincji WOŁCHYNI w znanej posiadłości ANTONINY należącej do hrabiego Potockiego. (To właśnie od hrabiego Hrabina Wentworth kupiła arabskiego ogiera SKOWRONKA dla swojej stadniny w CRABBET, nabytku, który odegrał wielką rolę w hodowli koni arabskich w Anglii. O Skowronku pamięta się i mówi po dziś dzień). Ojciec Jana został zamordowany na samym początku bolszewickiej Rewolucji. Jego matka uciekła wraz z nim do Kijowa, gdzie ukończył szkoły i rozpoczął karierę inżynierską. Ktoś jednak doniósł, iż jest on synem zarządcy rafinerii cukrowej. Został ~~z~~ aresztowany, oskarżony o kontrewolucji¹⁰ z powodu zawodu ojca i zesłany na Kołymę. Gułag Dalstroy wkrótce wykorzystał jego talent. Dawano mu nieco lepsze jedzenie i odzież, trochę więcej przestrzeni w baraku, i uczyniono odpowiedzialnym, za bardzo pilne projekty budowlane.

Ilja przedstawił mnie Janowi Wierzpolskiemu przed poranną ^{parowieską} defiladą. Miał około metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie ramiona. Jego twarz nie pasowała zupełnie do Kołomy. Była otwarta i mądra o szerokim czole nad wyważonymi, ciemnoniebieskimi oczami i pięknie wykrojonym nosie. Czuję, że jest to twarz dobrego człowieka. Powiedział do mnie: „Z powodu twoich zdolności inżynierskich, przydzieliłem cię do brygady inżynierskiej. W Rozwodzie z Ilją”.

Nie miałem, rzecz jasna, żadnych zdolności inżynierskich. Nigdy nie pracowałem w warsztacie inżynierskim i tak czy owak byłem zbyt słaby do zwykłej pracy, jednak Jan i Ilja zdecydowali, iż nie ma innego sposobu, aby mnie ocalić, jak tylko czyniąc ze mnie robotnika inżynierii. Próbowałem poinformować Jana o mojej kompletnej ignorancji inżynierskiej, ten nakazał mi jednak trzymać się blisko Ilji.

Ilja Kruzaszwili był oficjalnie stolarzem w warsztacie, kiedy było potrzeba wzywano go jednak, ze względu na jego wiedzę architektoniczną do interpretowania rysunków technicznych.

Warsztat znajdował się w odległości krótkiego spaceru od naszego obozu, a wejście do niego przypominało wchodzenie przez bramy nieba. Było tam ciepło i znalazłem się znowu z dala od ciągłego nadzoru Strielków. W środku sali znajdowało się niewielkie biuro Jana Wierzpołskiego, z oknami z każdej strony, tak, by mógł mieć oko na maszyny i pracowników. Umieszczono mnie blisko biura przy stojącej maszynie wiertniczej. Jak pokazał mi jak ją włączać i wyłączać oraz jak wkraplać olej do wiertła i kawałka metalu poddawanego obróbce.

Obok maszyny znajdowały się stalowe dźwigary włączone i gotowe do wiercenia. Bardzo ostrożnie zabrałem się do wiercenia. Problem pojawił się w momencie, kiedy trzeba było przesunąć dźwigar i włożyć w jego miejsce nowy. Jan co rusz wychodził z biura, żeby pomóc mi włożyć dźwigary na miejsce. Powiedział do mnie: „Nie przejmuj się pracą. Pamiętaj tylko jedno: jeżeli do warsztatu wejdzie ktoś z zewnątrz, ruszaj się, rób dużo hałasu, włączaj i wyłączaj maszynę, rób wrażenie bardzo zajętego”. Jedyne niewolnik na Kołymie jest w stanie docenić ogromne ryzyko jakie podejmował Jan, żeby przekazać mi to wszystko. Gdyby NKWD kiedykolwiek podejrzewało nawet, iż Jan próbuje mnie uratować, wrzuciliby go do celi poprawczej, lub nawet pozbawili uprzywilejowanej pracy, bez sekundy zastanowienia. Jego umiejętności i reputacja inżynierska nie byłyby żadną ochroną.

Ilja dokładał nie mniejszych starań do tego, aby dopilnować mojego przeżycia. Kiedy tylko do warsztatu weszło zbyt wiele osób ~~z Gułagu Dalstroy~~, żeby porozmawiać z Janem, przesuwano mnie do stanowiska stolarskiego, żebym teoretycznie pomógł Ilji.

Po kilku dniach takiego traktowania, moje obite, wyczerpane ciało zaczęło się goić.

Wyżywienie na Kołymie stawało się coraz większym problemem. Podobno magazyny w Magadan były już prawie puste. Jan i Ilja, którzy spędzili już dwie zimy na Kołymie i mieli kontakty w mieście powiedzieli mi, że większość niewolniczej siły roboczej niedługo wymrze. Nie tylko z powodu zimna i pracy, ale także z powodu braku mąki do pieczenia chleba. Wczesne klęski Rosjan w walce z Niemcami i ich szybkie podchodzenie pod Moskwę zmusiły centralny Rząd Sowiecki do zawieszenia wszystkich dotychczasowych dostaw do daleko-wschodniej Syberii. Wskazówka, potwierdzająca dokładność tej informacji pojawiła się wraz z oznajmieniem iż obcina się niewolnikom racje żywniowe o 100 gram dziennie. Niewolnicy kołymscy stanęli u progu śmierci głodowej.

Słyszeliśmy także, że „wolni” obywatele Magadan^u także chodzą głodni.

Dzięki mojej przyjaźni z Ilją, zostałem szybko zaakceptowany przez jego gruzińskich współpracowników. Dowiadywałem się coraz więcej o tym dumnym narodzie. W IV wieku przyjęli chrześcijaństwo i rozwijali się prężnie jako Państwo do czasu podboju przez Tatarów i Mongołów w XIII wieku. Pod wpływami bizantyjskimi słynęli z monumentalnej architektury, malarstwa, rzeźby, mozaik emaliowanych i robót złotniczych. Ich język był i jest nadal najważniejszym mówionym językiem ^{na} w Kaukazie. Mają oni nawet swój własny alfabet. W 1801 roku zostali włączeni do imperium carskiego i rządził nimi Gubernator, powoływany przez cara zwykle z grona szlachty gruzińskiej.

Zauważyłem jak blisko Gruzini trzymają się razem, rozmawiając zawsze z swym własnym języku. Widziałem również jak nienawidzą Rosjan, uważając ich za prymitywnych barbarzyńców.

W kilka dni po dołączeniu do brygady Jana Wierzpołskiego, zauważyłem, jak Ilja odcina ze swojej pajdy chleba niewielki kawałek i kładzie go na bok. Po chwili pojawił się inny Gruzin z blaszanym kubłem niemal pełnym chleba. Kawałek Ilji został dorzucony do reszty.

Nie mogłem nie spytać, o co chodzi. Ilja odparł: „To dla starego człowieka. Nazywa się AMILOFARI, powinienem raczej powiedzieć Księżę Amilofari. Przed rewolucją był ostatnim Gubernatorem Gruzji. To bardzo dobry człowiek. Nie wiem, dlaczego bolszewicy nie zabili go od razu. Był bardzo długo w więzieniu, potem przemieszczano go z obozu do obozu. W regionie Irkucka. W końcu trafił do Magadan. Nie wiem dlaczego... być może, aby tu mrzeć. Jest już prawie ślepy i niezdolny do pracy. My, Gruzini dajemy mu po kawałeczku naszego chleba, żeby utrzymać go przy życiu. To dobry człowiek”.

Milczałem przez chwilę. Jak zwykle byłem głodny. Powiedziałem: „Ilja, jesteś moim przyjacielem. Chcę dać mały kawałek mojego chleba temu starszemu człowiekowi”. Odciałem pajdę, a Ilja przyjął ją bez słowa.

Następnego dnia, Ilja poprowadził mnie przez zatłoczony korytarz naszego baraku. Nawet kołymskie łachmany nie mogły ukryć jego arystokratycznego pochodzenia. Białe włosy i broda podkreślały szlachetne rysy twarzy. Na jego wielkich oczach widać było katarakty. Jego niski głos był niezapomniany, a łagodny, kulturalny, rosyjski akcent, nigdy dotąd przeze mnie nie spotkany podczas całego uwięzienia. Od razu poczułem się przy nim swojsko, gdy zaczął wspominać swych polskich przyjaciół z St. Petersburga. Siedząc tam w baraku na środku kołymskiego obozu koncentracyjnego odbywałem rozmowę, która mogłaby się wydarzyć w eleganckiej bawialni. Powiedziałem potem Ilji, iż rozumiałem, dlaczego wszyscy Gruzini kochali i respektowali Księcia.

Moja praca przy wiertle w warsztacie inżynierskim, nadal była bezowocna. Zrobiłem sobie bandaż z pasa głodowego do owinięcia klatki piersiowej, którą przeszywał ból z połamanych żeber. Przez cały czas wyczuwałem opiekuńczy wzrok Jana Wierzpolskiego. Obserwował mnie w niezwykle dyskretny sposób, ja jednak byłem ciągle świadomy faktu, iż w każdej chwili ktoś może na niego donieść, iż jest obrońcą ‘polskiego kontrrewolucjonisty i szpiega’.

Jan podejmował nawet większe ryzyko, kiedy przy wielu okazjach otwarcie wzywał mnie do swego szklanego biura, żebym rzekomo przyjrzał się rysunkom. W rzeczywistości prowadziliśmy długie rozmowy. Chciał znać detale życia w Polsce, szczególnie mego życia akademickiego, porządku społecznego i stopnia wolności osobistej. Pytania zadawał po rosyjsku, a ja odpowiadałem po polsku. Doskonale rozumiał polski z wyjątkiem paru słów, które musiałem mu wyjaśnić lub przetłumaczyć. Jan miał wielką sympatię dla Imperium Brytyjskiego. Powiedział mi, iż w elektrowni w Magadan pracuje dwóch Anglików. Byli oni inżynierami na kontrakcie, pracującymi przy budowie linii Kolei Transsyberyjskiej. Płacono im złotem. Potem, podczas jednej z czystek, posądzono ich o szpiegostwo i pomimo interwencji Rządu Brytyjskiego, skazano ich na kilka lat więzienia. Przywieziono ich na Kołymę i przydzielono do pracy w elektrowni. Jan rozmawiał z nimi kilkakrotnie i był pod ich wielkim wrażeniem. Wiedział o amnestii Stalina dla Polaków i powiedział, że jeżeli kiedykolwiek uda mi się wydostać z Kołymy, powinienem udać się do Anglii. Pamiętam, jak mówił: „Tak długo, jak czerwony bolszewicki szatan wisi nad Polską i resztą cywilizowanej Europy, jedynym miejscem do życia jest wolna Anglia. Staraj się unikać walki u boku Rosjan. Oni pętłę kata mają zawsze w pogotowiu, aby zadusić wolną Polskę”. Zgodziłem się z nim jednomyślnie. W głowie miałem jeszcze świeży obraz sowiecko-niemieckich rozbiorów Polski, wyniszczenia ludzi z Polski wschodniej i aneksacji odwiecznych polskich ziem, z moim ukochanym Lwowem włącznie. Stali się oni teraz ^{ciężcy} współmierznięcami sojuszników Polski (W. Brytanii, Ameryki i Francji), jedynie z egoistycznych pobudek, gdyż ich niemiecki przyjaciel wyparł się i zaatakował. Teraz, w obliczu zbliżającej się armii Hitlera ku Moskwie, błagali Aliantów o pomoc. Tak więc Polska została zmuszona do śmiertelnego układu z Rosją, która tak bezlitośnie wyniszczyła tysiące Polaków.

Jan Wierzpolski wierzył głęboko, iż Anglia i Stany Zjednoczone pokonają w końcu Niemców, nie mógł się jednak pogodzić z tym nowym paktem z Sowieckim Sojuzem. Był przekonany, iż Rosjanie pochłoną Polskę i uczynią z niej 'Republikę Socjalistyczną', co w praktyce oznaczać miało włączenie do imperium sowieckiego. Nie mogłem się z tym zgodzić. Twierdziłem, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, właśnie ze względu na ich atak na Polskę, i że na pewno nie oddaliby jej pod dominację sowiecką. Moje słowa nie wzruszyły jednak Jana Wierzpolskiego. Powtarzał kilkakrotnie: „Kiedy już stąd wyjdiesz, staraj się dotrzeć do Anglii i osiedl się tam”. Było to, rzecz jasna, sprzeczne z moim najgłębszym pragnieniem - życiem w wolnej, niepodległej Polsce, która sprawowała kontrolę nad wszystkimi jej ziemiami i miastami, w szczególności nad Lwowem. W niektórych miejscach zdawało mi się, iż Jan jest absurdalny, jednak wydarzenia pokazały, iż rację miał właśnie on, a nie ja. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone rzeczywiście opuściły Polskę na konferencji w Jałcie.

Ze wszystkich ludzi, których spotkałem na Kołymie, Jan wiedział najwięcej na temat religii. Dowiedziałem się od niego wiele faktów i pamiętam, że byłem szczególnie pod wrażeniem czegoś, co powiedział mi o budowie geologicznej tego terenu. Rzekł: 'Czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby średnia roczna temperatura wzrosła o 10 stopni Celsjusza, cały Magadan wraz ze wszystkimi budynkami, które pomagałem w takich bólach wznosić, padłby w gruzy? Miasto zbudowane jest na podglebiu nad warstwą lodu, który stopniałby gdyby temperatura wzrosła o jedyne 10 stopni”.

Aby podnieść moje szanse przetrwania, Jan starał się mnie przekształcić w robotnika wykwalifikowanego. Postawił mnie u boku starszego Rosjanina, który próbował nauczyć mnie spawania. Nie nadawałem się jednak do tej roboty. Byłem nadal niesłychanie słaby, a ból w mojej zranionej dłoni, uniemożliwiał mi mocne trzymanie spawarki. W modlitwach dziękowałem Bogu za moich dwóch nowych przyjaciół, Ilję i Jana, którzy podtrzymywali oszustwo, iż byłem cennym członkiem załogi

Po długim dniu pracy, Ilja i ja mieliśmy właśnie kłaść się spać na naszej pryczy, kiedy Strielok i Powar (kucharz) weszli po Ilję, aby ten wykonał jakąś stolarską poprawkę w bloku administracyjnym. Po jakiejś godzinie, wrócił, zamiast jednak położyć się obok mnie na górnej pryczy, podszedł od razu do rozgrzanego do czerwoności pieca. Z kieszeni ~~jego~~ buszlatu wyjął jednego, średniego ziemniaka, który ^{ego} zaczął opiekać na piecu. Kiedy to zobaczyłem, zamknąłem oczy i udawałem, że mocno śpię. Minął jakiś czas, po czym Ilja znalazł się na pryczy obok mnie. Wymówił moje imię i delikatnie mną potrząsnął. Musiałem udawać, że się budzę. Położył przede mną ciepłego, świeżo upieczonego ziemniaka i przeciął na pół. Dał mi jedną część i powiedział: "Jedz, to twoje". Zaprotestowałem, iż nie jest to dosyć dla dwóch osób. Spojrzawszy na mnie z wielką powagą w jego wielkich, ciemnych oczach odparł: "Jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy razem głodni, dzielimy się również tym, co mamy. To nasz gruziński zwyczaj. W ten sposób rozumiemy na Kaukazie przyjaźń". Wziąłem moja połówkę ziemniaka. Po tym, co Ilja powiedział, poczułem się szczęśliwy.

Nasz warsztat był bardzo zapracowany. Jan powiedział, iż praca jakiej od niego wymagano, była grubo ponad możliwości warsztatu. Wiecznie pilnie potrzebowano jakiegoś elementu do prac konstruktorskich na terenie miasta. Był ciągły brak transportu do zawożenia materiałów do miast i niekiedy musieliśmy nieść stropnicę lub jakiś inny kawał metalu do miejsca, gdzie go potrzebowano. Jan zawsze brał mnie na te wycieczki, choć byłem zbyt słaby, abym mógł naprawdę przydać się reszcie grupy. Lubiłem te spacerunki przez Magadan. Strielok, odpowiedzialny za naszą brygadę był, jak na warunki kołymskie, bardzo tolerancyjny i czułem się jak członek grupy wolnych obywateli.

Któregoś dnia mieliśmy przejść do budynku w centrum Magadan, gdzie Jan miał zainstalować dwie stropnice. Kilku młodych Rosjan zostało przydzielonych do niesienia ich, a ja niosłem Jana torbę z narzędziami. Szedłem wraz z nim na czele kolumny środkiem ulicy. Strielok znajdował się na naszym poziomie na chodniku. Jan zaplanował nasze dojście na miejsce tak, aby nastąpiło jednocześnie z krótkim okresem światła dziennego.

dwie stropnice?

Skęciliśmy w główną ulicę Magadan. Nie było na niej żadnego ruchu, a chodnikiem szło tylko kilku 'wolnych' ludzi. Wtem, nagle, z bocznej uliczki, przed nami wyrosła przedziwna szara kolumna maszerujących niewolników. Widok ten był dla mnie szokiem, gdyż do teraz widziałem kołymskich niewolników poubieranych jedynie w szare stroje. Te szare postacie okazały się niewolniczymi robotnikami. Miały na sobie długie spódnice, płaszcze do łydek i szale podobne do kocy - wszystko z tego samego szarego materiału. Jan powiedział do mnie po rosyjsku: "Patrz dobrze. Zobaczysz tu żony ludzi, którzy rządzą Rosją po rewolucji. Ta wysoka kobieta w pierwszym rządzie to żona Generała TUCHACZEWSKIEGO. Obok niej są żony KAMIENIEWA i ZINOWIEWA. W tej samej brygadzie są małżonki starych bolszewików BUCHARINA i RYKOWA oraz wiele innych. Pracują one w warsztatach krawieckich. Ich mężowie zostali wszyscy rozstrzelani po czystkach i po 'pokazowych sprawach sądowych'. Wraz z generałem Tuchaczewskim, rozstrzelano praktycznie połowę oficerów Armii Czerwonej. Nie ma co się dziwić, iż Niemcy nie spotkali się prawie z żadnym oporem ze strony Armii Czerwonej w pierwszych miesiącach wojny. Najlepsi oficerowie wszyscy uśmierceni rozkazem Stalina. Zgładził on większość swych starych kolegów z czasów rewolucji a ich rodziny umieścił w więzieniach i zmusił do niewolniczej pracy".

Tak więc ta brygada szwaczek, którą widziałem maszerującą obok nas, składała się z żon ludzi, którzy tworzyli historię Rosji Sowieckiej i uczynili z niej śmiertelne zagrożenie dla reszty wolnego świata. Czy w tym prześladowaniu ich rodzin, była jakaś ukryta sprawiedliwość?

Pewnego dnia, w połowie grudnia 1941, dotarł do mnie sygnał, iż mój los, jako niewolnika NKWD, dobiega końca. Stało się to znów w momencie, w którym tego jak najmniej oczekiwałem. Wraz z Ilją, kończyłem jeść zupę i porcję ryby, kiedy pojawił się Gubernator obozu i wyczytał sześć polskich nazwisk. Potem dodał do nich siódme: Łopuszański.

Wszyscy ochoczo odpowiedzieliśmy. Kazano nam zabrać nasze rzeczy i przejść do baraku administracyjnego. Ilja odwrócił się do mnie i powiedział: "Nadeszła chwila rozstania. Pamiętaj o nas i niech Bóg odda ci twoją wolną Polskę"

Przed odejściem musiałem się zobaczyć z Janem Wierzpolskim. Wraz z Ilją udałem się w kierunku drzwi, w połowie drogi zatrzymał mnie człowiek średniego wzrostu z jasną, lekko czerwona brodą. Mówił szybko po polsku: "Słuchaj mnie, na Boga. Mam na nazwisko Shitler. Jestem polskim oficerem rezerwy. Jestem nauczycielem z TARNOPOLA" (Tarnopol, to miasto w południowej Polsce, którą Rosjanie nazywają Zachodnią Ukrainą). "Popelniłem wielki bład ze strachu przed deportacją z Tarnopola przez NKWD, powiedziałem im, że jestem VOLKSDEUTSCHEM niemieckiego pochodzenia. Poprosiłem o repatriację do Polski okupowanej przez Niemców, zamiast tego jednak zostałem aresztowany przez NKWD i zesłany na Kołymę. Pomóż mi! Nikt tu nie chce mnie nawet słuchać. Mówią na mnie Niemiec. Kiedy dotrzesz do polskiej armii, powiedz im o mnie". Obiecałem mu, że kiedy odzyskam wolność i dotrę do armii polskiej, doniosę władzom o jego przypadku. Shitler był tak wzruszony, że ukląkł na ziemi, objął mnie za nogi i powtarzał przez strumienie łez. "Obiecujesz... obiecujesz..." próbowałem podnieść go z ziemi i zapewnić o danym słowie. W tej samej chwili, dwóch innych mężczyzn opowiedziało mi swoje losy i także poprosiło o pomoc. Byli to polscy Rusini, z terytorium zaanektowanego przez Rosję sowiecką. Byli Polakami z urodzenia, ale w momencie aresztowania przez NKWD zgodzili się na bycie Ukraińcami, tak aby sklasyfikować ich jako obywateli sowieckich. Oznaczało to, iż nie skorzystali z amnestii dla Polaków. Rzecz jasna, Rosjanom nie zależało na właściwym wprowadzeniu amnestii. Nie przyjęliby faktu, iż ludzie z odwiecznie polskich terytoriów Rusi Czerwonej, Białej, Podola i Wołynia byli prawdziwymi Polakami. Na mocy paktu Ribbentrop/ Mołotow, Rosja uważała te osoby za obywateli sowieckich i nie miała zamiaru ich uwalniać.

W towarzystwie Ilji, poszedłem do Jana. Podziękowałem im obu za ocalenie mi życia. Objęliśmy się, a Jan powtórzył raz jeszcze: "Pamiętaj, osiadz w Anglii, z dala od nich". Rozstałem się z Janem i Ilją płacząc bez cienia wstydu.

Nasza grupka siedmiu Polaków została poprowadzona do centrum Magadanu, jak zwykle pod obstawą uzbrojonych strażników. Doszliśmy do niewielkiego obozu otoczonego palisadą, w którym mieszkali Polacy uwolnieni na mocy amnestii. Nie odczułem jednak łagodniejszego traktowania. Przeszukano nas dokładnie i zabrano do baraku wyposażonego w rzędy potrójnych prycz.

Był on pełen Polaków, którzy mieszkali tam już od pewnego czasu. Powiedzieli mi, że wolno im było cały dzień siedzieć w ciepłe, nie robiąc absolutnie nic i otrzymując o wiele lepsze jedzenie niż dotychczas. Dawano im nawet gotowaną KASZĘ z niewielką ilością oleju

Zmęczony długim czekaniem w warsztacie i po emocjonalnych frustracjach związanych z nagłą zmianą warunków w jakich się znalazłem, zacząłem się rozglądać za jakimś miejscem do spoczynku. Wtem usłyszałem czyjś głos: "Jacek!". Odwróciłem się i ujrzałem twarz okrutnie spuchniętą od mrozu. Nie było na niej widać skóry - była to jedna masa ran i stężalej ropy, od razu rozpoznałem jednak głos, należący do Wojtka Dembińskiego. Nie sposób opisać radości z tego spotkania, przyćmionej jedynie fizycznym stanem Wojtka. Jego nos, uszy, jak również wszystkie palce u dłoni i u stóp były bardzo silnie odmrożone. Przyjechał z Górnej Kołymy ledwie parę dni temu. Spytałem go, co się wydarzyło po tym, jak zostaliśmy rozdzieleni w obozie na 39-tym kilometrze. Z wrodzoną sobie skromnością powiedział, że było 'ciężko'. W naszych sercach była jednak nadzieja. Mielśmy być wolni. Nie musieliśmy już wychodzić do pracy w arktycznych mrozach. Radość wypełniła nam serce.

Następne kilka dni spędziliśmy na leniuchowaniu. Było to jak przebywanie w więzieniu: rano chleb i woda, długie godziny siedzenia lub leżenia na pryzkach, wieczorna balanda, kasza i woda i sen. Było nam jednak ciepło.

Stało się całkiem jasne, że strażnicy NKWD z Gułagu Dalstroj^{iu} mieli bardzo jasne wytyczne z Moskwy o tym, jak nas traktować. Wyczułem zazdrość Strielków z powodu naszego beztroskiego sposobu życia, byli oni jednak bezsilni, aby to zmienić. Jeden tylko ważny aspekt związany z naszą sytuacją był dla mnie niejasny: czekało nas jeszcze kilka miesięcy zimy kołymskiej a zatoka Nagajewo najwyraźniej w maju miała być rozmrożona. Czy tak długo zamierzali nas trzymać w tych ciepłych barakach? Jak wytłumaczyć zachowanie naszych strażników? W owym czasie nie zanośliśmy na żadną odpowiedź, w nadchodzących latach poznałem jednak całą prawdę.

Nasze wypuszczenie zawdzięczaliśmy Generałowi Władysławowi Andersowi, głównodowodzącemu wojsk polskich utworzonych na terenie Rosji Sowieckiej. Na samym początku wojny został on poważnie ranny i pojmany przez NKWD podczas próby przeprowadzenia Brygady Kawalerii między nadchodzącymi armiami sowiecką i niemiecką i przejścia przez góry do Węgier. Trzymano go w haniebnym więzieniu Łubianka ^wkoło Moskwy^{ie}, aż do paktu między Sikorskim a Stalinem. Wówczas wypuszczono go i na prośbę Generała Sikorskiego, powierzono dowodzenie polskimi siłami na terenach Rosji. Stalin natychmiast rozkazał Berii, aby ten stworzył mu warunki godne Komendanta Zjednoczonych Wojsk Polskich. Jako osobisty prezent od Stalina, Generał Anders otrzymał także wielką limuzynę i dwa konie. W rekordowym czasie najlepsi krawcy w Moskwie uszyli mundur dla polskiego Generała.

Generał Anders wyszedł ciężko chory z więzienia, jednak dzięki swej ogromnej energii, zdolnościom i talentowi militarnemu zabrał się do tworzenia Armii Polskiej z polskich obywateli wypuszczonych z więzień i obozów koncentracyjnych oraz z 'dobrowolnego przesiedlenia' w odległych stronach Związku Radzieckiego.

Stopniowo zaczęli się pojawiać jego żołnierze, na wpół zagłodzeni i nękani niezliczonymi chorobami. To miała być jego Armia.

Generał wiedział, że w 1939 roku Rosjanie pojмали co najmniej 15 000 polskich oficerów i nigdy nie przyznali się światu do tego uwięzienia, mimo tego, iż Polska nie była w stanie wojny z Rosją Sowiecką. Tych 15 000 oficerów było niezbędnych do tworzącej się armii. Generał Anders domagał się od Stalina uwolnienia wszystkich oficerów polskich. Stalin, w różnych momentach, udzielał serię różnych odpowiedzi. Raz zasugerował, iż są oni w Madżurii. Kiedy indziej, po konsultacji z Berią, powiedział Generałowi, że oficerowie są ulokowani w różnych obozach w północnej i wschodniej Syberii, i że zostaną oddani przyszłej wiosny, kiedy transport będzie łatwiejszy. Ktoś zanotował niesłychaną niedyskrecję HERKUŁOWA, który był drugim po Berii komendantem NKWD. Powiedział on po rosyjsku: "MY ZDIEŁALI KRUPNUJU ASZYBKU" - co oznacza: "Popelniliśmy wielki błąd".

Tym błędem był Katyń, miejsce, gdzie na wiosnę 1940 roku NKWD rozstrzelało kilka tysięcy polskich oficerów - czynnych i rezerwy. Istnieje więcej takich miejsc jak Katyń w Związku Radzieckim, jeszcze nie odkrytych, nie nazwanych. Oznaczają je jedynie drzewa posadzone przez morderców na mogiłach, drzewa, które rosną coraz wyżej i wznoszą się ku niebu, prosząc o sprawiedliwość dla ofiar, które leżą pod nimi.

Jestem głęboko przekonany, iż ciągle dopominanie się Generała Andersa o uwolnienie oficerów, których już uśmiercono, ponagliło Stalina do rozesłania rozkazów do wszystkich odległych obozów, także tych na Kołymie, aby ocalić i dostarczyć wszystkich, jeszcze żywych Polaków. Tak więc mój oddział 262 mężczyzn, stał się drugą grupą Polaków, która kiedykolwiek opuściła Kołymę w 1942r.

Czas mijał bez jakiegokolwiek aktywności na terenie naszego obozu, prócz luźnych spekulacji co do naszej przyszłości, które snuło wielu Polaków. Wreszcie, któregoś ranka podczas posiłku z chleba i kipyatoka w baraku stołówkowym, pojawił się obozowy gachalnik i nakazał ciszę. Po raz pierwszy od chwili uwięzienia, do polskich niewolników zwrócono się per "TOWARISZCZY WOJENNE" (Towarzysze Żołnierze). Gubernator ciągnął: "Poprosimy was dziś abyście wysłuchali wykładów, informujących o ostatnich wydarzeniach w wojnie przeciw faszystowskiemu rabusiom-Niemcom. Ponieważ jest to jedynie małe pomieszczenie, będziecie wzywani po nazwisku, w grupach po 20 mężczyzn". W typowo sowiecki sposób zapytał: "Czy ktoś jest przeciw?" Rzecz jasna nie było ani jednego protestu.

Moja kolej na wykład wypadła późno w nocy. Nasza dwudziestka przeszła pod eskortą straży do dużej sali spotkań, w której bez problemu zmieściliby się wszyscy z naszego małego obozu. Pomieszczenie było ciepłe. Kazano nam usiąść na ławkach z przodu. Dokoła siedziało kilku NKWD-owców. Byli tam po to, aby zaobserwować sposób w jaki reagujemy na wykład. W końcu bohater pokazu NKWD wyszedł na podium. Jego mundur wywołał natychmiast potok wspomnień z więzień, w których mnie trzymano. Był to mundur Politraka, Oficera Politycznego (taki, jaki nosili śledowaciele NKWD).

Był on czysty i elegancki w dziwnie sowiecki sposób. Z odległości kilku metrów, doleciał mnie zapach jego mocnej, taniej wody kolońskiej. Uśmiechnął się i powiedział: "Towarzysze, żołnierze polscy..." Stał się bardzo poważny. "Przybyłem tu specjalnie, aby opowiedzieć wam o okropieństwach, jakich dopuścił się na waszym kraju agresor z nazistowsko-faszystowskich Niemiec. Niemieccy władcy dokonali straszliwych rzeczy na terenie okupowanej Polski: masowych egzekucji, kradzieży prywatnej i państwowej własności, schwytań, deportacji do obozów przymusowej pracy w Niemczech oraz tworzenia obozów koncentracyjnych". Tu zacytował niezwykle długą listę okrucieństw. Nasza dwudziestka siedziała w całkowitej ciszy. Spojrzałem na moich rodaków, których ciała i twarze zostały zniszczone przez odmrożenia i wskazywały na to, że każde wypowiedane przez Politruka słowo opisuje dokładnie to, co Związek Radziecki uczynił Polsce.

Hipokryzja tej sytuacji wywróciła mi żołądek. Miałem silne pragnienie wymiotowania, modliłem się jednak mocno, abym nie okazał moich uczuć. Byłem bowiem świadomy, że straż NKWD bardzo dokładnie się nam przygląda.

W końcu Politruk zapytał: "Towarzysze, czy są jakieś pytania?" Nie było. "Towarzysze Żołnierze Polscy czy będziecie walczyć przeciwko niemieckim faszystom u boku Związku Radzieckiego?" Chórem nasza dwudziestka odparła: "Będziemy".

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w naszym ciepłym baraku, ani ja, ani Wojtek Dembiński nie mogliśmy zasnąć. Byliśmy zmuszeni do świątokradczej unii z naszym śmiertelnym wrogiem, którego występki przeciwko naszemu krajowi dorównywały lub nawet przewyższały to, czego dopuścili się Niemcy. Czuję, jak sowiecka Rosja rzuca ogromny cień śmierci na Polskę. Związek miał być stworzony po sowieckiej linii.

Jedną z plotek, krążących po naszym baraku było, iż amerykański łamacz lodu, tworzy wąski kanał w zamrzniętym Morzu Ochockim do Zatoki Nagajewo w Magadanie. Ameryka odpowiedziała na sowiecką prośbę o pomoc i otworzyła łamaczem lodu, tak aby można było dostarczyć żywność do umierającej z głodu prowincji kołymskiej. Wkrótce nadeszło potwierdzenie tej informacji. Dowiedzieliśmy się, że statki transportujące ziarno i mąkę przedostały się przez kanał zrobiony przez Amerykanów a ich ładunki przywieziono do Magadanu. Ameryka otworzyła przejście morskie do Magadanu i w ten sposób ocaliła życie milionom niewolniczym robotnikom w obozach pracy. Jest to zapewne jedno z najbardziej niesamowitych wydarzeń w historii Kołymy i „Gułagu Dalstroy”.

W tym momencie zaczęła dochodzić do skutku druga część mojego cudu ocalenia. Administratorzy NKWD w Magadanie byli najwyraźniej pod coraz silniejszą presją z Moskwy, aby dopilnować przeżycia polskich więźniów. Nastąpił okres gorączkowych czynności, podczas których we dnie i w nocy, więźniowie w grupach po pięciu, przechodzili do Gułagu Dalstroy. Tam mogli wziąć prysznic, obcinano im włosy, golono i fotografowano. Następnie dawano im nowe spodnie, fufajki i buszłaty - jakości, której nigdy dotąd na Kołymie nie widziano. Był oczywiście ukryty powód tego wszystkiego. Mieliśmy być pierwszymi niewolnikami, którzy kiedykolwiek powrócili z Kołymy i zostali wypuszczeni wśród obywateli sowieckich na stałym lądzie Syberii. Dano nam pierwszej jakości ubiór, aby zwykli ludzie odnieśli wrażenie, iż dobrze nas na Kołymie traktowano. Był to kolejny przykład rosyjskiego oszustwa.

Całkiem odmienieni, zostaliśmy umieszczeni w tak zwanych "czystych" barakach, gdzie mieliśmy czekać na dokumenty, poprzedzające załadunek. W tym miejscu można jedynie podziwiać sprawność NKWD, która wywodzi się z ogromnego doświadczenia w obchodzeniu się z ludzkim ładunkiem.

Bardzo wczesnym rankiem, 31-go grudnia 1941 roku, zabrano mnie znów wraz z niewielką grupką moich rodaków do siedziby Gułagu Dalstroy. Byłem pierwszym z tej grupy, którego wezwano przed oblicze Komandira NKWD, który uniósł teczkę z moim nazwiskiem oraz różnymi dokumentami. Każdy z nich był opatrzony moim zdjęciem w górnym rogu. Komandir powiedział: "Obywatel Jacek Łopuszański, jesteście zwolnieni z poprawczego obozu pracy w regionie Kołymy; zanim jednak otrzymacie dokumenty potwierdzające zwolnienie, zwane UDOSTOWIERENJE, jest jeszcze jedna formalność. Musicie podpisać to dobrowolne oświadczenie". Położył przede mną napisane na maszynie oświadczenie, z moim nazwiskiem. Oddałem je mówiąc: "Obywatelu Komandirze, nie umiem czytać po rosyjsku. Przeczytajcie mi moje oświadczenie, a wówczas je podpiszę". Spojrzał na mnie z uśmiechem i powiedział: "To tylko formalność. Jeżeli tego nie podpiszesz, twoje zwolnienie może być nieco opóźnione. Przeczytam ci je"

Nie pamiętam dokładnych słów, mojego rzekomego 'dobrowolnego' oświadczenia, zasadniczo stwierdzono w nim, że świadomie i dobrowolnie pragnę stwierdzić, iż podczas mojego uwięzienia i pracy w poprawczych obozach pracy na Kołymie, obchodzono się ze mną sprawiedliwie i że nie mam żadnych skarg dotyczących traktowania mnie przez władze Związku Sowieckiego.

Od pierwszych chwil mego uwięzienia w 1939 roku, zawsze odmawiałem podpisywania jakiegokolwiek dokumentu, który mi podsuwano. Tym razem, bez zastanowienia podniosłem długopis i napisałem moje nazwisko pod 'dobrowolnym' oświadczeniem, które było stekiem kłamstw. Taka była cena, jaką musiałem zapłacić za wolność. Była to asekuracja ze strony morderców i prześladowców NKWD przeciwko ewentualnym przyszłym pretensjom skierowanym w ich stronę.

Wręczono mi moje UDOSTOWIERENIJE, które było jednocześnie moim dokumentem tożsamości i zaświadczeniem dla kasjera na wypłacenie mi 300 rubli jako zapłatę za pracę na Kołymie.

Te wszystkie namiastki wolności, nie zmieniły faktu, iż z powrotem do obozu poprowadzono nas pod zwyczajnie silną strażą. Powiedziano nam, że mamy być w każdej chwili gotowi do podróży morskiej. Tej nocy, życzyliśmy sobie z Wojtkiem lepszego roku 1942, bezpiecznego powrotu do polskiej armii i zwycięskiego wejścia do wolnej Polski, jako polscy żołnierze. W moich cichych modlitwach, dziękowałem Bogu i Dziewicy Maryi, Królowej Polski, za ten cud.

Do ostatniej chwili przed wyruszeniem w drogę, trzymano nas w specjalnym, małym baraku. Zarówno Wojtek jak i ja, byliśmy nadal bardzo osłabieni i szczęśliwi z powodu odpoczynku, ale moje nogi były wciąż spuchnięte, wskazując na osłabione serce.

Bardzo wcześnie któregoś ranka, przeszliśmy w kompletnych ciemnościach, aby dostać nasz chleb i kipyatok. W stołówce znajdował się gubernator obozu, w towarzystwie kilku komandirów NKWD, których pamiętałem w moich wizyt w siedzibie Gulagu Dalstroy. Wywoływano nas jeden, po drugim. Kiedy nadeszła moja kolej, musiałem pokazać UDOSTROWIERENIJE, na którym widniało moje zdjęcie. Porównali je z innym zdjęciem, przyklejonym do innego dokumentu. To był mój BILET, wydany przez UPRAWLJENIJE STROITIEŠTWA DALSTROJA (siedzibę Przedsięwzięcia Dalstroy). Powiedziano mi, że muszę przedstawić zarówno UDOSTROWIERIENIJE jak i bilet, zanim będzie mi wolno wejść na pokład statku.

Dwustu sześćdziesięciu mężczyzn, czekało wówczas do świtu.

W znany sposób, pod silną strażą uzbrojonych strzelków NKWD, załadowano nas ciasno do ciężarówek pokrytych płótnem i powieszono spieszenie przez Magadan.

Kiedy dotarliśmy do portu, ciężarówki zjechały w dół po bardzo stromej rampie na płaską, zamrożoną powierzchnię zatoki Nagajewo. Długo tak jechaliśmy, po kompletnie prostej drodze po lodzie wiodącej przez zamrożone morze. Z tyłu ciężarówki, po raz ostatni spojrzałem na miasto, położone u podnóża masywu gór kołymskich.

Czułem się tak, jakbym tam spędził całe życie. Pozostawiałem za sobą tak wielu zmarłych, a ich nagie ciała wyrzucano w śnieg. Przypomniałem sobie Romana i moich wielu innych rodaków. Pomyślałem także o Janie i Ilji, ciągle jeszcze głodnych gdzieś pośród kołymskiej zimy. Mogłem się za nich jedynie modlić.

Konwój stanął i wyładowano nas wiele kilometrów w głębi zatoki. Tak daleko, jak sięgał mój wzrok, była to pustynia skamieniałego lodu, a jedynym wyróżniającym się na niej elementem był cienki, ciemny pasek morza - kanał. Pływały w nim ogromne kawały lodu, a na samym końcu kanału, niedaleko nas, znajdował się duży statek. Na dziobie, dużymi literami napisana była jego nazwa "DALSTROJ".

Żeby wejść na pokład musieliśmy przejść po wąskiej desce. Kiedy dotarłem na samą górę, dokładnie zbadano moje dokumenty; NKWD nie dopuszczało możliwości pomyłki. Umieszczono nas wszystkich pod pokładem w środkowej, niezbyt dużej, całkiem pustej ładowni. Znajdowała się tam już grupa około 100 młodych Rosjan. Byli to Zulio, kryminaliści, których po odsłuzeniu wyroku wypuszczono w Magadan. Zabierano ich teraz na stały ład aby dołączyli do Armii Czerwonej. Mieli przy sobie duży zapas wódki, a przez całą podróż ostro grali w karty.

Wkrótce po tym jak się usadowiliśmy, silniki zaczęły warczeć, zdawało się, że tuż pod naszymi stopami. Statek ruszył powoli naprzód wzdłuż 'amerykańskiego' kanału. Natychmiast rozległ się głośny i bardzo niepokojący hałas. Powodowało go ocieranie stalowych ścian statku o lód. Dały się słyszeć również okropne uderzenie i łomoty, kiedy Dalstroy wpadał na liczne złomy lodowe pływające po kanale. Oznaczało to, że przez pierwsze trzy dni nie mogliśmy spać.

Jedzenie było ograniczone do porcji chleba ze słonymi sielotkami i raz dziennie zupy z pływającą w niej kaszą. Mieliśmy jednak dosyć wody.

Drugiego dnia wydałem część z moich 300 rubli na zrobienie zakupów. Okazało się to słuszną decyzją. Jeden z Zulio dał się całkowicie pochłonać hazardowi. Skończyły mu się już pieniądze i zaofiarował mi swój średniej długości płaszcz w zamian za mój nowy buszlat i 200 rubli. Kozuch był w dobrym stanie i chętnie się zgodziłem. Wojtek i ja mogliśmy się nim okryć do snu, a kiedy wychodziłem na pokład, było mi, przynajmniej, ciepło. Było nam wolno wychodzić na pokład, żeby popatrzeć na morze. Dalstroy zdawał się orać przez masy ogromnych bloków wyłamanego lodu. Dzięki Bogu, mimo tego, że było zimno, pogoda była ładna a morze spokojne.

Przez kolejne dni, na morze nie widać było żadnego innego statku, nim dojrzelismy długą wyspę SACHALIN, płynąc przez cieśninę La Perousa. Tu minął nas japoński okręt wojenny, który przepłynął obok, bez rutynowej wymiany morskich grzeczności. Tej nocy, w kompletnych ciemnościach, dotarliśmy do BUCHTY NACHODKI, portu Władywostoku.

Nachodka

Po zejściu na ląd, ku naszemu ogromnemu zdziwieniu, przemaszerowaliśmy pod silną strażą, w sposób taki sam, jak przed zwolnieniem, do jednego z obozów tranzytowych. Naszym jedynym pocieszeniem było to, iż w ten sam sposób traktowano tak zwanych 'wolnych obywateli', którzy byli w drodze do dołączenia do Armii Czerwonej.

Członkowie naszej grupy spędzili większą część nocy na spekulacjach i niepewności, której korzenie tkwiły w nieufności w stosunku do NKWD. Jednak następnego ranka rozdano nam wszystkim bilety na kolej Trans-syberyjską. Był on ważny od stacji Władywostok w Buchcie Nachodce do Nowosybirsku. Spytałem od razu, czy w Nowosybirsku jest jakiś punkt rekrutacji wojska polskiego. NKWD-owiec odparł: "Nie wiem, gdzie tworzone jest wojsko polskie. Będziesz musiał się sam dowiedzieć, kiedy dotrzesz do Nowosybirsku".

Wraz z biletem, wręczono każdemu z nas coś, co jest przedmiotem ciągłych marzeń wszystkich sowieckich niewolników: świeżo upieczony bochenek chleba. Do tego momentu był to najlepszy prezent, jaki otrzymałem.

W południe zaprowadzono Wojtka i mnie w grupie około 50-ciu naszych rodaków do dworca kolejowego w Buchcie Nachodce.

Moje nogi były tak spuchnięte, że nie byłem w stanie wejść do wagonu. Musiałem usiąść na najniższym schodku i wtaszczyć swe ciało do góry, schodek po schodku, siłą moich ramion. Przysiadłem się do Wojtka na jednej z drewnianych ławek. Nad naszymi głowami znajdowały się drewniane stelaże, przewidziane na bagaż, używane jednak do spania.

Czekając na rozpoczęcie 6700 kilometrowej podróży do Nowosybirsku, zauważyliśmy kilka wagonów bydłych na boczniczy obok naszego pociągu. Zauważyłem jak załadowano do nich grupę mężczyzn. Rozpoznałem w nich młodych Rosjan, którzy jechali z nami z Magadan. Traktowano ich dokładnie tak samo, jak traktowano mnie, kiedy podróżowałem jako niewolnik. Zatrzaśnięto przesuwne drzwi ich wagonu.

Nasz pociąg ruszył, a nadzieja i radość wypełniły mi serce. Cały bochen chleba leżał na kolanach i zacząłem jeść. Wojtek, z uśmiechem, poszedł w moje ślady. Był on pyszny - najlepszy posiłek, jaki w życiu jadłem. Oba jzedliśmy nasze bochenki do ostatniej okruszyny. Pociąg jechał bardzo prędko i wkrótce dotarł do Władywostoku-miasta. Wsiadło tu wielu pasażerów. Mieli na sobie typowe, nijakie standaryzowane ubranie, podobne do naszego, jednak dużo gorszej jakości. Wśród osób, które weszły do naszego przedziału było dwóch młodych Komandirów Armii Czerwonej. Byli oni w doskonałym humorze, który miał swoje źródło w butelkach wódki, które nieśli w kieszeniach płaszczu. Znajdowali się w drodze do dołączenia do Oddziału Syberyjskiego gdzieś w okolicach Krasnojarska. Nasz wagon bardzo szybko całkiem się zappełnił.

Podróż na linii trans-syberyjskiej nie może być porównana do żadnej innej podróży na świecie. Trwa ona tak długo, iż zwykła podróż przekształca się w sposób życia. Najlepiej można ją określić jako spazmatyczną. Po przejechaniu odległości do 320 kilometrów, pociąg stawał na kilka godzin, na jakiejś małej stacji, gdzie niekiedy nie było żadnych oznak ludzkiego istnienia. Powodem tych postojów było przepuszczenie pociągów wiozących 'pożyczony' towar ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i Wielkiej Brytanii. Wszelkiego rodzaju dobra docierały drogą morską do Władywostoku, a stamtąd zabierano je w głąb lądu, aby pomóc Rosjanom walczącym w Europie. Wielokrotnie mijaly nas pociągi z długimi ładunkami, które nosiły wyraźnie amerykańskie napisy. Widziałem ładunek po ładunku - jeepów, ciężarówek i innych sprzętów, na których widniała zawsze amerykańska Biała Gwiazda. Wojtek i ja byliśmy zdumieni ogromem pomocy dla Sowieców.

Nasze regularne postoje były nieodzowne dla naszego przetrwania. Musieliśmy zdobyć pożywienie. W moich poszukiwaniach zapoznawałem się z wieloma sowieckimi ludźmi w różnych miastach i miasteczkach na naszej trasie. Na niektórych stacjach znajdowały się jadalnie, do których staraliśmy się zawsze z Wojtkiem dotrzeć, jak najszybciej po zatrzymaniu pociągu, aby zdobyć miskę zupy i kawałek chleba. Te jadłodajnie były jedynym miejscem, gdzie, przy odrobinie szczęścia, mogliśmy zapłacić oficjalną, państwową cenę za nasze jedzenie: kilka kopiejek (rubel ma sto kopiejek). Gdyby udało mi się opanować głód, mogłem wówczas sprzedać mój chleb (około 100 gramów) aż za 50 rubli. To samo dotyczyło się Machorki (tytoniu). Oficjalna cena wynosiła 35 kopiejek za niewielką ilość. Łatwo ją było wymienić na jakieś 200 gram chleba, lub sprzedać za 80-100 rubli. Powiedziano mi, że od czasów rewolucji i wprowadzenia produkcji i dystrybucji kontrolowanej przez państwo, w Sowieckim Sojuszu wytworzyła się trzypoziomowa ekonomia. Pierwszy - top poziom oficjalny, gdzie ceny były stałe, podobnie jak stałe były braki wszystkiego. Następny był powszechnie stosowany system handlu zamiennego. Trzeci z kolei to czarny rynek, który dał się poznać we wszystkich sferach życia i bazował na Błacie (korupcji).

Interes własny stworzył między pasażerami w naszym przedziale rodzaj solidarności. Naszym celem było niewpuszczanie nowoprybytych i zachowanie dla nas samych jak najwięcej miejsca. Dwaj komandorowie Armii Czerwonej bardzo dobrze radzili sobie w dbaniu o siebie. Mieli ten przywilej, że mogli stołować się w wagonie restauracyjnym w naszym pociągu, i że palili tytoń dużo lepszej jakości, niż powszechnie dostępna machorka (choć oni także robili sobie papierosy z gazety). Udawało im się także dostać wódkę.

Za każdym razem, kiedy przyjeżdżaliśmy do dużej stacji, NKWD i Milicja sprawdzały cały pociąg. Musieliśmy przedstawić nasze Udostowierenia i bilety kolejowe. Za każdym razem pytałem strażników, czy wiedzą, gdzie stacjonuje wojsko polskie. Odpowiedź była zawsze: „Nie. Powiedzą ci, jak dotrzesz do Nowosybirsk”.

Żeby być pewnym, iż nic się nie stanie moim dokumentom i pieniądzom, wewnątrz fufajki tuż poniżej pachy, uszyłem sobie specjalną kieszonkę. Byłem z niej zadowolony, gdyż oznaczało to, że ciągle czułem moje najcenniejsze rzeczy pod bokiem.

Spaliśmy z Wojtkiem na naszej górnej pryczy na zmianę. Któregoś ranka, po przebudzeniu, stwierdziłem, że zarówno pieniądze, jak i moje dokumenty zniknęły. Ktoś rozciął ostrą żyłką rękaw mojej fufajki i skradł wszystko. Gorączkowo przeszukałem cały wagon i dostrzegłem starą kieszeń ze spodni, która służyła mi za sakiewkę. Dokumenty były nadal wewnątrz, ruble jednak nie. Wojtek zaofiarował się natychmiast, iż da mi połowę swoich pieniędzy, ja jednak powiedziałem mu, że muszę samodzielnie zdobyć pieniądze, gdyż on, ze swymi odmrożeniami będzie prawdopodobnie potrzebował każdy grosz, aby dotrzeć do naszego wojska.

Pociąg wjechał na dużą stację CHABAROWSK. Powiedziano nam, że postój będzie trwał co najmniej jeden dzień. Powiedziałem Wojtkowi, iż będę się starał zdobyć jakąś dorywczą pracę, aby zarobić pieniądze na zapłacenie za jedzenie. Nalegał jednak, abym przyjął co najmniej jednego CZERWIENCA (dziesięć rubli). Zgodziłem się.

Był to suchy, mroźny dzień. Po wyjściu ze stacji szedłem szeroką drogą, po której obu stronach stały stare drewniane domy. Było jasne, iż te domy zbudowano jeszcze przed rewolucją i wszystkim bardzo przydałaby się naprawa. Jediną przyjemną rzeczą w ich wyglądzie był unoszący się z kominów dym. Zapukałem do drzwi pierwszej chaty.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Mogłem przez nie ledwo coś dojrzeć postać starej kobiety, dobrze owiniętej szalem. Spytała mnie: „czego chcesz?”

„Jestem podróżnym” odparłem łamanym rosyjskim. „Jeżeli masz jakąś pracę, chętnie ją wykonam za coś do jedzenia”.

Najwyraźniej ją to zaciekawiło. „Skąd jesteś? Słyszę, że jesteś cudzoziemcem”.

„Jestem Polakiem, w drodze do dołączenia do Wojska Polskiego. Jakiś złodziej ukradł mi w pociągu wszystkie pieniądze”. To jej najwyraźniej wystarczyło, gdyż wyszła na zewnątrz i poprowadziła do rozwalającej się szopy, gdzie leżało kilka dużych bali drewna, czekających na porąbanie. Poprosiła: „Zrąb ^{potra} to, a kiedy skończysz, przynieś pełne naręcze do domu. Potem będziesz mógł zjeść z nami trochę SZCZY”. Szczę ⁱ to rodzaj klarownej zupy z wkrojonymi, drobnymi kawałkami kapusty. Wziąłem się do roboty, a po godzinie całe drewno było ^zzrabane. Wziąłem naręcze i podszedłem do drzwi. Wprowadzono mnie do dużego pomieszczenia, gdzie głównym meblem był ogromny gliniany piec. Góra pieca służyła najwyraźniej za poślanie dla całej rodziny, z powodu bogatego asortymentu kocy, dywaników i pościeli, które były tam rozłożone. Reszta mebli ^{to}składała się z drewnianego stołu, ławek i ^{to}jednego kredensu. Obok pieca stało kilka garnków i dwa wiadra pełne wody. Jeszcze inny garnek stał na piecu, a kobieta mieszała jego zawartość. Cały pokój wypełniony był zapachem gotowanej kapusty. Dwóch bosych chłopców siedziało obok pieca. Generalnie ^{to}widok ^{był} przygniatąjącej biedy. Położyłem drewno obok pieca i stanąłem, lekko zmieszany. Kobieta zaprosiła mnie, abym usiadł na jednej z ławek przy stole. „Zaczekaj chwilkę”, poprosiła, „Zjesz z nami. To są moi synowie. Mąż wróci dużo później. Pracuje w fabryce i je w stołówce. Ma dobrą pracę. Dostaje dziennie bochenek chleba”.

Kiedy zupa była już gotowa, kobieta podeszła do kredensu i wyjęła z niego biały, emaliowany nocnik zrobiony przed wojną w Polsce. Napełniła go zupą, potem wyjęła z pieca cztery, twarde jak kamień, kawałki chleba. Postawiła emaliowany garnek na środku stołu, wyjęła cztery drewniane łyżki, dała mi jedną wraz z kawałkiem chleba i powiedziała: „Jedz”.

Zacząłem, bez słowa. Po kolei wkładaliśmy nasze łyżki do nocnika i jedliśmy w ciszy. Była to dobra, ciepła zupa. Chłopcy z zazdrością przyglądali się mojemu nowemu ubraniu kołymskiemu. Kiedy im powiedziałem, że dostałem je w poprawczym obozie pracy, wybełkotali: „Tam jest dopiero życie, a my chodzimy po domu na bosaka, bo nie mamy butów”. Zauważyłem, że takie uwagi zdenerwowały kobietę. Dała mi jeszcze trzy kawałki chleba i powiedziała coś na temat mojego powrotu na stację. Podziękowałem jej i wyszedłem. Po raz pierwszy miałem możliwość rzucenia okiem na normalne życie w Związku Sowieckim.

Od tego momentu korzystałem z każdej okazji zarobienia na jedzenie. Kiedy pociąg stawał na dwie lub więcej godzin, wychodziłem w poszukiwaniu pracy. Zdarzało się, że przeklinając zatraskiwano mi drzwi przed nosem. Czasami nosiłem wodę do domów, po uprzednim rozbiciu lodu w strumykach, jeziorach i w studniach. Szuflowałem śnieg i rąbałem drewno. Taki był mniej więcej scenariusz mojej ponad 6400 kilometrowej podróży do Nowosybirsk.

Pieniądze Wojtka dostarczały nam raz po raz zupę i nieco chleba ze stołówek na stacjach kolejowych. Aby na czas dostać się do takiej stołówki, żeby starczyło dla nas jedzenia, trzeba było posunąć się do nie lada ryzyka. Nasi współpasażerowie biegli tam na wyścigi, gdyż zawsze brakowało zarówno jedzenia, jak i miejsca i tylko nieliczni mogli się dostać do środka. Wiele zależało od tego, gdzie, w stosunku do jadalni, stanął nasz wagon. Nie raz zamykano nam drzwi przed nosem ze słowami: „Nie ma już zupy”. Na większości stacji dostawaliśmy kipiatak (wrzątek) z kranu, ale nawet wówczas musieliśmy przepychać się i stawać w, niekiedy, bardzo długiej kolejce.

Podróż koleją trans-syberyjską była metaforą życia w Związku Sowieckim: ciągła walka, w której przeżywali najsilniejsi i najbardziej bezwzględni.

Oprócz kłopotów z jedzeniem, musieliśmy się ciągle mieć na baczności przed złodziejami. Nie było rzeczy zbyt małej lub zbyt nieważnej, żeby nie warto jej było ukraść. Wojtek i ja szczególnie pilnowaliśmy naszych drewnianych łyżek, zdobytych na Kołymie. Dwukrotnie udaremniłem próby kradzieży mojej łyżki w dworcowych jadalniach. Wojtkowi ukradziono jedną ze szmat, która służyła mu za skarpety. W Związku Sowieckim wszystko przedstawia dla złodzieja jakąś wartość.

Podczas jazdy większość czasu za dnia spędzałem na wyglądaniu przez okna przedziału. Syberia była się w silnym uścisku zimy. Pokrywał ją śnieg. Wzdłuż linii kolejowej, pełno było NKWD-owskich niewolniczych obozów pracy, otoczonych charakterystycznymi wysokimi palisadami i wieżami strażniczymi. Było ich tak wiele, iż zastanawiałem się, czy Związek Sowiecki to Państwo, czy też jeden wielki obóz niewolników? Czy to możliwe, aby utrzymać tyle milionów ludzi w niewolnictwie? Najwyraźniej było to możliwe.

Wzdłuż całej linii znajdowały się fabryki, tartaki i młyny. Na wszystkim widniał napis: ^{of} PRZEIZWODSTWO NKWD” (przedsięwzięcie NKWD). Wynikał z tego tylko jeden wniosek: NKWD było jedyną siłą sprawującą kontrolę nad przemysłowym życiem w Związku Sowieckim. Oni byli panami, zarządcami, producentami. Oni także dostarczali siłę roboczą. W ten sposób wcielono w życie ideologię marksistowską. W czasach absolutnej władzy carskiej, chrześcijaństwo stanowiło dlań pewien hamulec. Czerwoni carowie, odrzucając Boga i chrześcijaństwo, pozbawili się wszelkich skrupułów. Rosja Sowiecka, w której miliony ludzi na siłę wcielono do Imperium, stała się jednym ogromnym obozem rządzonym przez NKWD. Byłem przekonany, iż tak długo jak istniało NKWD, inaczej KGB, nic się w życiu ludzi nie zmieni. Władcy, tacy jak Stalin, Malenkov, Bułganin, Chruszczow i Breżniew mogą przychodzić i odchodzić, NKWD jednak nigdy się nie zmieni, teoretycznie zawsze służąc, a praktycznie zawsze rządząc.

Na większości stacji kolejowych pojawiali się ludzie z sowchozów (gospodarstw państwowych) z lokalnymi produktami na wymianę z pasażerami. Wojtek przekonał się wkrótce, że jego ruble nie przedstawiają dla tych ludzi żadnej wartości. Szukali zapalek, herbaty, soli lub tym podobnych podstawowych artykułów. Przy nawet niewielkiej ilości tych rzeczy, mielibyśmy zagwarantowaną komfortową podróż, bez głodu, ale, rzecz jasna, nie mieliśmy nic do ^{handlowania} przetargowania.

Mimo braku jedzenia, widziałem ogromne połacie żyta i pszenicy, które od ubiegłego roku nie były skoszone. Liczne traktory i duże maszyny rolnicze leżały porzucone na polach i rdzewiały w śniegu. Kilkakrotnie dostrzegłem też z dużej odległości budynki należące do sowchozu, które całkiem zaniedbano. Nic dziwnego, że od czasów rewolucji Związek Sowiecki cierpiał jeden głód po drugim. Przyglądałem się na zmarnowane plony i raz jeszcze pomyślałem o Janie i Ilji umierających z głodu na Kołymie. Być może uda im się przeżyć; będzie to jednak tylko dzięki pomocy z USA.

Wcześniej któregoś ranka dotarliśmy do Irkucka. Nocą, minęliśmy brzeg jeziora Bajkał, przejeżdżając przez liczne tunele wyciosane w kamieniu przez moich rodaków zesłanych przez cara po powstaniu 1863 roku. Powiedziano nam, że pociąg zatrzyma się w Irkucku na kilka godzin, zdecydowaliśmy jednak, że zostaniemy na stacji i będziemy pilnować naszych miejsc.

Dwaj komandirowie Armii Czerwonej zdecydowali, iż wyjdą w miasto. Wrócili zaledwie chwilę przed planowanym odjazdem pociągu. Podtrzymywali się wzajem, czapki mieli zsunięte na tył głowy i twarze gorzały ogniem. Najwyraźniej dobrze się bawili. Po dłuższym poszukiwaniu odnaleźli w końcu przedział. Jak tylko drzwi do przedziału otworzyły się, a bohaterowie weszli do środka, uderzył nas powalający zapach taniej wody kolońskiej. Słaniając się na nogach i śmiejąc się serdecznie wyjęli z kieszeni duże butelki tych perfum. Jeden z komandirów odkorkował butelkę i popychając ją do mnie powiedział: „no już, napij się!”

Jedynie ci, którzy kiedykolwiek czuli zapach rosyjskich perfum wiedzą jaki jest mocny, słodki i otępiający. Pomysł, żeby się ich napić, sprawił, że żołądek wywrócił mi się do góry nogami. Podziękowałem. Zaśmiał się i powiedział: „Głupi jesteś. To bardzo dobry trunek. Jest nie tylko mocny, ale potem przyjemnie pachnie ci z ust”. Jeszcze przez długi czas po tym, jak Rosjanie skończyli pić swoją wodę kolońską, jej zapach unosił się w przedziale i na korytarzu.

Po paru dniach podróży pociągiem trans-syberyjskim bez trudu rozpoznaje się współpasażerów po wyglądzie. Moi współrodacy byli rozsiani po całym pociągu i stanowili przedmiot zainteresowania dla obywateli sowieckich. Przypadkowe spotkanie z Rosjanami bywało niekiedy bardzo dziwne. Żeby dostać wodę do picia, musiałem przejść dość daleko korytarzami kilku wagonów. Jeden z nich, wyposażony w luksusowe siedzenia, był zarezerwowany dla ludzi z wyższej sfery Sowieckiego Sojuszu, głównie biurokratów, członków partii komunistycznej i wyższych oficerów NKWD i Armii Czerwonej. Po odznakach na ich mundurach, widać było że najniższy rangą był majorem. W żadnym przedziale nie przebywało nigdy więcej, jak czterech pasażerów a korytarz tego uprzywilejowanego wagonu był zawsze pusty.

Pewnej nocy w drodze po wodę, musiałem przejść obok Pułkownika Armii czerwonej. Stał w korytarzu przy nieco otwartym oknie tyłem do przedziału. Stał mi na drodze, więc po rosyjsku powiedziałem: „Przepraszam”. Zamiast się przesunąć odwrócił się w moim kierunku. Czekałem.

Był młody, jasnowłosy, mocno zbudowany w typowo rosyjski sposób i czuć było od niego mocno wódkę. Przez jego ramię zajrzałem do przedziału i zobaczyłem trzech oficerów Armii Czerwonej w trakcie pijackiej sesji. Pułkownik spytał: „Nie jesteś Rosjaninem, prawda?”

Odpowiedziałem: „Jestem Polakiem, jadę, żeby dołączyć do wojska polskiego”.

„Jesteś wojskowym. Czy jesteś oficerem?”

„Jestem kandydatem na kadeta oficerii”.

Zaczął się śmiać i otwierając przesuwane drzwi do przedziału powiedział do swoich kolegów oficerów: „Zobaczcie, kogo tutaj mam - polskiego przyjaciela, który będzie z nami walczył przeciwko Hitlerowi”.

Chociaż w jego głosie wyczułem ironię, zaproszono mnie na przyjęcie do przedziału. Nie mogłem się powstrzymać przed powiedzeniem: „Tak, będziemy walczyć przeciwko Hitlerowi, tak samo jak walczyliśmy sami przeciw Niemcom w 1939 roku”.

W szklanym kubku podano mi wódkę, mój pierwszy napój alkoholowy od wyjazdu z Polski. Jeden z nich powiedział: „Wypij za sojusz Sowieckiego Sojuszu z Polską”. Musiałem wypić z nimi ten toast - z wczorajszym wrogiem ale dzisiejszym sprzymierzeńcem.

Major, siedzący w kącie, zdawał się mieć najwięcej z nich wszystkich rezerwy. Na jego rękawie rozpoznałem czerwoną gwiazdę ze złotym sierpem i młotem, oznakę Oficera Politycznego — ~~Regimentu~~ Politruka. To oni byli prawdziwymi oficerami sprawującymi władzę, o większej mocy niż pułkownicy. Nie zdziwiłem się, iż gdy Major zaczął mówić, cała reszta ucichła. ~~Odparł~~ „Byłem w Polsce w latach 1939/40. Zobaczycie. My... ^{Chodzi o} (miał na myśli Sowiety) ~~odzyskamy dla Was waszą Polskę. Ale Zachodnia Ukraina i Białoruś są nasze. Dostaniecie swoją kurę~~”. (Odnosnik do polskiego Orła, który jest symbolem państwa polskiego). „Ale bez korony”. (Mówił o koronie królewskiej, którą tradycyjnie maluje się na głowie orła, który z kolei jest herbem Królestwa Polskiego). „My, w Rosji Sowieckiej nie tolerujemy żadnych królów ani królewskich symboli”.

Tych kilka słów z ust Politruka wyjaśniły istotę rosyjskiej polityki w stosunku do Polski. Pakt sowiecko-polski był oszustwem ze strony Rosji, od momentu, kiedy Stalin się pod nim podpisał. Rosjanie nie zamierzali oddać Polsce ziem, które zdobyli poprzez pakt z hitlerowskimi Niemcami i chcieli trzymać Polskę w politycznej niewoli sowieckiej.

W czasie, kiedy niemieckie czołgi stały na przedmieściach Moskwy i Stalingradu, kiedy Rosjanie walczyli o przetrwanie, ich polityką było włączenie ziem od wieków należących do Polski do swego Imperium, i na siłę podporządkowanie sobie tego, co na zachodzie z Polski zostało.

Kiedy w końcu opuściłem gościnnych Rosjan byłem zmartwiony i niepewny o przyszłość. Podzieliłem się swoimi niepewnościami z Wojtkiem. Swoją komentarz skwitował słowami: „Czego możemy się po nich spodziewać?”

Mimo zimowej pogody i paru bardzo długich postojów, nasz trans-syberyjski pociąg doskonale pokonywał odległość i wkrótce do Nowosybirsk pozostało nam ostatnie 800 kilometrów. To właśnie tam mieliśmy nadzieję znaleźć odpowiedź na pytanie, na które jak dotąd nikt nie był w stanie, lub też nie chciał nam odpowiedzieć: o stacjonowanie Wojska Polskiego.

W ciemnościach, późnym popołudniem 23-go stycznia 1942 roku, dotarliśmy do bardzo dużej, długiej stacji Nowosybirsk. Kiedy pociąg powoli przejeżdżał przez most na zamrzniętej rzece Ob, Wojtek powiedział coś do mnie, ja jednak nie zrozumiałem jego słów. Całe ciało paliło mnie od środka, a głowa pulsowała okropnym, rytmicznym hukiem, tak jakby kowal walił w kowadło znajdujące się w moim mózgu. Moje mięśnie opanowały spazmatyczne drgawki. Pociąg stanął na stacji i pamiętam dobrze zmartwioną twarz Wojtka, gdy ten pomagał mi wygramolić się na peron. Niepewnie przeszedłem do głównego hallu dworcowego, w którym pełno było sowieckich podróżnych siedzących lub leżących na podłodze, otoczonych bagażami.

Wymamrotałem: „Wojtek, dzieje się ze mną coś bardzo niedobrego”. Wielkie plamy zaczęły przysłaniać mi pole widzenia. Potem nagle wszystko stało się czarne. Nigdy więcej nie zobaczyłem już Wojtka.

Usłyszałem jak ktoś wymawia moje imię: „Jacek...” jakby skądś bardzo daleka.

Czternaście dni po przyjeździe do Nowosybirsk brakują w mej pamięci. Walczyłem o życie, nieprzytomny, opanowany gorączką z tyfusu, którym zaraziłem się przez ugryzienie wszy podczas podróży do Władywostoku. Jedyną rzeczą, jaką z tych dwóch tygodni pamiętam jest sen, który przyśnił mi się tuż przed odzyskaniem przytomności. We śnie, byłem znowu na pokładzie statku. Jestem pewien, iż była to Dzurma, statek, którym płynąłem na Kołymę. Dziób orał niepokojące fale, ciemnego, złowrogiego morza.

Byłem w stanie paniki. Otaczało mnie jakieś nieznane niebezpieczeństwo. Spojrzałem w lewo i na pokładzie dojrzałem węża poruszającego się w moim kierunku. Miał rozdziawioną paszczę i drgający rozczapierzony język. Czułem się jak z kamienia. Chciałem uciekać, ale nie mogłem. Za węzem stał stary człowiek z długą, szarą brodą. Kiwał na mnie, ja się go jednak obawiałem. Widziałem zimne, mokre oczy węża wlepiające się we mnie, a jego zęby szykowały się do wbicia mi się w twarz. Byłem przerażony, ale nie mogłem się ruszyć. Wąż zwinięty był w kłębek, a jego głowa trzymała się na długiej, wygiętej szyi. Coś nakazało mi spojrzeć w górę. Tam, nad moją głową był wspinały biały orzeł, szykujący się na uderzenie węża. W moim śnie stoczyła się długa walka pomiędzy orłem i węzem. Chciałem, żeby orzeł wygrał, ale nie mogłem w żaden sposób pomóc. Stary, srebrnowłosy mężczyzna kiwał na mnie bez przerwy, moje zainteresowanie było jednak całkowicie skupione na bitwie. W pewnym momencie, wąż chwycił orła i zamierzał wpuścić jad i zabić potężnego ptaka. Temu udało się jakoś uniknąć śmierci, a walka zdawała się toczyć bez przerwy. Byłem całkiem zlany potem. Dziób statku pikował w dół, wspinał się do góry i znowu opadał. Biały orzeł chwycił szyję węża w swój zakrzywiony dziób i wbił swe ostre pazury w ciało gada. Bitwa dobiegła końca. Stary człowiek zniknął.

Otworzyłem oczy. Młoda rosyjska pielęgniarka pochylała się nade mną i położyła mi mokry kompres na czole, a drugi na gołej piersi. Zauważyła, że odzyskałem przytomność i powiedziała: „Przeżyłeś. Będziesz żył”.

Leżałem na sienniku na podłodze dużego pomieszczenia. Wzdłuż obu stron pokoju znajdowały się dwa rzędy podobnych materacy, na których leżeli mężczyźni, których, tak jak mnie, dosięgła potworna gorączka tyfusu. Wszyscy inni mężczyźni zdawali się być nieprzytomni.

Wraz z przechodzeniem gorączki, byłem całkiem przesiąknięty potem i tak słaby, że z ledwością poruszałem nogami i rękoma. Rozejrzałem się dokoła i zauważyłem, że mężczyźni po moich obu stronach nie żyją. Jeden miał szeroko otwarte oczy i usta. Powiedziano mi później, że tylko jeden z dziesięciu pacjentów przywiezionych do tego, tak zwanego ‘oddziału zamkniętego’, kiedykolwiek wychodzili z niego żywi. Byłem w szpitalu chorób zakaźnych, potocznie zwanym „tyfusowym szpitalem” (tyfożna bonica).

Dla pacjentów nie było żadnej pomocy medycznej. Nie było żadnych pigułek, lekarstw czy zastrzyków. Opieka polegała na przykładaniu mokrych szmat na czoło i piersiach pacjenta. Dla tych, którzy byli w stanie połykać była także woda.

Pielęgniarka powiedziała mi, że podczas moich najgorszych ataków gorączki byłem tak niespokojny, że musieli mnie związać.

Gorączka spowodowała, że wypadła mi większość włosów na ciele, a na brwiach i rzęsach nie pozostał ani jeden. Byłem niezwykle głodny i spragniony, ale nic prócz wody nie dostałem. Pielęgniarka powiedziała, że przyjdzie do mnie lekarz, a potem dostanę coś do jedzenia.

Na początku nie pamiętałem ani jak się nazywam, ani w jaki sposób trafiłem do szpitala. Cierpiałem na niemal całkowitą amnezję, ale z czasem pamięć zaczęła mi wracać. Żeby ten proces przebiegał sprawniej, zadawałem sobie podstawowe pytanie: gdzie był Wojtek? Jak się tu dostałem? Gdzie są moje dokumenty? Gdzie są moje ubrania, w szczególności mój kozuch? Na materacu leżałem praktycznie nagi, przykryty jedynie cienkim kocem. Czułem się słaby i zmęczony i szybko zasnąłem.

Nagle, w środku nocy, obudziłem się. Stała obok mnie szczupła kobieta w białym fartuchu i przez stetoskop przysłuchiwała się rytmowi mojego serca. Zdała sobie sprawę, że nie śpię i po rosyjsku powiedziała do mnie łagodnym głosem: „To dzięki twemu mocnemu sercu przetrwałeś gorączkę”. Dodałem po polsku: „I dzięki Bożej łasce”.

Przez ułamek sekundy dojrzałem w oczach lekarki i w jej delikatnej osobie coś, co wskazywało na to, że rozumiała o czym mówię. Najwyraźniej uznała jednak, że lepiej nic, w obecności rosyjskiej pielęgniarki nie mówić. Lekarka nakazała pielęgniarce przykryć mnie jeszcze jednym kocem i dać mi kubek ciepłego mleka.

Lekarka dokonała dalszego obchodu, aż przyniesiono mi mleko, a potem wraz z pielęgniarką pomogła mi je wypić, łyk po łyčku. Po raz pierwszy od schwytania przez Rosjan czułem smak mleka.

Znowu zasnąłem, obudziłem się, żeby stwierdzić, że cztery pielęgniarki niosą mnie na noszach na oddział, gdzie leżało już kilka ustawionych blisko siebie łóżek. Położono mnie w łóżku w rogu na sienniku przykrytym prześcieradłem. To był kolejny „pierwszy” raz od czasu uwięzienia. Dostałem także długą, szpitalną koszulę, a pod głowę położono mi poduszkę. Zostałem przykryty dwoma kocami.

Szalona poprawa warunków, w jakich się nagle znalazłem, została zaaranżowana przez panią doktor.

Moje ciało było całkowicie wyczerpane, po długich okresach uwięzienia, ciężkiej pracy na mrozie w Kołymie, lichej diecie ostatnich 28 miesięcy i silnego ataku tyfusu. Nie miałem żadnej odporności ^{na} przeciwko infekcjom. Inni pacjenci na oddziale cierpieli na ~~o~~ różnego rodzaju komplikacje takie jak biegunka, zapalenie płuc i dyfteryt. Dowiedziałem się, że wszystkie inne choroby, takie jak szkarlatyna, panoszyły się w innych częściach szpitala. Oddział izolatki był całkowicie przepelniony, a wiele osób spało na materacach leżących na korytarzach. Warunki sanitarne były przerażające. Do dyspozycji mieliśmy zaledwie kilka kubków, a woda musiał być przynoszona z daleka, przez i tak już przepracowany personel. Na moim piętrze znajdowała się tylko jedna wanna, a ubikacji było równie niewiele. Dla kogoś w moim stanie nie było to najlepsze otoczenie.

Powoli wracałem do zdrowia. Po kilku bezowocnych próbach udało mi się przejść kawałek wzdłuż korytarza. Czuję się również pewniej, dzięki obecności w szpitalu pani doktor. Widziałem ją kilkakrotnie z pewnej odległości, i chociaż nie okazywała mi specjalnej uwagi, czułem, że mam w niej przyjaciela.

Gorączka powaliła mnie jeszcze raz i znów byłem nieprzytomny. Infekcja była podwójna: Zapalenie płuc i biegunka. Tym razem jednak lekarka pomogła mi przezwyciężyć gorączkę. W jakiś sposób zdobyła lekarstwa i zaaplikowała mi zastrzyki na wzmocnienie serca.

Kiedy już krytyczny stan infekcji minął i odzyskałem przytomność, znalazłem się w pojedynczym pokoju. Przy moim łóżku siedziała pani doktor. Właśnie co skończyła robić mi zastrzyk i w pokoju byliśmy sami. Nieskazitelną polszczyznę odmawiała Ojciec Nasz a potem Zdrowaś Maria. Modliła się za mnie. Przysłuchiwałem się aż wypowiedziała ostatnie słowa: „Módl się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej”.

Powiedziałem do niej: „Pani jest Polką. Dziękuję za modlitwę i za wszystko, co pani dla mnie robi”.

Odpowiedziała po rosyjsku: „Jestem Polką. Moi rodzice i dziadkowie byli Polakami. Nigdy jednak nie widziałam Polski. Modłę się zawsze w naszym języku, tak jak nauczyła mnie matka. Moje nazwisko panięskie jest LEDÓCHOWSKA, Maria Ledóchowska, moje nazwisko po mężu jest rosyjskie. Mój mąż to dobry człowiek. Ma dość ważną pracę i jest członkiem Partii”.

Nazwisko Ledóchowskich było mi dobrze znane. Należało ono do szlachetnej, bogobojnej i patriotycznej polskiej rodziny. Z powodu zacieklego patriotyzmu, dziadek Marii został zesłany na Syberię po powstaniu w 1863 roku. Po odsłuzeniu swego wyroku zmuszono go do osiedlenia się na Syberii. Przyjechała tam do niego jego żona, a ich syn był ojcem Marii. Jednym z powodów, dla których rodzina ta jest w Polsce dobrze znana, jest to, iż jeden z jej członków był kardynałem Ledóchowski. Został wybrany przez Papieża Piusa XI na Generała Jezuitów. Generał jezuitów znany jest także jako Czarny Papież, z powodu noszonych przez niego czarnych szat i autorytetu, jaki posiada w kościele rzymsko-katolickim. Rozmawiałem o nim z Marią. Był jej bliskim krewnym, nie jednak o nim nie wiedziała.

Pani doktor Maria Ledóchowska była moim Aniołem Stróżem. Bez niej nie wybrnąłbym z licznych infekcji dręczących moje umęczone ciało. Składała się ona na cud, o który modliłem się przez okres mego uwięzienia.

Powiedziała mi, że swoją wysoką pozycję w szpitalu zawdzięcza bynajmniej nie swojej znajomości medycyny, lecz przynależności męża do Partii. Jestem pewien, iż we wspomaganii mego dochodzenia do siebie, ryzykował swoją i do pewnego stopnia także i męża, pozycję. NKWD zawsze bardzo chętnie przysłuchuje się ludziom, skorym do zadenuncjowania swoich bliźnich. Z tego powodu lekarka przychodziła do mnie jedynie nocą. Przynosiła za każdym razem kawałek chleba, lub coś innego, co sama upiekła w domu. Przynosiła mi także książki do czytania. Były one, rzecz jasna, po rosyjsku, i to właśnie w Nowosybirskim Szpitalu Zakaźnym nauczyłem się czytać po rosyjsku. Uczyłem się na „Wojnie i pokoju” Lwa Tołstoja.

Doktor Maria zadawała mi niekończące się pytania o Polsce. Musiałem wywlekać jeszcze z czasów dzieciństwa wiele szczegółów dotyczących historii Królestwa Polskiego. Chciała wiedzieć wszystko. Niekiedy odnosiłem wrażenie, iż jej ciekawość kraju przodków była jej wielkim umiłowaniem, prawdopodobnie spowodowanym szarzyzną życia w Związku Sowieckim.

Był początek marca, 1942. W szpitalu spędziłem już ponad miesiąc. Choroba wyciągnęła ze mnie wszystkie siły. Moja waga, zwykle 77 kilogramów spadła do 38 kilogramów. Byłem okrutnie chudy. Moje schorowane płuca wydawały z siebie charkoty, które słyszałem przez cały czas. Tak czy owak, byłem pełen nadziei i miałem głębokie wewnętrzne przekonanie, że przeżyję i będę się miał coraz lepiej. Pani doktor powiedziała raz do mnie: „Jest pan jak mimoza. Dotknęła pana prawie każda choroba zakaźna, jaka istnieje w szpitalu, ale twoja fizyczna budowa nie mogłaby być mocniejsza nawet, gdyby Pana ciało było z żelaza. Z minimalną pomocą przeżył pan. Będzie pan żył”.

Zacząłem chodzić. Pani doktor zaleciła mi ćwiczyć w nocy, a w dzień leżeć w łóżku, tak abym mógł zostać dłużej w moim pojedynczym pokoju.

Powili czytałem „Wojnę i pokój”, ciekawość pchała mnie jednak do innej książki - HISTORIA WSZECHSOJUZNAJA KOMUNISTYCZESTKOJ PARTJE BOLSZEVIKOW lub krócej „Historia WKPB”. Jest to oficjalna historia Partii Bolszewickiej. Pani doktor musiała mi ją przynieść, jako zabezpieczenie przeciw denuncjacji. Otworzyłem ją na pełnowymiarowym portrecie Trockiego. Na jego twarzy dużymi, czarnymi literami napisane było: „ZDRAJCA! IMPERIALISTYCZNY SZPIEG!”. Gdzie tylko pojawiało się jego nazwisko, było zapisane dużymi, czarnymi iksami, które można było jednak przeczytać. Tak samo podchodzono do każdego byłego prominenta bolszewickiego zgładzonego podczas czystki przez NKWD. Nazwiska i wizerunki dawnych czołowych morderców NKWD takich jak Jagoda, Jeżow byli pozbawieni twarzy, podobnie jak Zinowiew, Bucharin, Rykow, Generał Tuchaczewski, Radek i wielu, wielu innych. To tak, jakby przyznać, że dwie trzecie rządzącej partii bolszewickiej składało się ze zdrajców i imperialistycznych szpiegów. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób ludzie w Związku Sowieckim mogli zaakceptować taką ‘historię’. Najwyraźniej nie mieli wyboru.

W okolicach połowy marca, zacząłem czuć się coraz lepiej. Całkowity odpoczynek i odosobnienie w małym pokoju pomagały mi dojść do siebie. Doktor Maria, powiedziała mi, że w hotelu w Nowosybirsku przebywa dwóch reprezentantów Polskiego Rządu w Londynie. Dowiedziałem się także, że w mieście otwarto specjalny sklep, w którym sprzedawano ubrania i nawet jedzenie w puszkach dla Polaków, wypuszczonych z łagrów, więzień i ‘dobrowolnego przesiedlenia’. Wszystkie towary przyływały z Anglii przez Murmańsk.

Uzbekistanu

To ona również dowiedziała się, że na południu Syberii, w regionie BUCHARY i SAMARKANDY odwiecznych stolic Imperiów Mongolskich Tamerlana i Dżyngis Chana, tworzone jest wojsko polskie. Ta wiadomość, w połączeniu z codziennym polepszaniem się mojego stanu zdrowia, spowodowała, że stałem się bardzo niespokojny. Doktor przekonała mnie jednak, abym jak najlepiej wykorzystał pobyt w szpitalu, gdyż syberyjska zima trzymała jeszcze z całą siłą.

Nie miałem możliwości skontaktowania się z reprezentatami Rządu Polskiego. Nie chciałem prosić pani doktor Marii o przekazanie im wiadomości, gdyż byłoby to dla niej wielce niebezpieczne. Obywatele sowieccy wiedzą, że kontaktowanie się z cudzoziemcami nawet z sojusznikami jest bardzo nieroztropne.

Pewnego ranka, kiedy leżałem w łóżku, rosyjska pielęgniarka przyniosła mi małą paczuszkę zawiniętą w szary rosyjski papier. Na niej widniało moje nazwisko, wypisane dużymi czarnymi literami. Zdziwiony, odwinąłem papier, a wewnątrz znalazłem cztery puszki Owomaltyny z pięknymi etykietami. Owomaltyna stała się wkrótce sensacją w całym szpitalu i tłumaczyła nieprzerwany potok gości przy moim łóżku. Jestem pewien, iż cały personel przyszedł oglądać angielskie puszki. Otworzyłem jedną puszkę i ofiarowałem nieszczęsnym sowieckim ludziom granulki do spróbowania. Było w tych puszkach coś magicznego, nie tylko zresztą dla moich gości, ale też i dla mnie. Obiecałem paru pielęgniarkom, że zachowam dla nich te puszki, kiedy już będą puste. Było dla mnie tajemnicą, w jaki sposób dotarły do mnie z polskiego sklepu z jedzeniem, a jej rozwikłanie poznałem później. Jedną puszkę chciałem ofiarować pani doktor Marii, lecz ona jej nie przyjęła. Tak więc, każdego dnia, zamiast kąpiatoka, piłem pyszny napój z Owomaltyny.

W ostatnich dniach marca rozpoczęła się odwilż. Lekarka doniosła mi, że następnego dnia miałem zostać wypuszczony ze szpitala. Dała mi swój adres i poprosiła, żebym ją odwiedził przed wyjazdem z Nowosybirsk. Prosiła również, żebym nie wspominał jej mężowi nic o Polsce i o Kołymie. Gorąco jej podziękowałem. Ona odparła skromnie, iż wypełniła jedynie swój chrześcijański obowiązek i że będzie się za mnie modlić. Była to świątobliwa kobieta.

Następnego dnia, 31 marca 1942 roku, opuściłem szpital zakaźny. Większość osób przekonywała się po wypuszczeniu, iż wszystkie ich ubrania zostały skradzione. Moje jednak dzięki troskliwej opiece Wojtka Dembińskiego, czekały na mnie, starannie zawiązane w tobołek. Być może fakt, że byłem chory na tyfus zniechęcił potencjalnych złodziei.

Z dokumentów zwalniających mnie ze szpitala wynikało, że należy mi się dwutygodniowy urlop rekonwalescencyjny. Byłem pewien, iż on także był wynikiem dyskretnego wpływu pani doktor Marii. Kiedy byłem prawie gotowy do wyjścia, pielęgniarka wręczyła mi kawałek brzydkiego papieru z jej adresem. Powiedziała, że mogę się u niej zatrzymać na parę nocy bez żadnej opłaty.

Wyruszyłem w kierunku dworca. Mimo odwilży, był to okrutnie zimny, szary dzień. Ulice były nadal pokryte powoli topniejącym śniegiem. Byłem bardzo szczęśliwy z powodu mojego kożucha.

Kiedy w końcu dotarłem do stacji byłem wyczerpany. Od czasu, kiedy zostałem przyjęty do szpitala dwa miesiące temu, był to mój najdłuższy spacer. W poczekalni tłumy ludzi wyglądały tak, jakby przebywali tam od kilku dni. Dowiedziałem się wkrótce, iż wiele z tych osób pochodziło z europejskiej części Rosji. Uciekli na wschód w obliczu nadciągających sił niemieckich, i dotarli specjalnymi pociągami dla uchodźców z Leningradu. Były to niezwykle nieszczęsne okazy ludzkie, leżące i kuczające w poczekalni. Widok ten przypominał mi cele tranzytowe w więzieniach w Kijowie i Charkowie.

Handel wymienny kwitł a dwie rzeczy okazały się szczególnie cenne: chleb i tytoń. Cena 500 gram chleba wynosiła około 100 rubli, przy oficjalnej państwowej cenie 35 kopiejek.

Z ogromnym trudem udało mi się przebrnąć przez tłum na duży peron. Nawet tu przebywały chmary ludzi. Niekończące kolejki wiły się w oczekiwaniu na kąpiatki i do dworcowych, odrażających toalet; cały peron pokrywały ludzkie odchody. Zdawało się, że wszyscy czekali na pociągi do cieplejszych klimatów (południowo-syberyjskich prowincji Kazachstanu, Uzbekistanu i Turkiestanu; w tym kierunku jechało jednak tylko kilka pociągów. Armia Czerwona kontrolowała cały system kolejowy.

Stałem w kolejce żołnierzy Armii Czerwonej czekających na widzenie z Wojennym Komatem, dworcowym komendantem Transportu Wojennego. Po długim czasie, znalazłem się przed Majorem Armii Czerwonej. Podałem mu moje Udostowierzenie i moje szpitalne dokumenty. Po przeczytaniu ich zwrócił się do mnie niezmiernie zmęczonym głosem po ukraińsku: „Nie możesz jechać, żeby dołączyć do Wojska Polskiego przez następne dwa tygodnie. Jesteś na zwolnieniu lekarskim”.

Zaprotestowałem: „Ależ towarzyszu Majorze! Nie mam żadnych pieniędzy. Chcę jak najszybciej dostać się do jakiejś polskiej jednostki”. On odparł jednak: „Przez najbliższe dwa tygodnie nie mogę ci wydać biletu kolejowego. Na teraz możesz ode mnie dostać talon na codzienny zakup chleba - jeżeli będziesz miał szczęście...” Tu urwał: „Czy jesteś oficerem?”

„Nie. Jestem kandydatem na kadeta oficerii”

„Nieważne. Tutaj jest papier, uprawniający do darmowych obiadów w stołówce oficerskiej w Akademii Frunze. Znajduje się ona na głównej ulicy w mieście. Tam udzieli ci pomocy. Wróc tu za dwa tygodnie”.

Ten człowiek chciał mi pomóc. Podziękowałem mu i wyszedłem, żeby stanąć w kolejce żołnierzy czekających na zakup swej 500 gramowej racji chleba w małym okienku w budynku nieopodal peronu. Kiedy dostałem moją porcję było już popołudnie.

Wyszedłem w poszukiwaniu adresu, który dostałem od pielęgniarki. Po dłuższym marszu znalazłem chatę, należącą do Raisy Nikołajewny D... Raisa wraz z pięcioosobową rodziną, zajmowała dwa pokoje, a kuchnia używana była na spółkę z kilkoma innymi mieszkańcami. Dano mi miejsce do spania w korytarzyku między jej dwoma pokojami. Każdej nocy, tuż przed snem układano dla mnie na ziemi siennik. Ponieważ w korytarzu zwykle dużo się działo, starałem się wstawać rano jako pierwszy, żeby nikomu nie zawadzać.

Pomimo tej niewygody, byłem wdzięczny pielęgniarce Raisie Nikołajewnie.

Przy jednej, jedynej okazji byliśmy sami i wtedy zapytała mnie o Kołymę. Powiedziała mi, że pięć lat temu zabrano tam jej męża i od tej pory nie miała od niego żadnych wieści. Nie miałem sumienia tłumić jej ufności, że wróci po odsłuzeniu swego 10-letniego wyroku. (Nie miała ona pojęcia o jakie przewinienie został posądzony).

Pierwszego dnia po moim wyjściu ze szpitala, zdecydowałem, że odnajdę hotel, w którym przebywali delegaci Rządu Polskiego. Wczesnym rankiem wyruszyłem w dosyć daleką drogę do centrum Nowosybirsk. Wysokie, nowo wybudowane budynki wzdłuż szerokich ulic, sprawiały ponure wrażenie. Z centrum miasta, większość śniegu była już usunięta. Na chodnikach znajdowało się jedynie kilka niewielkich hałd.

Ruch uliczny sprowadzał się do kilku tramwajów, które przejeżdżały raz po raz, robiąc przy tym okrutny hałas. Były przepelnione, a ludzie jechali także na stopniach i wisieli, trzymając się poręczy.

Przeszedłem obok kilku ciał leżących na ulicy. Nikt sobie z nich nic nie robił, a kilka dni potem zauważyłem, że wciąż jeszcze tam leżą.

Bez problemów odnalazłem hotel, którego szukałem. Podeszedłem do recepcjonistki i wręczyłem jej moje dokumenty, tak jak to jest w Związku Radzieckim przyjęte. Spytałem grzecznie o numer pokoju, w którym mieszkali delegaci Rządu Polskiego. Recepcjonistka dokładnie przyjrzała się moim dokumentom i powiedziała: "Przychodzisz w samą porę. Polscy delegaci dziś wyjeżdżają, powiedzieli jednak, że z nikim się już nie chcą spotkać".

Nalegałem; moje prośby najwyraźniej podziałały, gdyż w końcu się zgodziła. "Idź więc. Jednego z nich znajdziesz na drugim piętrze, w końcu korytarza po prawej stronie".

Zarówno schody, jak i korytarz, były opustoszałe. Czuję, że ta pustka jest mi w pewien sposób nieprzychylna. Zatrzymałem się przed na wpół otwartymi drzwiami średniej wielkości pokoju i zajrzałem do środka. Na łóżku leżała duża, skórzana, prawie pełna walizka. W kącie pokoju dostrzegłem bardzo wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, o przystojnej, ogolonej twarzy i kruczoczarnych, zaczesanych do tyłu włosach. Od razu rzuciło się w oczy, że jest cudzoziemcem. Ubrany był w dobrze skrojoną marynarkę z angielskiego materiału i dobrze uszyte bryczesy. Do tego stroju dochodziła jeszcze para pierwszej klasy jasno-brązowych butów z cholewami. Pakował się w pośpiechu, nieświadomy mojej obecności. Zapukałem do otwartych drzwi. Odwrócił swą przystojną twarz, a ja natychmiast dostrzegłem w jego oczach panikę i ogromny strach. Czy powodem mógł być mój kożuch, który go przestraszył kolorem podobnym do tego, jaki nosili NKWD-owcy? Skamieniał. Zacząłem wyluszczać mu cel mojej wizyty: odnalezienie najkrótszej i najszybszej drogi do Wojska Polskiego. Na jego twarzy pojawiła się ulga, potem krótko uciął: "Nie mogę ci pomóc. Muszę złapać najbliższy pociąg trans-syberyjski i jak najszybciej wyjechać z Rosji Sowieckiej".

"Polsko-sowieckie relacje psują się z każdą godziną. Wydaje mi się, że Wojsko Polskie jest już w drodze do Iranu. My wszyscy możemy zostać w każdej chwili zaaresztowani. Radzę ci, żebyś porzucił pomysł o dołączeniu do wojska. Poszukaj sobie jakiejś pracy i czekaj na to, co się wydarzy". Był najwyraźniej bardzo przygnębiony. "Nie mogę ci w żaden sposób pomóc. Sowietci nakazali mi wyjechać z Nowosybirsk i pozamykać punkty dystrybucyjne, założone po to, żeby pomóc takim ludziom jak ty. Spróbuj w sklepie. Być może pan Leszczyński, który jest tam odpowiedzialny, będzie mógł ci w jakiś sposób pomóc. Teraz proszę, żebyś mnie już nie zatrzymywał. Muszę zdążyć na pociąg". To był koniec mojej wizyty.

Z bardzo ciężkim sercem i ogromnie zasmucony, wyszedłem z hotelu. Nie mogłem zaakceptować tej przepaści pomiędzy mną, dopiero co wypuszczonym z więzienia i niewoli, a moim rodakiem - którego delegował prawowity polski rząd, do pomocy takim jak ja. Szczególnie zasmuciła mnie wiadomość o tym, że Wojska Polskie wyjeżdża z Rosji. Nie miałem najmniejszego zamiaru pracować jako 'wolny obywatel' w służbie wrogów mojego kraju, przemienionych w aliantów. Zdecydowałem, że dołożę jeszcze więcej starań do tego, by znaleźć i dołączyć do Wojska.

Sklep otwarty przez rząd polski do pomocy Polakom wywiezionym na Syberię, znajdował się w piwnicy dużego budynku. Natychmiast rozpoznałem człowieka, który wszystkim zarządzał. Nazywał się Leszczyński i pochodził ze Lwowa. Dobrze go pamiętałem, jeszcze z dzieciństwa, ale mój wygląd najwyraźniej znacznie się od tamtego czasu zmienił, gdyż upłynęło sporo czasu zanim mnie rozpoznał. Wyjaśnił, że pracował w sklepie sam, i że spodziewał się, że Rosjanie zamkną go lada moment i skonfiskują wszystkie towary. Spytałem go, skąd wiedział, że byłem w szpitalu z chorymi na tyfus i dlaczego wysłał mi puszki z Owaltiną. Zamiast odpowiedzi pokazał mi niepodpisaną kartkę papieru. Było na niej napisane moje nazwisko i krótki komentarz: "Bardzo chory w szpitalu zakaźnym. Potrzebuje pomocy". Kartka wsunięta była pod drzwiami sklepu. Natychmiast rozpoznałem pismo pani doktor Marii Ledóchowskiej. Muszę jeszcze raz podkreślić, iż przynosząc taką, pozornie trywialną, informację do sklepu, którym zarządzali Polacy, podjęła ogromne ryzyko, a w obecnej atmosferze podejrzeń, nieufności i denuncjacji, okazała wielką odwagę.

Leszczyński chciał pomóc, jednocześnie nie chciał, żebym pozostał w sklepie ani moment dłużej, jak tylko było to konieczne. Przez ostatnie dwa dni od czasu zwolnienia ze szpitala tyle się nachodziłem, że moje filcowe buty zaczęły przepuszczać wodę. Ku mojej ogromnej radości Leszczyński ofiarował mi parę nowych, czarnych angielskich butów wojskowych, wełniane skarpety i komplet ciepłej, angielskiej wojskowej bielizny. Pokwitowałem odbiór rzeczy i wyszedłem, czując się znacznie lepiej.

Tego dnia po moim powrocie, późnym popołudniem, moje nowe rzeczy były jedynym tematem rozmów i pozostały nim przez kilka następnych dni. Brytyjskie buty dotykano, podawano sobie, wachano i podziwiano opatrując je komentarzami typu: "Cóż za dobra skóra", "Jak wspaniale uszyte" i tak dalej. Angielskie rzeczy były sławne. Sowieccy obywatele pod władzą komunistów cierpieli wieczny niedostatek przedmiotów codziennego użytku, które w normalnych, cywilizowanych krajach przyjmuje się za rzeczy oczywiste. Od czasów rewolucji 1917 roku "centralnie planowana ekonomia" oznaczała po prostu głód i niedostatek. Życie dla tych ludzi było niekończącymi się bojami o jedzenie, niepasującą, reglamentowaną odzież. Poza pracą, życie sprowadzało się do stania w kolejkach po rzeczy codziennego użytku. Stawało się dla mnie coraz bardziej jasne, iż życie za murami więzienia i łagru niewiele się różniło od życia za kratkami. W rzeczywistości, w pewnym sensie, więzień miał się o wiele lepiej, iż mógł liczyć na to, iż raz dziennie dostanie kawałek chleba, podczas gdy wolny obywatel nawet tego nie mógł być pewien. Na własnej skórze przekonałem się do tych smutnych faktów, których dowiedziałem się w więzieniu, a w które trudno było mi uwierzyć.

Raisa powiedziała mi, iż tego samego dnia, kiedy wypuszczono mnie ze szpitala, jeszcze zanim znalazłem się w jej chacie, była na Milicji, żeby im o tym powiedzieć. Nakazano jej dowiedzieć się dokładną datę moich urodzin, nazwisko mojej matki i ojca, imiona mojego rodzeństwa i numer mojego Udostowereń. Powiedziała mi, iż gdyby tego nie zrobiła, któryś z jej sąsiadów na pewno doniósłby na nią. W konsekwencji byłaby zaaresztowana i uwięziona.

Wszyscy mieszkańcy chaty byli w pracy przez cały dzień. Powiedziano mi, że ja także nie powinienem pozostawać w domu, i wracać jedynie na noc, na kilkugodzinny odpoczynek na moim sienniku. Pielęgniarka doradziła mi, żebym poszedł któregoś dnia na bazar, gdzie mógłbym sprzedać moje kołymskie buty filcowe.

Każdego ranka, wszyscy mieszkańcy pili na śniadanie kipyatok. Nie było jedzenia. Ktoś mi powiedział, że robotnicy dostawali chleb w fabrycznych jadłodajniach. Wychodziłem zawsze jako pierwszy i szedłem jeszcze ciemnymi ulicami przez centrum Nowosybirsk do stacji kolejowej. Tam, po odstaniu w długiej kolejce w żołnierzami Armii Czerwonej, dostawałem kawałek chleba.

Stacja była miejscem ciągłego, powolnego ruchu ludzi wszystkich narodowości. Była to doskonała okazja do spotkania ludzi i któregoś dnia rozpocząłem rozmowę z kimś, kto właśnie przyjechał pociągiem z Taszkientu. Potwierdził, iż polscy żołnierze ubrani w angielskie mundury przebywali jeszcze w regionie Kazachstanu i Uzbekistanu. Podniosło mnie to na duchu i zmaszało cień, jaki pozostał mi po krótkiej rozmowie z delegatem Rządu Polskiego.

Codziennie spacerować na stację, wspomagały mój powrót do zdrowia. Mroźne, syberyjskie powietrze, było dobre dla płuc, a ubrany w kozuch i angielskie buciki, byłem lepiej wyposażony niż większość ludzi w mieście. Pomyślałem, iż gdybym na Kołymie miał tę dodatkową ochronę przed mrozem, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Któregoś ranka dotarłem na dworzec wcześniej niż zwykle. Sklep z chlebem dla Armii Czerwonej, ŁAWOCZKA, był jeszcze zamknięty, ale kolejka już się ustawiła. Peron był stosunkowo pusty, ale poczekalnie wypełniona była po brzegi podróżnymi, którzy śpiąc przykrywali każdy centymetr podłogi. Ściany pełne były portretów Stalina, którego nazywano tam Marszałkiem i Generałem oraz sloganów propagandowych skierowanych przeciwko 'Niemieckim Faszystowskim Najeźdźcom'. W jakiś sposób Rosjanom udało się je pogodzić z równie zaciekłymi plakatami atakującymi 'kapitalistyczną Anglię', oskarżając ją o uciskanie klas pracujących.

Przeszedłem w kierunku kranów z wodą, gdzie podróżni mogli sobie wziąć swój kiptatok. Była tam, jak zwykle, kolejka czekających cierpliwie ludzi. Zaczęło się przejaśniać a przez głośniki rozpoczęto nadawanie marszy wojskowych i piosenek patriotycznych. Z oddali słyszałem nadjeżdżający od strony Czelabińska pociąg. Powoli wjechała duża lokomotywa, a za nią dwa zwykle wagony pasażerskie, a potem długi ciąg otwartych platform z masą zбитych, szaroubranych żołnierzy niemieckich. Ich ciała zdawały się być powykręcane, a na mundurach połowych leżał śnieg. Nie mieli na sobie płaszczy. Niemcy w ogóle się nie ruszali. Nagle zdałem sobie sprawę, dlaczego wszyscy nie żyli.

Na peronie nikt nawet nie drgnął. Pociąg stanął a strażnicy z bagnetami na broni, zajęli miejsca wzdłuż całej długości makabrycznego pociągu. Z wagonów pasażerskich wyszli NKWD-owcy z kilkoma baniakami, żeby przynieść kiptatok do kranów. Przeszli obok kolejki, w której stałem i zaczęli napełniać swoje naczynia. Jeden z NKWD-owców stanął obok mnie, spytałem go: „Towarisz Bojec, czy ci Niemcy nie żyją?” Zaśmiał się i odparł: „Nie wiem, ale NICZEWO IH DO SCHOTA CHWATAJET ... (nieważne, zdam do rachunku) i nawet żadnemu nie udało się zbiec”.

Ciarki przeszły mnie po plecach. Pomyślałem o Kołymie. Im dłużej byłem w Rosji Sowieckiej, tym trudniej było mi zrozumieć obywateli sowieckich i system komunistyczny. Pociąg w Nowosybirsku straszy mnie po dziś dzień.

Starłem się znaleźć wyjaśnienie dla tej obojętności ludzi sowieckich stojących ze mną w kolejce i chodzących po peronie. Zdawali się być w letargu. Nie chcieli widzieć tego upiornego pociągu. Nie mieli zamiaru okazywać swoich uczuć przed ludźmi ubranymi w mundury NKWD. Po prostu się bali.

Później tego dnia, gdy już odebrałem mój chleb, udałem się w kierunku Bazaru, wolnego rynku. W centrum miasta znajdowały się sklepy państwowe i tak zwane kooperatywy, które były również kontrolowane przez państwo. W większości tych sklepów nie było nic do kupienia. Byli w nich pracownicy, którzy nie mieli nic do roboty. W oknie rzeźnika zobaczyłem szynki, sztuki mięsa i duże kielbasy. Kiedy się im bliżej przyjrzałem, zauważyłem, że są zrobione z drewna i pięknie, jaskrawo pomalowane. Wszędzie były kolejki, do których bez zastanowienia dołączali ludzie pytając: „SZTO DAJUT?” (Co dają?)

Dołączyłem do jednej z nich, szybko rosnącej kolejki na głównej ulicy i po godzinie otrzymałem moskiewską „Prawdę” sprzed trzech lat. Był to artykuł bardzo poszukiwany, nie tyle ze względu na zawartość, co z powodu możliwości użycia go jako bibuły do papierosów. Później, kiedy dałem ją Raisie, ostrożnie rozdzieloną ją między palaczy, a ja, z powodu mojego osiągnięcia, poczułem się bardzo ważny. Wiele osób powtarzało mi wielokrotnie, iż kolejki i przeróżne braki były stałym elementem życia, a nie tylko efektem wojny. Powiedziano mi także, że centralne planowanie z Moskwy i ich dystrybucja, owocowała paradoksami w całym Związku Radzieckim. Jeden ze sklepów w Nowosybirsku otrzymał tysiąc par butów o jednakowym rozmiarze i jednego typu. Tak, czy owak, zostały chętnie rozkupione, w nadziei, że uda się je wymienić na coś bardziej przydatnego.

Kiedy wszedłem na bazar, niektóre smutne fakty z życia dotarły do mnie w całej ostrości. Pełno tam było ludzi, którzy starali się nie tyle sprzedać, co wymienić swoją skromną własność. Jakaś wiejska kobieta prosiła o pół kilo cukru, w zamian za swoje dwa jajka i pięć czy sześć ziemniaków. Inna, bardzo sędziwa osoba w wełnianej czapce, która pamiętała zapewne lepsze dni jeszcze przed I wojną światową, próbowała wymienić pięknie dekorowaną mosiężną ramę do obrazów za kawałek chleba. Nic więc dziwnego, że bez większych problemów sprzedałem swoje kołymskie buty za dwa czerwienie (20 rubli). NKWD i Milicja, zgodzili się zapewne, przynajmniej taktycznie na ten handel, gdyż tak wiele osób było w to zaangażowanych. Wiele towarów z państwowych sklepów w jakiś tajemniczy sposób trafiło na wolny rynek.

Do teraz, od czasu zwolnienia z Kołomy, podróży do Nowosybirsk i mojego dwutygodniowego ^{mięsięcznego} pobytu w szpitalu, poznałem i rozmawiałem z wieloma sowieckimi obywatelami. Miałem wrażenie, iż przy sprzyjających, dyskretnych warunkach, chętniej i swobodniej rozmawiali ze mną, cudzoziemcem, niż ze sobą na wzajem. Spróbuję streścić wnioski, które bazują na moich osobistych kontaktach. Mimo ciągłego prania mózgu przez propagandę sowiecką, obywatele sowieccy żywili niezwykle podziw i ufność w stosunku do 'kapitalistycznej Wielkiej Brytanii' i Stanów Zjednoczonych. Powszechnie wierzone, że sojusz z tymi dwoma krajami, odmieni ich los od tego, jaki zgotowały im nieludzkie rządy bolszewickie Stalina i NKWD Berii, do bardziej ludzkiego i demokratycznego systemu. Często słyszałem jak ludzie mówili: „Chętnie przyjmiemy tu każdego, kto polepszy nam życie i uwolni z tej niedoli, którą przyszło nam znieść od czasów Rewolucji Bolszewickiej”. Tłumaczy to również początkowe sukcesy armii Hitlera, w ich szybkim marszu na Rosję. Cała Ukraina i Rosja po samą Moskwę, przyjęła Niemców jako wybawców spod opresji rządów bolszewickich. W dużym stopniu Niemcy przegrali wojnę przez swą własną teutoniczną ^{ska} *teutońską* arogancję o głupotę w traktowaniu tych ludzi. Mogę powiedzieć z całą pewnością, że niektóre grupy narodowościowe, prześladowane, jako część Imperium Sowieckiego, modliły się o to, aby Niemcy ich wyzwolili. Byli wśród nich ^{szere} Czuwacy, Tatarzy, Kozacy, Uzbegy, Kazacy, Turkmeni, Gruzini, no i oczywiście Ukraińcy. Wkrótce jednak wieści o niemieckim okrucieństwie przeciwko Ukraińcom rozniosły się po samą Syberię. Ukraińcy oczekiwali, iż Niemcy oddadzą im tereny rolnicze, odebrane przez Rosjan. Zamiast tego jednak, zmuszono ich do dalszej pracy w sowchozach i kołchozach, tak, jakby nic się nie zmieniło.

Największy błąd Niemców polegał na ich barbarzyńskim i nieludzkim traktowaniu żołnierzy Armii Czerwonej, których wzięto do niewoli. Rosja sowiecka nie podpisała Konwencji Genewskiej, a Niemcy wiedzieli, że nie ma najmniejszej szansy, żeby międzynarodowy Czerwony Krzyż interweniował w sprawie sowieckich jeńców wojennych.

Powszechnie znanym faktem, szeptanym w całym Związku Radzieckim, było, że podczas pierwszych dni po ataku niemieckim, cała armia ukraińska poddała się, maszerując w takt radosnej muzyki swoich orkiestr, na spotkanie najeźdźców. Nie chcieli walczyć z Niemcami, którzy obiecali im wyzwolenie spod Rosji Sowieckiej i Wolną Ukrainę. Cała ta początkowa dobra wola zakończyła się jednak wraz z chwilą, gdy Niemcy osadzili żołnierzy Armii Czerwonej za drutami kolczastymi, w szczerym polu i zagłodzili ich wszystkich na śmierć. Nie dostali nic gotowanego. Niemcy traktowali ich gorzej jak bydło, rzucając im przez płot surowe buraki i ziemniaki. Tysiące jeńców Armii czerwonej umarło na czerwonkę, z mrozu i głodu. Kilku więźniom udało się zbiec i opowiedzieć o tych okropieństwach. Sprawna machina sowieckiej propagandy, wkrótce spożytkowała tę amunicję. Żołnierze Armii Czerwonej, którzy jeszcze walczyli, wiedzieli czego mogą oczekiwać, jeżeli poddadzą się Niemcom. Stalin rozpowszechniał swój rozkaz wśród całego wojska: „Musicie walczyć do końca. Nie ma poddania się. Pojmanie jako jeńca oznacza zdradę”.

Będąc jeszcze w szpitalu w Nowosybirsku, czytałem o oddziale czołgistów, którzy wyruszyli na wojnę, zatrzaśnięci na własne życzenie w czołgach, żądając zwycięstwa lub śmierci. Wiem, kto pozakładał kłódki na wieżach strzelniczych tych czołgów: członkowie jednostek specjalnych NKWD, Żelazny Pierścień, podszyeci pod bojowników Armii Czerwonej. To ci NKWD-owcy, dobrze wyposażeni i nakarmieni, byli odpowiedzialni za wyrzucie w umyśle każdego żołnierza ogromnego strachu, który sprawiał, iż rozkazy wykonywał on bez zmruczenia oka. Żołnierze, którzy nawet przypadkowo odłączali się od swoich jednostek, byli grupowo rozstrzeliwani przez NKWD. Wszyscy żołnierze o tym wiedzieli i w związku z tym nie zdarzały się dezercje czy nieposłuszeństwo. Efektywność tej taktyki doskonale ilustruje potraktowanie świeżo zmobilizowanych rekrutów, szczególnie tych, których dopiero co wypuszczono z więzień i łagrów jako wojsk ataku. Wzięto ich bezpośrednio na pole bitwy, ubrano w mundury, dano karabin i kazano atakować frontową linię nieprzyjaciela. Nikt nie odważył się zaprotestować. Ponieważ nie mieli żadnego przygotowania militarnego, ich straty były przerażające. Przypomniało mi się zdanie, które tak często słyszałem podczas mojego uwięzienia: „Mamy w Związku Radzieckim dość ludzi”.

Brak szacunku dla ludzkiego życia zilustruje również inna historia, którą słyszałem o oddziale Armii Czerwonej. Wydano mu rozkaz ataku przez silnie zaminowany wąski pasek linii frontowej. Praktycznie cały regiment został zmieciony z powierzchni, ale czołgi Armii czerwonej mogły potem bezpiecznie przejechać przez pole minowe. Czołgów nie dało się wymienić, a żołnierzy tak.

Wraz z nacieraniem Niemców, kiedy wiele bitew pod Stalingradem i Leningradem było wciąż nierozstrzygniętych, Stalin rozkazał, aby ewakuować coraz więcej wsi, fabryk i osób aż za Ural do Rosji Azjatyckiej. Z tego powodu Wojskowa Akademia Frunze, w której kształcono komandirów (sowiecka szkoła oficerska) Armii Czerwonej, została przeniesiona do Nowosybirsk. Oficerska mensa znajdowała się w podziemiach jednego z potężnych, wielopiętrowych budynków w centrum miasta. (Te wysokie budynki były, rzecz jasna, kopia amerykańskich drapaczy chmur, tak aby zapewnić sowieckich ludzi, iż Rosja prześcignęła Amerykę i jej ekonomiczny postęp). Od czasu wyjścia ze szpitala, byłem nieustannie głodny, gdyż otrzymywałem jedynie kawałek chleba dziennie, a nie wolno mi było jeść w jadłodajniach fabrycznych czy też kupować pożywienie w restauracjach, zdecydowałem więc, iż spożytkuję moje TALONY, które mi dano do mensy oficerskiej.

Dołączyłem do młodej grupy pułkowników, która zmierzała ku wejściu do piwnicy. Wszyscy wyglądali, jakby dopiero co otrzymali promocję, a każdy z nich niósł teczkę, z notatkami. Przy drzwiach zatrzymał mnie strażnik i sprawdził moje udostowierzenie i talony. Pozwolił mi wejść do szatni, gdzie kazano mi zostawić kozuch i kołymską czapkę. Dopiero wówczas pozwolono mi wejść do dużej sali, gdzie stały rzędy biało przykrytych stołów. Większość stołów była już zajęta. Zauważyłem także iż na każdym znajduje się kartka z wyszczególnionymi stopniami komandirów, którym wolno było tam usiąść. Wyczytałem: Młodszy Porucznicy, Porucznicy, Starsi Porucznicy, Kapitanowie i tak dalej. Stoły znajdujące się na podium przeznaczone były dla komandirów o wyższym stopniu, od Majora w górę i nawet tu istniała dalsza segregacja. Tak wyglądała równość w Mensie Oficerskiej tej komunistycznej armii.

To był dopiero początek. Wyjaśniłem porządkowemu, iż jestem kandydatem na kadeta oficerii, polskiej kawalerii i po chwili namysłu, posadził mnie przy stole opatrzonym etykietą Młodzi Sygnałowi pomocnicy Armii Czerwonej. Odkryłem, iż polityka segregacji odnosiła się także do jakości posiłku i chleba, jaką dawano komandrom. Porządkowi rozdawali młodszym oficerom porcje czarnego chleba, podczas kiedy na stołach na podium stały koszyki wypełnione białym chlebem, aby starsi oficerowie mogli sobie do woli wziąć.

Podano nam wodnistą zupę na blaszanych talerzach. Byłem szczęśliwy, iż mam ze sobą swoją drewnianą łyżkę, gdyż wszyscy młodzi oficerowie sygnałowi wyciągnęli z kieszeni łyżki i noże kieszonkowe. Nie dano nam żadnych sztućców. W ramach specjalnego wyróżnianie, każdy z nas dostał do zupy dwa angielskie herbatniki. Na drugie danie podano talerz ciepłej kaszy hojnie polanej brązowym olejem i cienki plaster puszkowej, angielskiej wołowiny. Na koniec podano „herbatę” - słodką, brązową, gorącą wodę. Każdy zakończył swoje kawałki chleba popijając herbatą.

Byłem pod wielkim wrażeniem atmosfery ogromnej dyscypliny, niezwyklej jak na takie zgromadzenie młodych żołnierzy. Prawie nikt nie rozmawiał a śmiech był w ogóle nieobecny. Cała ta scena odzwierciedlała smutek życia w Związku Radzieckim. Jeszcze dwukrotnie jadłem w Męsie i za każdym razem odniosłem podobne wrażenie.

Pod koniec mojej przymusowej rekonwalescencji, na jedną, czy dwie noce wróciły ostre mrozy, po których nadszedł powiew niezwykle ciepłego powietrza z południa. Spowodował on nagłą odwilż. Pokrywa lodowa na rzece Ob zaczęła pękać i spływać w dół strumienia. Kiedy następowało łamanie i przesuwanie lodu, powodowało to głośne odgłosy uderzeń kry lodowej, które słycać było w całym mieście.

Następnego dnia, mojego ostatniego w Nowosybirsku, postanowiłem odwiedzić doktora Marię. Mieszkała ona na drugim końcu miasta w jednym z nowo wybudowanych wieżowców, przeznaczonych dla wyżej postawionych członków partii komunistycznej, sowieckich biurokratów i innych członków nowej artystokracji. Musiałem się zgłosić do dozorca, który najpierw obejrzał moje dokumenty, a potem spytał o cel mojej wizyty. Wyjaśniłem, że chciałem podziękować pani doktor Marii za ocalenie mi życia w szpitalu i pożegnać się przed wyjazdem do wojska. Trzymając moje dokumenty w ręku, poprowadził mnie do mieszkania na drugim piętrze. Otworzył mi przystojny mąż lekarki i zaprosił mnie do środka. Następnie odebrał dokumenty od dozorca i oddał mi je. Zastanawiałem się, czy zawsze obchodzono się tak z gośćmi przychodzącymi do tego budynku.

Pani doktor Maria mieszkała wraz z mężem w bardzo małym mieszkaniu. O ile dobrze pamiętam były tam dwa pomieszczenia - jedno, które służyło za kuchnię, jadalnię i salon oraz drugie - sypialnia. Moja wizyta trwała krótko. Dano mi dużą szklankę prawdziwej herbaty, bez mleka, ale za to z jedną kostką cukru. Była pyszna. Kiedy lekarka przygotowywała herbatę, odbyłem grzeczną rozmowę z jej mężem, który zdawał się być przyjemnym człowiekiem. Zapewnił mnie, że bez problemów powinienem odnaleźć Wojsko Polskie w regionie południowej Syberii¹ w okolicach Taszkientu i Samarkandy. Po dopiciu herbaty, jeszcze raz podziękowałem doktor Marii i uściśnąłem dłoń jej mężowi. Wyprowadziła mnie do małego korytarzyka, gdzie w milczeniu nakreśliła mi znak krzyża na czole. Schyliwszy się ucałowałem jej rękę i wyszedłem.

Wychodząc, czułem na sobie wzrok dozorca. Zastanawiałem się, czy będzie musiał zdać sprawę z mojej wizyty do lokalnej milicji.

Tego wieczora, pożegnałem się w Raisą Nikołajewną i jej przyjaciółmi. Zauważyłem na jej twarzy zmieszanie, nie wiedziałem jednak jaki był tego powód. Wtem odrzekła: „Jacku Mieczysławowiczu, jutro wyjeżdżasz na południe. Nie będziesz już potrzebował swojego kożucha. Sprzedaj mi go!”

Odparłem natychmiast. „Możesz go sobie wziąć. To prezent”. Chciała mi dać 100 rubli, ale odmówiłem. W końcu zgodziłem się przyjąć 3 czerwienice (30 rubli), z tego tylko powodu, gdyż pieniądze, które otrzymałem na bazarze za moje filcowe boty już się praktycznie skończyły.

Wczesnym rankiem następnego dnia poszedłem na nowosybirski dworzec kolejowy, gdzie ukraiński major, który był wojennym Komatem (Wojskowym Komendantem Transportu), wręczył mi bilet kolejowy i upoważnienie na pobranie chleba aż do stacji w Ługowej. Zgodnie z tym, co mówił, właśnie tam powinienem znaleźć Wojsko Polskie. W przeciągu godziny znalazłem się na korytarzu bardzo zatłoczonego wagonu jadącego do Barnaulu, Semipałatinska, Ałma Aty i Ługowej. Od polskiej Kawalerii dzieliło mnie jeszcze dobre 2600 kilometrów. Stojąc na korytarzu, modliłem się do Najświętszej Pani. Była to modlitwa dziękczynienia i wdzięczności. Byłem tak uniesiony, że z radością spędziłbym całą podróż na kolanach.

Pociąg ruszył i wkrótce jechał bardzo prędko. Wszyscy, którzy znaleźli się na korytarzu, starli się jakoś usadowić na podłodze lub na własnych tobołkach.

Co jakiś czas musieliśmy się ruszyć, aby przepuścić pasażerów zmierzających do toalety lub szukających lepszego miejsca do podróży. Patrząc po ich twarzach, ludzie ze wszystkich nacji w Imperium Sowieckim jechali pociągiem go Ługowej. Po minięciu dużej stacji w Barnaul widzieliśmy coraz więcej osób o mongolskich rysach twarzy. Było wśród nich także wielu uchodźców ze ^{zachodniej} wschodniej Rosji, większość z Leningradu. Najwyraźniej wiele ucierpieli, szczególnie ich dzieci, które były szczególnie blade i bez życia.

Z każdym kilometrem, który przybliżał nas do Semipałatinska, robiło się coraz cieplej, a pokrywa śnieżna znikła. Stan mojego ducha polepszył się dzięki rozległym górzystym stepom Kazachstanu i cudnej zieleni, którą prawie już zapomniałem. Byłem szczęśliwy, że oddałem mój kozuch. Na mniejszych stacyjkach widzieliśmy jak zwykle, pracowników sowchozów i kołchozów ubranych w łachmany, którzy starali się wymienić lub sprzedać swoje niewielkie ilości zapasów. Nie mogłem jednak zapłacić cen, jakich żądali. Przez całą podróż jadłem jedynie chleb, który otrzymałem na mocy moich dokumentów i piłem wodę.

W Semipalatinsku wielu pasażerów wysiadło z pociągu. Kiedy wracałem z lewoczki z moim cennym przydziałem chleba, spojrzałem na stojący pociąg i zauważyłem dwóch uzbrojonych żołnierzy w znajomych NKWD-owskich mundurach trzymających straż przy luksusowym wagonie. Kazali się wszystkim odsunąć i stanąć przy dworcowej ścianie. W ten sposób mieli zrobić miejsce dla ogromnego, łysiego mężczyzny, który chodził wte i we wte wzdłuż wagonu pulmanowskiego. Był to Generał Armii Czerwonej, znacznie już po pięćdziesiątce. Jego szyja była tak czerwona, że z daleka świeciła jak złoto na jego mundurze. Miał na sobie wysokie, czerwone, rosyjskie buty, które były tak dokładnie wypolerowane, że wyglądały, jak zrobione z lakierowanej skóry. Miał splecione z tyłu dłonie i był pochłonięty w swoich myślach. Nie zwracał najmniejszej uwagi na sowiecki proletariat, który przemieszczał się w górę i w dół peronu. Ta scena głęboko wryła mi się w pamięci jako symbol przepaści pomiędzy totalitarnymi władcami komunistycznymi a sowieckimi obywatelami, których życiem zarządzali.

Znalazłem swoje miejsce, w do połowy pustym przedziale. Wkrótce potem wszedł major Armii Czerwonej i zajął następne miejsce. Był niskiego wzrostu o nieco mongolskich rysach twarzy. Wraz z upływem drogi, nieco się z nim zaprzyjaźniłem. Należał on do małej nacji Czuwaczów, przyjaznych i religijnych ludzi, których bezlitośnie wykorzeniono i rozsiano po całym sowieckim imperium. Jako grupa narodowościowa przestali istnieć.

Mając do dyspozycji tak dużo miejsca i ciesząc się rosnącą temperaturą, podróż stała się całkiem przyjemna. Korytarze były praktycznie puste i żeby złagodzić nieco panującą monotonię, spędzałem dłuższe chwile przed moim przedziałem patrząc na płaskie połacie południowej Syberii - czyste i świeże w swej wiosennej zieloności. Odczuwałem ogromną przyjemność czując na twarzy ciepło słoneczne i wiatr przeslizgujący się po włosach. Byłem szczęśliwy i wdzięczny, że żyję. Wystawiłem głowę za okno i wciągnąłem ciepłe, krystaliczne powietrze do płuc.

Któregoś razu, kiedy stałem przy oknie, zauważyłem mężczyznę w średnim wieku który przeszedł korytarzem niosąc obrane, ugotowane na twardo jajko. Poruszał ustami, nie słyszałem jednak żadnego dźwięku. Trzykrotnie się przeżegnał i zaczął jeść najwyraźniej nieświadomy tego, że go obserwuję.

Był to pierwszy raz, kiedy zobaczyłem w Związku Sowieckim modlącego się Rosjanina. Podeszedłem do niego, był jednak tak pochłonięty tym, co robił, że mnie nie zauważył, dopóki go nie dotknąłem. W jego oczach i na twarzy pojawił się strach. Wyszeptałem: „Nie bój się mnie. Ja też jestem chrześcijaninem”. Spojrzał na mnie z ulgą i odparł, przepraszając: „Dziś jest Wielkanoc”. Rzecz jasna dzień Zmartwychwstania Chrystusa, podobnie jak wszystkie inne prawdy wiary muszą być utrzymywane w największej tajemnicy na tej przeklętej ziemi, gdzie kościoły, meczety i synagogi są zmienione w magazyny na ziarno i ziemniaki lub też bluźnierczo przekształcone na centra oficjalnej i antyreligijnej propagandy.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, czego brakowało w Nowosybirsku podczas mojego tam pobytu: nigdy nie słyszałem odgłosu dzwonów cerkiewnych. Wyraźnie pamiętam dźwięki z dzwonów lwowskich kościołów, dochodzące ze wszech stron w pachnące majowymi kwiatami wieczory. Odgłosy te zlewały się w łagodną symfonię, którą echem odbijały zbocza wzgórz okalających miasto, zapraszając ludzi na nabożeństwa majowe poświęcone Naszej Pani. W całym Związku Sowieckim cerkwie milczały. Ich miejsca zajęły wielkie, potężne głośniki, wykrzykujące zniekształcone propagandowe wieści, które miały za zadanie jeszcze bardziej pogryźć sowieckich ludzi w niewierze.

Otoczony wspaniałym światłem słonecznym, któregoś ranka pociąg wjechał na otwartą stację kolejową w Ałma Acie. Przejechaliśmy już ponad 2600 kilometrów. Zaciekawiony, wyjrzałem przez okno i zaledwie kilka metrów od mojego wagonu ujrzałem podoficera Polskiej Kawalerii. Ubrany był w nieskazitelny, angielski zielony mundur wojskowy, z Królewskim Orłem Polskim na czapce. Czerwono-niebieski proporczyk, podobny do tych, jakie umieszcza się na lancach naszyte były na kołnierzu munduru (tak jak w Polsce przed wojną).

Jak szalony wybiegłem z wagonu, a serce waliło mi z radości. W końcu ujrzałem dowód tego, iż Wojsko Polskie naprawdę istnieje. Nie mogłem się powstrzymać przed objęciem Ułana. Powiedziałem mu, że jadę aby dołączyć do oddziału w Lugowoj, on jednak całkiem zmroził mnie swoją odpowiedzią. Odrzekł: „Ten oddział już wyjechał z Lugowoj.

Nikogo tam nie ma?”

Był przeświadczony, że zakończyła się już Pierwsza Ewakuacja i że część Wojska Polskiego jest już w Persji, u boku armii angielskiej. On sam dostał pozwolenie na pozostanie w Ałma Acie, żeby szukać swojej żony i dzieci, którą zmuszono do przesiedlenia gdzieś na tym terenie. Dowiedział się jakoś, że dwójka dzieci umarła, i że przy życiu pozostała jedynie żona i jedno dziecko. Zamierzał ich znaleźć i zabrać w region Samarkandy i Buchary, gdzie nadal stacjonowała Siódma Dywizja. Doradził mi, żebym i ja się tam udał. Wróciłem przynębiony do przedziału.

Zarówno mój bilet jak i talony na chleb ważne były jedynie do Ługowoj; zdecydowałem jednak, że będę próbować jechać dalej, bez pozwolenia. Pociąg dotarł do Ługowoj i po krótkim przystanku ruszył w dalszą drogę. Od wojska polskiego dzieliło mnie jeszcze 960 kilometrów. Zostało mi jeszcze 500 gram chleba i wiedziałem, że musi mi to starczyć do końca podróży. Na szczęście dokumenty wszystkich w pociągu zostały dokładnie sprawdzone jakieś ^{ok} 150 km od Ługowoj we Frunze, więc do następnej inspekcji powinno upłynąć sporo czasu. Wyjaśniłem mój problem majorowi Czuwaczowi który doradził mi, żebym nie wysiadał z pociągu, aż do czasu, kiedy dojedzie on do swego celu - Taszkientu 480 kilometrów stąd.

Jechaliśmy bardzo szybko przez Kazachstan, który tworzył ^{ongiś} onegdaj, wraz z Uzbekistanem i Turkiestanem serce Imperium Mongolskiego. W pewnym momencie historycznym, mężczyźni z tego regiony pod wodzą Dżyngis Khana, zagrażali egzystencji Europy. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Te trzy prowincje zostały, nakazem Stalina, w brutalny sposób dołączone do Sowieckiego Sojuzu przez Marszałka Buddionnego najpierw w 1924 roku a potem, w 1932 roku. Ogniem i mieczem narzucił on władzę bolszewicką, równając z ziemią wiele miast i wsi. Arabski dialekt tych republik został wyparty przez oficjalny język - rosyjski. Własność prywatna, która była na początku tolerowana przez władców rosyjskich, została całkowicie skonfiskowana w 1932 roku. Prowizoryczne więzienia były przeludnione. Tysiące Kazaków, ^{ch} Uzbeków i Turkmenów zostały zamordowanych a wielu wywieziono na Syberię i na na Kołymę. Niektórych dane mi było spotkać. To oni umierali jako pierwsi od arktycznych mrozów.

Z okna w pociągu widziałem porzucone, bądź rozwalone domy Kazaków^{ch}. Cały region zdawał się wyludniony i zdewastowany. Marszałek Buddionny i siły ekspedycyjne Armii Czerwonej, wykonały swoją robotę niezmiernie dokładnie, brutalnie pacyfikując ludność Uzbekistanu.

Późno, którejs nocy dotarliśmy do stacji w Taszkencie. Mimo tego, iż perony na niej były niezwykle szerokie, kipiało na nich od ludzi, czekających na pociąg. Z trudnością udało mi się przedrzeć przez tłumy, w końcu jednak dotarłem do wyjścia i wyszedłem nie zatrzymany. Noc była niezwykle ciepła, zdecydowałem tedy, iż poszukam sobie noclegu z dala od dworca. Nie odszedłem daleko, gdy trafiłem na drewniane domy stojące za drogą w kwitjącym sadzie. Przed rewolucją były to zapewne domy bogaczy, ale dziś, obskurne, wymagały pilnej naprawy. Drewniane płoty przed domami prawie wszystkie pozniwały. Wszedłem do sadu i położyłem się na trawie, wśród cudnie ukwieconych drzew. Wystający korzeń służył mi za poduszkę. Noc była piękna. Zasnąłem modląc się.

Zbudziłem się wcześniej rano cały w rosie. Po chłodnej nocy, z radością powitałem wschodzące słońce nad stepami^{uzbekistanu} Kazachstanu. Dzień zapowiadał się bardzo ładnie. Poszedłem z powrotem do dworca w Taszkencie i przedstawiłem mój bilet z Nowosybirsk do Lugowoj. Przyjęto go bez pytania, po czym wszedłem na przepelniony ludźmi peron. Zjadłem resztki chleba z poprzedniego dnia i byłem bardzo głodny. Wepchnąłem się do kolejki żołnierzy Armii Czerwonej przed Lawoczka i dostałem 500 gram chleba za talon, który wygaś 480 kilometrów wcześniej. Byłem tak wygłodzony, że cały chleb zjadłem od razu. Potem poszedłem po kipyatok.

Magiczne nazwy Samarkandy i Bucharę były głęboko wryte w mojej pamięci. Zdecydowałem, iż wsiądę do pierwszego pociągu jadącego w tym kierunku. Późnym rankiem, po wjechaniu jakiegoś pociągu na peron, na tablicy informacyjnej pojawiły się nazwy Taszkient, Samarkanda i Bucharę. Wydawało się, iż wszyscy znajdujący się na peronie, chcieli wsiąść do tego właśnie pociągu. Ludzki tłum, bił się i przeklinał, żeby tylko wejść do wagonów, wypełnionych po chwili znacznie ponad swoje możliwości. Udało mi się wsiąść. Stałem mocno przyciśnięty do innych podróżnych na korytarzu.

Straznicy zaczęli odpychać tych, którym szczęście nie dopisało, w dół schodów pociągu; nie mniej jednak sporo ludzi wdrapało się po zewnętrznej stronie wagonów, na samych dachach. Kilka minut później, pociąg odjechał, pozostawiając na peronie wiele zawiedzionych twarzy.

Wydawało się, że pociągi zdążające na Południe, przyjeżdżały rzadko i były zawsze mocno przepełnione. Miałem niezwykle szczęście, że znalazłem się w odpowiednim momencie, na właściwym miejscu, żeby złapać ten właśnie pociąg.

Stałem przy oknie i patrzyłem, jak mijamy kilometr po kilometrze, pustą, brązową pustynię Uzbekistanu. Raz po raz trafiał się jakiś budynek wykonany z gliny, w typowym, wschodnim stylu i niekiedy, w oddali, widziałem karawany wielbłądzie, idące powoli po palącym słońcu, objuczone ogromnymi pakunkami. Dowiedziałem się wkrótce, iż te karawany były używane do transportowania bawełny z sowchozów do państwowych sklepów we wsiach. Cały wyludniony krajobraz, wydawał się nierealny, po niedawnej pracy w głębi arktycznej, kołymskiej zimy. Zastanawiałem się nad zmianą warunków klimatycznych, w jakich się znalazłem. Na Kółmie temperatury spadały często poniżej 60 stopni Celsjusza. Tu, w Uzbekistanie, było co najmniej 50 stopni. Taka różnica temperatur zmieniałaby lód w wodę i wkrótce przeistoczyłaby ją w parę. Ludzkie ciało przetrwałoby tę zmianę niezmiennie.

Kiedy pociąg stanął na pustynnej stacji, po raz pierwszy zobaczyłem Uzbeków w ich wschodnich strojach, jak dotąd nie dotkniętych presją rusyfikacji sowieckiej. Byłem szczęśliwy, że jadę w takim tłoku, gdyż oznaczało to, że kontrola dokumentów przez NKWD i milicję, była niemożliwa.

W południe, kiedy słońce znalazło się niemal nad samą głową pociąg zwolnił, i przed nami na środku pustyni ujrzałem małą stacyjkę. Na lewo, jakieś 90 metrów, od niej, dostrzegłem chatkę, a nad nią, na wysokim maszcie powiewała dumnie biało-czerwona flaga! Droga wiała się w kierunku wsi, wyglądającej, jak zielona oaza, a nad nią, na wysokiej wieży znajdowała się następna polska flaga, odcinająca się ostro w słońcu w tle jasnego, błękitnego nieba. Pociąg stanął.

Nie mogłem się doczekać, żeby wygramolić się z korytarza. Płacząc z radości, rzuciłem się przez okno i wylądowałem ^z w hukiem na piaszczystej ziemi. Zacząłem biec. Wówczas zobaczyłem innych mężczyzn wyskakujących z pociągu. Ubrani byli w łachmany, bez butów, niekiedy z obwiązanymi szmatami stopami. Na głowach mieli syberyjskie czapy, które wyglądały dość absurdalnie w palącym, syberyjskim słońcu. Byli to żołnierze Drugiego Polskiego Korpusu zgłaszający się na służbę.

Stacja nazywała się Kermine.

W przemożnym słońcu, podszedłem do wysokich, glinianych ścian baraków w Kermine, które wyglądały jak fort Legionów Cudzoziemskich. Nie mogłem spuścić wzroku z powiewającej delikatnie na wietrze polskiej flagi.

Podchodząc bliżej, ujrzałem na warcie polskiego żołnierza. Ubrany był w nowiutki, angielski mundur wojskowy, i znajomy, płaski angielski hełm. Te hełmy znaliśmy w Polsce wszyscy, z popularnych angielskich i amerykańskich filmów wojennych. Hełm wartowniczy miał wymalowanego Polskiego Orła w koronie.

Wraz z innymi Polakami z pociągu staliśmy i radowaliśmy nasze oczy widokiem żołnierza, eleganckiego i dumnie się prezentującego. W tym magicznym momencie zaczęła grać trąbka. Znajoma melodia oznaczała początek południowej przerwy w zajęciach.

Przybył podoficer, zawezwany przez wartownika. Rzeczowym, oficjalnym i wojskowym tonem, poinformował nas: "Przybyliście do siedziby 7 Dywizji Piechoty w Kerminie. Oficerem Dowodzącym jest Pułkownik Leopold Okulicki. Musicie teraz wrócić na stację i zgłosić się do oficera rekrutującego".

Poszedłem wraz z moimi nowymi towarzyszami z powrotem do chaty nieopodal stacji, gdzie powiewała polska flaga. W kolejce ustawiło się już kilku mężczyzn, w łachmanach, bez butów i tak wychudzonych i słabych, iż niektórzy z nich nie mogli stać o własnych siłach. Kilku najwyraźniej bardzo chorych, leżało na ziemi.

Czekając, odkryłem, że w naszej małej kolejce znajdowali się mężczyźni, którzy przybyli do Kermine z każdego możliwego zakątka Związku Sowieckiego - z Kołomy, Archangielska, Workuty, środkowej Syberii, z więzień i łagrów, z sowchozów i kołchozów w Kazachstanie, zewsząd. Niektórzy, zostali oddzieleni od swoich rodzin, które pozostały gdzieś na 'przesiedleniu', w odległych stronach Syberii. Mieli nadzieję, na odnalezienie swoich rodzin, po wstąpieniu do wojska.

Kiedy czekałem na spełnienie mojej długo oczekiwanej ambicji dołączenia do Armii, nie obyło się bez smutku, spowodowanego widokiem moich rodaków, którzy umarli z wyczerpania, tuż przed badaniem lekarskim.

W końcu nadeszła moja kolej. Lekarz stwierdził, że stan mojego zdrowia jest całkiem niezły, co zawdzięczałem Bogu i pani doktor Marii, która przetrzymała mnie w szpitalu dostatecznie długo, abym mógł wydobrzeć po chorobie.

Na mocy mojego przedwojennego powołania do Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu powiedziano mi, że dołączę do 7-mego Dywizjonu Rozpoznawczego Kawalerii usytuowanego w Kenimech^{al} jakieś 40 kilometrów od Kermine. Najpierw musiałem się jednak zgłosić do siedziby w Kermine.

Ściemniało się. Wraz z innymi rekrutami, zrzuciłem z siebie łańchy, symbol niewoli, wszystko na wielki stos, który natychmiast podpalono. W płomieniach zniknęła moje sowiecka przeszłość, wraz z sowieckimi wszami. Po wzięciu prysznicu, przydzielono mi czystą, brytyjską bieliznę, koszulę i mundur wojskowy. Urodziłem się na nowo, tak jak Feniks, który zmartwychwstaje z popiołu.

Moje serce pełne było wdzięczności Bogu i Naszej Pani za cud mojego przetrwania. Czuję, że znalazłem ocalenie, jednak droga przez Dolinę Śmierci była jeszcze przede mną.

Powiedziano nam, że przez najbliższe kilka dni będziemy mogli odpoczywać, i że nie będziemy mieli żadnych innych obowiązków, jak tylko jeść posiłki i meldować się na porannym i wieczornym apelu na modlitwę. Potem mieliśmy być odesłani do naszych oddziałów. Mój mieścił się w oazie zwanej Kenimech, jakieś 40 kilometrów od Kermine na pustyni w Uzbekistanie. Garnizon w Kenimech składał się z 23-go Oddziału Piechoty, 7-mej Lekkiej Artylerii Polowej i mojego własnego 7-go Oddziału Badawczego Kawalerii.

Od chwili, gdy ^{włożyłem} ubrałem na siebie mój mundur, chodziłem, jak we śnie. Wciąż dotykałem nowego munduru. Byłem zachwycony każdym, najmniejszym elementem mojego nowego wyposażenia wojskowego. Moje oczy uciekały bezustannie w kierunku biało-czerwonej flagi na szczycie masztu nad bramą do fortu w Kermine. Przyglądałem się zmianie warty i byłem zachwycony widokiem polskich żołnierzy w swych angielskich mundurach i z Białym Orłem na hełmach. Byłem wśród swoich. Nie byłem już niewolnikiem na Kołymie. Byłem wolny.

W koszarach wraz z moimi towarzyszami przyglądaliśmy się napisowi „Made in Britain” na kocach i na innych przedmiotach, tylko po to, żeby móc przeczytać "wykonano w Wielkiej Brytanii". Te słowa miały moc zapewnienia nas, iż nasi sojusznicy o nas nie zapomnieli i pomagali nam w tej przeklętej ziemi. Wiem, że moi towarzysze czuli podobną, wewnętrzną radość, którą i ja odczuwałem.

Niesłychane, jak dobrze i sprawnie działała nowo-powstała polska armia. Zdawało się, iż nigdy nie do doszło do żadnego zaburzenia. Wychudzeni, niedożywieni żołnierze nosili się tak dumnie i z taką pewnością siebie, iż nikt nie domyśliłby się nawet, że do wczoraj byli bosi i ubrani w szmaty. W garnizonie panowała ogromna dyscyplina, która wynikała z nagłej potrzeby. Miałem wrażenie, iż żołnierzy 2-go Polskiego Korpusu łączyła tak ogromna jedność celu, iż o podobną byłoby trudno aż do czasów wczesnych krzyżowców.

Na podwórzu fortu w Kermine znajdowały się trzy cele, w których zamknięci byli żołnierze, którzy dopuścili się kradzieży. Zgodnie z polską konstytucją, osądził ich Trybunał Wojskowy i skazał na śmierć przez rozstrzelanie. Wśród moich towarzyszy istniało przekonanie, że dla kryminalistów nie ma tu miejsca. Ja jednak to odcierpiałem. Zmąciło to moje szczęście w Kermine.

Wśród Uzbeków, mieszkających w oazie dokoła fortu, panowała atmosfera ogromnego przygnębienia. Opłakiwali oni wciąż wszystko, co stracili w ogniu i pod mieczem Kawalerii Buddionnego. W pobliżu fortu znajdowały się niewielkie grządki warzywne, które były pozostałością tego, co niegdyś było dużymi, prywatnymi ogrodami. Te ostatnie, wraz z całą własnością prywatną prowincji, zostały skonfiskowane i włączone do państwowych sowchozów i kołchozów. Wszystko to wydarzyło się jakieś dziesięć lat temu, jednak pamięć o przeszłości była wciąż żywa w umysłach Uzbeków. Naród ten został śmiertelnie zraniony, a wśród ludzi wisiało ogromne poczucie smutku. Byłem zadowolony, kiedy sierżant kampanii nakazał małej grupie żołnierzy czekających na wyjście do Kenimech, przygotować się do nocnego wymarszu. Najwyraźniej nowo powstała Siódma Polska Dywizja miała ogromne kłopoty ze zdobyciem jakiegokolwiek formy transportu, gdyż musieliśmy pokonać owe 40 kilometrów do Kenimech na piechotę, idąc nocą, tak aby uniknąć spiekoty dnia.

O zmroku wyszliśmy na pustynny szlak, który miał nas doprowadzić do naszych oddziałów. Wczesnym rankiem dotarliśmy do płytkiej doliny w Kenimech. Miasto rozciągało się wzdłuż brzegów powolnej, pustynnej rzeki, która choć nie szersza niż jakieś 9 metrów, głęboko wcinała się w ziemię. Aby dotrzeć do centrum miasta, musieliśmy przejść przez zieloną połąć drzew i krzewów, w których stało kilka domostw, należących najwyraźniej do bogatych. Po lewej, najwyższy budynek był teraz lokalną siedzibą NKWD.

Słońce pojawiło się nad horyzontem i szybko wędrowało w górę, tak jak to się zawsze dzieje na pustyni. Mgielka nad rzeką szybko znikła. Potem chłodne, poranne powietrze przeszły odgłosy trąbki, dochodzące z kilku różnych stron, oznajmiając żołnierzom z garnizonu w Kerminechu, iż rozpoczął się kolejny dzień. Po kilku minutach, usłyszałem znajome odgłosy modlitw śpiewanych przez różne szwadrony, kompanie i baterie. Głos ten był niesłychanie piękny. Nasza grupa stanęła spontanicznie na środku pustej drogi. Zdjęliśmy czapki aby w ciszy włączyć się do modlitwy.

Garnizonowy Oficer na służbie rozesłał nas do naszych jednostek. Byłem jedynym ułanem. Siódmy Dywizjon Rozpoznawczy Kawalerii, usytuowany był na lewym brzegu rzeki, jedynie o kilka metrów od centrum miasta i siedziby Dywizjonu. To co było najważniejsze, to obecność na terenie regimentu studni ze świeżą wodą. Zanim jeszcze wszedłem na teren obozu byłem pod wrażeniem jego nieskazitelnej czystości. Po lewej stronie znajdował się duży plac defilad z powiewającą w górze polską flagą. Namioty oficerów rozmieszczone były wzdłuż brzegów rzeki. Za nimi stały namioty Pierwszego, Drugiego i Trzeciego Szwadronu, każdy oznaczony czerwono-niebieskim proporcem na lancy przy pierwszym namiocie w rzędzie. Przed namiotem szefów szwadronów znajdowały się dwie beczki z pitną wodą. Podobnie jak wszystkie Polskie Pułki Kawalerii, tak też i siódmy w środku uzbeckiej pustyni, przedstawiał się jako model czystości i porządku oraz dzieło przemyślanej organizacji i doświadczenia oficera dowodzącego, Pułkownika Eugeniusza Święcickiego.

Oddziałowy oficer na służbie wysłał mnie wraz z ułanem z powrotem do Kenimech do oddziałowej kuchni. Po śniadaniu miałem się zgłosić do adjutanta w siedzibie. Doszedłem w końcu do celu, wiele miesięcy i wiele tysięcy kilometrów po tym, kiedy wyruszyłem w drogę jesienią 1939 roku. Moje poruszenie było ogromne. Wszedłem do biura adiutanta i natychmiast rozpoznałem w nim wuja mego przyjaciela Tuli Markowskiego, Porucznika Władysława Latawca. Dobrze pamiętam, jak spotkałem go pięć lat temu, gdy przyjechał do Lwowa, aby wziąć udział w manewrach 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich. Miał on stopień naukowy z leśnictwa i w swojej branży zajmował wysoką pozycję. Pułkownik Święcicki nie mógł sobie wybrać lepszego aide-de-camp w tych trudnych warunkach, w jakich znalazły się wszystkie polskie jednostki wojskowe w Związku Sowieckim, a w szczególności dla tych, które stacjonowały w miejscach takich, jak Kenimech. Wówczas nie wiedzieliśmy, iż bratanek Porucznika, a mój przyjaciel Tula Markowski, jest ofiarą mordu w Katyniu.

Porucznik Latawiec powiedział mi, że zarówno matka i ojciec Tuli i jego dwie siostry zostali zaaresztowani i deportowani ze Lwowa na Syberię. Byli oni wśród owych dwóch milionów, których uwięziono i deportowano z tej części Polski, którą Rosja sobie przywłaszczyła i ograła, w wyniku Paktu z Niemcami - Ribbentrop-Mołotow który zdecydował o 4-tym rozbiórce Polski.

Zacząłem zdawać po krótko relację z mojej morderczej trasy do Kenimechu. Przeszkodziło mi wejście Pułkownika Święckiego. Podskoczyłem do góry, żeby się zameldować. "Ułan Łopuszański Jacek, melduje swoje przybycie, aby dołączyć do dywizjonu".

Pułkownik miał nie więcej jak czterdzieści parę lat. Miał jasną, lekko różową karnację i kilka piegów. Oczy były bystre i inteligentne, a twarz należała do kogoś, kto wydaje rozkazy i oczekuje ich wypełnienia. Jego mundur był nieskazitelny a maniery nienaganne. Odparł: "Zgłóście się do Pierwszego Szwadronu Porucznika Kaniaka".

St. Wachmistrz Szwadronu Leśniewski przedstawił mnie Dowódcy Pierwszego Szwadronu, Podporucznikowi, Władysławowi Kaniakowi. Był on młody, wysoki i szczupły, o przyszyrzonych, ciemnych wąsach i poważnej twarzy. Nowopowstałej armii brakowało oficerów. Brak było tych 15 tysięcy, których Rosjanie przetrzymywali jako jeńców w trzech obozach w Polsce - w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Nikt wówczas nie wiedział o zbiorowych mogiłach w lesie katyńskim. Po dziś dzień konspiracja ciszy sowiektów trzyma w tajemnicy lokalizację i szczegóły dotyczące wielu innych masowych grobów.

To wszystko wyjaśniało młody wiek komendanta Szwadronu - Kaniaka i Komendanta Drugiego szwadronu, Porucznika Czapskiego. Kwatermistrzowie byli również bardzo młodzi: Porucznik K. Pruba i Podporucznik Brzezicki. Drugi aide-de-camp pułkownika Święckiego był także Porucznikiem, Tadeusz Szach Krummel Bej. Polak tureckiego pochodzenia, później stał się komendantem Szwadronu HG. Rotmistrz Włodzimierz de Viron był Adjutantem Dywizjonu Pułkownika Święckiego. Jeśli chodzi o samego Pułkownika, zgłosił się dobrowolnie przyjechać do Rosji, po służbie w Anglii. Był to akt niezmiernego bohaterstwa ze strony człowieka, który doświadczył z pierwszej ręki działań bolszewików w wojnie 1920 roku. Brał wówczas udział w kampanii, jako młody ochotnik kawalerii. Kawaleria była jego życiem. We wczesnej części II wojny światowej, jako pułkownik Polskich Oddziałów tworzonych we Francji, walczył przykładowo w na Linii Maginota. W naszym obozie był to powszechnie znany fakt, iż w 1940 roku Pułkownik Święcki powstrzymał francuskich oficerów i żołnierzy przed ucieczką przy pomocy swego pejsza i pistoletu. Wolni Francuzi Generała de Gaulla dekorowali go Croix de Guerre, gdy nasz Dywizjon był na służbie w Iraku.

Rotmistrz de Virion opowiedział nam o tym, jak po klęsce we Francji, pułkownik Święcicki przeprowadził cały swój Pułk do Anglii i został tam entuzjastycznie witany przez Anglików, którzy potrzebowali pociechy po Dunkierce.

Dla ułanów Siódmego Pułku Kawalerii Pancерnej, Pułkownik Święcicki był legendą. Przyjęliśmy jego surową, acz sprawiedliwą dyscyplinę bez cienia protestu. Dla niektórych oficerów było to trudne, gdyż wymagał on całkowitego oddania oddziałowi i służby na możliwie najwyższym poziomie. Jednocześnie charakteryzował się głębokim zrozumieniem dla potrzeb swych ułanów, którzy dopiero co strząsnęli z siebie łachmany i wszy po sowieckiej niewoli (większym zrozumieniem, niż tym, jakie mieli niektórzy oficerowie, którzy nie doświadczyli naszej degradacji).

Czułem się jak w domu. Owego pierwszego poranka oddziałowy krawiec dopasował mi mundur, oraz przyszył mi czerwono-niebieskie proporczyki do kołnierza munduru i płaszcz. Moje wyposażenie poddano inspekcji i uznano za pełne. Zostałem przyjęty. Stałem się dumnie ułanem Pierwszego Szwadronu, Pierwszego Plutonu, Pierwszej Sekcji, Pułku Kawalerii Pancерnej, Pułkownika Eugeniusza Święcickiego.

Bardzo szybko wtopiłem się do organizacyjnej rutyny życia. Cały program treningowy był niezwykle uważnie zaplanowany przez Pułkownika i jego oficerów. Cel był taki, abyśmy byli zajęci, ale jednocześnie mieliśmy dać szansę naszym słabym i wyczerpanym ciałom do odbudowania się. Nasz obóz w Kerminech był całkowicie wystawiony na działanie słońca; nie było nawet krzaczka, który dawałby cień a nasze namioty były nieznośnie rozgrzane. Każdego ranka wychodziliśmy do lasu tuż za Kerminech na lekkie zajęcia szkoleniowe.

Rosjanie zaczęli się robić coraz bardziej obstrukcyjni w stosunku do nas. Obcięli nam już i tak zbyt małe racje żywnościowe, które nam dostarczali, mimo tego, iż polskie wojsko rosło w siłę każdego dnia. Wiedzieliśmy o tym, że Generał Władysław Anders i jego ludzie musieli borykać się każdego dnia z problemem wyżywienia Armii. Pierwsza część ewakuacji wojska była konieczna z tej prostej przyczyny, iż żołnierze umierali i niemożliwością okazało się przetrwanie na jedzeniu od Sowietów.

Jeśli chodzi o nas, ewakuacja ze Związku Sowieckiego nie wchodziła w grę. W zamierzeniu mieliśmy odbyć tam ćwiczenia a następnie walczyć o boku Armii Czerwonej przeciwko Niemcom. Garnizon w Kenimech był nadzorowany przez grupę Komandirów NKWD, którzy naciskali na naszych oficerów dowodzących, aby ci zintensyfikowali i tym samym skrócili nasz trening.

Szczególnym celem tych presji był Pułkownik Kramczyński, który był Oficerem Dowodzącym 23-ciej Piechoty, największego oddziału w Kenimech, liczącego około 2500 ludzi. Będąc przełożonym pułkownika Święckiego, sprawował on funkcję Oficera Dowodzącego dla całego Garnizonu. Ciężła na nim najwyraźniej ogromna odpowiedzialność i kilkakrotnie widzieliśmy, jak wysoki i przygarbiony przechodził obok naszego obozu, pogrążony w swych własnych kłopotach. Po jego twarzy widać było, że był to, niezmiernie zmartwiony człowiek. Dowiedzieliśmy się, iż psy łańcuchowe NKWD nakazali Kramczyńskiemu przesunąć cały garnizon w Kenimech w głąb pustyni w dół rzeki, aby tam rozbić obóz. Przesunął swój własny, 23-ci oddział piechoty, z miasta, a siódmy oddział lekkiej Artylerii Polowej, podążył za nim. Pułkownik Święcki odmówił ruszyć 7 Oddział Kawalerii od studni ze świeżą wodą. Doszły nas słuchy na temat ostrych słów, które wypowiedział nasz Pułkownik do nadzorcy NKWD, w obecności Pułkownika Kramczyńskiego.

Wkrótce po wyprowadzeniu swego regimentu na pustynię, Pułkownik Kramczyński, naciskany przez NKWD, wprowadził program intensyfikacji ćwiczeń dla swych ludzi. Stał on w ostrym kontraście do ulgowego treningu, który przechodziła 7-ma Kawaleria w Kenimek. Wszyscy ułani wiedzieli, iż nasze przetrwanie było najwyższym celem Pułkownika Święckiego i że praktycznie niańczył nas, byśmy wyzdrowieli. Aby to osiągnąć, musiał znosić niekończące się żądania NKWD, aby wprowadzić dużo bardziej ostry program. Jednocześnie naciskał na nich, aby dostarczyli wyposażenie dla jego kawalerii, albo pełen ekwipunek dla koni, siodła i broń, lub też zmotoryzowane jednostki wojskowe. Jednak nasi NKWD-owscy dostawcy mieli w stosunku do swych nowych, polskich aliantów inne plany. Postanowili, iż dokończą procesu destrukcji, który tak efektywnie rozpoczęli w 1939, a który przetrwał atak Hitlera na Związek Sowiecki i w konsekwencji konieczność zmiany sojusznika.

Aby spowodować naszą ostateczną destrukcję, chcieli wysłać całą nie wyćwiczoną i źle wyposażoną Armię Polską prosto na pole bitwy. Dowód na to przyszedł później, kiedy niektórzy nieszczęśni Polacy zostali zmuszeni do służby w Ludowych Wojskach Polskich, stworzonych przez Rosjan, pod wodzą zdrajcy pułkownika Z. Berlinga. Na początku wojny wybrano go, wraz z 19-stoma innymi polskimi oficerami, z 15 000 więzionych oficerów i zabrano ich na ćwiczenia do specjalnego obozu. Jak dziś wiadomo, pozostali z owych 15 000 zostali zamordowani i zagrzebani w Katyniu i innych, jeszcze nie sprecyzowanych miejscach.

Kiedy Berling stanął na czele Ludowego Wojska Polskiego, powiodł je do bitwy pod Lenino. Dotknęły ich tam poważne straty.

Stopień, w jakim byliśmy chronieni przez Pułkownika Święcickiego w Kenimek, może być zilustrowany tym, co wydarzyło się w środku pewnej nocy. Siódma Kawaleria mocno spała po niezbyt męczących ćwiczeniach w upale poprzedniego dnia. 23-Ci Pułk piechoty, który poddawany był znacznie bardziej intensywnemu treningowi i mustrze, był akurat na kolejnym ze swych nocnych marszy w ^{pełnym} całym rynsztunku. Zostałem zbudzony przez kogoś, kto wyrzucił się o moje leżące ciało. Usiadłem i zobaczyłem, że cały namiot pełen był żołnierzy piechoty, którzy gramolili się i upadali. Wszyscy cierpieli na "kurzą ślepotę". Jest to choroba spowodowana brakiem witamin, która powoduje, że jest się całkiem ślepy od zachodu do wschodu słońca. Cierpiący na nią nic nie widzieli w nocy. Podczas niewoli, każdy z nas cierpiał na to w którymś momencie. Jedynym ratunkiem było regularne picie tranu. Jakimś cudem pułkownik Święcicki zdobył kilka beczulek tranu dla swych ułanów. Zapewne musiał przy tym użyć każdego grama przemyślności zarówno własnej jak i kwatermistrzów, aby przekonać Rosjan o dostarczeniu go. Pułkownik osobiście dopilnowywał codziennego rytuału, który zwaliśmy Apelem Tranowym, podczas którego każdy z ułanów miał połknąć łyżeczkę tranu. Po kilku dniach "kurza ślepotą" zniknęła z 7-mego Dywizjonu Kawalerii.

Prócz ten nowej opieki, którą otoczono moje fizyczne potrzeby, skorzystałem również z możliwości brania ponownie udziału w niedzielnej Mszy Świętej. W Związku Sowieckim, jako część niszczenia wszystkich chrześcijańskich tradycji, bolszewicy znieśli niedzielę jako dzień odpoczynku. Oficjalnie, co dziesiąty był teraz dniem wolnym od pracy. (W konsekwencji był to kolejny sposób wyzyskiwania robotników).

General Anders, Dowódca naszego Korpusu, formalnie zażądał wolności wiary i normalnych praktyk religijnych dla swej Armii w Związku Sowieckiego. Jak długo żyję, nie zapomnę pierwszej niedzielnej mszy, której wysłuchałem pod otwartym błękitnym niebem na uzbekistańskiej pustyni. Miałem tak wiele powodów do dziękowania Bogu i wiem, iż moi koledzy czuli podobnie. Modliliśmy się tak jak krzyżowcy przed ich wyruszeniem do Ziemi Świętej.

Nasz duchowy komfort, przyspieszył powrót naszej fizycznej sprawności. To, co pomagało nam pokonać psychiczne obciążenia po uwięzieniu i niewoli - surowa dyscyplina, poczucie jedności celu i wiara naszego pułkownika i jego oficerów - pomogła wydobrzeć naszym ciałom, mimo nędznego pożywienia, jakie dostawaliśmy.

Rosjanie dawali nam beczki pełne słonych ryb, które nie sposób było utrzymać w świeżości przy panujących upałach. Pułk. Święcicki wpadł na pomysł, aby wymienić je na świeże warzywa i owoce z sowchozów i kolchozów. Podobno Uzbekowie, żyjący na pustyni i pracujący na państwowych polach uwielbiali ryby morskie i z rozkoszą zamienili się na nie z kwatermistrzami 7-mego Dywizjonu kawalerii. Tak więc ja i moi koledzy mogliśmy się cieszyć świeżymi warzywami, po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Polski. Kolejnym rarytasem było przybycie z Anglii dostawy wołowiny i herbatników, przywiezionych do Związku Sowieckiego przez Marynarkę Wojenną dla Armii Polskiej.

Dwóm pozostałym Pułkom w Kenimech nie powodziło się tak dobrze. Mężczyźni z 23-ego Pułku Piechoty i 7-mego Pułku Artylerii Polowej dostawali słone ryby na każdy posiłek. Nie² początku nie cierpieli z tego powodu, jednak pragnienie zaczęło się stawać coraz większym problemem, a patrole wodne nie mogły dostarczyć wystarczającej ilości wody pitnej do obozów na pustyni. Żołnierze zaczęli pić zabloconą wodę z rzeki.

Te warunki sprawiły, że Kenimech został nazwany: "Doliną Śmierci".

Dieta składająca się ze słonych ryb i błotnistej wody rzecznej wywołała epidemię czerwonki, która pochłonęła tyle ludzkich istnień. Wkrótce jedyny szpital w Kenimek był całkiem przepełniony coraz większą ilością żołnierzy złożonych chorobą, musieli pozostać w namiotach i tu cierpieć.

Żołnierze piechoty mieli znikomą odporność na tę chorobę i wraz z utratą krwi, szybko żegnali się z życiem. Nasz lekarz pułkowy, porucznik Kaszubski i inni lekarze garnizonowi, robili wszystko, co w ich mocy, aby pomóc, ale warunki w szpitalu były opłakane. Nie było żadnych dostaw leków i ogromny brak nawet najpotrzebniejszych przyrządów.

Wojskowy cmentarz w Kenimech usytuowany był na pustyni, za szpitalem, jakieś 350 metrów od centrum miasta. CI, którzy umarli jako pierwsi, zostali pochowani ze wszystkimi wojskowymi honorami, gdzie kapelan prowadził procesję od samego szpitala na cmentarz. Garnizon miał do dyspozycji trzy trumny; używano ich do przenoszenia ciał na cmentarz, a następnie zabierano z powrotem dla kolejnych ofiar. Ta procedura nie mogła być jednak utrzymana przy rosnącej liczbie zgonów każdego dnia. Wkrótce kapelan zostawał na cmentarzu przy wykopanych, masowych grobach, odczytując bez przerwy nabożeństwo żałobne, nad zwłokami pięciu do dziesięciu żołnierzy za każdym razem. Trumny używano jedynie dla tych ciał nad którymi lekarz dokonał już sekcji zwłok. Wewnętrzne ściany nasączone były krwią.

Obóz 23-go Pułku Piechoty wyglądał jak miasto duchów, gdzie większość namiotów leżała powalona na ziemi. Wysłano mnie tam któregoś dnia z wiadomością dla jednego z dowódców kompanii. Kiedy podchodziłem do obozu, nie widziałem ani jednego żołnierza na służbie. Wszyscy byli chorzy. Niektórzy umierali z boku latryny.

23-Ci Pułk piechoty wymarł bez bitwy na pustyni Kenimekch

Naszym obowiązkiem, obowiązkiem ułana siódmej kawalerii, ocalonej dzięki opiece naszego Dowódcy Pułku, pułkownika Święckiego, było służyć jako codzienny orszak pogrzebowy. Nosiliśmy ciała martwych żołnierzy piechoty na cmentarz, pomagaliśmy kopać masowe groby i grzebaliśmy naszych kolegów.

Nieliczne przypadki czerwonki, które pojawiły się w naszym Pułku zostały szybko odizolowane a większość z nich szybko odzyskała zdrowie.

Siódmy Pułk Lekkiej Artylerii Polowej, zgodnie z obliczeniami jednego z oficerów, porucznika Mariana Twardego, stracił 20 procent ludzi. 23 Pułk Piechoty natomiast, ponad 80 procent, czyli 2000 żołnierzy.

Jedną z najokrutniejszych ironii losu było to, iż Major Stankiewicz, który przyjechał z Anglii, aby służyć jako zastępca pułkownika Święcickiego, zachorował i zmarł w kilka dni po przyjeździe. Dopiero co połączył się z żoną i synkiem, którzy trafili do Kenimech, po zwolnieniu z Syberii z 'dobrowolnego przesiedlenia'.

Od momentu, kiedy dotarłem do Kenimech, bezskutecznie starałem się odnaleźć kogoś ze starych przyjaciół z czasów mego pobytu w więzieniu i na Kołymie. Któregoś dnia kazano mi się zgłosić do Komendanta Szwadronu, Podporucznika Kaniaka. W zwykły sobie zdawkowy sposób nakazał mi się zgłosić do kapitana Wacława Chmielewskiego, dowódcy Baterii w Siódmym Pułku Lekkiej Artylerii. Porucznik Kaniak dodał: "To twój przyjaciel i chciałby się z tobą zobaczyć". Odparłem: "To chyba jakaś pomyłka. Nie znam żadnego kapitana Wacława Chmielewskiego". Tak czy owak nakazano mi do niego pójść.

Wszedłem na pustynię, wzdłuż brzegu rzeki, w kierunku obozu Siódmego Pułku Artylerii. Bombardier, który stał na warcie, poprowadził mnie do namiotu kapitana Chmielewskiego. Z ogromną radością rozpoznałem natychmiast go z więzienia w Siankach. Był to "Pan Wacław Leśniański", artystycznie wyglądający cieśla, który stał się moim towarzyszem z celi, wkrótce po schwytaniu mnie przez Rosjan w 1939. Przybrał nazwisko Leśniański dla swego bezpieczeństwa. Mimo duszącego upału pustynnego było to bardzo przyjemne spotkanie.

Kapitan Chmielewski, porucznik Jan Gala i pułkownik Janusz wyjechali z Kołomy jeszcze przed zimą. Płk Janusz został mianowany Szefem Sztabu Siódmej Dywizji Piechoty z Kermine, Jan Gala dołączył do Pułku piechoty 6 Dywizji, gdzieś w pobliżu Samarkandy. Była to pierwsza dobra wiadomość, którą usłyszałem o moich przyjaciółach z Kołomy. Znacznie później dowiedziałem się, że prof. Zdzisław Stahl dotarł bezpiecznie do Drugiego Polskiego Korpusu. Podczas I wojny światowej służył jako porucznik w słynnym 9 Pułku Ułanów. W moim szwadronie połączyłem się z ułanem Józkiem Wilkiem, który ogolił nas kawałkiem szkła, ku zdziwieniu Rosjan w obozie w Starobielsku. Wieści o Polakach krążyły po naszym garnizonie bez przerwy. Odkryłem, że porucznik Jan Romanowski, który zdał maturę w tym samym roku co ja i który studiował mechanikę na Politechnice we Lwowie, jest Adjutantem Generała Andersa i służył w dowództwie Armii Polskiej w Związku Sowieckim, w miejscu zwanym Jangi Jul. Niestety niczego nie mogłem się dowiedzieć o moim drogim przyjacielu Wojtku Dembińskim.

Jakimś sposobem Jan Romanowski dowiedział się, iż służę w Kenimek i przysłał mi list. Był to pierwszy list, jaki otrzymałem w Związku Sowieckim. Załączył w nim 300 rubli, które jestem mu po dziś dzień dłużny. Dla ułana był to majątek. W owym czasie nasze wynagrodzenie wynosiło 25 rubli miesięcznie, gdyż płacono nam w tej samej skali co czerwonoarmistom. Miesięczna pensja Podporucznika, według tej samej skali była 1200 rubli, a oprócz tego mieli oni przydział dobrego tytoniu, lepszego jedzenia w mensie oficerskiej i inne przywileje. Tym sposobem Jan Romanowski mógł sobie pozwolić na przysłanie mi pieniędzy. Pokazuje to również równość panującą w komunistycznym wojsku. Oficer dostaje 48 rubli za każdy rubel płacony szeregowym żołnierzom.

Owe 25 rubli płaconych miesięcznie ułanowi ledwie wystarczało na kupno jednego kubelka zielonej tabaki (machorki), zwanej powszechnie 'paszą wielbłąda'. Mój podarek z 300 rubli dostarczył ułanom Pierwszej Sekcji Pierwszego plutonu z Pierwszego szwadronu 'wielbłądziej paszy' na dłuższy czas. Dodam, iż w tym samym czasie, prywatny żołnierz Brytyjskiej Armii dostawał miesięcznie 4 funty ze wszystkim przywilejami. Podporucznik w Armii Brytyjskiej otrzymywał 16 funtów miesięcznie, z czego musiał sobie sam kupić mundur i opłacić rachunki z oficerskiej jadłodajni. Przykład ten ilustruje sprawiedliwość społeczną tych dwóch systemów lepiej, niż jakikolwiek inny argument teoretyczny.

General Anders, jako nasz Głównodowodzący, wymagał od nas absolutnej lojalności w stosunku do naszych sowieckich aliantów. Podkreślał, iż w interesie naszego kraju leży zapomnienie o przeszłości i spojrzenie z honorem w przyszłość i na wykonywanie naszych obowiązków. Jego żołnierze obdarzali go takim zaufaniem i miłością, iż jego instrukcje zostały przyjęte bez wyjątku i sumiennie wypełniane. Wszyscy odsunęliśmy od siebie nasze przeszłe doświadczenia, jednak nasi sowieccy alianci nie przyjęli takiej samej postawy. Nikt z nas z siódmego Pułku kawalerii nie wiedział o rosyjskiej zdradzie, której generał Anders musiał codziennie stawiać czoła. Przy jednej okazji odkrył mikrofony założone w jednej z jego kwater przez NKWD. Przy najbliższym spotkaniu z NKWD-owskim oficerem łączności, pułkownikiem Wolkowyskim, oddał mu jedno z urządzeń podsłuchowych z wrodzoną sobie żartobliwością.

Były także przypadki prób przekupienia wyżej postawionych oficerów. Zaczęły się one jeszcze zanim oficerowie ci zostali wypuszczeni z więzień, a w zamierzeniu mieli się oni stać zdrajcami. Najgorsza jednak była dwulicowość Sowietów w tworzeniu Ludowego Wojska Polskiego pod wodzą zdrajcy Berlinga i jego dwudziestu ułanów, mimo tego, iż tworzyła się prawowicie stworzona Armia Polska oraz odbywała ćwiczenia w Związku Sowieckim pod dowództwem prawowicie powołanego Dowódcy Naczelnego, generała Andersa.

Rzecz jasna nikt z nas Siódmego Pułku Kawalerii nie wiedział o tych podziemnych oszustwach. Do czasu, gdy przypadek Podoficera Czolobuta nie uświadomił nam jasno prawdy naszej sytuacji. W sposobie bycia wydawał się wręcz za miły, a w krytykowaniu Związku Sowieckiego. Starał się przedstawić nam wszystkim jako jeden z tych, który chciał się ze wszystkimi zbratać. Po polsku mówił z mocnym akcentem, charakterystycznym dla ludzi z okolic Polesia i Wołynia we Wschodniej Polsce. Czolobut szczególnie zaprzyjaźnił się z jednym ułanem, wielkim, flegmatycznym Białorusinem, który rzekomo pochodził z tego samego regionu. Ten ułan nie był szczególnie bystry, ale za to wszyscy go lubili.

Nasze wyposażenie pułkowe składające się z rosyjskich karabinów maszynowych, pistoletów maszynowych, amunicji i granatów ręcznych, znajdowało się w namiocie niedaleko naszego Pierwszego Szwadronu, chronionego drutem kolczastym. Był on nieustannie pilnowany. Pewnej nocy, gdy epidemia biegunki szalała, Czolobut był odpowiedzialny za Straż Regimentową. Jednym z żołnierzy na służbie z nim był jego przyjaciel białoruski ułan. Miał on rozpocząć swoją służbę od pilnowania zbrojowni o północy. Stał na swym posterunku, ale wkrótce potem przybiegł do namiotu płk. Święckiego i głęboko poruszony powiedział, iż Czolobut zamierzał ukraść granaty ręczne ze zbrojowni i wysadzić w powietrze namioty pułkownika i wszystkich jego oficerów. Czolobut terroryzował swego przyjaciela ułana i najwyraźniej miał nad nim pewną przewagę. Wydaje mi się, iż Białorusin należał niegdyś do Armii Czerwonej, ale trzymał to w sekrecie. Nie jestem jednak pewien. Czolobut misternie zaplanował swój atak, a następnie ucieczkę z Kenimech. Zamiast tego jednak został schwyty na gorącym uczynku kradnąc granaty, został zaarrestowany i pod silną strażą wysłany do więzienia Dywizji w Kermine.

Następnego dnia stanął przed Dywizyjnym Wojennym Trybunałem Wojskowym i został skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Pluton egzekucyjny miał się składać z Ułanów z Pierwszego Szwadronu Czolobuta, a osobą dowodzącą Podporucznik Pawlik, mój dawny kolega z Akademii w Dublinach. Byłem wśród Ułanów wybranych do plutonu egzekucyjnego. Rozstrzeliwania na Kołymie było wciąż zbyt świeże w moim umyśle. Mój przyjaciel, ułan, Józio Wilk, widząc jak jestem przygnębiony, zadeklarował, iż zajmie moje miejsce. Obaj zgłosiliśmy się do Dowódcy Szwadronu, Podporucznika Kaniaka. Była to jedna z najtrudniejszych rozmów, jaka może stać się udziałem żołnierza.

Tej samej nocy ułan Józio Wilk wyszedł wraz z plutonem egzekucyjnym pod dowództwem Podporucznika Pawlika. Ja nie chciałem strzelać do nieuzbrojonego człowieka.

Miejsce wybrane na egzekucję znajdowało się w zagłębieniu w wydmy piaskowej, tuż za Kerminą. Józio opisał mi później z detalami przebieg rozstrzelania..

Przed wschodem słońca Czolobut został zabrany na miejsce i postawiony pod drewnianym palem, mocno wkopanym w ziemię. Podporucznik Pawlik i pluton egzekucyjny już tam był. Zgodnie z regulaminem wojskowym, oficer odpowiedzialny miał osobiście załadować wszystkie karabiny. Połowa nabojów była ślepa. Tym sposobem, żaden z ułanów nie mógł być pewien, czy to on wystrzelił jeden ze śmiertelnych strzałów.

Czolobut miał związane ręce z tyłu pala. Wszystko było gotowe.

Do wschodu słońca pozostało jeszcze kilka minut i Podporucznik Pawlik sprawdził godzinę, trzymając w dłoni naładowany rewolwer. Szybko robiło się coraz jaśniej. Było kompletnie cicho. Pawlik zwrócił się wówczas do Czolobuta: "Czy chcesz jeszcze coś powiedzieć?"

"Pozwólcie mi po raz ostatni zobaczyć wschód słońca".

"Zgoda".

Znowu zapadła cisza. Wówczas Czolobut zawołał: "Koledzy, nie celujcie mi w głowę! Strzelajcie w klatkę piersiową!"

Nie było żadnej odpowiedzi ze strony ułanów.

Zza wydmy zaczęły się pojawiać pierwsze promienie wschodzącego słońca.

"Cel! Pal!"

Czolobut umarł natychmiast. Wszystkie naboje trafiły w głowę. Ciało osunęło się na ziemię. Echo od strzału nie ucichło jeszcze całkiem, kiedy ułani ujrzeni pułkownika NKWD biegnącego na dół po wydmie, wymachując dużą kartką papieru. Przybiegł jednak za późno. Na kartce tej napisane było, że Czolobut był obywatelem sowieckim i w związku z tym nie podlegał sądownictwu polskiego trybunału wojskowego. Nie nazywał się Czolobut i był oficerem NKWD. NKWD po raz kolejny próbowali swoich starych sztuczek i prowokacji. Tym razem jednak przegrali. Można się jedynie zastanawiać jaki pożytek mieliby Rosjanie, gdyby Czolobutowi udało się wysadzić w powietrze naszych oficerów. Czy Stalin i jego banda gangsterów użyli by tego faktu, aby twierdzić, że polscy żołnierze nie ufali swoim oficerom? Czy próbowali by twierdzić, iż Wojsko Polskie dzieliły różnice klasowe? Nie sposób odpowiedzieć, jednak dla nas wszystkich przesłanie było bardzo jasne: nasi tak zwani sojusznicy, byli tak naprawdę naszymi śmiertelnymi wrogami. Wydarzenia, które dopiero miały przyjść, potwierdzały to.

Po epidemii biegunki, której bez wątpienia dopomogły wysokie temperatury regularnie powyżej 70 stopni Celsjusza, a burza piaskowa pogorszyła sytuację dla 23-ci Pułku Piechoty. Poważna ona wszystkie namioty, a żołnierze, którzy zostali w obozie nie mieli siły ustawić ich od nowa.

Po koniec lipca 1942 roku, 23 Pułk Piechoty praktycznie już nie istniał. Nieliczni, którzy przeżyli biegunkę, ledwie chodzili. 7-my Pułk Lekkiej Artylerii Polowej miała więcej szczęścia, jednak ci, którzy przetrwali, około czterech piątych Pułku, byli bardzo osłabieni.

W życiu wojskowym, oficerowie dowodzący, którzy zabierają swoich żołnierzy na pole bitwy i w trakcie akcji tracą wielu ludzi, cieszą się wyróżnieniem i otrzymują medale. Jakiego rodzaju wyróżnienie i jaki medal powinien dostać nasz pułkownik Eugeniusz Święcicki? Jego order nie były przypłacone ludzkim życiem, ale je ocaliły. Utrzymał swój Pułk w Dolinie Śmierci w stanie praktycznie nienaruszonym. Oczywiście nie otrzymał za to żadnej oficjalnej nagrody.

Sytuacja żywieniowa stawała się z każdym dniem coraz gorsza. Rosjanie obcinali nam porcje, a oczywistym powodem było to, że chcieli zmusić Generała Andersa do zaprzestania dalszej rekrutacji. Jednak coraz więcej żołnierzy docierało bez przerwy do Kermina z okolic całej Syberii. Aby pomnożyć jeszcze problemy, z 'dobrowolnego przesiedlenia' zjeżdżali polscy obywatele i prosili o pomoc. Większość z nich to kobiety i dzieci, bliscy śmierci głodowej. Polscy żołnierze natychmiast zgodzili się oddać część swojej dziennej porcji żywieniowej na korzyść tych nieszczęsnych ludzi.

Wojsko polskie w ZSRR było głodne.

W tej sytuacji, gen. Anders negocjował warunki ewakuacji swoich żołnierzy. Rosjanie nie mogli, czy też nie chcieli nas wyżywić, więc generał udał się do Londynu, aby prosić Polski Rząd w Londynie by nakazał Wojsku Polskiemu opuścić ZSRR, tak aby mogło ono służyć i walczyć na Bliskim Wschodzie u boku Anglików. Po rozmowach z Churchillem i dłuższych dyskusjach z Rosjanami, zostało to osiągnięte. W końcu, 7 lipca 1942 roku, na lotnisku w Taszkencie, porucznik pułkownik NKWD, Tiszkow poinformował Generała Andersa, iż Rząd Sowiecki wyraża zgodę na ewakuację.

Natychmiast potem, Generał, który nie całkiem jeszcze doszedł do zdrowia po pobycie w więzieniu w Łubiance, zdecydował, że odwiedzi swych żołnierzy w regionach Samarkandy, Guzara i Kermine. Z ogromną radością ułani 7 Pułku Kawalerii przyjęli wiadomość, że przybędzie do Kermine.

Wiadomość o naszej nagłej ewakuacji do Iranu dotarła przez noc do wszystkich jednostek.

Pułkownik Święcicki zwrócił się do swego 7 Pułku Kawalerii na placu defilad. Ustawiliśmy się w formacji "W Rozwiniętego", w dwuszeregu, jak gdybyśmy zamierzali atakować. Jego mowa była krótka:

"Moi ułani. Opuścimy wkrótce ziemię sowiecką i udamy się do Persji, aby walczyć u boku naszych brytyjskich sojuszników. Zanim jednak stąd wyjedziemy, musimy zabezpieczyć i uporządkować miejsce spoczynku naszych rodaków i kolegów: Wojskowy Cmentarz w Kenimek. Czeką nas ciężka praca w skwarze pustyni, musi jednak być wykonana porządnie".

To wszystko.

Rozpoczęliśmy pracę następnego dnia. Pomagali nam trochę sprawni mężczyźni z 7-mego Pułku Artylerii i niektórzy z tych, co przeżyli z 23 Pułku Piechoty. Wybudowaliśmy solidnie masowe groby i wstawiliśmy w nich mocne drewniane krzyże tak, by oznaczyć każdą śmierć. Niemożliwością było wykonać plakietki z nazwiskami wszystkich żołnierzy, spisaliśmy jednak dokładnie kogo pochowaliśmy i w jakiej służył jednostce.

Ponieważ brak było materiału do wykonania porządnego płotu dokoła cmentarza, zdecydowaliśmy, że zbudujemy wysokie ogrodzenie z ziemi, z drewnianą mocną bramą u wrót. Między grobami zrobiliśmy żwirowe alejki i wkrótce wojskowy cmentarz w Kermiek był uporządkowany. Z oddali wyglądał jak pustynny fort.

Pewnego popołudnia cały 7-my Pułk kawalerii zajął swoje miejsce na placu defilad. Pułkownik Święcicki, kapitan de Virion i por. Latawiec stanęli na wyznaczonych miejscach na froncie szwadronów. Czuliśmy się rozluźnieni, jednak cisza była tak przemożna, iż słychać było łopotanie polskiej flagi na maszcie. Oddział czekał na Generała Andersa,

Ze strony naszej siedziby w Kenimech, wyłoniły się dwa samochody, a za nimi chmury czerwonego pyłu.

"Baczność!"

Regiment stanął w bezruchu.

Z pierwszego wozu wyłoniła się postać Pułkownika Leopolda Okulickiego, komendanta 7 Dywizji. Szef Sztabu jego ludzi, mój kołymski przyjaciel płk. Janusz, wysiadł chwilę potem, w charakterystyczny dla siebie, niespieszny sposób.

Z przedniego siedzenia pasażerskiego samochodu, wyłoniła się drobna, przystojna postać por. Jana Romanowskiego. Przeszedł w kierunku tylnych drzwi trzymając laskę. Drzwi się otworzyły. Wysiadł gen. Anders, wysoki, bardzo chudy mężczyzna. Miał przy tym nieco trudności z chodzeniem. Jego adjutant, por. Romanowski, podał mu laskę. Generał stanął na baczność, zasalutował i przyjął raport naszego pułkownika.

Na powitanie, które Generał wykrzyknął ułanom, odkrzyknęliśmy jednym głosem. Z pewnymi trudnościami przeszedł w naszym kierunku, podtrzymując się laską, trzymając się jednak przy tym niezwykle prosto. Na jego chudej, ascetycznej twarzy, malowały się ślady cierpienia po przesłuchaniach NKWD w więzieniu w Łubiance. Zabrano go tam ze szpitala, zanim jeszcze zablizniły się rany po bitwie. Doświadczył głodu, wszy, niewygody oraz wszystkich innych prześladowań, których my doświadczyliśmy. Był jednym z nas. Jego brązowe, pełne blasku oczy były niepowtarzalne. Biła od nich jakaś hipnotyzująca jasność.

Najpierw generał podszedł do Pierwszego Szwadronu. Przeszedł w jedną oraz drugą stronę oraz pomiędzy rzędami ułanów, naumyślnie patrząc w oczy każdemu mężczyźnie. Nie była to zwyczajna inspekcja. Generał zawiązał między nami nić wzajemnego porozumienia, tak silnego jak przymierze. Miało ono trwać do końca naszego życia. Czułem, że ten szlachetny żołnierz zjawiał się jako odpowiedź na nasze prośby o przywódcę. Do końca był nam wierny i dotrzymał swej przysięgi danej Polskiej Wspólnocie, do końca swego życia na wygnaniu. Jego wolą było zostać pochowanym wraz z najdzielniejszym z nas, którzy zginęli pod Monte Cassino. Na tym cmentarzu widnieją wyryte w kamieniu słowa: "Ciała swe oddali ziemi włoskiej, ducha - Bogu, a serca Polsce za naszą wolność i waszą".

Wizytacja Generała Andersa w naszym Pułku w Kenimek została w moim przypadku uwydatniona przez spotkanie z por. Janem Romanowskim. Wymieniliśmy wieści na temat naszych przyjaciół i krewnych. Kochany Jasio niezwykle się martwił o mój dobrobyt w oddziale, ja jednak zapewniłem go, że jestem niezmiernie szczęśliwy i dumny, że mogę służyć pod wodzą pułk. Świącickiego. Pamiętam słowa Jasia, skierowane do mnie: "Nastały okrutnie trudne czasy, jestem jednak pewien, że wszystko pomyślnie się skończy". Domyśliłem się, iż jego komentarz o trudnych czasach, odnosił się do problemów, jakie gen. Anders ma ze Stalinem i jego zbirami. Wyczułem miłość i podziw dla Generała w głosie Jasia.

Nasze dni w Kenimech były policzone. Rząd sowiecki dał Generałowi Andersowi dwa tygodnie na całkowitą ewakuację jego wojska. Nie było wątpliwości, iż ta operacja zostanie wykonana z ogromną wprawą, gdyż wszystko miało się odbyć pod okiem NKWD, którzy zdobyli niewyciężone doświadczenie w przesuwaniu mas ludzi o wielkie odległości. Głównodowodzącym był generał Zukow, jak to zawsze ma miejsce w Związku Radzieckim, miał on całkowitą, dyktatorską władzę do organizowania wszystkiego według swych zamierzeń.

Nie mniej efektywne były jednak plany, które miał Pułkownik Świącicki w stosunku do 7-mego Pułku kawalerii. Byliśmy nadal przykładem doskonałej dyscypliny i wyglądu zewnętrznego, i z uwagi na nasz dobry stan fizyczny, doszliśmy przez noc do stacji kolejowej w Kermirze. Pułkownik przeznaczył naszą niewielką część transportu zmotoryzowanego do użytku chorych i osłabionych z 7-mego Pułku Artylerii i 23-go Pułku Piechoty. Jedyny pojazd, używany przez 7-my Pułk kawalerii służył do przewiezienia naszego ciężkiego sprzętu kawalerii. Oficerowie i ułani nieśli swój osobisty rynsztunek i koc.

Pewnego wieczora na początku sierpnia ustawiliśmy się na Placu Defilad. Namioty zniknęły. Ostatni widoczny znak naszej obecności, biało-czerwona flaga, została opuszczona. Miejsce zostało z powrotem oddane uzbekistańskiej pustyni.

Pułkownik Świącicki wydał rozkaz, na który echem odpowiedzieli nasi dowódcy szwadronu. Pierwszy Szwadron, a za nim wszystkie inne, rozpoczęły podróż, o którą się modliłem: w podróż, która miała mnie wyprowadzić ze Związku Radzieckiego, gdzie zdawało się iż szatan zwyciężył.

Opatrzność przydzieliła mi miejsce w pierwszym z trzech rzędów ułanów na szczycie kolumny. Przede mną znajdował się jedynie mój pułkownik, kapitan de Virion, porucznik Latawiec, adiutant i Podporucznik Kaniak, dowódca mojego szwadronu.

Po kilku postojach tej ciepłej, pustynnej nocy, dotarliśmy wczesnym rankiem do dworca kolejowego w Kermine. Czekają nas 1280 kilometrów drogą kolejową przez Bucharę i Aszhabad do Krasnowodska, portu na Morzu Kaspijskim, który był Bazą Ewakuacyjną.

Dotarliśmy do Krasnowodska w cudnym słońcu i mieliśmy przed sobą dość długą drogę przez miasto do portu. Nasz ostatni marsz po sowieckiej ziemi był ciężki, gdyż byliśmy wszyscy, łącznie z pułkownikiem i oficerami, objuczeni sprzętem. Kiedy dotarliśmy w końcu do plaży skażonej ropą, czekała na nas jeszcze jedna, ostatnia dawka smutku, okropieństwa i cierpienia. Plaża pełna była polskich cywilów, czekających na statek, który miał nas zabrać do Persji. Były wśród nich głównie kobiety i dzieci i kilku starych mężczyzn - wszyscy niewiele grubszy od szkieletów. Niektórzy już nieżyli. Jestem pewien, iż resztę przy życiu trzymała nadzieja podróży ku wolności, z dala od ziemi ich prześladowania. Nigdy nie zapomnę oczu dzieci, patrzących z wycieńczonych twarzączek, kiedy zbyt słabe, aby się ruszać, leżały na piasku.

Byli tam również żołnierze w opłakanym stanie, niesieni praktycznie przez swoich kolegów. Wykrzesali z siebie jeszcze jakieś nadludzkie siły, aby zwlec się ze swych katafalków, i nie być pozostawionym w Związku Radzieckim.

Czekając na przybycie statku na platformie załadunkowej stało kilku NKWD-owców, ubranych w znajome mundury. Przyglądałem się okrągłej, wesołej twarzy jakiegoś pułkownika pochłoniętego przyjazną rozmową z polskim pułkownikiem. Był to zdrajca wojenny Berling. Stał na czele Bazy Ewakuacyjnej w Krasnowodsku. Do tego czasu był on już powołany przez Stalina w ogromnej tajemnicy, na Dowódcę Naczelnego marionetkowego Polskiego Wojska Ludowego.

W końcu przyплыł nasz statek, ogromna łajba zwana KAGANOWICZ. Natychmiast rozpoczęto załadunek. Wielu żołnierzy i cywilów trzeba było wnosić po stromych schodach. Berling, w towarzystwie wesołego pułkownika NKWD stali u dołu schodów i co jakiś czas zatrzymywali żołnierza, podczas kiedy poruszaliśmy się do przodu w pojedynczym szeregu. Zazwyczaj zadawali jedynie parę pytań, zanim przepuszczali żołnierza do przodu.

Po dwóch, czy trzech godzinach załadowywania w pełnym słońcu, przyszła kolej na Pierwszy Szwadron 7 Pułku Kawalerii. Podeszedłem do schodów, jakbym miał skrzydła zamiast stóp. Miałem właśnie przejść obok Pułkownika NKWD, gdy ten mnie zatrzymał:

"Czy macie jakieś ruble?"

Zgodnie z prawdą odpowiedziałem: "Nie."

"Czy zabieracie ze sobą jakieś dokumenty wydane przez Związek Radziecki?"

Mniej prawdopodobnie odparłem: "Nie".

Uśmiechając się szeroko, pułkownik NKWD spytał: "Czy wiecie, dokąd się udajecie?"

"Tak. Jadę walczyć u boku naszych brytyjskich sojuszników".

"Czy myślisz, że będziesz mógł pojechać do Londynu?"

"Tak. Jest tam wolny świat, gdzie każdemu wolno podróżować, tam gdzie chce".

Nie przestając się uśmiechać, odrzekł: "Dlaczego nie zostaniesz tutaj z nami? Za parę lat będziesz mógł pojechać do Londynu z Armią Czerwoną".

Berling, stojący obok Pułkownika NKWD, dołączył do niego w serdecznym uśmiechu. Pozwolono mi wejść na pokład.

Kiedy "Kaganowicz" wypłynął z portu, specjalnie nie spojrzałem w tył, ku przeklętej ziemi, od której odpłynął. Zamiast tego zacząłem się modlić.

Pod koniec sierpnia 1942 roku, ewakuacja Wojska Polskiego ze Związku Radzieckiego dobiegła końca. Prośby Generała Andersa o uwolnienie kolejnych setek tysięcy Polaków, którzy nadal znajdowali się w rękach Sowietów, spotkały się z grobowym milczeniem. Tych pozostawionych Polaków zmuszono do dołączenia do tak zwanego Ludowego Wojska Berlinga. To ta nieszczęsna grupa stała beczynną na brzegu Wisły i przyglądała się jak wojska niemieckie systematycznie niszczą Warszawę, grzebiąc polskie wojsko podziemne i cywilów pod gruzami domów. Berling z ochotą przystał na tę rzeź.

Wojsko Polskie zostało przewiezione przez malownicze góry Persji do Iraku, zatrzymując się w miastach granicznych - Kanakin i Quzli Ribai, najgorętszych miejscach na Bliskim Wschodzie. 7 Pułk Kawalerii jako pierwszy wyruszył do służby czynnej. Postawiono nas na straży granicznej między Persją a Irakiem we wsiach Nafti Szah i Nafti Khanach. Byliśmy także odpowiedzialni za bezpieczeństwo szybów olejowych, rafinerii i głównego rurociągu transportującego ropę naftową i olej rafinowany.

Mój Pierwszy Szwadron dostał zaszczytu stworzenia specjalnej straży dla naszego Premiera i Dowódcy Naczelnego, Generała Władysława Sikorskiego, kiedy przybył on w odwiedziny do króla Iraku w Bagdadzie - Fajsala. To właśnie po ukończeniu inspekcji Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie, jego samolot lecąc do Londynu roztrzaskał się w Gibraltarze. Generał oraz wszyscy inni pasażerowie samolotu za wyjątkiem pilota - Czecha zginęli na miejscu. Wiadomość tą przyjęliśmy z ogromną podejrzliwością, z powodu pro-sowieckiego nastawienia Czechów. Czy NKWD miało swój udział w tym wypadku?

Wojsko Polskie było zdruzgotane, jednak walczyliśmy nadal lojalnie. Dawni niewolnicy Rosji Sowieckiej stali się Drugim Polskim Korpusem w Kampanii Włoskiej. Nazwa Korpusu jest po dziś dzień i zawsze będzie identyfikowana z najważniejszą walką kampanii Monte Cassino, która otworzyła Aliantom drogę do Rzymu.

Pod koniec wojny, jedna z naszych jednostek schwytała dużą liczbę niemieckich jeńców. Byli wśród nich także Rosjanie, których zmuszono do kopania okopów dla żołnierzy niemieckich. Jeden z sowieckich więźniów okazał się Uzbekiem. Kiedy rozpoznał na naszych czarnych beretach Królewskiego Białego Orła, poruszony, opowiedział nam, co wydarzyło się w Keminech, po naszym wyjeździe.

Rosjanie przywieźli traktory i zrównali z ziemią cały, przez nas stworzony cmentarz wojskowy. Tak, jakby go nigdy nie było. Cała ludność uzbecka została na siłę przesiedlona w głąb Imperium Sowieckiego, tak, aby jakiegokolwiek ślady dawnej obecności Wojska Polskiego były zatarte.

Nie tak dawno przeczytałem w polskiej prasie, iż Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stara się dochodzić winnych braku poszanowania dla Polskiego Cmentarza Wojskowego u stóp słynnego zakonu Monte Cassino.

Dlaczego ci sami ludzie, którzy rządzą Polską zgodnie z przykazaniami z Kremla, nie szukają winnych w sprawie milionów mogił polskich żołnierzy rozsypanych po całym Imperium Sowieckim? Odpowiedź brzmi: dlatego, że groby te są albo nieoznaczone, albo zniszczone, albo też porośłe specjalnie zasadzonymi drzewami. Ludzie zaś, odpowiedzialni za to świętokradztwo, to ci sami, którzy w rzeczywistości rządzą Polską: Bolszewicka hierarchia w Moskwie.

Pod koniec wojny, polskie Wojsko lojalnie wypełniło swoje obowiązki w stosunku do aliantów. Polska utraciła jednak swoją niezależność i została wchłonięta przez Związek Sowiecki. Staliśmy się armią na wygnaniu.

Po dziś dzień, trudno mi zrozumieć, w jaki sposób pozwolono Rosjanom na wprowadzenie ich planu imperialistycznej ekspansji w Europie. Konferencja w Jałcie dała Stalinowi więcej, niż się kiedykolwiek spodziewał. Politycznie przechytrzył Roosevelta i Churchilla a na mocy postanowień konferencji, najwierniejszy i najbardziej oddany sojusznik, Polska, został opuszczony. Kilka krajów Europy centralnej, z tysiącletnią tradycją chrześcijańską i europejską kulturą, zostało oddanych pod sowiecką niewolę i barbarzyństwo. To niezwykła ironia losu, iż my, nieszczęśni biedacy, którzy cudem wyszliśmy z niewoli w Związku Sowieckim, przejrzelśmy na wylot kamuflaż sowieckiego komunizmu i rozumieliśmy prawdziwą motywacją i intencje Rosji. Jednak żaden z mądrych mężów stanu i intelektualistów Wolnego Świata, nie spojrzął nawet na nasze doświadczenie. Zignorowano świadectwo, pochodzące z naszego doświadczenia na Syberii i w Rosji Sowieckiej, zdobytego przez setki tysięcy Polaków.

W ten sposób staliśmy się wojskiem i narodem na wygnaniu. Wyjaśnię, co to oznacza, przy pomocy następującej opowiadki,

Młody człowiek, ubrany w szare, flanelowe spodnie i kurtkę noszoną przez wielu dawnych żołnierzy, szedł sobie przez rynek pięknego angielskiego, nadmorskiego miasta Brighton. Był środek dnia i leciutka mżawka zraszała powietrze. Przechodził akurat obok straganu z rzeczami używanymi, kiedy coś, leżącego w zawiniątku w rogu, przykuło jego wzrok. Był to mundur polskiego pułkownika. Na kołnierzu widniał proporczyk Kawalerii. Ułan, z trudem kryjąc wzruszenie, spytał właściciela stoiska obojętnym tonem:

'Ile chcesz za ten mundur?'

Handlarz zlustrował niezbyt zamożnego młodego człowieka i odparł:

'Daj mi 10 szylingów (1/2 funta) i jest twój'.

Tym sposobem mundur Pułkownika Kawalerii Eugeniusza Świecickiego jest w polskim muzeum w Instytucie Generała Sikorskiego w Londynie.

Wygnanie oznacza umrzeć z dala od własnego kraju.

↑
to takie
we polsku.